

AUTOR „KOLEKCJONERA KOŚCI”



JEFFERY
DEAVER



**KRWAWA
RZEKA**

C&T

JEFERY *DEAVER*

John Pellam Tom 2

Krwawa Rzeka

Przekład: Aleksandra Wolnicka

Tytuł oryginału: BLOODY RIVER BLUES

Dla Moniki Derham

Jean-Luc Godard **Chodziło** mu tylko o karton piwa. A wyglądało na to, że sam będzie musiał go sobie przywieźć. Stile wyjaśnił to w ten sposób:

— Cholernie trudno jest upchnąć karton Labattsów na bagażniku yamaha.

— Nie ma sprawy — mruknął Pellam do telefonu komórkowego.

— Gdybyś chciał sześciopak, proszę bardzo. Ale bagażnik trochę się chwieje. Co chyba tobie zawdzięczam. Mam na myśli bagażnik. Przykro mi, stary. Motor należał do wytwórni, ale udostępniono go Pellamowi, który z kolei pożyczył go Stile'owi. Stile był kaskaderem. Pel am wolał nie zastanawiać się nad tym, co robił, kiedy popsuł ten bagażnik.

— Nie ma sprawy — powtórzył do słuchawki.

— Załatwię cały karton. Rozłączył się. Z szafki w przyczepie wyciągnął brązową kurtkę lotniczą i spróbował przypomnieć sobie, gdzie widział jakiś tani sklep monopolowy. Delikatesy Riverfront miał niemal w zasięgu ręki, w przeciwieństwie do kolejnego czeku z wypłatą, a Pel am nie miał ochoty bulić dwadzieścia sześć i pół dolara za karton piwa, nawet jeśli importowano je z samej Kanady. Przeszedł do niedużej kuchenki, zamieszał w garnku chili i włożył chleb kukurydziany do piekarnika, żeby się podgrzał. Myślał o tym, żeby choć raz dla odmiany ugotować coś innego. Ale jakoś nikt nie zwracał uwagi na to, że na ich pokerowe spotkania Pel am zawsze przygotowuje chili. Czasami podawał je z hot dogami, czasami z ryżem, ale tak czy owak zawsze jedli chili. I słone krakersy. Było to mniej więcej wszystko, co potrafił przyrządzić.

Przyszło mu do głowy, że może obęda się bez piwa; już chciał zadzwonić do Stile'a i

powiedzieć mu, żeby jednak przywiózł tego sześciopaka, ale dokonał w myślach szybkich

obliczeń i doszedł do wniosku, że potrzebny jest cały karton. Będą grać w pięciu, przez sześć godzin a to oznaczało, że nawet cały karton może im nie wystarczyć. I w tej sytuacji będzie musiał wyciągnąć mezczał i whisky.

Wyszedł na zewnątrz, zamknął drzwi przyczepy i ruszył przed siebie drogą biegnącą wzdłuż szeroko rozlanej, szarej Missouri. Właśnie zapadł jesienny zmierzch i biorąc pod uwagę fakt, że był to zwykły dzień tygodnia, akurat powinna się była zacząć godzina szczytu. Jednak wznosząca się i opadająca przed nim droga była zupełnie pusta. Pellam zaciągnął suwak kurtki. Był wysoki i szczupły. Tego wieczoru miał na sobie džinsy i roboczą koszulę, która dawniej była czarna, a ostatnio zrobiła się szara w ciemniejsze cętki. Podeszwy jego kowbojskich butów głośno stukały o mokry asfalt. Żałował, że nie założył czapki z daszkiem z logo Lakersów albo kapelusza; od rzeki wiał zimny wiatr o słonym, rybim zapachu. A jego piekły oczy i bolały uszy.

Szedł szybkim krokiem. Głównie w obawie, że Danny — scenarzysta filmu, który właśnie

kręcili — przyjedzie wcześniej. Pellam podrzucił mu niedawno do hotelowej wanny

czteropółkilogramowego suma, a teraz Danny

9

odgrażał się, że w odwecie zaspawa mu drzwi do przyczepy. Ich czwartym partnerem do gry był ich

oświetleniowiec z San Francisco, wyglądający

dokładnie jak marynarz floty handlowej, którym

kiedyś był, pokryty od stóp do głów tatuażami.

Piątym graczem był prawnik z St. Louis, mężczyzna o jastrzębim profilu i obwisłych policzkach. Wytwórnia zatrudniła go przez swoje biuro w Los Angeles do negocjowania umów z lokalnymi statystami oraz właścicielami nieruchomości. Gość bez przerwy mówił o polityce Waszyngtonu w taki sposób, jakby sam ubiegał się o prezydenturę i przegrał tylko dlatego, że spośród wszystkich kandydatów był tym jedynym uczciwym. Jego gadulstwo bywało męczące, ale pioruńsko dobrze grało się z nim w pokera. Obstawiał wysoko i potrafił przegrywać z klasą.

Z rękoma w kieszeniach Pel am skręcił w Adams Street i zostawiając rzekę za sobą, przyjrzał się uważnie ponuremu, opuszczonemu budynkowi z czerwonej cegły należącemu dawniej do huty żelaza w Maddox.

Myślał o tym, że powietrze przesycone jest wilgocią i może się rozpadać.

Zastanawiał się, czy przekroczą termin

10

wyznaczony na realizację zdjęć w tym

cholernym mieście.

Zastanawiał się, czy chili się nie przypali i czy pamiętał, żeby zgasić gaz.

I myślał o kartonie piwa.

No więc tak: Gaudia będzie szedł Trzecią, zgadza się? Zazwyczaj pracuje do szóstej albo szóstej trzydzieści, ale dziś wieczorem umówił się na drinka z jakąś lalą. Nie wiem, co to za jedna.

Philip Lombro zapytał Ralpa Balesa: — A co go sprowadza do Maddox?

—

Właśnie mówię. Wybiera się na drinka do Wesołego Łajdaka. Kojarzy pan? A potem do Cal aghana na stek.

Philip Lombro, zasłuchany, przechylił głowę i podparł policzek dwoma palcami ułożonymi w kształt litery „V”. Miał pociągłą, opaloną twarz.

Od pozostałych członków swojej rodziny różnił się tym, że jego cera nie zbrązowiała, lecz miała srebrzysty, prawie platynowy odcień pasujący do gęstych, siwych włosów, starannie ułożonych przy pomocy lakieru.

Odezwał się: — A co z ochroniarzem Gaudi ?

—
Nie będzie go. Gaudia uważa, że w

Maddox nic mu nie grozi. No, a tę rezerwację
ma na siódmą trzydzieści. Czeka ich

11

pięciominutowy spacer — zmierzyłem czas —
więc wyjdą kwadrans po.

Ralph Bales siedział na przednim siedzeniu
granatowego lincolna i nachylał się do

Lombro. Miał trzydzieści dziewięć lat, był
muskularny i owłosiony w każdym miejscu

ciała poza głową. Jego twarz była

nieproporcjonalnie nalana, jakby miał na sobie

lateksową maskę przygotowaną przez specja

od efektów specjalnych. Nie był brzydki, ale

jego twarz — zwłaszcza jeśli patrzyło się na

niego *en face* — przypominała księżyc w pełni.

Tego wieczoru miał na sobie koszulkę do gry

w rugby w czarno-czerwone pasy, niebieskie

dżinsy i skórzaną kurtkę. — Więc pójdzie

Trzecią, tak? Jest tam taka boczna uliczka

odchodząca na zachód. Ciemna jak cholera.

Stevie może tam na niego zaczekać. Będzie

udawał bezdomnego.

—
Bezdomnego? W Maddox nie mają
bezdomych.

—
No to włóczęgę. Włóczęgów na pewno
tam mają — odparł Ralph Bales.

—
W porządku.

—
Będzie miał małą berettę, dwudziestkę
dwójkę. Nawet nie potrzeba tłumika. Ja będę
miał rugera. Stevie coś do niego zawoła, on
się zatrzyma i odwróci. Stevie załatwi go z

12

bliska. Ja będę ubezpieczał tyły, tak na wszelki wypadek. Raz, dwa, a po wszystkim
ładujemy się do bryki Stewiego, przejeżdżamy
rzekę i tyle nas widzieli.

—
W takim razie ja będę czekał przy
wylocie tej uliczki — powiedział Lombro. — Na
rogu Trzeciej.

Ralph Bales milczał przez chwilę, nie
spuszczając wzroku ze swojego rozmówcy.

Widział jego haczykowaty nos, łagodne oczy,

elegancki garnitur, krawat w tureckie wzory...

Dziwne, ale to było wszystko, co dawało się zauważyć. Wydawać by się mogło, że łatwo go zaszufładować, tak jakby siwe włosy, wypolerowane na wysoki połysk brązowe mokasyny z frędzlami i wysłużony rolex mogły cokolwiek powiedzieć o tym, jakim człowiekiem jest Philip Lombro. Ale nie, na tym sprawa się kończyła. To były tylko detale i nic poza tym. Zupełnie, jakby się patrzyło na czyjeś zdjęcie w magazynie „People”.

Lombro, który spokojnie odwzajemnił spojrzenie Ralpha Balesa, odezwał się:— O co chodzi? Masz jakiś problem?

Ralph Bales uznał, że wygrałby ten wzrokowy pojedynek, gdyby tylko chciał, i zaczął dla odmiany przyglądać się kępce włosów porastających wierzch jego dłoni. — Po prostu

13

nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Ale już to panu mówiłem.

—

Owszem, mówiłeś.

—

I nadal uważam, że to kiepski pomysł.

—

Chcę go zobaczyć martwego, i tyle.

—

Zobaczy pan na zdjęciach. Będą w „Post-Dispatch”. I w „Reporterze”. Kolorowe...

—

Będę czekał od siódmej piętnaście.

Ralph Bales bębnił palcami w skórzaną tapicerkę lincolna. — Tutaj chodzi też o mój tyłek.

Lombro spojrział na zegarek. Szkiełko było ukraszone i pozółkłe. Szósta pięćdziesiąt. — Mogę poszukać kogoś innego, kto wykona tę robotę.

Ralph Bales odczekał chwilę. — To nie będzie konieczne. Jeśli chce pan tam być, to pańska sprawa.

—

Faktycznie, moja.

Nic już nie mówiąc, Ralph Bales z rozmachem otworzył drzwiczki samochodu.

I wtedy to się stało. *Kurwa mać...*

Głuche stuknięcie, brzęk szkła, stłumiony syk.

Ralph Bales ujrzał mężczyznę — chudego
faceta w brązowej skórzanej kurtce —
stojącego przed nim na chodniku i
spoglądającego w dół z gorzkim uśmiechem
— uśmiechem, który zdawał się mówić:

14

„Wiedziałem, że coś takiego mnie dzisiaj spotka”. Spienione piwo wyciekało z leżącego
na chodniku kartonu.

Mężczyzna popatrzył na Ralpha Balesa, a
potem za niego, do wnętrza samochodu.

Ralph Bales zatrzęsnął drzwiczki i odszedł.

Mężczyzna zawołał za nim, uśmiechając się z
żalem: — Halo, proszę pana, moje piwo...

Ralph Bales zignorował go i szedł dalej przed
siebie wzdłuż Adams Street.

— Halo, moje piwo!

Ralph Bales nadal go ignorował.

Mężczyzna postąpił krok za nim. — Mówię do
pana! Halo!

Ralph Bales odwarknął: — Wal się. — I skręcił
za róg.

Wysoki mężczyzna stał przez chwilę
nieruchomo, śledząc go wzrokiem, z ustami
zaciśniętymi z oburzenia, po czym pochylił się

i zajrzał przez szybę do wnętrza lincolna.

Oślonił oczy dłońmi. Zastukał w szybę. —

Halo, twój kumpel... Halo... — Znowu zastukał.

Lombro wrzucił bieg. Samochód ruszył z miejsca. Mężczyzna w samą porę zdążył odskoczyć. Patrzył, jak lincoln znika mu z oczu.

Następnie przykucnął nad okaleczonym kartonem, z którego piwo lało się do rynsztoka jak woda z ciekącego hydrantu.

15

Donald Buffett, oficer patrolowy z wydziału policji w Maddox, patrzył, jak ostatnie strużki piwa spływają na chodnik, i myślał, że gdyby coś takiego wydarzyło się na osiedlu Cabrini w zachodniej części miasta, tuzin gości wylizywałoby już piwo z rynsztoka albo walczyło na noże o każdą rozbitą butelkę.

Buffett stał oparty o ceglany mur i przyglądał się, jak facet — Buffett stwierdził, że wygląda na kowboja — otwiera karton i usiłuje cokolwiek ocalić, jak dzieciak grzebiący w pudle pełnym zabawek. Wreszcie kowboj wstał i przeliczył dwanaście, a może piętnaście ocalałych butelek. Kartonowe pudło było całkiem przemoczone i rozpadało się na

kawałki.

Buffett spodziewał się, że mężczyzna rzuci się na tamtego, który wysiadł z lincolna. Był taki czas, zanim wstąpił na służbę — zanim nawet poszedł do akademii — kiedy bójki były tym, co lubił najbardziej. Teraz patrzył, jak kowboj ustawia ocalałe butelki w cieniu magazynu meblowego Neumana, ukrywając je przed wzrokiem osób niepowołanych. Widocznie zamierzał wrócić do sklepu. Na razie wyrzucił karton do śmieci i wytarł ręce o spodnie.

Buffett oderwał się od muru i przeciął ulicę.

—

Dobry wieczór panu — zagadnął.

16

Kowboj spojrział na niego i pokręcił głową. —

Widział pan coś podobnego? — odezwał się.

— Po prostu nie do wiary.

Buffett odparł: — Mogę ich popilnować, jeśli chce pan skoczyć po torbę czy coś w tym rodzaju.

—

Naprawdę?

—

Pewnie.

—

Dzięki. — Zniknął na końcu opustoszałej ulicy.

Wrócił po dziesięciu minutach, niosąc dużą, plastikową torbę na zakupy, w której znajdowały się dwa sześciopaki. W drugiej ręce trzymał papierową torebkę, którą wręczył Buffettowi.

—

Zaproponowałbym panu piwo, ale pewnie macie jakieś przepisy co do picia na służbie. Dlatego dostanie pan kawę i pączka. W torebce jest też cukier.

—

Dziękuję panu — odparł Buffett oficjalnym tonem. Był skrepowany i zastanawiał się, dlaczego. — Nie trzeba było. Kowboj zaczął zbierać butelki z chodnika i pakować je do torby. Buffett nie zaproponował, że mu pomoże. W końcu kowboj wyprostował się i przedstawił: — John Pel am.

—

Donnie Buffett.

Skinęli sobie głowami, ale nie wymienili

17

uścisków dłoni.

Buffett podniósł w górę kubek z kawą, jakby wznosząc toast, i odszedł, nasłuchując pobrzękiwania butelek, które cichło w miarę, jak mężczyzna oddalał się w stronę rzeki.

Tego samego wieczoru, dwadzieścia po siódmej, Vincent Gaudia zajrzał w głęboko wycięty dekolt białej sukienki, którą miała na sobie towarzysząca mu blondynka, i oznajmił:
— Pora coś zjeść.

—
Na co miałbyś ochotę? — spytała zmysłowym głosem; uśmiechnęła się, a w odrobinę zbyt grubej warstwie pudru koło jej oczu pojawiły się ledwie zauważalne kurze łapki.

Gaudia był uzależniony od kobiet takich jak ona. Choć traktował je jak towar, starał się nie zachowywać względem nich protekcjonalnie. Niektóre te jego przyjaciółki bywały bardzo inteligentne, inne bardzo uduchowione, a jeszcze inne poświęcały wiele godzin na

działalność dobroczynną. I choć nie pożądał ich z powodu stanu ich intelektu, duszy czy sumienia, uważnie przysłuchiwał się, gdy opowiadały mu

0

swoich zainteresowaniach, i robił to z autentycznym zaciekawieniem.

Z drugiej jednak strony najbardziej cenił sobie

18

te chwile, gdy zabierał dziewczynę do siebie, mówił, żeby się wreszcie zamknęła i przestała pieprzyć o duchach opiekuńczych, a następnie kazał jej chodzić na czworakach, podczas gdy sam chwycił jej pas do pończoch w obie ręce, jak lejce. W tej chwili niby przypadkiem dotknął piersi swojej towarzyszki uniesionym łokciem i odparł: — Póki co, mam na myśli kolację.

Dziewczyna zachichotała.

Wyszli z Wesołego Łajdaka, przecięli River

Road i ruszyli pod górę Trzecią w stronę

centrum Maddox, mijając po drodze ponure
magazyny, wystawy sklepowe pełne
poplamionych i pleśniejących używanych
mebli, parterowe biura, obskurne kafejki.
Kobieta przytuliła się do niego mocniej,
szukając ochrony przed zimmem. Chłodne
powietrze przypomniało Gaudi jego chłopięce
lata w Cape Girardeau, dni, kiedy wracał ze
szkoły do domu w swoich eleganckich, biało-
czarnych trzewikach, szurając liśćmi i
pogryzając jabłko w cukrze albo cukierka na
Hal oween. W przeddzień Wszystkich
Świętych wycinał zawsze niezłe numery i do
tej pory zapach zimnego, jesiennego
powietrza budził w nim najlepsze wspomnienia
z dzieciństwa. Odezwał się do dziewczyny: —
Jak spędzałaś Hal oween, kiedy byłaś mała?

19

Zamrugła oczami, zastanawiając się nad odpowiedzią. — No wiesz, świetnie się
bawiłyśmy. Najczęściej przebierałam się za
księżniczkę, albo coś w tym rodzaju. A raz
byłam prawdziwą wiedźmą.

—
Wiedźmą? Niemożliwe. Nawet gdybyś

się bardzo starała, nie wyglądałabyś jak
wiedźma.

—
Kochany jesteś... A potem zносиłyśmy do
domu tony cukierków

1
batoników. Najbardziej lubiłam takie z
orzeskami i nugatem i jak znalazłam jakiś
dom, gdzie je dawali, wracałam tam nawet
kilka razy. Pamiętam takie Halloween, kiedy
nazbierałam ich cały tuzin... Ale musiałam
bardzo uważać, bo w dzieciństwie miałam
straszne pryszcze.

—
Teraz już dzieciaki nie chodzą tyle po
domach. To niebezpieczne. Słyszałaś o tym
gościu, który wbijał igły w jabłka?

—
Nigdy nie lubiłam jabłek, tylko batoniki.

—
Z orzeszkami i nugatem — przypomniał
jej Gaudia.

—
Dokąd idziemy? Ta okolica przyprawia

mnie o gęsią skórkę.

—

Całe to miasto może człowieka
przyprawić o gęsią skórkę. Ale podają tutaj
najlepsze steki w całym stanie, poza Kansas

20

City. U Cal-laghana. Lubisz steki?

—

Owszem, lubię. A najbardziej befsztyk z
owocami morza. Ale to drogie danie — dodała
skromnie.

—

Myślę, że podają tam też befsztyk z
owocami morza. Możesz go zamówić, jeśli
masz ochotę. Możesz wziąć, co tylko
zechcesz.

Ralph Bales stał na rogu ulicy, ukryty we
wnęce przy Missouri National Bank i
obserwował nadchodzącą wolno parę w
słabym świetle ulicznej latarni; trzy z czterech
miały przepalone żarówki. Dziewczyna wisiała
mężczyźnie na ramieniu, co stanowiło
zdecydowany plus; gdyby Gaudia miał przy
sobie broń, uniemożliwiłoby mu to szybkie

oddanie strzału.

Ciemny lincoln Philipa Lombro, wielki niczym lotniskowiec, stał z włączonym silnikiem po drugiej stronie ulicy. Ralph Bales podziwiał doskonałą linię nadwozia, nieskazitelną chromowaną karoserię. Następnie spojrzał na sylwetkę Lombro siedzącego za kierownicą.

Ten facet to wariat. Ralph Bales nie mógł zrozumieć jego potrzeby przyglądania się egzekucji. Wiedział, że niektórych ludzi podnieca wykańczanie innych — czerpią z tego jakąś chorą, perwersyjną przyjemność.

21

Miał jednak wrażenie, że dla Lombro było to coś, co *musiał*, a nie co *chciał* zrobić.

W chłodnym powietrzu rozległ się niewyraźny bełkot Stewiego Flo-ma, współnika Ralphi Balesa, który odstawił swój numer z bezdomnym wariatem. — I tak to wygląda, właśnie tak to *wyglądał* Czytam te gazety... Czytam je, żeby zapomnieć, co czytam, rozumiecie, zapomnieć, co czytam...

Nagle Ralphowi Balesowi wydało się, że słyszy, jak Stevie odbezpiecza swoją beretkę, chociaż równie dobrze mogła to być tylko jego

wyobraźnia; w chwilach takich jak ta człowiek
słyszy i widzi rzeczy, których normalnie nie
słyszy i nie widzi. Każdy nerw w jego ciele
drżał jak sportowy wóz w oczekiwaniu na
zielone światło. Żałował, że nie potrafi
zachować zimnej krwi.

Stukot skórzanych podeszew na asfalcie
wydał mu się naraz bardzo głośny. Stukot
obcasów, powłóczenie stopami po wilgotnym,
wyludnionym chodniku.

Śmiech.

Stukot obcasów.

Światło odbijało się w butach Gaudy . Ralph
Bales znał jego upodobanie do modnych
strojów i domyślił się, że Gaudy ma na
nogach buty za co najmniej pięćset dolarów.

22

Choć buty Ralphy Balesa też miały wewnątrz metkę z informacją „ręcznie robione cholewki”,
on zaś wiedział, że ręce, które je wykonały,
należały do pracowitych Tajwańczyków.

Kroki przybliżające się już wyraźnie.

Pomruk silnika lincolna.

Głuche uderzenia serca Ralphy Balesa.

Stevie nawijający jak pijany świr. Spiera się

sam ze sobą.

Blondynka chichocze.

Nagle Stevie zagaduje: — Da pan ćwierć dolara? Bardzo proszę.

I niech Balesa piorun trzaśnie, jeśli Gaudia nie zatrzymał się i nie wyciągnął do włóczęgi ręki z banknotem.

Ralph Bales ruszył w ich stronę przez ulicę, trzymając w dłoni ru-gera — wielki pistolet o grubej lufie. Powietrze przeciął przeraźliwy krzyk kobiety; nagły ruch, szamotanina i

Gaudia zasłonił się dziewczyną jak tarczą, ustawiając ją pomiędzy sobą a Steviem. Jedno ciche puknięcie. Drugie. Blondynka osunęła się na ziemię.

A Gaudia uciekał. Biegł szybko. Był coraz dalej.

Cholera jasna...

Ralph Bales uniósł swój ciężki pistolet i wypalił dwa razy. Przynajmniej jedna z kul dosięgła

23

Gaudi . Wydało mu się, że trafił go w kark.

Mężczyzna potknął się i upadł na chodnik, uniósł lekko dłoń, potem znieruchomiał.

Lincoln Philipa Lombro ruszył z miejsca i przyspieszył z głuchym rykiem silnika.

Przez chwilę panowała cisza.

Ralph Bales zrobił krok w stronę Gaudi .

—
Stać!

Ten krzyk rozległ się nie więcej jak półtora metra od niego. Bales prawie puścił pawia z przerażenia; serce skoczyło mu tak, jakby właśnie dostał zawału.

—
Do *ciebie* mówię!

Ralph Bales opuścił dłoń z wycelowanym w dół pistoletem. Z trudem łapał oddech.

Przełknął ślinę.

—
Rzuć broń! — Głos drżał od z trudem hamowanej hysterii.

—
Już rzucam. — Ralph Bales upuścił pistolet. Zmrużył odruchowo oczy, gdy broń uderzyła o ziemię. Ruger jednak nie wypalił.

—
Połóż się na ziemi! — Policjant kuczał i

trzymał broń wycelowaną prosto w głowę

Ralpha Balesa.

—
Okej, okej! — zawołał Ralph Bales. —

Niech pan nie strzela. Już się kładę.

—
Natychmiast!

—
Właśnie to robię! Już się kładę! — Ralph

24

Bales uklęknął, a następnie położył się na brzuchu. Poczł woń smaru i psich sików.

Policjant zbliżył się do niego ostrożnie; kopnął

w bok rugera, nie przestając mówić do

krótkofalówki: — Tutaj Buffett. Jestem w cen-

trum Maddox. Była strzelanina, dwie osoby

ranne. Proszę o karetkę i wsparcie na...

Centralny dyspozytor policji i straży pożarnej w

Maddox nie dowiedział się jednak, na jaki

adres wysłać Donniemu Buffettowi karetkę

oraz wsparcie — a przynajmniej nie od razu.

Raport policjanta został bowiem brutalnie

przerwany w momencie, gdy Stevie Flom wy-

chylił się z bocznej alejki i opróżnił magazynek

swojej beretty prosto w jego plecy.

Buffett jęknął i osunął się na kolana. Próbował jeszcze sięgnąć za siebie, po czym upadł twarzą na ulicę.

Ralph Bales wstał i podniósł rugera. Podeszedł do nieprzytomnego gliniarza i wycelował mu w głowę swój wielki pistolet.

Odbezpieczył go.

Gruba, stalowa lufa powoli dotknęła wilgotnych włosów policjanta. Lewą ręką Ralph Bales zasłonił sobie oczy. Policzył osiem uderzeń serca. Jego dłoń napięła się, po czym rozluźniła. Zrobił krok do tyłu, odwrócił się od leżącego nieruchomo mężczyzny i zadowolił

25

oddaniem pojedynczych strzałów w głowę Gaudi i tej jego blondynki.

Kiedy już było po wszystkim, Ralph Bales i Stevie — jak dwóch kumpli marzących o zimnym piwie po meczu baseballu — podeszli szybkim krokiem do skradzionego czarnego pontiaca z biegnącym wzdłuż obu boków czerwonym, sportowym pasem. Stevie odpalił silnik. Ralph Bales rozsiadł się wygodnie.

Krótkim palcem wskazującym dotknął górnej wargi i poczuł kwaśną woń prochu oraz dymu

ze splonki. Gdy wolno oddalali się w kierunku rzeki, Ralph Bales patrzył na widoczną na południu jasną poświatę nad St. Louis.

Pomyślał, że teraz musi jeszcze tylko zająć się świadkiem — tamtym facetem od piwa — i sprawa będzie załatwiona.

*Żółte światło blednie i znów się pojawia,
zmienia się w czerń, czerń robi się żółta;
jakieś zamieszanie, krzyki, znowu ciemno,
straszliwy ból, nie mogę oddychać, nie mogę
przetykać... Odblaski żółtego światła. Znowu
znikają, już po nich... Nie odchodźcie, nie
zostawiajcie mnie samego...*

Przez chwilę Donnie Buffett widział nad sobą przerażoną twarz Penny. Błądą, w otocze ciemnych włosów. Przeraziło go przerażenie, które dostrzegł w jej oczach. Spróbował wziąć

26

ją za rękę. Zemdlał.

Kiedy ponownie otworzył oczy, jego żony przy nim nie było, a w pokoju panowały egipskie ciemności. Nigdy jeszcze nie czuł takiego zmęczenia.

Ani takiego pragnienia.

Po kilku minutach zaczęło do niego docierać,
że został postrzelony. W tym samym
momencie, gdy zdał sobie z tego sprawę,
wszystko inne uleciało mu z pamięci — Penny,
to okropne uczucie, że nic nie jest na swoim
miejscu w jego plecach i brzuchu, palące
pragnienie — on zaś skupił się, próbując coś
sobie przypomnieć. Jedno słowo. Krótkie. Sło-
wo, od którego zależało całe jego życie.

Jedno słowo. Jakie? Ponownie stracił
przytomność. Kiedy po raz kolejny otworzył
oczy, zobaczył nad sobą filipińską
pielęgniarkę.

—
Wody — wyszeptał.

—
Proszę tylko przepłukać usta i wypluć —
powiedziała.

—
Pić.

—
Przepłukać i wypluć. — Nalała mu do ust
nieco wody z plastikowej butelki. — Nie
połykać.

Donnie połknął wodę i zaraz zwymiotował.

Pielęgniarka ciężko westchnęła i przemyśla mu

27

twarz.

—
Nie czuję nóg. Obcięli mi nogi?

—
Nie. Po prostu jest pan zmęczony.

—
Aha.

Jedno słowo. Co to u diabła było? Błagam cię,

Przenajświętsza Panienko, spraw, żebym

sobie przypomniał...

Zasnął, usiłując przypomnieć sobie to słowo, a

gdy po krótkim czasie znowu się obudził,

nadal starał się wydobyć je z głębin pamięci.

Tym razem przy jego łóżku siedziało dwóch

mężczyzn w wymiętych garniturach. Donnie

spojrzał na nich i uśmiechnął się.

—
Patrz, uśmiecha się. — Mężczyzna, który

to powiedział, był blondynem o kwadratowej

szczęce.

Siemasz, Donnie — odezwał się drugi.

— Nie zapytam, jak się czujesz, bo powiesz:

„Co za durne pytanie, czuję się jak kupa
gówna”. — Miał ciemną karnację i krótkie,
przylizane włosy. Patrzył na Buffet-ta z
niekłamaną sympatią. Serdecznie ścisnął jego
dłoń.

—

Zaszli mnie od tyłu. Był jeszcze jeden, za
moimi plecami.

Bob Gianni, detektyw o ciemnej karnacji,
mówił dalej: — Burmistrz wybiera się do ciebie
z wizytą. Chce ci życzyć powodzenia.

28

Powodzenia! Dlaczego ktoś miałby mi życzyć powodzenia? Mnie już się powiodło.

*Nie potrzebuję żadnych życzeń. Muszę tylko
wstać z tego łóżka.*

Wargi Buffet-ta poruszały się.

—

Co mówisz? — Richard Hagedorn,
detektyw o jasnych włosach, pochylił się nad
nim.

—

Dlaczego nie mogę... — Donnie pokręcił

głową i dodał z urazą w głosie: — Miałem

przecież kamizelkę.

—

Trafił cię poniżej. Tak mówili na

konferencji prasowej.

—

Och. — Na *konferencji prasowej*?

Zorganizowali *konferencję prasową* z mojego

powodu?

Gianno rzucił: — Poznaliśmy twoją żonę,

Donnie. Śliczna kobitka. Buffett skinął głową w

roztargnieniu.

Detektyw ciągnął: — Chyba się domyślasz,

dłaczego tu jesteśmy. Co możesz nam

powiedzieć o tej strzelaninie?

Obraz szybko się zacierał, znowu zastępowały

go miliony czarnych plamek. Żółte światło,

białe światło. Miał wrażenie, że wnętrzości

unoszą mu się w brzuchu i falują. Czuł ból tym

bardziej przerażający, że tak naprawdę wcale

go nie odczuwał. Usiłował przypomnieć sobie

29

tamto słowo. *Słowo. SŁOWO. Cała odpowiedź*

zawarta jest w tym jednym słowie.

—
Ja... — wychrypiał. Głęboko wciągnął

powietrze.

—
Może lepiej my już... — zaczął

Hagedorn, ale Buffett otarł kocem pot z twarzy

i dokończył:

—
Ja widziałem tylko jednego sprawcę.

Biały, łysiejący, ciemne włosy. Stał tyłem do
mnie, nie widziałem twarzy. Mógł mieć ze trzy-

dzieści pięć lat. — Urwał. Powietrze z sykiem

wydobywało się z jego spierzchniętych warg i

palilo go żywym ogniem. — Metr siedemdzie-

siąt osiem. Waga około osiemdziesięciu pięciu

kilo. Ciemna kurtka, koszula, dżinsy. Chyba.

Nie pamiętam za dobrze. Miał wielką spluwę.

—
Czterdziestkę czwórkę.

—
Czterdziestkę czwórkę — powtórzył

wolno Buffett. — A ten drugi, ten, który mnie

trafił...

—

Widziałeś go?

Buffett przecząco pokręcił głową. Po chwili

zapytał: — Kim była ofiara?

—

Vince Gaudia i jakaś lala.

—

Cholera — westchnął z podziwem

Buffett. — Gaudia. — Zamknął oczy i pokręcił

głową. — Peterson się wścieknie.

Hagedorn odparł: — Do diabła z Petersonem.

30

Dorwiemy tego gnoja, który cię tak załatwił, Donnie.

—

Trzeciego też nie widziałem — rzekł

Donnie.

—

Trzeciego? — powtórzył Hagedorn. On i

Gianno wymienili spojrzenia.

—

Faceta w lincolnie.

—

W jakim lincolnie?— Gianni znowu

zaczął notować.

—

Ciemny lincoln. Stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Nie zauważyłem numeru rejestracyjnego ani modelu. — Buffett zakaszłał. — Dajcie mi trochę wody.

Hagedorn poszedł do toalety i przyniósł pełną szklankę. Podał ją Buffettowi, który zawahał się, po czym ostrzegł: — Mogę rzygać.

Gianno roześmiał się. — Widziałem w życiu gorsze rzeczy od rzygającego gliniarza.

Tym razem Buffett nie zwymiotował i triumfalnie oddał pustą szklankę Hagedornowi. — Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałem w ustach.

Mężczyźni roześmieli się; nie było potrzeby wypowiadać na głos żadnej z puent, które jednocześnie zmaterializowały się w ich umysłach.

Gianno zapytał: — Tamten gość w lincolnie.

Kierowca. Czekał na tamtych?

31

—
Nie, odjechał sam. Może to był ktoś, kto miał zidentyfikować cel zamachu.

—

E, tam — mruknął Gianni. — Wszyscy

wiedzą, jak wygląda Gaudia. To znaczy

wyglądał. Jak chłopak z okładki.

Buffett odparł: — W takim razie może to on

wynajął tego łysego.

—

Jakaś gruba ryba? Może i tak... Ale ty,

Donnie, nie domyślasz się, kto to mógł być?

—

Nie, chociaż wiem, kto go widział.

—

Mamy świadka?

Buffett opowiedział im o incydencie z rozbitym

piwem. — Ten facet mówił coś do kierowcy.

—

Fantastycznie — uśmiechnął się

Hagedorn.

Gianno odwrócił stronę w swoim notesie. —

Jak wyglądał? Buffett już miał mu podać

rysopis, gdy nagle doznał olśnienia.

Przypomniał sobie tanto słowo. Magiczne

słowo. Cały się rozpromienił. — Pel am —

wyszeptał.

—

Ze co? — spytał Gianni i marszcząc

brwi, spojrzał na Hage-dorna.

—

Ten facet nazywa się Pel am. —

Uśmiech na ustach Buffetta był coraz szerszy i
coraz bardziej promienny.

—

Znasz jego nazwisko? — Gianni pałał
entuzjazmem. — Mieszka gdzieś w okolicy?

32

—

Nie wiem. — Donnie wzruszył ramionami
i natychmiast poczuł przeszywający ból w
karku. Przez chwilę leżał nieruchomo jak głaz,
dopóki ból z wolna nie ustąpił.

—

Znajdziemy go — zapewnił go Gianni.

Uśmiech zniknął z twarzy Donniego, gdy
spróbował poruszyć nogą i odkrył, że nie jest
w stanie tego zrobić. Domyślił się, że zbyt
ciasno otulono go kołdrą. W roztargnieniu
odgarnął przykrycie i klepnął się po udzie. —
Trzeba przywrócić krążenie. Za długo już się
wyleguję.

—
Znajdziemy go, Donnie. — Gianni

zatrzasnął swój notes.

—
To jeszcze mało — rzekł Buffett. —

Wiecie, jak to jest ze świadkami. A już
zwłaszcza przy takiej sprawie jak ta. Facet z
miejsca dostanie amnezji. Mogę się założyć.

Gianno prychnął z pogardą. — O nic się nie
martw, Donnie. Będzie śpiewał jak trzeba.

Najwyraźniej nie smakowało im jego chili. Po
piwie i whisky nie było już śladu, lecz garnek
chili był praktycznie nietknięty.

Po skończonej partyjce pokera, kiedy pozostali
gracze wyszli, Dan-ny i Stile zostali w
przyczepie i pomogli Pel amowi posprzątać.

Danny, dwudziestodziewięciolatek o szerokim
nosie, gładkiej cerze i czarnych włosach do

33

ramion, przypominał wojownika ze szczepu Nawaho.

—
Co jest z tym chili? — spytał, marszcząc

nos, po czym opróżnił popielniczki, wsypując

ich zawartość do worka na śmieci. Chociaż

często bywał bezpośredni, ludzie rzadko się na niego obrażali.

Jak to — z chili?

Stile wrzucił puste butelki po piwie do drugiego

worka i podkreślił sumiastego wąsa. Mimo iż

Pel am wywodził się w prostej linii — przy-

najmniej według rodzinnej tradycji — od

autentycznego rewolwerowca, osobiście

uważał, że to Stile jest bliźniaczo podobny do

jego rzeczzonego przodka, Dzikiego Bil a

Hickoka. Stile był chudy jak patyk i miał

opadające w dół wąsy wietnamskiego

weterana w odcieniu ciemno-blond, takim

samym, jak włosy. Mówił właśnie: —

Pamiętam, jak pracowałem przy jednym

westernie... Nieważne, czyim. Spadałem w

nim z urwiska, mogło mieć ze trzydzieści

metrów wysokości... Aż tu nagle popsuł się

kompresor i nie mogli napompować poduszki

powietrznej tak, jak sobie tego życzył szef

kaskaderów...

—

Hm — mruknął Pel am. Przeszedł do

kuchni i spojrzał na garnek z chili. On sam

zjadł dwa talerze, z dodatkiem cebuli i plasterów żółtego sera. Wydawało mu się, że smakuje jak trzeba.

—
O nie — poprawił się Stile. — To urwisko miało prawie czterdzieści metrów.

Danny mruknął znudzony: — No jasne.

Będąc nominowanym do Oskara scenarzystą,

Danny spędzał większość czasu w

luksusowych hotelowych apartamentach przed

swoim laptopem firmy NEC, wymyślając

sceny, w których ludzie tacy jak Stile spadali z

czterdziestometrowych urwisk; takie numery

nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Stile ciągnął swoją opowieść: — Wyobraźcie

to sobie: jesteśmy na środku pustyni, a ja

wczuwam się w Indianina i sami wiecie...

Co jest z tym chili?

Peł am spróbował jeszcze jedną łyżkę. Fakt,

przypalone. Smak potrawy skojarzył mu się z

dymnym aromatem szkockiej whisky. Ale

oprócz tego jego potrawie nie można było nic zarzucić. Oryginalny smak można było wręcz

uznać za zamierzony, jak gdyby eksperymen-

tował z nowym przepisem. Pewnie gdyby użył

jakiejś egzotycznej przyprawy, nikt nie
powiedziałby ani słowa. Ewentualnie: „Świetne
chili, Pel am..”

Wstawił naczynia do maleńkiego

35

zlewozmywaka i opłukał część pod słabiutkim strumieniem wody ciurkającej z kranu.

—
Tak czy owak, wylądowałem z takim

impetem, że moje szlufki od paska zrobiły
ślady w błocie pod poduszką powietrzną!

—
No tak. To się czasami zdarza — odparł
ospale Danny.

Pel am otworzył szeroko drzwi, żeby
przewietrzyć przyczep* Chciał pozbyć się nie
tylko woni przypalonego chili. Ten prawni z St.

Louis palił papierosa za papierosem. Jak
zauważył Pel am, ludzi ze Środkowego
Zachodu zdawali się nie rozumieć, że taki
nałóg może być szkodliwy.

Danny i Stile spierali się teraz o to, który z nich
ma bardziej niebezpieczną pracę — czy Stile,
spadający z wysokich urwisk, czy Danny
zmuszony w ciągu kilkudziesięciu sekund

prezentować swoje pomysły na scenariusze
filmowe producentom i ludziom od marketingu.

Stile stwierdził, że to mało oryginalny dowcip, i
próbował namówić Dan-ny'ego, żeby skoczył z
nim kiedyś ze spadochronem z jakiegoś mostu
albo drapacza chmur.

—
Weź takie „Życ i umrzeć w Los Angeles”

— szepnął przy tym nabożnie. — Genialna
scena. Ten skok z mostu.

Stojący w otwartych drzwiach Pel am zmrużył

36

oczy. W niedużej odległości od przyczepy zauważył w trawie duży, kanciasty kształt. Co
to mogło być? Jeszcze raz zmrużył oczy, ale
niewiele to pomogło. Przypomniawszy sobie, jak
ten teren wyglądał za dnia — duże pole
zarośnięte kępami palusznika i chwastami. Co
mogło tkwić o tej porze na samym środku
zakichanego pola? Dziwne, ale wyglądało to
zupełnie jak...

Cień wydał z siebie ściszony warkot.

...samochód.

Wóz przyspieszył, spod jego kół posypały się
ziemia i kamienie. Maskę roztrącała wysoka

trawę, podwozie zazgrzytało, gdy auto pokonywało ostry spadek terenu przed wjazdem na autostradę.

Zakochani, pomyślał Pel am. Pewnie się obściskiwali. Czy zresztą ludzie jeszcze to robią? Na Środkowym Zachodzie chyba tak.

Pel am mieszkał w Los Angeles, gdzie żadna z kobiet, z jakimi się umawiał, nie lubiła się obściskiwać.

Dopiero kiedy się odwrócił i miał wejść z powrotem do przyczepy, zdał sobie sprawę z tego, że samochód włączył przednie światła dopiero znalazłszy się daleko od kempingu, na River Road; z tego też powodu jego tablice rejestracyjne nie były podświetlone, dopóki

37

znajdował się w zasięgu wzroku Pel ama.

Dziwne...

—
Szkoda, że tego nie widziałem —
powiedział dobitnie Danny.

—
To tylko jakiś samochód — mruknął

Pel am, obserwując znikające w oddali tylne

światła wozu.

Obaj mężczyźni wytrzeszczyli na niego oczy.

—
Miałem na myśli — wyjaśnił Danny —

skok z tamtego mostu.

—
Och.

Danny podziękował Pel amowi za grę i
towarzystwo, ale nie za chili. Po jego wyjściu

Stile wszedł do niewielkiej kuchni i zaczął
zmywać naczynia.

—
Nie musisz tego robić.

—
Nie ma sprawy.

Pozmywał wszystko z wyjątkiem garnka po
chili.

—
Stary, przypaliłeś dno. Sam będziesz
musiał sobie z tym poradzić.

—
To przez to, że miałem przygodę w
drodze ze sklepu...

Jak długo zamierzasz tkwić w tej
cholernej dziurze? — przerwał mu Stile.

—
Do końca zdjęć. A Tony powtarza co
drugą scenę.

—
Faktycznie. No cóż, jeśli będziemy tu

38

jeszcze w przyszłym tygodniu, zapraszam cię na partyjkę w zajeździe Quality Inn. Mam tam
elektryczną kuchenkę, usmażę filadelfijskie
steaki z serem. I cebulą. A przy okazji, jutro
odbieram furę od Hertza. Oddam ci wreszcie
twój motor.

Stile był w mieście od trzech tygodni i już
zdążył spalić sprzęgło w wypożyczonym
wozie. Wypożyczalnie samochodów powinny
pytać klientów o zawód i nie wynajmować
swoich pojazdów kaskaderom.

Pel am odprowadził go do drzwi. —A widziałeś
jakiś samochód zaparkowany w pobliżu, kiedy
tu dziś zajeżdżałeś?

—
Gdzie? Tam? To dzikie zarośla, Pel am.

Dlaczego ktoś miałby tam parkować?

Stile wyszedł na zewnątrz, wciągnął w płuca powietrze. Następnie stawiając duże kroki i gwizdząc — pod swoim wąsem rewolwerowca — piosenkę Steviego Wondera, ruszył w stronę poobtłukiwanej yamaha, której bagażnik przekrzywił się niebezpiecznie nad tylnym błotnikiem.

To ten?

—

Nie zauważyłem.

—

Widział nas?

—

Skoro ja nie mogłem go dojrzeć, to jak on miał nas zobaczyć? Ale jeśli rozwalileś

39

skrzynię biegów, to zapłacisz mi za to, stary.

Rozumiemy się? — warknął Ralph Bales do Steviego Floma. Porzucili gdzieś skradzionego pontiaca i jechali teraz cadilakiem należącym do Ralpha Balesa. Stevie siedział za kierownicą.

Flom miał dwadzieścia pięć lat. Był blondynem z północy Włoch, z fantastycznymi mięśniami i

skórą gładką jak u niemowlęcia. Jego okrągłej

twarzy nigdy nie oszpecił żaden pryszcz. W

swoim krótkim życiu zaliczył już 338 kobiet.

Pracował na przystani przy rozładowywaniu

towaru, ale najczęściej był na zwolnieniu i w

tym czasie wykonywał różne dziwne zlecenia

dla ludzi, dla których niewielu podjęłoby się

pracować. Był żonaty i miał trzy kochanki.

Zarabiał około sześćdziesięciu tysięcy rocznie,

z czego prawie trzydzieści przegrywał w Reno

albo grając w pokera we wschodnim St. Louis

czy Memphis.

—

Jedź prosto — polecił mu Ralph Bales,

oglądając się do tyłu na przyczepę. — Tak,

jakby na nas patrzył...

—

A patrzył?

—

Co?

—

Patrzył na nas?

—

Jedź i nie gadaj.

Noc była bezchmurna. Na lewo od nich

40

rozpościerała się wielka płaszczyna Missouri, płynącej wolno na południowy wschód. Ta sama woda, która wczoraj wyglądała na czarną i błotnistą, kiedy planowali akcję, dzisiaj sprawiała wrażenie złotej — podświetlona przez światła niedużej fabryki stojącej na południowym brzegu.

Ralph Bales od razu założył, że odnalezienie świadka to bułka z masłem. Wystarczy odszukać sklep, w którym kupił piwo, i w ten sposób go namierzyć.

Zapomniał jednak, że znajdowali się w Maddox w stanie Missouri, gdzie większość mieszkańców jest bezrobotna i spędza całe dnie, pijąc, ewentualnie ćwiczy mięśnie na przystani albo zgina kark na okolicznych farmach i przepija całe noce. Ralph Bales przekartkował książkę telefoniczną i znalazł ponad dwadzieścia sklepów spożywczo-monopolowych w okolicy miejsca, w którym wysiadając z samochodu Philipa Lombro, zderzył się ze świadkiem.

Porzucili więc pontiaca, pozbyli się rugera,

który miał odtąd spać snem wiecznym
dwanaście metrów pod pofałdowaną
powierzchnią rzeki, i pomknęli do domu, żeby
się przebrać, a następnie wrócili do miasta
prywatnym samochodem Ralpa Balesa.

41

Bales zgolił wąsy; miał teraz okulary, pogniecioną irlandzką czapkę z tweedu,
rozpiętą pod szyją, wyprasowaną niebieską
koszulę oraz sportową marynarkę w jodełkę.
Przedstawiając się jako prawnik agencji
ubezpieczeniowej, reprezentujący
postrzelonego policjanta, dopóty chodził od
sklepu do sklepu, dopóki nie znalazł
sprzedawcy, który pamiętał, że tego wieczoru
około siódmej sprzedał karton piwa chudemu
mężczyźnie w lotniczej kurtce.

—
Powiedział, że ma przyczepę
zaparkowaną „Przy drodze”.

—
Hm, tak... A co to znaczy? — spytał

Ralph Bales.

—
Wie pan, na tym polu kempingowym. W

pobliżu cementowni. I jeszcze jedno —
ostrzegł go z powagą sprzedawca. — Niech
go pan nie prosi o rolę w filmie. Nie lubi tego.

—
W filmie?

Ralph Bales i Stevie przejechali wolno nad
rzekę i zaparkowali na zarośniętej działce
przylegającej do kempingu Bala „Przy
drodze”. Udało im się nawet zajrzeć do
przyczepy przez małe okienko, ale Ralph
Bales nie był pewien, czy w środku widać tego
gościa od piwa, czy nie. Potem drzwi
przyczepy otworzyły się, a Stevie ubzdurał

42

sobie, że facet zgłosił właśnie policji podejrzany samochód, i wcisnął gaz do dechy.

Ralph Bales krzyczał: — Uważaj na sprzęgło!

— ale Stevie nie zwracał na niego uwagi.

Pędzili teraz przez noc, jakieś dziewięćdziesiąt
kilometrów na godzinę, zostawiając za sobą w
tyle światła Maddox.

—
Jutro rano złożymy mu wizytę.

—
A jeśli do tej pory zdąży już podać glinom

twój rysopis? Ralph Bales rozważał przez chwilę tę możliwość. W końcu pokręcił głową. — Przecież on nawet nic nie wie o akcji. Chryste, mieli tam regularną imprezkę. Człowiek, który był świadkiem zamachu, nie urządzałby sobie imprez z kumplami. Nie sądzisz?

Stevie niechętnie przyznał mu rację i wsunął do odtwarzacza kasetę Metal iki.

O siódmej rano następnego dnia obudziło go walenie młotem w drzwi przyczepy.

Hałas wyrwał go ze snu o staroświeckich samochodach, które wolno zataczały koła na planie filmowym. W tym śnie ktoś pytał Pel ama, czy nie chce się przejechać; chciał, ale ten, kto go pytał, nigdy nie zatrzymywał się na tyle długo, żeby Pel am mógł wsiąść. W końcu znudziło go czekanie na samochód, który miał go zabrać.

43

Nie był to rewelacyjny sen, ale przynajmniej spał, śniąc go, a kiedy rozległo się walenie młotem, obudził się. Usiadł i spuścił nogi z wąskiego łóżka w głębi przyczepy. Odszukał zegarek. O siódmej rano często bywał na

nogach, ale rzadko *budził się* o tej godzinie.

Między jednym a drugim była ogromna różnica.

Młot nadal walił w jego drzwi.

Wstał i wciągnął dzinsy oraz czarny podkoszulek. Spojrzał w lustro. Przez całą noc spał w jednej pozycji — na brzuchu, jak małe dziecko — i jego czarne włosy sterczały teraz na wszystkie strony. Pełnam przyglądał je i potarł odgniecenia, jakie zmięte prześcieradło pozostawiło na jego policzku. Potem poszedł zobaczyć, kto bawi się młotem o tak wczesnej porze.

—
Cześć, stary — powitał go Stile. Minął go w progu i wszedł do kuchni. — Przysłali mnie po ciebie.

Peł am nastawił czajnik. Stile stanął przy jedynym stoliku w przyczepie, na którym wciąż jeszcze leżały karty do gry wraz z nędzną wygraną Peł ama. Popatrzył na garnek po chili i poskrobał paznokciem przypalone dno.

Następnie zbadał zawartość miniaturowej lodówki. — Nie masz tu nic do jedzenia.

—
Dlaczego przyjechałeś? — wymamrotał

Pel am.

—
Twój telefon. Jest wyłączony. — Stile

znalazł starego bajgla i przełamał go na pół.

Podał połówkę Pel amowi, który przecząco po-

kręcił głową i wsypał dwie łyżeczki kawy

rozpuszczalnej do styropianowego kubka.

—
Kawy? — zaproponował.

—
Nie. Mam już z powrotem swoje cztery

kółka. Możesz zabrać motor. Jest w

bagażniku. Na jednym błotniku ma małe

wgniecenie. Poza tym jest w świetnym stanie.

No, może trochę ubłocony. No i ten bagażnik.

Pel am wlał wodę do kubka i siadł ciężko na

kuchennej ławie. Stile poinformował go, że jest

potargany.

—
Co ty tu robisz? — zapytał znowu Pel am

i przygładził włosy.

—
Tony cię potrzebuje. Zachowuje się,
jakby dostał apopleksji — to chyba właściwe
słowo? — a ty wyłączasz telefon.

—
Chciałem pospać dłużej niż do siódmej.

—
Ja jestem na nogach od godziny. — O
świecie Stile ćwiczył tai chi. Zamyślony chrupał
bajgla. — Wiesz, John, muszę przyznać, że
trochę mnie ciekawi, dlaczego zgodziłeś się
pracować dla Tony'ego...

Pel am pociągnął trzy łyki parzącej kawy. Było

45

coś w tych kawach rozpuszczalnych: miały paskudny smak, ale utrzymywały temperaturę.

W odpowiedzi na pytanie Stile'a potarł

kciukiem o palec wskazujący, co miało

oznaczać pieniądze.

Stile chrząknął, co równało się wzruszeniu

ramionami — jakby przypuszczał, że kryło się

za tym coś więcej. Z drugiej strony sam na-

leżał do związku zawodowego kaskaderów,

był związkowcem o wieloletnim stażu i dobrze

zarabiał, nawet jak na minimum oferowane w

kontraktach Stowarzyszenia Aktorów

Filmowych. Był jednak dublerem jednego z

głównych aktorów i z tego powodu, jak

również ze względu na jego doświadczenie,

agent wynegocjował mu wyższe honorarium.

Dlatego też dobrze rozumiał motywację, jaką

daje projekt

0

dużym budżecie.

—

No cóż, Herr Eisenstein cię wzywa, a ja

cię o tym informuję. — Skończył jeść bajgla.

—

Powiedział ci, o co chodzi?

—

Chce wysadzić w powietrze rafinerię

ropy. W finałowej scenie.

—

Co takiego? — Peł am potarł zaspane

oczy.

—

Przysięgam na Boga. Zamierza

zbudować replikę starego DC-7

46

1

pociągnąć ją za helikopterem, a potem...

— Stile odegrał pantomimę, pokazując, jak samolot uderza w piekarnik. — Wielkie bum...

Pel am pokręcił głową. — On zwyczajnie...

Och, ty sukinsynu! Zjadasz człowiekowi jego ostatniego bajgla, nabijasz się z niego, a dzień jeszcze się nawet na dobre nie zaczął.

Stile roześmiał się. — Cholernie łatwo zrobić cię w balona, Pel am. No, dobra. Pobudka.

Nasz pan naprawdę nas wzywa.

Na kempingu Bel a „Przy drodze" stały dwa namioty, wóz kempingowy zaparkowany w części najbliższej drogi oraz ford taurus, z którego bagażnika sterczał fragment żółtego motocykla.

Przyczepę otaczały puste miejsca parkingowe oznaczone galwanizowanymi stalowymi rurami, ze skrzynkami rozdzielczymi, do których podłączano przyczepy; ciągnęły się

one daleko w stronę rzeki, niczym miejsca w
miniaturowym samochodowym kinie.

Stevie Flom skręcił z River Road i przejechał
pół przecznicy obok jedno- i dwupiętrowych
domów oraz sklepów, których okna i witryny
były pozabijane dyktą. Właśnie miał
zaparkować tyłem w bocznej uliczce pomiędzy
dwoma opuszczonymi sklepami, gdy Ralph
powiedział mu, żeby się nie wygłupiał. Miał

47

normalnie zaparkować przy krawężniku i czytać gazetę albo coś w tym rodzaju — tyle
że z włączonym silnikiem.

Potem Ralph Bales wrócił pieszo na River
Road. Był rano, ale mimo to w przyczepie
zobaczył światło. W środku zauważył
poruszającą się sylwetkę mężczyzny. Bales
wszedł wtedy do pobliskiej budki telefonicznej,
której podłoga pokryta była małymi
niebieskimi odłamkami szkła z czterech
wybitych szyb. Ze sterty szkła wyrastały trzy
wysokie chwasty. Podniósł słuchawkę przez
chusteczkę higieniczną i udawał, że rozmawia,
przyglądając się jednocześnie przyczepie.

Popatrzył dalej, na rzekę. Tego ranka

wyglądała jeszcze inaczej — nie była szarosrebrna ani złota, jak ubiegłej nocy. Tym razem powierzchnia wody połyskiwała rdzawo, odbijając czerwień nieba, która — jak sądził Ralph Bales — brała się z tych wszystkich spalin wypuszczanych w powietrze przez rafinerie w okolicach Wood River, po drugiej stronie Missisipi. Jednostajny powiew wiatru przyginał w dół trawę i chwasty porastające brzeg rzeki, nie robiąc jednak prawie żadnych fal na powierzchni rdzawej wody, majestatycznie płynącej na południe.

Ralph Bales przypomniał sobie piosenkę, o

48

której przez długi czas nie pamiętał, kawałek ze ścieżki dźwiękowej filmu sprzed dwudziestu pięciu lat — finałowy numer zespołu The Byrds z „Easy Ridera”. Wyraźnie słyszał w głowie muzykę, ale nie mógł przypomnieć sobie słów piosenki, jedynie jakieś strzępy tekstu o człowieku, który pragnie wolności, o rzece płynącej skądś daleko, ku morzu...

Drzwi przyczepy otworzyły się.

Tak, to był on. Facet od piwa, świadek. Za nim pojawił się wysoki, tyczkowaty **gość** z

sumiastym wąsem. Mężczyźni podeszli do taurusa i wspólnymi siłami wydobyli z bagażnika motocykl.

Spod poły płaszcza Ralpa Balesa wyłonił się colt. Bales powoli rozejrzył się dokoła. Jakies półtora kilometra od niego ciężarówka z nacząpą zredukowała bieg, wypuszczając przy tym bezgłownie kłab dymu z rury wydechowej. Obok przemknęło stado szarych ptaków. Na środka błotnistej rzeki pokancerowany i połatany holownik zmagal się z nurtem, sunąc w górę Missouri.

Mężczyźni rozmawiali, stojąc nad motocyklem.

Facet z wąsami pokazał temu drugiemu coś, co wygladało jak wgniecenie w błotniku, a następnie szarpnął chromowany bagażnik.

Gość od piwa wzruszył ramionami i

49

wyprowadził motocykl na drogę.

Ralph Bales cze" kai,

aż umpe lamtegD śia iAfe Yw^^^L-dzie.

W końcu jednak zdecydował, że powinien zabić ich obu. Uniósł colta i ustawił go tak, żeby celownik był wymierzony w klatkę

piersiową faceta od piwa. Droga nadszedła
srebrna ciężarówka. Bales opuścił broń.

Ciężarówka przemknęła obok z rykiem silnika,
a dwaj mężczyźni zginęli w tumanie kurzu i
wirujących śmieci.

Ralph Bales ponownie uniósł pistolet. Tym
razem droga była zupełnie pusta. Żadnych
ciężarówek, żadnych samochodów. Nic nie
stało pomiędzy nim a jego dwoma celami,
oddalonymi o dziesięć metrów od budki
telefonicznej z podłogą zasłaną potłuczonym
szkłem.

3

Mężczyzna wsiał na poobijany, ubłocony,
żółty motocykl i odpalił silnik, a następnie kilka
razy go przegazował. Na głowę włożył czarny
kask i gwałtownie zwolnił sprzęgło. Motocykl
stanął dęba i chwiejąc się niebezpiecznie,
przejechał jakieś trzy metry na tylnym kole,

zanim przednie z powrotem opadło na jezdnię.

Wtedy zahamował z piskiem i zawrócił w stronę swojego wąsatego przyjaciela.

Ralph Bales podtrzymał broń lewą dłonią i przyłożył cztery kilogramy nacisku potrzebnego, aby zwolnić spust.

Gość od piwa założył okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach, podciągnął suwak kurtki, po czym przez jedną długą chwilę siedział nieruchomo, całkowicie wyprostowany, z ciałem zwróconym prostopadle do Ralpha Balesa, stanowiąc cel, którego nie można chybić.

W tym samym momencie Ralph Bales opuścił broń.

Mrużąc oczy, przyglądał się, jak mężczyzna nachyliła się nad kierownicą i czubkiem buta wrzucił pierwszy bieg. Motocykl ruszył z piskiem opon i popędził w dół River Road; jego dynamiczny silnik wydawał przy tym ogłuszający warkot piły łańcuchowej. Kumpel mężczyzny zawołał coś za nim i pogroził mu pięścią, po czym wskoczył do taurusa.

Zostawiając za sobą chmurę spalin i strzelając spod kół żwirem, pokonał z rykiem krawężnik i pognał River Road w ślad za motorem, zostawiając na asfalcie ciemne ślady spalonej gumy.

51

Ralph Bales zwolnił kurek i opuścił go na pustą komorę, a następnie schował broń do kieszeni. Rozejrzał się po opustoszałej drodze, po czym zawrócił, ruszył biegiem w stronę mrocznych uliczek nabrzeża i zanurzył się w ich cieniu. Podszedł do zaparkowanego tam cadillaca i zastukał w szybę po stronie kierowcy.

— Jezu, nic nie słyszałem! — wrzasnął Stevie, odrzucając gazetę na tylne siedzenie; jej strony rozsypały się po całym samochodzie.

Błyskawicznie wrzucił bieg. — Człowieku, w ogóle nie słyszałem wystrzału! — Obejrzał się do tyłu. — Kompletnie nic!

Ralph Bales spokojnie strzelił mu palcami przed nosem.

—

No wiem, jedziemy! — zawołał tamten.

— O co ci chodzi? Co jest?

—
Przesiądź się — powiedział bezgłośnie

Ralph Bales.

—
Co?! — krzyknął Stevie.

—
Ja poprowadzę.

Stevie ponownie się obejrzał, jak gdyby ścigał

go tuzin wozów patrolowych drogówki z

Missouri.

—
Wrzuć na luz — polecił mu Ralph Bales.

—
Co?!

—
Wrzuć na luz i przesiądź się — powtórzył

52

zirytowany. — Ja poprowadzę. — Wsiadł do samochodu, włączył kierunkowskaz i bardzo

wolno zawrócił.

—
Co się stało?

—
Trzeba poczekać.

—

Nie zrobiłeś tego?

—

Słucham? — spytał Ralph Bales, udając

zaskoczenie. — Sam przed chwilą

powiedziałeś, że nie słyszałeś żadnych

wystrzałów.

—

Człowieku! Ale mnie przestraszyłeś! To

pukanie w szybę — stuk, stuk, stuk. Myślałem,

że to gliny. Co się u diabła wydarzyło?

Ralph Bales milczał przez chwilę. — W okolicy

kręcili się jacyś ludzie.

—

Tak? — Właśnie mijali opustoszały

kemping. Stevie obruszył się: — Nikogo nie

widziałem.

—

Miałem to zrobić przy świadkach?

Stevie odwrócił się do niego. — Mijał was

autobus czy coś takiego?

—

Tak. Coś takiego.

Samuel Clemens gościł kiedyś w Maddox w

stanie Missouri i podobno napisał tutaj część

„Przygód Tomka Sawyera”. Członkowie miejscowego Towarzystwa Historycznego twierdzą nawet, że jaskinie za miastem były pierwowzorem groty Indianina Joe, wbrew

53

zapewnieniom znacznie bardziej wiarygodnego biura turystyki (w Hannibal w stanie Missouri). Innych powodów do historycznej dumy nie ma wiele. W 1908 roku Wil iam Jennings Bryan wygłosił tu przemówienie (stojąc na autentycznej skrzynce po mydle), o miasteczku wspomniął także w wieczornym programie radiowym sam Franklin D. Roosevelt, wymieniając regiony zdziesiątkowane przez Wielki Kryzys. Zaś jedna z nieczynnych obecnie wytwórni części metalowych miała zaszczyt wyprodukować fragmenty korpusu trzeciej bomby atomowej zrzuconej przez Amerykanów w czasie drugiej wojny światowej.

Pomijając jednak owe pretensje do chwały, Maddox nie jest niczym więcej jak niedorozwiniętym Detroit.

W przeciwieństwie do stołecznego Jefferson

City, elegancko i majestatycznie ulokowanego na poszarpanym, skalistym urwisku nad Missouri, Maddox przysiadło na jej błotnistym brzegu kawałek na północ od miejsca, w którym szeroka na tym odcinku rzeka wpada do jeszcze szerszej Missisipi. Nie ma tam żadnych centrów handlowych, żadnej kliniki odwykowej w centrum miasta, żadnych podmiejskich osiedli gustownie wtopionych w

54

krajobraz.

W chwili obecnej Maddox jest miastem liczącym około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Jego centrum stanowi ponurą zbieraninę sklepów pamiętających czasy powojenne oraz dwupiętrowych budynków biurowych, z których większość świeci pustkami. Wokół posępnego śródmieścia ulokowało się kilkadziesiąt fabryk, z których połowa nadal funkcjonuje ze zmienną wydajnością. Bezrobocie sięga dwudziestu ośmiu procent, dochód na jednego mieszkańca należy do najniższych w całym stanie, a alkoholizm i przestępczość biją

wszelkie rekordy. Miasto nieustannie chwieje się na krawędzi niewypłacalności, a jedyny oddział straży pożarnej musi czasami podejmować dramatyczne decyzje dotyczące tego, który z dwóch lub trzech jednoczesnych pożarów należy najpierw gasić.

Mieszkańcy gnieźdzą się w zrujnowanych blokach lub maleńkich dziewiętnastowiecznych parterowych domach, otoczonych przez inne budynki, nieskoszoną trawę oraz zarośla ołownika łatkowatego. Na podwórkach walają się pozbawione drzwi lodówki, zardzewiałe trzykołowe rowerki i tekturowe pudła. Na każdej posesji widnieją

55

wypalone w trawie kręgi, niczym prymitywne ołtarze ofiarne, na których nielegalnie pali się śmiecie, których zbiorce miasto często nie jest w stanie podołać.

Maddox w stanie Missouri to ciemna rzeka obmywająca jeszcze ciemniejszą rdzę nadbrzeżnych zbiorników. Maddox to szczury śmiało pałętające się po zatłuszczonym, niezniszczalnym amerykańskim stuletnim bruku; Maddox to szorstka trawa wyrastająca

spomiędzy gnijących desek drewnianych ramp
załadunkowych, z zagłębień pełnych rozbitego
szkła i dziur w wałących się silosach. Maddox
to — ni mniej, ni więcej — dokładnie to, co
widzi się zaraz po przekroczeniu granicy
miasta, tuż za tablicą z napisem „Witamy w...”
przy River Road: ważący przeszło tonę,
przerdzewiały szkielet chevroleta pickupa, nie
przedstawiający sobą żadnej wartości, nawet
jako złom.

Jednak dla Johna Pel ama Maddox było rajem.
Miesiąc wcześniej skończył dokumentację do
filmu kręconego w Montanie. Siedział wtedy
przed swoją przyczepą, z wyciągniętymi
nogami i czubkami brązowych kowbojek
wycelowanymi mniej więcej w to miejsce,
gdzie rozbuchane ego George'a Armstronga
Custera zgotowało mu ostateczny koniec. Pił

56

akurat piwo, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.
Ledwo zdążył otworzyć usta, gdy jego
rozmówca zasypał go gradem informacji;
Pel am zdołał wyłowić coś o parze młodych
kochanków, którzy napadają na bank.

Nieznajomy mężczyzna nadawał jak karabin maszynowy — zupełnie jakby podjął rozmowę dopiero co przerwana przez namolnego petenta. Pel am miał wrażenie, że nazwisko dzwoniącego padło gdzieś na początku, ale nie zwrócił na nie uwagi, przytłoczony lawiną słów i faktów.

—

Hm, a kto mówi? Bo chyba nie dosłyszałem.

—

Tony Sloan — odparł z zaskoczeniem dobitny głos po drugiej stronie słuchawki.

—

Okej. — Nie znali się, ale Pel am oczywiście słyszał o Sloanie. Jak zresztą każdy, kto czytał takie pisma, jak „Premierę”, „People” czy „Newsweek”. W przeszłości reżyser reklam telewizyjnych, twórca ubiegłorocznego przeboju kinowego „Człowiek robot” — thrillera science fiction rozgrywającego się w świecie polityki i komputerów — który zdobył Oscary za najlepsze efekty specjalne i najlepszy dźwięk.

Jego realizacja kosztowała siedemdziesiąt

57

osiem milionów dolarów, a już w pierwszy weekend wyświetlania zarobił trzydzieści sześć milionów.

Pel am widział dwa pierwsze filmy Tony'ego

Sloana i żadnego więcej. Wolał nie pracować

z reżyserami jego pokroju — jego zdaniem

większą wagę przykładali do efektów

specjalnych niż do gry aktorów — lecz

tamtego dnia w Montanie słuchał go z pewnym

zainteresowaniem z dwóch powodów. Po

pierwsze, po ostatnim sukcesie Sloan mógł

wypisywać hojne czeki swoim

współpracownikom i żadna wytwórnia nie

ośmieliłaby się tego zakwestionować. Po

drugie, z powagą całkiem nietypową dla

dziecka telewizji, którym przecież był, Sloan

wyjaśnił mu, że chciałby nakręcić mocny film.

— Chcę to rozwinąć artystycznie. Coś w

klimacie „Badlands”, wiesz, co mam na myśli?

Minimalizm. Tylko to, co niezbędne.

Pel amowi podobał się „Badlands”, a

wszystkie jego ulubione filmy były

minimalistyczne w formie i treści. Poczuł, że

powinien jednak wysłuchać Sloana.

—

Zrobiłem rozpoznanie, John. Ludzie mówią, że zjeździłeś kraj wzdłuż i wszerz. Podobno jesteś chodzącym katalogiem gotowych plenerów.

58

Bez przesady. Peł am miał jednak całe mnóstwo notesów wypełnionych polaroidami przedstawiającymi dziwne, malownicze miejsca w sam raz do filmu, jaki opisał mu Sloan. Co więcej, Sloan miał mniej doświadczenia z plenerami niż większość reżyserów, jako że jego produkcje stanowiły z reguły połączenie zdjęć kręconych w hali z wymyślną grafiką komputerową. Potrzebował porządnego dokumentalisty, żeby zrealizować to, co sobie zamierzył.

—

Mów dalej — zachęcił go.

—

Dwoje głównych bohaterów napada na banki — podjął zatem Sloan. — Mają być młodzi, nieopatrzeni — coś jak Aidan Quinn i Julia Roberts, zanim stała się *ta* Julią Roberts.

Nie chcę nikogo, kto chociaż raz był na okładce „People”. Żadnych kasowych nazwisk. Muszę coś zmienić, chociaż boję się jak diabli. Tak między nami, to czuję, że ten system mnie dusi. Wiesz, o czym mówię?

Pel am wiedział i poinformował o tym Sloana.

—
Nikt ich nie rozumie. Są wściekli, zniechęceni...

Słuchając wówczas Sloana, Pel am spoglądał na wzgórza, które — jak sądził — nosiły nazwę Czarnych. Tak naprawdę wcale nie były czarne, ale ciemnoniebieskie. Majaczyły

59

daleko przed nim, a na tle górującego nad nimi, niesamowicie czystego nieba, robiły jednocześnie majestatyczne i niepokojące wrażenie.

—
Coś mi to przypomina, Tony.

—
Wiem, o czym myślisz. „Bonnie i Clyde”

— odparł Sloan. *No tak*. Pel am właśnie o tym filmie myślał.

—
To będzie coś zupełnie innego — uciął

reżyser. — Scenariusz zatytułowany jest

„Missouri River Blues”. Mówi ci to coś? Kilka

lat temu przymierzał się do niego Orion, zanim

zbankrutował. Tyle że moi bohaterowie będą

prawdziwi. To postacie z krwi i kości. Dunaway i Be-atty byli... po prostu sobą. Co jeszcze

mogę powiedzieć? To był dobry film, jeden z

tych, które mnie ukształtowały. Ale ja chcę

pójść *dalej*. Bo wiesz, historia wygląda tak: Ross, czyli ten chłopak, siedzi w więzieniu i

zaczyna świrować. Chce się zabić. Jest

pewien, że nie wytrzyma w zamknięciu ani

chwili dłużej. Na początek mamy fantastyczne

zdjęcia systemu więziennych zabezpieczeń. A

zaraz potem... Bo rozumiesz, w tym

więzieniu...

—

Wiem, zamykają na noc cały blok o

zaostrzonym rygorze.

—

Właśnie. Skąd wiesz?

60

—

Mów lepiej dalej, Tony.

—

Mój operator pracuje na specjalnym

obiektywie do zdjęć mikro. Ujęcia wewnątrz
zamków, zatraskujące się zasuwę. Piękna
sprawa. Tak stworzymy wrażenie
klaustrofobicznego zamknięcia. Nasz bohater
jest osaczony. W końcu jednak Ross ucieka.

On i Dehlia...

—
Dehlia?

—
No tak, on i Dehlia rozbijają się po kraju i
napadają głównie na opancerzone
półciężarówki. Jakby współcześni rozbójnicy.
Rossem powoduje strach przed więzieniem,
Dehlią — strach przed konwencją, która
zamyka kobiety w domach. Oboje cierpią więc
na pewien rodzaj klaustrofobii. Taki kontrast
niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą
wolność, z lękiem przed uwięzieniem. Co jest
gorsze? Więzienie, z całym systemem
zabezpieczeń, czy wolność pełna różnych
zagrożeń?

—
Bardzo mi to przypomina historię Bonnie
i Clyde'a.

—
Nie, nie, bohaterowie są całkiem inni. Do
tego wolność w miłości kontra ograniczenia,
jakie ona ze sobą niesie. Aha, a jeszcze tym
dzieciakom zależy na środowisku naturalnym.

— Sloan dodał z naciskiem: — Mamy

61

początek lat pięćdziesiątych. Bohaterowie są zaniepokojeni testowaniem broni jądrowej.

—
Broni jądrowej — powtórzył Pel am. —

Faktycznie, obywatelska postawa. — Sloan

zupełnie nie wyczuł ironii, więc Pel am zapytał:

— Domyślam się, że akcja toczy się gdzieś w

Missouri?

—
W średniej wielkości miasteczku —

przypadł Sloan. — Takim, które ominął

powojenny boom.

—
Akcja filmu „Bonnie i Clyde” też rozgrywa

się w Missouri — zauważył Pel am. — A

przynajmniej pewna jej część...

—
Ta historia nie ma nic wspólnego z

Bonnie i Clydem — odparł Sloan lodowatym tonem.

Pel am przejrzał szybko w pamięci swój katalog plenerów na Środkowym Zachodzie.

— Kilka lat temu robiłem dokumentację w Kansas. W takim niedużym nadrzecznym miasteczku. Kansas może być?

—
Chcę Missouri. Nie zapominaj o tytule.

—
Odróżniłbyś Kansas od Missouri? —
spytał Pel am.

—
Wychowałem się w Van Nuys. Nie odróżniłbym Ohio od Kolorado. Ale nie o to chodzi. Chcę mieć Missouri i już.

—
Rozumiem.

62

Sloan zamilkł na moment. — John, problem w tym, że gonią mnie terminy.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu.

—
Terminy...

Wiesz, od początku mam z tym projektem same kłopoty. Pamiętasz, co napisał o mnie „Time”? W ubiegłym roku?

—
Chyba mi to umknęło — przyznał się

Pel am.

—
Nazwali mnie wtedy wizjonerem nowoczesnej techniki. Pel am odparł, że tak czy owak artykuł umknął jego uwadze.

—
Wytwórnice Sony i Disney były gotowe wystawić czek na sumę równą dochodowi narodowemu Francji, gdybym tylko zgodził się nakręcić drugą część.

Zatytułowaną „Syn człowieka robota”, pomyślał Pel am i zaraz zmienił zdanie. — „Reaktywacja człowieka robota” — podsunął.

—
Cha, cha, John. Niezłe. Bardzo śmieszne. Ale „Missouri River”? Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką walkę stoczyłem, żeby dostać zielone światło. To kino akcji, ale kino akcji osadzone w latach pięćdziesiątych, i to

na dodatek inteligentne. Ludzie boją się takich rzeczy.

Albo też boją się konkurować z Kurosawa, Altmanem, Johnem Fordem — i Arthurem

63

Pennem, reżyserem klasyka „Bonnie i Clyde”.

—

Co chcesz przez to powiedzieć, Tony?

—

Chcę powiedzieć, że mam poważny problem. Wczoraj dostałem zgodę i najpóźniej za dwa tygodnie muszę mieć plener.

Najpóźniej.

Peł am roześmiał się śmiechem, który przyprawia producentów i reżyserów o ciarki na plecach. Taki śmiech oznacza: nie tylko prosisz mnie o coś niemożliwego, ale przede wszystkim nie zależy mi na tej robocie aż tak bardzo, żeby znieść to całe gówno. A wiem, że będę musiał je znieść, żeby dać ci to, co chcesz.

—

Za sześć tygodni chyba — powiedział. W rzeczywistości był gotów wyruszyć w drogę

jeszcze tej samej nocy — jak tylko Czarne Wzgórze zrobią się naprawdę czarne, a jemu skończy się piwo. Ale niemożliwością było znalezienie w dwa tygodnie plenerów dla setek ujęć do pełnometrażowego filmu.

Była to chwila, w której jeden z nich powinien był powiedzieć: „Cztery tygodnie”, po czym uścisnęliby sobie dłonie — co prawda wirtualnie — na znak kompromisu.

Tony Sloan odrzekł jednak: — Znajdź mi plenery w dwa tygodnie, a zapłacę ci dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

64

Pel am poczuł gorąco spływające mu z czubka głowy aż do gardła. Był pewien, że zrobił się czerwony na twarzy. — No cóż...

—

Trzydzieści pięć. *Trzydzieści pięć tysięcy?*

—

Jestem zdesperowany, Pel am. Nie będę ci wciskał kitu.

Po chwili milczenia Pel am zapytał: — Tony, hm, powiedz mi jedną rzecz — czy pod koniec filmu teksański strażnik wpada na ich trop i

wykańcza serią z karabinu maszynowego?

—

Pel am, to zupełnie inny film, do cholery.

—

W porządku, umowa stoi. Prześlij mi scenariusz kurierem na adres poczty w Kansas City.

Cztery dni później Pel am minął granicę miasta Maddox w stanie Missouri, zahamował i zatrzymał swój wóz kempingowy, czując, że właśnie zarobił naprawdę niezłą kasę.

MISSOURI RIVER BLUES

SCENA 34 — PLENER, WIECZÓR, ULICA

PRZED BANKIEM PÓŁZBLIŻENIE Rossa i

Dehli , ubranych, jakby wybierali się „na

niewinną przechadzkę". Mają za zadanie

przeprowadzić rekonesans

przed skokiem, ale Ross jest zamyślony.

Przystaje.

ZBLIŻENIE AGENCJI NIERUCHOMOŚCI I

65

SAMOCHODU

ROSSA

ZBLIŻENIE OFERT DOMKÓW

JEDNORODZINNYCH UJĘCIE twarzy Rossa.

UJĘCIE twarzy Dehli patrzącej na niego.

PODWÓJNE UJĘCIE ich obojga.

ROSS

Dawno temu chciałem żyć jak wyjęty spod prawa. Ale teraz jest inaczej. (ZBLIŻENIE jego

twarzy). Od kiedy wyruszyliśmy razem w drogę, skarbie, wszystko się zmieniło. Teraz mam ciebie i chcę być częścią tego świata, który dotąd był dla nas niedostępny.

Przyglądaliśmy mu się tylko z zewnątrz przez długi, bardzo długi czas...

Filmowa para kochanków napadających na banki trafia do nadrzecznego miasteczka na Środkowym Zachodzie, pełnego nieczynnych fabryk i ludzi, których życie zrujnował bezlitosny kapitalizm. Decydują się na jeszcze jeden, ostatni skok, po którym zamierzają pójść w ślady wszystkich weteranów drugiej wojny światowej — kupić domek na przedmieściach i płodzić dzieci.

Bardziej niż filmy minimalistyczne i oszczędne w środkach Pel am cenił sobie filmy dobre; jednak w tym wypadku wcale nie był przeko-

nany, że „Missouri River Blues” jest takim

66

filmem. W scenariuszu kryło się za dużo bomb z opóźnionym zapłonem — przydługie monologi, strzelaniny, pościgi samochodowe i stylowe ujęcia. Z drugiej strony, scenariusz stanowił jedynie zapowiedź tego, co mogło na jego podstawie powstać. Co Sloan z nim zrobi, tego w tym momencie nie wiedział nikt, prawdopodobnie nawet sam Sloan.

Tak czy owak, nie do Pel ama należało doradzanie wizjonerom w kwestiach dotyczących ich kariery. Zrobił po prostu to, za co mu zapłacono. Dziesięć razy przeczytał scenariusz, wczuł się w atmosferę, rozpisał kolejne sceny i pogrupował je według ich podobieństwa, żeby ograniczyć konieczność podróżowania między plenerami. Następnie przejechał swoim wozem kempingowym ponad tysiąc kilometrów, zwiedzając Maddox i okolice, wypstrykał sześć paczek polaroidów, spotkał się z burmistrzem oraz przedstawicielami miejscowego ubezpieczyciela, a na koniec spisał sprawozdanie i wysłał je do wytwórni.

Następnego dnia Sloan i operator filmowy przylecieli do St. Louis i przejechali samochodem na północ, gdzie Sloan zaaprobował większość lokalizacji, po czym jeszcze tej samej nocy obaj wrócili do Kalifor-

67

ni , żeby dokończyć casting.

Przez kolejny tydzień Pel am pomagał szefowi obsługi technicznej w przygotowywaniu planu zdjęciowego; wspólnie też decydowali, jaki sprzęt będzie potrzebny do realizacji filmu.

Sloan, aktorzy oraz ekipa filmowa swoim pojawieniem się w mieście wywołali istne szaleństwo. Wozy techniczne, dźwigi, przyczepy kempingowe, furgonetki ze sprzętem. Jeśli chodzi o mieszkańców Maddox, zdjęcia do filmu okazały się ważniejsze niż Franklin D. Roosevelt i William Jennings Bryan razem wzięci.

Jak to się dzieje na większości planów zdjęciowych, przez pierwszych kilka dni atmosfera była niezwykle ożywiona. Pel am dobrze się bawił. Ponieważ dokumentaliści są zwykle pierwsi na miejscu, nowoprzybyli

członkowie ekipy proszą ich często o rady —
gdzie warto zjeść, co warto zobaczyć. Młody,
bufonowaty aktor, grający jednego z gang-
sterów Rossa, zapytał Pel ama bez ogródek,
gdzie tu można coś zaliczyć i ile to kosztuje.

Po chwili zastanowienia Pel am przypomniał
sobie ogłoszenie, które widział wkrótce po
przyjeździe do Maddox. — Będzie tanio, ale
musisz przejechać spory kawałek — odparł i
podał aktorowi skomplikowane wskazówki,

68

dzięki którym tamten po przejechaniu
szesnastu kilometrów znalazł się na totalnym
zadupiu. Kiedy po godzinie wrócił i wpadł na
plan, gotując się ze złości, Pel am i reszta
ekipy powitali go głośnym chrząkaniem i
pokwikiwaniem.

Pel am wysłał go bowiem do Muzeum
Tuczników i Szynki w St. Charles County.

Ale od tamtej chwili minął już miesiąc i żarty
się skończyły. Realizacja „Missouri River
Blues" mocno się opóźniała, budżet został
znacznie przekroczony. Producent z wytwórni
finansującej film przysłał nawet na plan

swojego przedstawiciela — Sloan nazywał go „kapusiem” — żeby pchnął produkcję do przodu. Zdaniem Pel ama problem polegał na tym, że choć Sloan potrafił wydobyć to, co najlepsze z postaci walczących na śmierć i życie przy użyciu broni laserowej oraz aktorów zmieniających się w wyładowania elektryczne, niezbyt dobrze radził sobie w mniej apokaliptycznych scenach, zwłaszcza tych, w których pojawiały się takie tematy jak miłość, zdrada, przyjaźń, tęsknota... W związku z tym introspekcja była stopniowo wypierana przez strzelaniny, pościgi samochodowe, jak również maksymalne zbliżenia ładowanej broni, konstruowanych bomb oraz rozbijanych lub

69

wysadzanych w powietrze zamków opancerzonych półciężarówek.

A przez cały ten czas Sloan zużywał kolejne rolki taśmy. W końcu osiągnął średnią ponad trzech tysięcy metrów dziennie — równowartość niemal dwóch godzin filmu, z których do montażu nadawały się może dwie minuty.

— To robota głupiego — skarżył się Pel amowi

szczupły, łysiejący szef obsługi technicznej.

Miał na myśli to, że film nie powstanie w miarę kręcenia zdjęć, na planie filmowym, lecz po zakończeniu pracy zostanie pocięty i skleiony na stole montażowym. Zdesperowany Tony chciał nakręcić tyle materiału, ile wlezie, z czego później zamierzał sklecić swój film.

(Hitchcock nigdy nie pracował w ten sposób, szepnął Pel amowi na ucho szef obsługi technicznej).

Po tym, jak rozpoczęły się właściwe zdjęcia, Pel am sądził, że będzie miał mnóstwo czasu dla siebie. Na tym etapie większość prac organizatora produkcji w plenerze była zwykle zakończona. Musiał jedynie nadzorować terminowe regulowanie płatności za wynajem lokali oraz pilnować różnego rodzaju zezwoleń i tymczasowych dokumentów ubezpieczeniowych. W istocie jednak coraz częściej łapał się na tym, że wyczekuje

70

telefonów od coraz bardziej zdenerwowanego Sloa-na — takich, jak ten dzisiejszego ranka, wzywający go natychmiast na plan, po którym pędził stową na godzinę przez opustoszałe

ulice Mad-dox. Takie telefony mogły być
zmorą biznesmenów, ale przynajmniej
pozwalają spełnić marzenia każdego
motocyklisty

4

Pel am zostawił za sobą ponadtrzyipółmetrowy
śląd hamowania na asfalcie, biegnący od
krawężnika aż do wózka cateringowego na
planie „Missouri River Blues”, po czym
zeskoczył ze swojej yamaha dokładnie w tym
samym momencie, w którym zakurzony ford
taurus zatrzymał się z piskiem opon jakieś
piętnaście centymetrów od jego uda.

Pel am wzruszył ramionami, widząc, że Stile
wygrzebuje się z forda całkiem nie w sosie.

Przegrał wyścig, bo przystanął na czerwonym
świecie, które Pel am zupełnie zignorował.

—
Nie wiedziałem, że wolno było łamać

przepisy — burknął Stile, mijając go i idąc do garderoby. — Dorwę cię następnym razem.

Pel am podszedł do rusztowania wznoszącego

71

się nad przygotowanym na ten dzień ujęciem.

Tony Sloan był muskularnym mężczyzną o

agresywnym wyglądzie i bardzo wąskiej

twarzy okolonej ciemną brodą. Miał na sobie

niebieskie dzinsy i spłowiały zielony

podkoszulek. Przyprószone siwizną czarne

włosy zaczesywał do tyłu i wiązał w kucyk.

Czasami wyrzucał z siebie słowa z szybkością

karabinu maszynowego, a czasami milczał jak

głaz. Spojrzenie reżysera, być może

odzwierciedlające jego myśli, często bywało

rozbiegane; równie często jednak ospały

wzrok Sloana zawisał gdzieś w próżni, by na

chwilę tylko zagościć na twarzy rozmówcy.

Teraz wbił się ze złością w Pel ama.

—

John, musisz coś zrobić z tym swoim

telefonem... Słuchaj, wymyśliłem, jak ma

wyglądać zakończenie filmu. Chcę, żeby

ostatecznie kupili ten domek, rozumiesz? —

Sloan bawił się swoim pagerem.

—

Mówisz o Rossie i Dehli ?

—

Wiem dokładnie, jak on powinien

wyglądać. Mam to w głowie. Znajdziesz mi taki

dom? Coś z lat pięćdziesiątych. Może być

parterowy. — Wzrok Sloana odpłynął w górę,

zatoczył kilka kółek, po czym ponownie

spoczął na twarzy Pel ama, który tymczasem

usiłował przypomnieć sobie ostatnią oficjalną

72

wersję zakończenia.

—

I co ten dom miałby w finale zastąpić?

—

Dworzec autobusowy — odparł Sloan. —

Nie potrzebujemy już dworca autobusowego.

—

W porządku. Łatwizna. Chcesz mieć

dom. Będziesz tam chciał też urządzić jakieś

wnętrze?

—

Nie, nie będę *chciał*. — W głosie Sloana

pojawiło się rozdrażnienie. — Dlaczego

miałbym *chcieć*?

—

Źle się wyraziłem, Tony. Chodziło mi o

to, czy robimy tam jakieś wnętrza?

Sloan wzniosł oczy ku niebu. — *Chciałbym*

zbudować przyzwoity plan, w hali zdjęciowej.

Me *chcę* upychać tego całego cholernego

sprzętu w saloniku trzy na cztery metry. Ale

chyba nie mam wyboru.

—

Chcesz więc parterowy dom z salonem

trzy na cztery.

—

Hm, *zależałoby mi* na czymś większym.

Jeżeli oczywiście uda ci się coś takiego

znaleźć.

—

Załatwię...

Tuż przy uchu Pel ama rozległ się nagle obcy

głos: — Przepraszam. — Pel am drgnął

zaskoczony. On i Sloan odwrócili się.

—

Czy jeden z panów nazywa się John

Pel am? Pel am uśmiechnął się na powitanie.

73

—
Jestem detektyw Gianni, a to jest
detektyw Hagedorn. Z posterunku policji w
Maddox.

Pel am zerknął na dwa identyfikatory i dwie
złote odznaki, po czym natychmiast zapomniał
oba nazwiska. Włoski policjant miał ciemną
cerę i był niski. Drugi najwyraźniej pochodził z
linii białych anglosaskich protestantów, miał
jasne włosy, był wysoki i muskularny. Miał też
wybitnie kwadratową szczękę. Pel am wyczuł
woń wody po goleniu. Jakiś ostry zapach. W
swoim życiu wielokrotnie miał do czynienia z
glinami i nie pamiętał, aby od któregokolwiek
stróża prawa nie wyczuł zapachu wody po
goleniu.

—
O co chodzi? — spytał ich Sloan i utkwiał
nieruchome tym razem spojrzenie w twarzy
włoskiego detektywa.

Policjant odpowiedział pytaniem: — A pan kim
jest?

Tony Sloan. — Nie widząc z ich strony

żadnej reakcji, dodał: — Jestem reżyserem.

Detektyw o jaśniejszej cerze odwrócił się do

niego plecami. — Jeśli można, chcielibyśmy

porozmawiać z panem Pel amem.

Jeśli jest jakiś problem, ja jestem

odpowiedzialny za...

—

Nie będzie żadnego problemu, proszę

74

pana — policjant spojrział na Sloana tak, jakby ten był natrętnym żebrakiem — jeżeli tylko pozwoli nam pan porozmawiać przez kilka minut

z panem Pel amem sam na sam.

Sloan popatrzył na niego ze zdumieniem, po

czym zwrócił się do Pel ama, który wzruszył

ramionami.

—

Załatwię ci ten dom, Tony.

Reżyser oddalił się w stronę dźwigu Chapman

Apol o, z potężnym wysięgnikiem i platformą

operatora kamery uniesioną na wysokość

prawie trzech metrów. Przystanął w jej cieniu i

stamtąd popatrywał na policjantów stojących

teraz po obu bokach Pel ama. Kilku członków

ekipy obsługującej sprzęt i oświetleniowców

zauważyło marsową minę reżysera i przerwało

swoje zajęcia, żeby obserwować

rozmawiających mężczyzn.

Biały policjant przysunął się do Pel ama.

Zapach limonki stał się bardzo wyraźny. —

„Post-Dispatch” dał artykuł o waszym filmie —

odezwał się tym samym pełnym wyższości,

oficjalnym tonem, który na całym świecie

charakteryzuje wymiany zdań pomiędzy

cywilami a stróżami prawa.

—

To będzie kryminał? O szajce

napadającej na banki? — Włoski gliniarz

powiedział to takim tonem, jakby ludzie tylko

75

dlatego łamali prawo, bo naoglądali się niewłaściwych filmów.

—

Na opancerzone furgonetki bankowe —

poprawił go Pel am.

—

Jeszcze nigdy nie mieliśmy ekipy

filmowej w Maddox — dodał tamten

uroczyście. — Mam nadzieję, że pokażecie

nasze miasto od jak najlepszej strony.

Przechodzimy teraz trudny okres, ale to raczej

nie nasza wina...

—

Na pewno nie — dorzucił blondyn.

—
Czego właściwie panowie sobie życzą?

— zapytał Pel am.

—
Wczoraj wieczorem była tutaj strzelanina.

Mieliśmy nadzieję, że będzie nam pan mógł
coś na ten temat powiedzieć.

—
Tutaj?

—
Na rogu Trzeciej, w pobliżu rzeki.

Pel am zastanowił się, czy cokolwiek słyszał.

Nic sobie nie przypominał, ale z drugiej strony
przy włączonym magnetofonie, telewizyjnej
transmisji z meczu Cardinalsów i hałasie, jaki
robi pięciu facetów grających w pokera, trudno
byłoby usłyszeć jakikolwiek dźwięk dobiegają-
cy spoza przyczepy. Pokręcił głową. —

Przykro mi. Chyba nie mogę panom pomóc. —

I już chciał odejść.

Biały Anglosas chwycił go mocno za ramię i

76

roześmiał się z zaskoczeniem, niczym

obrażony przez ucznia nauczyciel. — Hola,

hola, niech pan chwilę zaczeka. Jeszcze nie skończyliśmy.

Peł am strącił jego dłoń i odwrócił się. — Nie mogę panom pomóc.

—
A nam się wydaje, że jednak pan może.

Postrzelono policjanta, który jest teraz w ciężkim stanie, a dwie osoby zginęły na miejscu. Vin-cent Gaudia i panna Sal y Ann Moore.

—
Bardzo mi przykro. Te nazwiska nic dla mnie nie znaczą.

—
Ludzie giną, a pana to nic nie obchodzi?

— spytał blondyn, unosząc w górę otwarte dłonie.

—
Nie o to mi chodziło. Po prostu te nazwiska nic mi nie mówią. Teraz odezwał się

Włoch: — A samochód? Lincoln? To panu coś mówi?

—
Nie. Ja... Chociaż... Chwileczkę. Jakiś

facet *faktycznie* wysiadł z dużego samochodu, to mógł być lincoln. Nie zwróciłem uwagi na markę. Chwilę wcześniej kupiłem piwo. Ten gość wpadł na mnie.

—

Mógłby go pan opisać?

—

Czy to właśnie on zginął?

—

Jak wyglądał?

77

—

Niezbyt wysoki, krępy, łysiejący, wydaje mi się, że miał brodę albo wąsy. Pod czterdziestkę.

—

Rasa?

—

Biały.

—

Jakieś blizny, znaki szczególne?

—

Nie przypominam sobie.

—

W co był ubrany?

—
Chyba w kurtkę. I dzinsy. Raczej na
ciemno.

—
W lincolnie był sam?

—
Nie. Był tam ktoś jeszcze. Po chwili
odjechał.

—
Mężczyzna?

—
Tak, mężczyzna.

—
Potrafi go pan opisać?

—
W ogóle go nie widziałem.

Detektywi nie tyle wymienili spojrzenia, co
popatrzyli na siebie znacząco.

Sloan zawołał: — Pel am, znajdziesz mi ten
dom czy nie? Włoski policjant odkrzyknął: —

To oficjalna sprawa, proszę pana. *A niech to.*

Pel am bezradnie przechylił głowę i zawołał do

Sloana: — Panowie chcą mi tylko zadać parę
pytań.

Sloan przyglądał im się jeszcze przez chwilę;

tym razem jego spojrzenie nie błądziło z

artystycznym roztargnieniem, lecz wściekle

78

świdrowało twarze trzech mężczyzn stojących w cieniu dźwigu.

—

Panie Pel am, chodzi o to... — ciągnął

włoski policjant — że postrzelony

funkcjonariusz...

—

Dostał kilka razy w plecy — wtrącił jego

partner.

—

Boże, to okropne.

—

...zeznał, że widział, jak rozmawiał pan z

kierowcą samochodu. On...

—

To *on* oberwał? Tamten policjant?

Danny? Jak on się nazywał?

—

Donnie Buffett.

—

To straszne. My zamieniliśmy parę słów.

Wylizę się z tego?

—

Nie wiadomo — odparł włoski gliniarz.

W ciężkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, policjanci przyglądali mu się z powagą. Pod ich pełnym potępienia wzrokiem Peł am poczuł się winny. — Nie widziałem go. Mam na myśli kierowcę. Zajrzałem do środka. Zajrzałem do samochodu, ale tak naprawdę mówiłem w powietrze. Nie zwracałem się do nikogo konkretnie. Trudno to nazwać rozmową.

—

To skąd pan wie, że to był mężczyzna?

Peł am zastanawiał się przez chwilę. — Dobre pytanie. Nie wiem. Po prostu tak założyłem.

79

—

Sprawiał pan wrażenie przekonanego, że to był mężczyzna — zauważył policjant o jasnej karnacji. — Mówił pan tak pewnie.

—

Założyłem, że kierowcą był mężczyzna.

Włoski policjant odezwał się: — To trochę też

dziwne, nie sądzi pan? Stać tak blisko
człowieka i nie zauważyć, w co jest ubrany?
Jakiej jest płci? Nie wiedzieć, czy był biały, czy
czarny?

—
Nie wiem, czy to jest dziwne, czy nie, ale
tak właśnie było. Był już wieczór...

—
Adams Street jest oświetlona jak
Gateway Park — zauważył Włoch.
Anglosaski gliniarz zerknął na swojego
partnera. — To przez te wszystkie wypadki.
Dlatego zainstalowali tam lampy sodowe.

—
To światło mnie oślepiało — wyjaśnił
Pel am. — Na tym polegał kłopot. Odbijało się
od szyb samochodu. Nic nie widziałem.

—
A więc fakt, że był już *wieczór*, nie
stanowił problemu — rzekł ten o jaśniejszej
karnacji. — Wcześniej powiedział pan, że był
już wieczór, tak jakby chciał pan powiedzieć,
że było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.
Teraz jednak mówi pan, że wcale nie było za

ciemno, tylko za jasno...

—

I chyba tak właśnie było — odparł

Peł am.

80

—

Jaki to był model lincolna?

—

Czarny.

—

Jaki *model*?

—

To znaczy?

—

Zwykły sedan? Continental?

—

Nie zwróciłem uwagi. Przykro mi, ale

jedyne, co zapamiętałem, to to, że był duży i

czarny.

—

Jest pan pewien, że wóz był czarny?

—

No cóż, było ciemno. Mógł być

granatowy.

Wypytywali go jeszcze o numery rejestracyjne,
wgniecenia, zadrapania i uszkodzenia
karoserii, naklejki na zderzakach... Peł am nie
był w stanie im pomóc. Wreszcie policjanci
zamilkli.

—
Myślicie, że kłamię?

—
To po prostu dosyć dziwne, to wszystko.

—
Co jest dziwne? — Peł am zakłósał się
na obcasach.

—
To, że był pan tak blisko i niczego nie
zauważył — odparł blondyn. — To jest dziwne.

—
Było ciemno. — Peł am usiłował
naśladować ich sfrustrowany
ton.

—
I jeszcze te oślepiające światła — dodał
Włoch. Kpiąco? Peł am nie był pewien.

—
A nasz Buffett twierdzi, że widział, jak

rozmawiał pan z osobą siedzącą za
kierownicą samochodu...

—
Już wam mówiłem, że nie *rozmawiałem* z
nim... Czy też z nią.

—
Pel am zobaczył z daleka, że w oknie
przyczepy Sloana drgnęła zasłonka,
odsłaniając na chwilę ciemną szczelinę.
Pel am wyobraził sobie parę śledzących go
zmrużonych, oszalałych oczu
zniecierpliwionego reżysera-wizjonera. Zwrócił
się do policjanta o jaśniejszej karnacji, który

—
choć większy — sprawiał wrażenie
rozsądniejszego: — Niech mnie pan zrozumie,
jestem teraz bardzo zajęty. To naprawdę
kiepski moment.

W odpowiedzi blondyn jedynie powtórzył: —
Hm, a Buffett twierdzi, że rozmawiał pan z
kierowcą. Co pana zdaniem mamy na ten te-
mat sądzić?

Pel am westchnął. — Byłem zdenerwowany.

Mówiłem, co mi ślina na język przyniosła, do siebie, żeby się uspokoić. Nie pamiętam dokładnie, co. Coś tam mamrotałem.

—
Dlaczego był pan zdenerwowany?

—
Facet, o którym wam mówiłem, ten, który wysiadł z samochodu, wpadł na mnie. Przez niego upuściłem karton z piwem.

—
Dlaczego to zrobił?

82

—
To był przypadek. Nie zrobił tego celowo.

—
Jeśli to był przypadek — powiedział wolno blondyn — to dlaczego zdenerwował się pan do tego stopnia, żeby zacząć mówić sam do siebie?

—
Mamrotać, jak pan właśnie zeznał — podsunął włoski gliniarz.

—
Dobra, starczy tego. Nie mam nic więcej

do powiedzenia. — Peł am zrobił krok, żeby odejść, i napiął wszystkie mięśnie, spodziewając się, że któryś z policjantów znowu spróbuje go zatrzymać.

Jednak żaden z nich nawet nie drgnął.

Blondyn rzucił tylko: — Dwie osoby nie żyją, a policjant dostał strzał w plecy.

Jego partner dodał: — Czasami ludzie po prostu się boją. Nie chcą zgłaszać się na ochotnika, jako świadkowie. Ale nie ma powodów do niepokoju. Ochronimy pana.

—

Nie widziałem żadnej strzelaniny.

Jedynie, co widziałem, to gościa, który prawie ściął mnie z nóg.

—

Bardziej interesuje nas ten człowiek w samochodzie. Podejrzewamy, że to on zlecił zabójstwo.

—

Przykro mi. A teraz, jeśli nie macie panowie więcej pytań... — Peł am uniósł w górę ramiona w geście telewizyjnego

kaznodziei przytłoczonego nadmiarem

ludzkich grzechów.

—

Czy mógłby pan przynajmniej pomóc
nam naszkicować portret pamięciowy
mężczyzny, który na pana wpadł?

—

Jasne. Oczywiście. Ale nie w tej chwili.

Policjant o jaśniejszej karnacji przestąpił z nogi
na nogę, niczym zniecierpliwiony uczeń.

Teraz nie sprawiał już wrażenia rozsądnego.

— Chyba nie będzie z nami współpracował.

—

Współpracował?

Jego partner wykrzywił się, a blondyn dodał:

— Chodźmy stąd. To typowy WS. — Policjanci
schowali notesy do kieszeni.

—

Co to znaczy — WS? — chciał wiedzieć

Peł am.

—

Oficjalny termin, jakiego używamy w
stosunku do opornych świadków.

— Nie jestem oporny. Po prostu niczego nie

widziałem.

Schodzili już z planu, gdy włoski gliniarz odwrócił się nagle i powiedział: — Wie pan, wielu tutejszych mieszkańców współpracował z wami, żebyście mogli kręcić tutaj ten swój cholerny film. Nie bądź zbyt zachwyceni, słysząc, że w zamian nie mogą liczyć na żadną porno z waszej strony.

Jasnowłosey policjant machnął ręką. — Daj

84

spokój, to WS. Szkód, naszego zachodu. —

Po czym obaj zeszli z planu. W oknie

przyczepy Sloana opadła zasłona.

Akt oskarżenia głosił, co następuje:

Zarzuty numer 1-2: zmowa w celu sprzedaży kontrolowanych substancji.

Zarzuty numer 3-32: oszustwo podatkowe karane przez prawo federalne.

Zarzut numer 33: zmowa w celu złamania praw obywatelskich. Zarzuty numer 34-35: krzywoprzysięstwo. Zarzut numer 36: wymuszenie.

Zarzuty numer 37-44: karalne naruszenie przepisów Federalnej Ustawy o Organizacjach

Przestępczych i Skorumpowanych.

Peter Crimmins nie znał całej treści dokumentu na pamięć, ale powyższe zdania — w wielkim skrócie — stanowiły esencję oskarżeń stawianych mu przez władze federalne.

Crimmins (nazwisko zawdzięczał ojcu, który pod wpływem nagłego impulsu postanowił zmienić oryginalnie brzmiące „Crzniolak” na bardziej swojskie „Crimmins”) miał pięćdziesiąt cztery lata. Jego ciało kształtem przypominało gruszkę, a twarz wyglądała jak kartofel. Włosy nosił zaczesane do przodu, z grzywką w stylu Franka Sinatry opadającą na wysokie czoło,

85

na którym widniało pojedyncze, ciemne znamię, umiejscowione tuż nad lewą brwią niczym zabłąkane trzecie oko. W tej chwili siedział w swoim gabinecie z widokiem na parking należący do niego firmy przewozowej; okna w przeciwległej ścianie pokoju wychodziły na duże pomieszczenie pełne szarych biur i segregatorów, oświetlone jarzeniówkami, po którym kręcił się tuzin pracowników sprawiających jednocześnie wrażenie znudzonych i podenerwowanych.

Peter Crimmins powinien był właśnie podejmować tysiące decyzji biznesowych, lecz jedyne, o czym mógł w tym momencie myśleć, to słowa aktu oskarżenia.

Jego treść doprowadzała go do furii.

Fakt, kilka zarzutów było całkowicie bezsensownych, dorzuconych w ostatniej chwili przez to nadgorliwe chuchro, asystenta prokuratora stanowego. Łamanie praw obywatelskich, też mi coś. Zmowa, dobre sobie. Zarzuty o handel narkotykami były wręcz absurdalne. Nigdy w życiu nie sprzedał choćby mikrograma jakiegokolwiek substancji kontrolowanej. Jeśli chodzi o wymuszenia, to cóż, było w tym trochę prawdy, ale tylko trochę.

Zarzutem, który najbardziej go wkurzał, był ten najbardziej uzasadniony — zarzut naruszenia

86

przepisów FUoOPiS.

Peter Crimmins uważał się za chłopskiego filozofa — jego zdaniem w życiu obowiązywały pewne proste zasady, które można było poznać bez czyjejkolwiek pomocy. Nie dziesięcioro przykazań, które były zbyt naiwne

nawet jak dla takiego porządnego,
prawosławnego Rosjanina jak on, lecz proste
zasady: szanuj godność drugiego człowieka,
troszcz się o tych, którzy sami nie mogą się o
siebie zatroszczyć, wypełniaj swoje obowiązki,
dbaj o rodzinę, nie krzywdź niewinnych...

Żyj tak, a los będzie ci sprzyjał. Crimmins
wypełniał więc swoje obowiązki, dbał o
rodzinę, nikogo nie krzywdził (a przynajmniej
nikogo niewinnego), zarabiając przy tym na
życie, a nawet chodząc od czasu do czasu do
kościółka — i co mu to dało? Rozbił sobie
głowę o inny zbiór zasad. Zasad, które jego
zdaniem były całkowicie pozbawione sensu.
Po prostu czysty idiotyzm.

Problem niestety polegał na tym, że zasady te
figurowały w dziale 18. Kodeksu Stanów
Zjednoczonych. I jeśli ktoś je *łamał*, inni ścigali go i usiłowali wsadzić do więzienia.
Lecz najbardziej frustrująca była dla niego
świadomość, że musi zmagać się z tymi
czterdziestoma czterema zarzutami wyłącznie

87

na skutek jednego, jedyne błądu,
polegającego na tym, że zatrudnił u siebie

wariata, Vincenta Gaudię, w tej chwili już
nieżyjącego, zastrzelonego poprzedniego dnia
przez nieznaną sprawców.

On i Gaudia stanowili całkowite
przeciwieństwa. Crimmins od razu to
zauważył, już podczas ich pierwszego
spotkania w niemieckiej restauracji w Webster
Groves w stanie Missouri. Crimmins nie lubił
się popisywać. Latami zdobywał
doświadczenie jako negocjator, zanim na
dobrze porzucił związki zawodowe i otworzył
własną firmę. Pił wódkę w sposób
umiarkowany, palił camele, nosił bokserki i
białe koszule, każdego dnia wcierał we włosy
specjalną odżywkę, uwielbiał też grać w bilard
i bule ze starymi przyjaciółmi. Od trzydziestu
trzech lat dochowywał wierności żonie oraz
zasiadał w komisji planowania przestrzennego
w swojej podmiejskiej dzielnicy. Crimmins był
człowiekiem opanowanym,
zdyscyplinowanym, *solidnym*.

Tymczasem Gaudią rządziły jego zachcianki.
Pożądał kobiecych ciał, soczystych pokarmów
i słodkich drinków z parasolkami. Najważ-

niejszymi organami były dla niego język i
penis.

88

Crimmins robił jednak w tym biznesie
wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż
słabości jednego człowieka mogą stanowić o
sukcesach drugiego.

Zwrócił uwagę na żądze targające Gaudia i
natychmiast go zatrudnił, jako że był on kimś
więcej niż tylko przeciętnym żulem o zbyt ru-
chliwym języku. Był przede wszystkim jednym
z najlepiej ustawionych ludzi we wschodnim
Missouri i południowym Illinois. Crimmins
zrobił małe rozpoznanie i szybko zorientował
się w labiryncie układów, w jakie uwikłany był
Vince Gaudia. To było naprawdę fascynujące.

Znajomości Gaudi nie sięgały co prawda
Waszyngtonu i — o dziwo — nie był on w
stanie załatwić takiego drobiazgu, jak
anulowanie mandatu za złe parkowanie w St.
Louis. Lecz pomijając ten fakt, setki ludzi —
pisarzy sądowych, sędziów, radnych,
urzędników samorządu hrabstwa, członków
komisji bankowych, pracowników administracji

państwowej w St.Louis, Jeff City i Springfield

— siedziały u niego w kieszeni. Zaś wiedza

Gaudia nie ograniczała się tylko do tego *kto*,

lecz obejmowała również *jak*. Miał wyjątkowe wyczucie etyki pracy: wiedział, kto przyjmie w prezencie skrzynkę whisky, ale z oburzeniem

odmówi przyjęcia koperty z pieniędzmi, kto

89

chętnie zabawi się na koszt podatników, kogo skusi oferta pracy dla jego pociechy, kogo zmiana decyzji komisji planowania

przestrzennego, a kto zadowoli się sezo-

nowym apartamentem w górskim kurorcie Vail.

Gaudia był ekspertem, jeśli chodzi o handel

wymienny, a produktem, którym handlował,

były wpływy.

Crimmins, twórca najbardziej

skomplikowanego i wydajnego

przedsiębiorstwa zajmującego się praniem

brudnych pieniędzy na Środkowym Zachodzie,

doszedł do wniosku, że Vince Gaudia mógłby

wnieść znaczący wkład w jego firmę.

Wydawało się, że trudno o lepszych partnerów

w interesach niż Gaudia i Crimmins, i chociaż

pod względem temperamentu stanowili

wzajemne przeciwieństwa, ich współpraca od

początku układała się wyjątkowo dobrze.

Crimmins rozszerzył swoją działalność na
Kansas City, a teraz marzyło mu się Chicago.

W pionierski sposób wykorzystywał
organizacje typu non-profit do prania brudnych
pieniędzy i był chyba jedynym człowiekiem na
świecie, a na pewno jedynym chrześcijaninem,
który prał pieniądze zarówno za
pośrednictwem cerkwi prawosławnej w
University City, jak i meczetu Nation of Islam*

90

we wschodnim St. Louis, przy czym obie te instytucje nie miały o niczym zielonego
pojęcia. Przedsiębiorstwo Crimminsa, z
Gaudia w roli jego przybocznego, mogłoby
stać się jednym z najbardziej dochodowych w
metropoli i jej okolicach, gdyby nie dwa
wydarzenia, które przypadkowo zbiegły się ze
sobą w czasie.

Pierwszym z nich był materiał zaprezentowany
w wiadomościach telewizyjnych — w
programie „60 minut”, a także — poświęcony
skandalowi w biurze prokuratora stanowego
we wschodnim dystrykcie Missouri. Natrafiono
na ślad szeregu spartaczonych dochodzeń w

sprawach o handel narkotykami. Wiadomo, że niełatwo jest zamykać złych, a dobrzy często mogą liczyć na pobłażliwość sądu, lecz te przypadki były tak wybitnie naciągane — i tak smakowicie przedstawione przez krajową sieć telewizyjną — że w sprawę zaangażował się sam prokurator generalny. Zadzwoił do prokuratora stanowego na wschodni dystrykt, Ronalda Petersona, i ściągnął go do Waszyngtonu na poważną rozmowę o spapranych śledztwach. Peterson zachował swój stołek, lecz wrócił ze stolicy zdeterminowany, aby wsadzać do więzienia takich ludzi jak Peter Crimmins.

91

Drugą sprawą było to, że Vince Gaudia przespał się z niewłaściwą kobietą.

Prawdopodobnie on sam tak by jej nie określił.

Była to nadąsana brunetka o długich,

połyskujących czerwonym lakierem

paznokciach i okrągłych, zielonych oczach.

Mówiła śpiewnym głosem małej dziewczynki,

który sprawiał, że mózg Gaudi przestawał

pracować, w przeciwieństwie do jego fiuta,

który ożywał we wręcz błyskawicznym tempie.

Spotkali się tylko jeden raz, wtedy też popili się i kochali przez cztery godziny z rzędu. Ona twierdziła później, że Gaudia zaproponował jej wspólne zamieszkanie w jego nadrzecznej willi. Gaudia nie przypominał sobie podobnej propozycji, podobnie jak nie mógł przypomnieć sobie jej imienia, kiedy w końcu wytropił go po tygodniu bezskutecznych prób dodzwonienia się do niego.

Jak się okazało, kobieta miała o wiele lepszą pamięć niż Gaudia i w liście skierowanym do

* Separatystyczny i nacjonalistyczny ruch czarnych muzułmanów.

prokuratora stanowego Petersona opisała niemal słowo w słowo liczne tajemnice, którymi podzielił się z nią pijany Vincent Gaudia.

Prokurator stanowy Peterson natychmiast dojrzał w tym swoją szansę odkupienia

92

grzechów i zawiadomił agenta FBI, który odegrał rolę skorumpowanego sędziego.

Spotkał się on z Gaudią w kiepskiej włoskiej knajpie w pobliżu Gateway Arch. Po krótkich targach agent przyjął łapówkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów, w zamian za którą

zgodził się przymknąć oko na naruszenie przepisów o ochronie środowiska przez jednego z klientów Gaudi . Chwilę później Gaudię aresztowano, a po mniej więcej godzinie zawarto z nim układ: będzie mógł ubiegać się o wyrok w zawieszeniu, ale w zamian dostarczy im jaja Petera Crimmins na półmisku z czternastokaratowego złota.

Teraz jednak Gaudia był martwy jak głaz i Peter Crimmins wiedział, że prokurator stanowy Peterson tylko marzy o tym, żeby do listy czterdziestu czterech zarzutów z aktu oskarżenia dodać jeszcze jeden: zabójstwo świadka koronnego.

Właśnie o tym rozmyślał, gdy drzwi jego gabinetu otworzyły się nagle i do środka wszedł jego prawnik. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i gość usiadł. Był dobrze zbudowany i miał sztuczny uśmiech, który pojawiał się i znikał bez wyraźnego powodu, jakby za naciśnięciem automatycznego pilota. Ostro grał w tenisa i jeździł porsche. Mówił

strony" albo: „Jako twój prawnik i przyjaciel
radziłbym ci...”

A Crimmins nigdy nie powiedział mi, że jest
jego przyjacielem. Teraz prawnik zwrócił się
do niego bez ogródek: — Gdzie byłeś w piątek
wieczorem?

—
Dlaczego pytasz?

—
Muszę to wiedzieć, Pete. Byłeś z kimś?

—
Myślisz, że to *ja* zabiłem Gaudię? —
upewnił się Crimmins.

—
Nie pytam moich klientów, czy są winni,
czy nie. Chcę ustalić twoje alibi, a nie twoją
niewinność.

—
No, to właśnie ci odpowiadam — odrzekł
Crimmins. — Nikogo nie zabiłem.

Prawnik poprawił i tak już doskonały węzeł
swojego jedwabnego krawata. — A czy
wspominałeś może komuś, żeby...?

Crimmins podniósł głos. — Nie zrobiłem tego.

Prawnik rozejrzał się na boki, najwyraźniej nie wierząc jego słowom. — Nie chodzi o to, co *ja* myślę, tylko o to, co pomyśli sobie prokurator stanowy. A mogę cię zapewnić, że teraz, po śmierci Gaudi, Peter-son trzyma cię za jaja o wiele mocniej niż jeszcze dwa dni temu.

94

Crimmins wiedział o tym, rzecz jasna. —

Myślisz, że zmienią akt oskarżenia?

—

Peterson to zarozumiały gówniarz.

Skazanie ciebie to jego przepustka do

Waszyngtonu. W głębi duszy jest przekonany,

że zabiłeś Gaudię, i zamierza cię, kurwa...

—

Nie podoba mi się twoje słownictwo —

mruknął Crimmins.

—

...wypatroszyć. Jeśli twoja sprawa

zostanie odrzucona, straci oskarżonego, który

mógłby zainteresować media.

—

Może sobie znaleźć innego.

Prawnik powoli tracił cierpliwość. — Ale chce

ciebie. To ciebie publicznie obiecał schwytać.

To ciebie miał już na widelcu. Będzie się uwijał
jak kotka w rui. Przekonasz się.

—
To by było selektywne ściganie. —

Crimmins uważał, że wystarczająco dobrze
zna się na prawie, żeby samemu być
prawnikiem.

—
Mam już gotową twoją mowę końcową,
Pete. Nie muszę jej słuchać w twoim
wykonaniu.

Crimmins sam nie wiedział, dlaczego powierza
swoje życie — a przynajmniej swoją wolność i
przyszłe szczęście — temu śliskiemu
człowieczkowi o głośnych jelitach i wrednym
bekhendzie.

95

—
Gdyby — czysto teoretycznie — zdarzyło
się, że musiałbyś mieć alibi...

—
Już ci...

Zrób to dla mnie, Pete. Jeżeli — jeżeli,

powiadam — więc *jeżeli* musiałbyś mieć alibi na wieczór, kiedy zginął Gaudia, jakie by ono było?

Crimmins nie odpowiedział.

Jego prawnik westchnął. — W porządku.

Popytam trochę po ludziach. Zobaczę, kto co wie. Przekonamy się, co robi Peterson. Mam paru znajomych gliniarzy. Mają u mnie dług wdzięczności. Podobno jest jakiś świadek, którego nikt dotąd nie namierzył.

—

Świadek?

—

To tylko plotki. Jakiś facet widział zabójcę. — Prawnik podniósł się. — ■ I jeszcze jedno: myślą, że zamachowcy odjechali lincolnem.

Crimmins milczał przez chwilę. Potem powiedział cicho: — Ja jeżdżę lincolnem.

—

Podobno chodzi o ciemnego lincolna.

Peter Crimmins wybrał odcień lakieru Midnight Blue. Uważał, że granatowy działa na niego uspokajająco.

Prawnik podszedł do drzwi, wkładając jednocześnie na głowę kapelusz w kształcie naboju, z wąskim rondem.

96

—
Zaczekaj — odezwał się Peter Crimmins.

Prawnik przystanął i odwrócił się.

—
Ten świadek. Nie dbam o to, co będziesz musiał zrobić. Ani ile to będzie kosztowało...

Nagle prawnik poczuł się bardzo nieswojo.

Dłonią dotknął brzucha i potarł miejsce, w którym najprawdopodobniej trawione było właśnie jego obfite śniadanie. — Chcesz, żebym...

—
Dowiedz się, kto to jest.

—
A potem?

—
Po prostu się dowiedz — niemal niedosłyszalnie szepnął Peter Crimmins, jakby w każdym abażurze i ramce każdego zdjęcia w jego gabinecie był ukryty mikrofon.

On kłamie — rzucił do słuchawki Donnie

Buffett.

Detektyw Bob Gianni przytaknął: — Nie mam
co do tego wątpliwości.

—

Było tak, jak powiedziałem — ciągnął

Buffett. — Nachylił się i zajrzał do samochodu
z odległości niecałego metra... Nawet mniej.

Trzydziestu centymetrów. Jeżeli twierdzi, że
nikogo nie widział, to zwyczajnie kłamie.

97

Gianno odparł: — Wystarczy, żeby zaczął
mówić, a sprawa będzie zamknięta. Niczego
więcej nie trzeba. Bułka z masłem.

—

Przyciśnięcie go? — spytał Buffett.

—

Jasne, Donnie. Możesz być tego pewien.

Rozłączyli się. Z brzucha Buffetta dobiegało regularne burczenie, ale on nie odczuwał głodu. Podawano mu coś z grubej plastikowej torebki, jakiś przezroczysty płyn, ściekający rurką do igły w jego żyłę. Może glukozę.

Zastanawiał się, czy to dobry pomysł: glukoza była przecież cukrem, a on akurat przed tą strzelaniną postanowił zrzucić parę kilogramów.

Pomyślał o pączku i kawie, które dostał od Pel ama. Czy to rzeczywiście wydarzyło się wczoraj? A może dwa dni temu? Równie dobrze od tego czasu mógł minąć tydzień.

Dlaczego Pel am skłamał, mówiąc, że nie widział współnika zabójcy? Pewnie ze strachu.

Drzwi otworzyły się szerzej i do sali wszedł lekarz. Był to masywny mężczyzna około czterdziestki, z czarnymi, gęstymi włosami, szczupły, lecz o muskularnych przedramionach. Na ich widok Buffett pomyślał, że ma przed sobą ortopedę. Buffett uwielbiał sport, różne jego dyscypliny i znał wielu lekarzy sportowych — zawsze byli w

świetnej kondycji. Lekarz przysunął sobie krzesło bliżej łóżka, usiadł i przedstawił się.

Nazywał się Gould. Miał niski głos o przyjemnym brzmieniu.

—
Chyba już się poznaliśmy — zauważył

Buffett. — To pan mnie operował?

—
Owszem, jestem jednym z neurochirurgów.

Gould zdjął z wieszaka kartę chorego.

Otworzył ją, przejrzał, po czym znowu usiadł.

Nachylił się nad Buffettem i zajrzał mu w oczy, przyświecając sobie małą latarką. Potem poprosił, żeby podążał wzrokiem za jego palcem kreślącym w powietrzu ósemki. A następnie wyciągnął przed siebie ramiona i dotknął swojego nosa.

Donnie Buffett zrobił, co mu kazano.

Wreszcie lekarz powiedział: — Dobrze. — Co nie znaczyło ani „dobrze”, ani nic innego, a następnie zapytał: — Jak pan się czuje?

—
Chyba nieźle. Boli mnie ramię.

Aha. — Lekarz ponownie zerknął do karty Buffetta i bardzo długo — tak przynajmniej wydawało się Buffettowi — studiował jej treść.

—
Panie doktorze...? — zaczął i urwał.

Lekarz nie zachęcił go, żeby dokończył pytanie. Zatrzasnął metalowe okładki karty i

99

rzekł: — Proszę pana, chciałbym porozmawiać z panem o pańskim urazie, wyjaśnić, co się dokładnie stało, co zrobiliśmy i co zamierzamy jeszcze zrobić.

—
Oczywiście.

—
Został pan postrzelony w plecy. Kilka pocisków trafiło w kamizelkę kuloodporną. Nie były duże — kaliber 0,22 — i od razu się roztrzaskały. Trzecia kula trafiła w górną część kamizelki, z boku. Odbiła się, ale drasnęła kość zwaną *scapula*, to znaczy łopatkę.

Dlatego odczuwa pan w tym miejscu ból. Z łatwością usunęliśmy pocisk. Istnieje pewne ryzyko wystąpienia sepsy — zakażenia — ale

jego prawdopodobieństwo jest raczej znikome.

Gould wyjął z kieszeni długopis — bajerancki gadżet z elementami złota i laki — i na odwrocie recepty zaczął rysować coś, co wyglądało jak dolna połowa ludzkiego szkieletu.

—
Donnie, trzy kule trafiły pana poniżej kamizelki. Weszły tędy, o, w tym miejscu, gdzie lędźwiowa część rdzenia kręgowego przechodzi w część krzyżową. Jedna z nich eksplodowała i zatrzymała się tutaj. —

Odwrócony drugą stroną długopis pełnił teraz funkcję wskaźnika. — Pozostałe dwie utkwily w pańskim jelicie, omijając nerki i pęcherz.

100

Usunęliśmy wszystkie odłamki i naprawiliśmy uszkodzenia przy pomocy szwów, które wchłoną się w tkankę. Nie będzie pan wymagał dalszego leczenia operacyjnego, chyba że wda się zakażenie.

—
Świetnie — odparł z uśmiechem Buffett.

Mrużąc oczy, przyglądał się rysunkowi, jakby miał być później z niego odpytywany.

Donnie, kula, która eksplodowała, w tym miejscu trafiła w pański rdzeń kręgowy. Buffett potakiwał. Był przecież gliną. Widział śmierć i ból. Sam również go *zaznał*. Był całkowicie spokojny. Jego uraz nie mógł być poważny. Gdyby tak było, podłączono by go do potężnych urządzeń. Respiratorów i innych wynalazków, które wyglądały jak deska rozdzielcza w kabinie odrzutowca.

Tymczasem miał założony tylko cewnik i kroplówkę, która tłoczyła w niego tuczący cukier. To tyle, co nic. Właśnie w tej chwili czuł ból, cudowny ból przenikający jego nogi, ból, który ustępował równie nagle, jak się pojawiał. Gdyby był sparaliżowany, nie odczuwałby przecież żadnego bólu.

Donnie, zbada pana doktor Weiser, jeden z najlepszych neurologów i terapeutów w St. Louis zajmujących się uszkodzeniami rdzenia kręgowego.

Ale nic mi nie jest, prawda?

—

Nic nie zagraża pana życiu. W przypadku urazów górnych parti rdzenia kręgowego istnieje ryzyko niewydolności serca lub oddychania... co może być groźne.

Groźne.

—

Lecz w pana przypadku uraz nastąpił w dolnej części rdzenia kręgowego. To dobrze z punktu widzenia szans na przeżycie.

—

Panie doktorze, ale będę mógł chodzić, prawda? Chodzi o moją pracę, o to, że jestem *policjantem*. Muszę chodzić. — Buffett rozłożył dłonie; sprawiał wrażenie zażenowanego faktem, że musi tłumaczyć komuś coś tak oczywistego.

—

Hm, Donnie — odparł wolno lekarz — pański uraz nie nadaje się do leczenia w trybie ambulatoryjnym.

Nie nadaje się do leczenia w trybie ambulatoryjnym.

—
Co to...? — Głos odmówił Buffettowi
posłuszeństwa i nie był w stanie dokończyć
pytania. Ponieważ tak naprawdę dokładnie
wiedział, co to oznacza.

—
Pański rdzeń kręgowy został niemal
całkowicie przerwany — wyjaśnił Gould.

Buffett patrzył mu prosto w oczy, nie
zauważając jednak całego ogromu

102
współczucia, jakie się w nich odmalowało. —
Obawiam się, że przy obecnym stanie wiedzy
medycznej nic się nie da na to poradzić. Nie
będzie mógł pan chodzić. Niestety.

—
Och. No cóż, rozumiem.

—
Proszę pana, miał pan wielkie szczęście.

Mógł pan zginąć. Albo być całkowicie
sparaliżowany od szyi w dół.

Jasne. To wszystko prawda.

Gould wstał. Karta została odłożona na łóżko,
a szykowny długopis powędrował z powrotem

do kieszeni koszuli. — Doktor Weiser jest osobą o wiele bardziej kompetentną ode mnie, jeśli chodzi o tego typu urazy. Nie znajdzie pan lepszego specjalisty. Pielęgniarka umówi pana później na wizytę. — Uśmiechnął się i uścisnął dłoń Buffetta. — Zrobimy dla pana wszystko, co w naszej mocy. Proszę się o nic nie martwić.

Minęło kilka minut, zanim Donnie Buffett odpowiedział: — Nie będę. — Wtedy dopiero zdał sobie sprawę z tego, że doktora nie ma już w sali.

Philip Lombro miał już taki nawyk. Pastował buty co najmniej dwa razy dziennie. W swoim biurku w pracy przechowywał dyplomatkę, a w niej dużą szczotkę z końskiego włosia i mniejszą ze świńskiej szczeciny wraz z

103

kawałeczkami giemy. Czasami pastował swoje buty trzy, cztery, pięć razy dziennie. Często używał pasty Kiwi, ale jego ulubioną marką był Meltonian. *Creme a chaussures*.

Nie miał obsesji na tle samych butów — posiadał zaledwie siedem par — i nie był

fetyszystą stóp (nie był nawet pewien, kim jest fetyszy-sta i co właściwie robi ze stopami).

Lubił po prostu błyszczące, wypolerowane buty i lubił doprowadzać je do takiego stanu. Kiedy wsuwał stopy w świeżo wypastowane obuwie, czuł się jak król.

Tego ranka siedział w biurze firmy Lombro i Wspólnicy, która narodziła się jako Maddox Omnibus and Carriage Company konstruująca konne autobusy i powozy, a następnie przez pokolenia produkowała kolejno samochody o napędzie elektrycznym i sprzęgła samochodowe, aby w końcu zostać filią Fujitomo Limited zajmującą się maszynami ciężkimi.

Kilka sztywnych włosów wysunęło się ze szczotki i spadło na podłogę. Lombro pochylił się, zebrał je i wyrzucił do kosza na śmieci.

Następnie wytarł palce w papierową chusteczkę zwilżoną śliną. Za oknem przeleciał kawałek gazety i zaraz zniknął.

Lombro popatrzył na ściany budynku firmy

przez „Reportera”, przedstawiające młodego człowieka, który zabił się, skacząc z jednego z olbrzymich kominów fabryki. Ubrany w garnitur, zginął na miejscu po tym, jak wbił się w dach wozu dostawczego. Blacha otuliła go niczym koc.

Z tym właśnie kojarzył mu się budynek firmy Maddox Omnibus and Carriage Company — ze śmiercią. Skojarzenie to sprawiło, że pomyślał o Ralphie Balesie.

Lombro poznał Ralpha Balesa na weselu swojej siostrzenicy. Sam Lombro nigdy się nie ożenił i żałował, że nie dane mu było być ojcem. Swoich bratanków, bratanice i siostrzenice z okolic St. Louis traktował jak przybrane dzieci. Troszczył się o nich, rozpieszczał ich, zabierał ze sobą na wycieczki. Kiedy dorastali, fakt ten był dla niego większym zaskoczeniem niż dla ich rodziców. A kiedy jego szwagier nie był w stanie pokryć kosztów wesela swojej córki, Lombro z własnej kieszeni zapłacił za przyjęcie.

Ralph Bales był jednym z gości weselnych i

tym, co zwróciło na niego uwagę Lombro, była broń, z którą Ralph Bales zjawił się na uro-

105

czystości.

Późnym wieczorem, stojąc przy pisuarze w męskiej toalecie restauracji Orsini, Lombro wyczuł za sobą jakiś ruch; ktoś wszedł do kabiny. Zaraz potem Lombro usłyszał metaliczny szczęk czegoś uderzającego o posadzkę i spojrział w dół. Pod drzwiami kabiny dojrzał czyjąś dłoń, która błyskawicznie podniosła pistolet. Lombro szybko umył ręce i wyszedł z toalety. Ukryty za stojącą w holu rośliną doniczkową czekał, chcąc zobaczyć intruza. Kilka minut później z toalety wyłonił się Ralph Bales, przyglądający wilgotnymi dłońmi przerzedzone włosy. Lombro nie wiedział, co robić. Ralph Bales został zaproszony jako znajomy znajomego ze strony pana młodego, więc najprawdopodobniej nie był rabusiem. Z drugiej jednak strony Lombro czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich czterystu gości.

W końcu, po półgodzinie bicia się z myślami,

Lombro podszedł do Ralpa Balesa w chwili, gdy dzieci kroili akurat tort, i zagaił rozmowę.

Dowiedział się, że Ralph Bales pochodzi z St. Louis. Wcześniej został sierotą — podobnie jak Lombro — i zarabiał na życie, mając się różnych robót portowych. Rozmawiali o pracy, nieruchomościach, zarabianiu i utracie

106

pieniędzy. Ralph Bales niejasno wspominał o związkach zawodowych, firmach przewozowych, usługach portowych i kierowcach ciężarówek. Mieszkał we własnym domu, nieopodal Lambert Field, i lubił pracować w ogrodzie. Lombro powiedział, że również to lubi, ale nie znosi słońca.

Ralph Bales odparł, że uwielbia słońce.

Wreszcie Lombro uznał, że mężczyzna nie stanowi żadnego zagrożenia, i pożegnał się.

Na pożegnanie Ralph Bales w znaczący sposób dotknął jego ramienia i wręczył mu wizytówkę. — Mówi pan, że zajmuje się nieruchomościami — powiedział z naciskiem.

— Gdyby kiedykolwiek potrzebował pan konsultacji w sprawie ochrony, niech mi pan da znać.

W ten sposób wizytówka z informacją „Ralph Bales, konsultant” znalazła się w odpowiedniej przegródce skorowidza Philipa Lombro.

Pomyślał, że być może kiedyś rzeczywiście będzie potrzebował konsultanta.

Miesiąc temu nadszedł ten moment.

Teraz zaś Lombro odłożył szczotkę do butów na dno szuflady i wpatrując się nieobecny wzrokiem w gazety fruujące za oknem jego biura, pomyślał, że transakcja, będąca wynikiem tamtego spotkania na weselu, może

107

okazać się jedynym poważnym błędem, jaki popełnił w całym swoim życiu.

—
No więc tak: jest pewien problem —

mówił właśnie Ralph Bales.

Philip Lombro słuchał go z nieruchomą twarzą; jego spojrzenie wolno wędrowało po twarzy gościa.

—
Ten gliniarz nas zaskoczył. Podkradł się od tyłu. Lombro odparł: — Nie można było nic zrobić?

Ralph Bales okazywał swoim klientom

szacunek. Tylko dlatego nie przewrócił teraz

oczami ani nie westchnął ze

zniecierpliwieniem. Zamiast tego odparł: —

Nie, on zjawił się całkiem niespodziewanie.

Lombro otworzył biurko. Wyjął z szuflady

cienką kopertę zawierającą dwadzieścia pięć

tysięcy dolarów i podał ją Ralphowi Balesowi.

—

Dziękuję — powiedział Ralph Bales.

Lombro skinął głową.

Żaden z nich nie sprawiał wrażenia

wdzięcznego ani usatysfakcjonowanego tą

wymianą.

—

Jak duży jest to problem? — spytał

spokojnie Lombro. Ludzie tacy jak on

zachowywali spokój w obliczu kłopotów.

Ralph Bales zagryzł wąskie wargi przecinające

jego okrągłą, nalaną twarz. — No cóż, do

108

policjanta lepiej nie strzelać. Cokolwiek się zdarzy, lepiej tego nie robić.

Lombro utkwiał spojrzenie w gładko wygolonym

miejscu nad górną wargą Ralpha Balesa.

Dopiero teraz zauważył, że tamten zgolił wąsy.

—
Nie żartuję — ciągnął Ralph Bales. —

Gliny nie wkurzają się, kiedy ktoś zastrzeli im świadka oskarżenia, bo świadkowie to zwykle śmieci. Ale co innego, jeżeli ktoś zastrzeli gliniarza. Wtedy inni gliniarze są wściekli jak osy.

—
No i?

—
No i trzeba teraz coś z tym zrobić.

—
To znaczy?

—
Musimy znaleźć faceta, który nas wtedy widział.

—
Kogo?

—
Tego gościa, który wpadł na mnie, kiedy wysiadałem z pańskiego samochodu. Tego od piwa.

Lombro oparł stopę na kolanie drugiej nogi i bezwiednie potarł piętę.

—
On mnie widział — dodał Ralph Bales. —

Widział też pana.

—
Policja może wcale go nie namierzyć.

—
Niby tak, ale...

Lombro przerwał mu, kontynuując swój
wywód, który zdawał się go uspokajać. —

109

Dlaczego miałby zgłaszać się na ochotnika?

Dlaczego miałby to robić?

—
Może tego nie zrobić — zgodził się Ralph
Bales. — Ale niektórzy ludzie są dziwni. Robią
dziwne rzeczy.

Lombro odparł: — Mówisz tak, jakbyś już coś
postanowił.

—
Przepraszam. Tu w sumie nie chodzi o
decyzję, tylko o to, że chyba nie mamy innego
wyboru, prawda?

„Płatny zabójca strzela policjantowi w plecy”.

Gazeta z tym sensacyjnym tytułem na

pierwszej stronie zajmowała poczesne miejsce

na biurku Lombro. Ralph Bales nie miał racji.

Nie zamieścili zdjęcia ciała Vince'a Gaudi .

Tylko ślubną fotografię postrzelonego

policjanta.

—

Wcale mi się to nie podoba.

—

Z całym szacunkiem, panie Lombro.

Kiedy ktoś... — Ralph Bales szukał słów, które

nie brzmiałyby oskarżycielsko — angażuje się

w podobny projekt, musi brać pod uwagę

potencjalne ryzyko. Nie mam racji? Kupuje

pan dom, a potem okazuje się, że są w nim

termity czy inne robactwo. Takie rzeczy się

zdarzają. Nie można przed nimi uciec.

—

I jeszcze ta kobieta. Zabiliście kobietę.

—

Stevie mówi, że to był wypadek przy

110

pracy. Gaudia się nią zasłonił.

Lombro pokiwał głową. — Ona mnie nie

obchodzi. Wiedziała, z jakim draniem się

zadaje.

Za oknem na szczycie ceglanej fasady usadowił się kos. Jego czarna, błyszcząca główka poruszała się nerwowo we wszystkie strony. Nagle wystrzelił prosto w niebo niczym szara strzała.

Ralph Bales odezwał się: — Wykonaliśmy pańskie zlecenie i zdarzyła się mała wpadka.

Ale prawda jest taka, że ani ja, ani Stevie Flom nie mieszkamy w tej okolicy, a pan owszem.

Dlatego ta wpadka to w pewnym sensie pański problem.

Lombro rozważył to obojętnie. — Co proponujesz?

—
Mogę w tej chwili stąd wyjechać, a pan zaryzykuje i poradzi sobie sam. Albo też może mi pan zapłacić, a ja zajmę się tamtym face-tem.

—
Nie, to wykluczone.

—
W takim razie... — Ralph Bales pozwolił, aby te dwa słowa zawisły w powietrzu niczym

dym z papierosa. — Jest jeszcze jedno wyj-
ście.

—
Jakie? Słucham.

—
Mógłbym go odszukać. Zagrozić mu.

111

Trochę go nastraszyć.

—
Czy to podziała?

—
Zwykle działa. Ale wolałbym tego nie
robić. To o wiele bardziej ryzykowne, niż
zwykłe, hm, pozbycie się go.

—
Chcesz więcej pieniędzy. O to chodzi?

—
Tak, właśnie o to chodzi. To wyłącznie
kwestia ryzyka. Dziesięć tysięcy i gość zniknie
raz na zawsze. Dwadzieścia tysięcy, odnajdę
go i postraszę.

—
Dwadzieścia?

A co mam powiedzieć? Dziewiętnaście

dziewięćdziesiąt pięć?

Lombro milczał przez chwilę. Popatrzył na gazetę, potem zamknął oczy i machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

—
Zgoda. — Spojrzał na Ralpa Balesa. —

Ale masz mi dać słowo, że nic mu nie zrobisz.

Ralph Bales zmarszczył brwi. — Nie mówił pan, żeby mu nic nie robić...

—
Chodzi o to — wyjaśnił Lombro — żebyś go nie *zabił*. Nie zrobisz tego, prawda?

Ralph Bales skinął głową i patrząc Lombro prosto w oczy, powiedział: — Oczywiście, że nie. Przecież obiecałem. — Wiedział z doświadczenia, że patrząc komuś prosto w oczy, można sprawić, iż ten uwierzy we wszystko, co mu się powie.

112

Auto wolno minęło przyczepę kempingową.

Zanim Pel am znalazł się w kuchni i wyjrzał przez okno, wóz skręcił już w River Road i zniknął mu z oczu. Mimo to nadal stał przy

oknie i wyglądał przez żaluzje, którym — jak właśnie zauważył — przydałoby się solidne czyszczenie.

Maddox nie posiadało nocnego parkingu i Pel am zmuszony był trzymać swoją przyczepę na tym żalonym podmiejskim kempingu. Jego właściciele, Annie i Fred Bel owie, oferowali przyjezdnym pięćdziesiąt miejsc postojowych i być może w okresie wakacyjnym wszystkie faktycznie bywały zajęte. Lecz i tak musiało to dotyczyć czasów, zanim w sąsiedztwie kempingu ulokowała się cementownia i zniszczyła prawie półkilometrowy pas sielankowego, trawiastego nabrzeża, na którym z dnia na dzień wyrosły magazyny i stalowe doki. Obecnie na kempingu „Przy drodze” stała jedynie przyczepa Johna Pel ama oraz dwa namioty, których właścicielom najwyraźniej — i w sposób jak najbardziej zrozumiały — obrzydł malowniczy widok zabudowań firmy Ochner Cement & Stone, w związku z czym właśnie się pakowali.

Początkowo ta pustka wcale mu nie

przeszkadzała. Ale tak było, dopóki nie stał się świadkiem w sprawie o zabójstwo. A raczej prawie świadkiem. W tej chwili tęsknił za anonimowością. Spojrzał na zegarek. Była dopiero jedenasta rano, a tymczasem widział już lub słyszał cztery — nie, co najmniej pięć — samochodów, które zwalniając, minęły parking. Podejrzał, że ich kierowców nie sprowadziła tutaj chęć rozejrzenia się po kempingu przed nadchodzącym urlopem, który zamierzali spędzić w Maddox; bardziej interesowała ich jego skromna osoba.

Kolejny samochód zatrzymał się dokładnie naprzeciwko przyczepy. Był to stary, poobijany sedan z błotnikami oklejonymi szeroką taśmą samoprzylepną. Kierowca był tylko ciemną sylwetką za zatłuszczonej przednią szybą.

Stan wozu upewnił go, że to nie policja postanowiła złożyć mu powtórny wizytę.

Pel am, który dotąd bezskutecznie usiłował oczyścić garnek z grubej warstwy przypalonego chili, wytarł ręce i przeszedł do przedniej części przyczepy. Otworzył znajdujący się przy wejściu schowek na mapy.

W niewielkiej skrytce *rzeczywiście* znajdowały się mapy, w sumie chyba ze trzydzieści, wszystkie sfatygowane i przetarte na zgięciach. Był tam także Colt Peacemaker 114 kaliber 0,45 ze stalową lufą i palisandrową kolbą. Pel am wyjął go i kciukiem otworzył bębenek.

Wolno opuścił kurek, załadował naboje do pięciu z sześciu komór, a następnie opuścił kurek na pustą komorę. Wsunął broń za pasek spodni, włożył swoją kurtkę lotniczą, wyszedł na zewnątrz i długimi krokami ruszył w stronę tamtego samochodu.

Dlaczego wszyscy w Maddox jeździli takimi ponurymi brykami?

Kierowca wozu — Pel am nie rozpoznał go — miał około czterdziestki, kwadratową twarz i oczy, które wpatrywały się w niego ze spokojem. Wcześniej Pel am miał nadzieję, że widząc go nadchodzącego i gotowego do konfrontacji, tamten wciśnie gaz do dechy i zwieje.

Tymczasem mężczyzna zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

Dłoń Pel ama odruchowo dotknęła suwaka

kurtki.

Intruz był prawdziwym olbrzymem. Z hukiem zatrzasnął drzwiczki i nadal wpatrywał się w Pel ama. Po chwili ruszył przez ulicę. Miał włosy ścięte na jeża jak rekrut i luźne fałdy skóry pod oczami.

Pel am rozpiął kurtkę i przystanął na poboczu

115

drogi. Opierając dłoń na pasku, pocierał metalową sprzączkę. Palcem wskazującym dotykał drewnianej kolby rewolweru.

Kiedy tamten dotarł na pobocze, przystanął w odległości około sześciu metrów od Pel ama i patrząc mu prosto w oczy, wypalił: — Nie potrzeba wam młodych chłopców?

Pel am zmrużył oczy i przechylił głowę.

Mężczyzna powtórzył: — Młodych chłopców.

—

Co proszę?

—

Słuchaj pan — odparł sztywno tamten. —

Wie pan pewnie, że niektórzy z naszych nie są zachwyceni tym, że mają u siebie w mieście ekipę filmową, a to dlatego, że opowiadacie w

tym filmie o Maddox różne rzeczy, które nie są miłe. No, ale ode mnie nie usłyszysz złego słowa. Ja tak nie uważam.

—
Aha. To dobrze.

—
A teraz do rzeczy — podjął mężczyzna.

— Mój chłopak Larry ma siedemnaście lat i grał ostatnio w szkolnym przedstawieniu. Takim poważnym, bez muzyki. „I Remember Mama”. Był niezły — twierdziłbym tak nawet, gdyby nie był moim synem — ale w filmie byłby pierwsza klasa, bo tam powtarza się kwestie po parę razy, a potem wybierają tę najlepszą. Byłby pierwsza klasa, słowo honoru.

116

—
Ale ja nie zajmuję się castingiem, proszę pana.

—
Zrobiłby to naprawdę tanio. Wie pan, chodzi tylko o to, żeby dać się zauważyć.

Mógłby nawet pracować fizycznie, dopóki nie

trafi się jakaś rólka. Larry to kawał chłopca.

Pel am pokręcił głową.

—
Bierze też lekcje gry.

—
Przykro mi. — Pel am zasunął suwak
kurtki. — Naprawdę chciałbym panu pomóc,
ale nie mogę.

Mężczyzna stał nieruchomo; ramiona mu
obwisły, a twarz silnie poczerwieniała. Z tyłu
za nim widać było walący się budynek,
dawniej perełkę wiktoriańskiego przepychu.

Porzucono go w połowie nieudanej
przebudowy. Mężczyzna odezwał się przez
zaciśnięte zęby: — Od trzech lat jestem bez
pracy. Byłem ładowaczem na śródlądowym
holowniku. Mam nóż na gardle.

—
Przykro mi.

—
Nie szukam współczucia. Pracowałbym,
gdybym mógł znaleźć pracę, ale tutaj niczego
nie ma. Larry to nasza jedyna szansa na jakiś
zarobek.

Pel am pokręcił głową. — Żałuję, że sprawy nie mają się inaczej.

—
Jasne. — Mężczyzna jeszcze przez

117

chwilę nie ruszał się z miejsca. — Dzięki, że poświęcił mi pan czas. — Odwrócił się w milczeniu i podszedł do samochodu. Spojrzał jeszcze raz na przyczepę, po czym zapalił silnik. Pel am patrzył, jak jego wóz oddala się wolno, grzecho-cząc przerdzewiałym tłumikiem.

Następnie powlókł się z powrotem do przyczepy, wyjął broń zza paska i odwiesił kurtkę na miejsce. Potem wrócił do kuchni.

Pół godziny później wciąż siedział przy małym stoliku, przeglądając dokumentację plenerów w Maddox, pełną polaroidowych fotek. Zgodnie z poleceniem Tony'ego Sloana sfotografował kilka opuszczonych domów — w niektórych dzielnicach miasta co drugi dom był opuszczony — a teraz zawęził wybór do czterech parterowych budynków: dwa z nich były urocze, dwa zrujnowane. Właśnie sprawdzał ich lokalizację na porwanym planie

Maddox.

Wtedy też usłyszał niepewne kroki na
zwirowanej ścieżce. Jego dłoń zawisła
nieruchomo nad sprawozdaniem.

Czyżby tato Larry'ego wrócił na kolejne
przesłuchanie?

Wstał, przeszedł na tył przyczepy i ostrożnie
wyjrzał na zewnątrz. Nie, tym razem to był

118

inny samochód. Ciemnoczerwony sedan.

Dokładnie taki, jakim mogliby przemieszczać
się detektywi o włoskich i anglosaskich
korzeniach.

Okazało się jednak, że nie miał racji i to nie
byli tamci dwaj gliniarze. Do przyczepy
wtargnął bez pukania mniej więcej
trzydziestopięcioletni mężczyzna o ciemnej
karnacji. Rozejrzał się szybko, jakby chcąc się
zorientować w sytuacji. Miał na sobie
elegancki, dwurzędowy garnitur w kolorze
ciemnego grafitu i okulary przeciwsłoneczne o
niebieskich, lustrzanych szklach.

Odezwał się: — Wiem, na co liczysz. Ale
zapomnij o tym. Nie wydostaniesz się stąd. —

Drzwiczki przyczepy zatrzasnęły się za nim, a on wolnym ruchem zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszeni marynarki.

6

Peł am zacisnął usta i pokręcił głową.

—

Coś nie tak? — zapytał intruz.

—

Powinieneś był powiedzieć: „Wiem, o czym myślisz. Ale jest już *za późno*. Nie wydasz się stąd”.

—

Nie. — Mężczyzna zmarszczył brwi. —

119

Jestem pewien, że dobrze zapamiętałem. —

Położył teczkę na siedzeniu kierowcy i otworzył

ją-

—

Tak czy owak, postanowiłem wyciąć ten dialog. Załatwimy to obrazem. Chcesz kawy?

Rozpuszczalna.

Z teczki wyłonił się scenariusz, a tamten zaczął go kartkować. — Nie, Pel am, nie wycinaj tego. To świetna kwestia. „Ale zapomnij o tym”. To takie — jak to się mówi? — anachroniczne. No dobrze, masz rację. — Uważnie przeczytał tekst. — Wykreślamy.

—
Siadaj — rzucił Pel am i postawił czajnik na gazie.

Marty Wel er z łatwością uplasował swoje chude członki na wąskiej kuchennej ławie. Miłośnik jogi, dzięki swojej budowie ciała doskonale nadawał się do życia w ciasnej przyczepie. Miał sztuczną opaleniznę i mięśnie w takich miejscach, w których człowiek nieuczęszcza-jący na siłownię nigdy by ich sobie nie rozwinął. U nasady nosa, tam, gdzie kończyły się jego starannie wydepilowane brwi, widać było tak zwane kalifornijskie zmarszczki — dwie krótkie, pionowe bruzdy, efekt ustawicznego mrużenia oczu w ostrym

słońcu.

120

—
Zrób mi herbaty. Ziołowej. — Postukał w otwarty scenariusz. — Musiałem chyba myśleć o pierwszej wersji. Albo o drugiej. O którejś z nich. Wprowadzasz sporo zmian, John.

—
Lipton?

Wel er rozejrzał się, jakby szukał ukrytego gdzieś pudełka rumianku firmy „Niebiańskie przyprawy”. — Może być — odparł z wahaniem. Po chwili dodał: — A masz miód?

—
Mam słodzik.

—
Racja, w końcu *jesteśmy* na prowincji. —

Wel er uśmiechnął się chytrze i zapytał: — No i?

—
No i co?

—
Wiesz, o co pytam. Co to za bomba? W związku ze *Sloanem*. Niezależny producent

Marty Wel er był takim samym plotkarzem, jak każdy w Hollywood — chociaż nie aż tak wpływowym, żeby wykorzystywać zasłyszane plotki z korzyścią dla siebie. Miał na koncie szereg oryginalnych filmów, które odniosły umiarkowany sukces. Fakt ten otwierał przed nim wiele drzwi, ale nie załatwiał automatycznie wszystkich spraw związanych z realizacją jego pomysłów. Mimo to każda plotka dotycząca Tony'ego Sloana, nawet nieszczerólnie użyteczna dla Wel era, była w jego mniemaniu na wagę złota. Pożądał ich na

121

tej samej zasadzie, na jakiej pożądał francuskiego szampana i kawioru.

Jednak obecność Wel era tutaj, w małym miasteczku w stanie Missouri, przypomniła Pel amowi o niepisanych zasadach obowiązujących w Los Angeles. Wspominając zatem swoje nieprzyzwoicie wysokie honorarium, przywołał w myślach najważniejszą z nich: zawsze zakładaj, że cokolwiek powiesz, nawet w największej tajemnicy, zostanie natychmiast zacytowane w

„Hol ywood Reporter" i przypisane tobie. Dla-
tego też teraz bardzo ogólnikowo opowiedział
Wel erowi o kłopotach związanych z produkcją
filmu.

—
Mówi się, że Sloan spala się jak meteoryt
w stratosferze... — Wel er zmarszczył brwi,
lecz nie zdołał ukryć rozradowania.

Pel am wzruszył ramionami. — No dobrze,
Marty, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności.
Mamy to czy nie?

Wel er wziął do ręki podniszczony scenariusz
w czarnej okładce, którego fragment przed
chwilą błędnie zacytował. Tytuł brzmiał „Czas
środkowoamerykański". — Jesteśmy blisko,
John. Cholernie blisko. Mam już prawie
osiemdziesiąt procent funduszy. — Umilkł i
przez chwilę przerzucił kartki scenariusza. W

122

swoim poprzednim życiu — co w Hol ywood znaczyło zaledwie kilka lat temu — Pel am był
jednocześnie scenarzystą i reżyserem
niezależnych filmów. „Czas środkowoa-
merykański" był filmem, nad którym pracował,
gdy jego życie i kariera wywróciły się nagle do

góry nogami.

Później nikt nie interesował się scenariuszem

aż do chwili, gdy na jego progu zjawił się

Marty Wel er ze swoją nieskazitelną

opalenizną i oznajmił ze szczerością, na jaką

mógł się zdobyć wyłącznie hol ywoodzki

producent, że zamierza zrobić z „wizji”

Pel ama klasyk kina artystycznego w duchu

gatunku *noir*.

Teraz Wel er napomknął delikatnie: — Pytali

mnie o to, co się stało wcześniej... — Mówiąc

to, wyglądał na zakłopotanego. — Zdażyliście

wejść w fazę produkcji?

—

Mieliśmy za sobą dwa tygodnie zdjęć.

Wel er nie podnosił wzroku znad scenariusza;

wyglądało to tak, jakby usiłował wyczytać coś

z gładkiej, czarnej okładki. — A potem on

zachorował.

Zachorował. Pel am przytaknął. — Zgadza się.

Tommy Bernstein — aktor grający główną rolę

w „Czasie środkowoamerykańskim”, a

jednocześnie najlepszy przyjaciel Pel ama —

wcale nie „zachorował”, tylko umarł na zawał serca po przedawkowaniu kokainy na planie zdjęciowym, co spowodowało wstrzymanie produkcji i sprawiło, że życie Pel ama — takie, jakie wiódł do tamtej pory — gwałtownie dobiegło końca.

Wel er znowu kartkował scenariusz, wzbijając w powietrze stęchlą woń starego papieru. — Ktoś... Hm, ja tłumaczę ci po prostu, dlaczego to tak długo trwa. Wiem, że to wszystko bzdury. Ale ktoś rozpuszcza pogłoski o kłatwie.

Pel am zaśmiał się. — Jak ta, która miała prześladować ekipę „Egzorcysty”? Co to za pierdoły?

—
Jeśli chodzi o pieniądze, ludzie są bardziej przesądni, niż gdyby w grę wchodziło ich własne życie. Więcej producentów decyduje się wsiąść do *samolotu* w piątek trzynastego, niż wypisać czek, możesz mi wierzyć.

—
No cóż, nic na to nie poradzę.

—
I nadal upierasz się przy tym, żeby

reżyserować?

Pel am już wcześniej zauważył w głosie

Wel era ostrożny ton, który nie zniknął. Odparł

więc twardo: — Tak.

—
Chodzi o to, John... Sam wiesz, że

124

trochę wypadłeś z obiegu.

—
Albo reżyseruję, albo nie dostanę tego

scenariusza. Wóz albo przewóz.

—
Mówią, że jeśli nie będą mogli sami

wybrać reżysera, odtwórców głównych ról i

autora zdjęć, nie dostaniemy ani centa. Oni...

—
No to mamy pat.

—
...pozwolą ci być współproducentem.

Może nawet dadzą ci udział w zyskach, skoro

jesteś autorem scenariusza.

—

Produkcja nic dla mnie nie znaczy.

—

Produkcja oznacza kupę szmalu i tyle.

Posłuchaj, John, budżet tego filmu wynosi

siedem milionów. — Postukał palcem w

scenariusz. — To murowany klasyk gatunku

noir. Nakręcimy go na czarno-białej taśmie, na litość boską. Ten film na siebie zarobi. Me

może być inaczej...

—

Marty — upomniał go cierpliwie Pel am.

Szeroko otwarte oczy Wel era zwężyły się na

moment do normalnej wielkości. — Wybacz,

zapomniałem, z kim mam do czynienia. W po-

rządku, pomyślmy o innej alternatywie. Dałbyś

radę wyłożyć sto, powiedzmy sto dwadzieścia

tysięcy?

—

A jeśli tak?

—

Obciąlibyśmy budżet filmu do czterech

milionów, sami go sfinansowali, zatrudnili

125

nieznanych aktorów, a potem spróbowali podlizać się dystrybutorom. Ty będziesz

reżyserować...

Pel am zdał sobie sprawę, że czajnik wypełnia niedużą wnękę kuchenną gorącą parą. Zrobił sobie kawę, a Wel erowi herbatę, podliczając jednocześnie w myślach sumy, jakie uzyskałby, zaciągając drugą hipotekę na dom, sprzedając swojego starego porsche'a i inkasując honorarium za „Missouri River Blues”.

Dałbym radę wyłożyć sto dwadzieścia, może nawet sto pięćdziesiąt tysięcy.

Wel er szybko dokonał własnych kalkulacji. —

Musiałbym trochę podzwonić, ale myślę, że gdybyś tyle zainwestował, dalibyśmy radę.

Coś za coś — reżyserujesz, ale nie masz udziału w zyskach. Musiałbyś pracować za niewiele ponad związkową stawkę, a może nawet odpalić ekipie część pieniędzy.

Chcę tylko zrobić ten film. Nigdy nie miałem ambicji, żeby się wzbogacić.

Zawsze byłeś zwariowanym sukinsynem,

Pel am. — Wel er pociągnął łyk gorącej

herbaty, trzymając kubek kilka centymetrów

nad blatem i nachylając się nad nim. —

Powinienem ci jednak o czymś powiedzieć.

Szczęście uśmiechnęło się i do mnie.

126

Paramount zainteresował się scenariuszem, który kupiłem w ubiegłym roku. TERRORYŚCI PO-RYWAJĄ samolot, takie tam bzdury. Banał, banał

i jeszcze raz banał, wiem. *Mea culpa*. Budżet czterdzieści pięć milionów. Nic z tego nie bę-

dzie, ale i tak muszę jechać do Londynu i

spotkać się w tej sprawie z paroma ludźmi.

—

A jeśli jednak coś z tego będzie?

—

Chcę zrobić twój film, John. — Przez

krótką chwilę pasja przebijająca przez gładką

opaleniznę wydawała się być autentyczna. W

typowy dla siebie zawołowany sposób Wel er

dawał mu do zrozumienia, że wolałby raczej

być bogatym producentem, który jest

jednocześnie kultowym artystą, niż

producentem komercyjnym, ale za to nieprzy-

zwoicie bogatym.

Peł am zdawał sobie sprawę z tego, że

Hollywood to kuźnia kompromisów.

—

I co dalej? — spytał. Pociągnął łyk kawy i
wylał resztę do zlewu. Miał zaciśnięty żołądek.

Nieczęsto otrzymuje się propozycję reży-
serowania własnego filmu za cenę
jednoczesnego zadłużenia się po same uszy.

—
Jutro wieczorem lecę do Londynu. Teraz
podzwonię i zobaczę, co się da zrobić. Ale
daję ci słowo, że jeśli nasz plan wypali,
nakręcę z tobą „Czas”. Nie będzie to łatwe, ale 127
pomacham tym z Paramount na do widzenia. I nieważne, iloma pieprzonymi zerami będą
mnie kusić. Czy to cię szokuje, John?

Powiedz.

Pel am był faktycznie zszokowany, ale odparł:

— Nie, Marty, to robi na mnie wrażenie.

Parterowe domy okazały się do niczego. Ich
wnętrza były zbyt ciasne, żeby zmieścić w nich
jednocześnie kamerę, sprzęt oświetleniowy,
ekipę i aktorów. Sloan życzył sobie
skomplikowanego ujęcia, w którym będąca
„oczyma bohatera” kamera podążałaby na
wózku z podwórza do salonu. Ostatecznie
jednak przyznał rację Pel amowi i szefowi
obsługi technicznej, którzy twierdzili, że scenę

tę trzeba będzie zmontować. Część ujęć zrobi się przed domem (najbardziej zrujnowanym z czterech wybranych), a wnętrza nakręci w salonie i pokoju dziennym stojącej po sąsiedzku dwupiętrowej willi kolonialnej.

Pel am zostawił Tony'ego Sloana wyszczekującego instrukcje kościstemu szefowi obsługi technicznej, który dawno już zatracił zdrowe poczucie humoru z pierwszych kilku tygodni zdjęć i obecnie ugiął się pod ciężarem niemożliwych zadań, takich jak przygotowanie w sześć godzin planu zdjęciowego, który normalnie budowałoby się

128
dwa dni. Pel am wskoczył na motor i pojechał do banku będącego właścicielem obu domów.

Ubrany w jasnozielony garnitur bankier uważnie przeczytał standardową umowę na wynajem obiektu zdjęciowego i podpisał ją, z lekkim zażenowaniem przyjmując czek na sześćset dolarów.

—
To największa kwota, jaką te domy przyniosły w ciągu ostatnich dwóch lat.

—
Widać, że nie jest wam tu lekko.

—
Święte słowa, proszę pana. Chciałbym,
żeby ta recesja wreszcie się skończyła. Ale
przetrwamy złe czasy, zobaczy pan.

Pel am wrócił do zaparkowanego przed
bankiem motoru i odpalił silnik. Jadąc przez
miasto, zauważył jakiś samochód, który
podążał za nim, utrzymując stale tę samą
odległość. Wydawało mu się, że widzi
siedzące z przodu dwie osoby. Na próbę
skręcił dwa razy. Samochód wybrał tę samą
trasę. Zahamował i udał, że patrzy na
sklepową wystawę pełną zakurzonych
antyków; kierowca samochodu również się za-
trzymał i udawał, że studiuje mapę. Nie
odrywając wzroku od wystawy, Pel am wrzucił
nagle pierwszy bieg i odjechał z piskiem opon,
a potem skręcił w wąskie przejście pomiędzy
dwoma opuszczonymi budynkami. Po obu
129
stronach kierownicy miał akurat dwa i pół
centymetra wolnego miejsca. Nie mógł

wcisnąc przedniego hamulca ani sprzęgła,
żeby nie zedrzeć sobie jednocześnie skóry z
kłykci o ceglany mur.

Wyjechał z uliczki i ostro zahamował, widząc u
jej wylotu śledzący go samochód. Kierowca
gwałtownie wcisnął hamulec. Pel am natych-
miast skręcił w jednokierunkową ulicę i ruszył
ku brązowej, szeroko rozlanej rzece.

Minąwszy przecznicę doznał silnego uczucia
dérj vu i zwolnił, redukując biegi do jedynek.
Śledzący go samochód zniknął, więc Pel am
skręcił w prawo i zaparkował, ulegając
własnemu instynktowi. Znajdował się na
Trzeciej, tuż obok szeregu niskich zabudowań
fabrycznych i magazynów.

Z miejsca, w którym stał, widać było tętniące
dawniej życiem nabrzeże w Maddox. Obecnie
były tam tylko puste witryny sklepowe, nudne
galerie ze starociami, kilka barów i
specjalizująca się w stekach restauracja U
Cal aghana.

Było to też miejsce, w którym postrzelono
Donniego Buffetta. Na ziemi, tuż przy swoim
bucie, zauważył ciemne ślady. Krew,

pomyślał, chociaż równie dobrze mógł to być

po prostu rozlany płyn chłodniczy albo mleko

130

czekoladowe.

Mogę ich popilnować, jeśli chce pan skoczyć

po torbę czy coś w tym rodzaju.

—

Naprawdę?

—

Pewnie.

—

Dzięki.

Pel am zaparkował motocykl i poszukał budki

telefonicznej. Zaskoczyło go, że automat

działał. A kiedy dodzwonił się do informacji, był

równie zaskoczony, słysząc, że ulica, która go

interesuje, znajduje się zaledwie jedną

przecnicę dalej.

Pel amowi nie przeszkadzał zapach tego

miejsca.

Woń środków dezynfekujących —

przypominająca tanie perfumy woń tego

zimnego w dotyku specyfiku, którym przeciera

się skórę przed jej rozcięciem albo zszyciem.

Wystrój był równie przygnębiający, jak zapach:

aluminium, jasny winyl, linoleum. Z jakiegoś

powodu kolor pomarańczowy cieszył się tutaj

dużym powodzeniem. Pomarańczowy i

fioletowy. Do tej pory Pellam bywał wyłącznie

w starych szpitalach, gdzie na każdym kroku

niemal namacalnie wyczuwało się obecność

Wielkiej Medycyny — ciemne drewno,

mosiądz i blada zieleń ścian. Zupełnie jakby

za którymiś masywnymi drzwiami o złotych

131

okuciach ktoś dokonywał właśnie odkrycia środka znieczulającego albo penicyliny.

Szpital główny w Maddox przypominał życie i

śmierć w supermarkecie.

Pellam wpisał się do księgi odwiedzających.

Pielęgniarka skierowała go na koniec

korytarza. Minął stojącego przy wejściu

policjanta, który przyjrzał mu się uważnie. —

Proszę się zatrzymać.

—

Chciałbym zobaczyć się z oficerem

Buffettem.

—

To pan jest tym świadkiem... —

Kamienna twarz policjanta pozostała niewzruszona, a oczy zmierzyły Pel ama surowym spojrzeniem.

—
Chcę się tylko dowiedzieć, jak on się czuje.

—
Proszę rozchylić kurtkę.

—
Ja...

—
Jeżeli chce się pan z nim zobaczyć, proszę pokazać, co pan ma pod kurtką.

Pel am rozchylił jej poły. Policjant przeszukał go pobieżnie, a następnie skierował do właściwej sali.

W telewizji nadawano akurat jakiś teleturniej.

Dźwięk był ściszony i jedynymi odgłosami, jakie dało się wyłapać, były głośne owacje publiczności. Odbiór był nie najlepszy i przez

132

środek ekranu telewizora przesuwano się szerokie pasmo zakłóceń. Gospodarz programu oraz jego uczestnicy bez przerwy się uśmiechali.

W przeciwieństwie do Buffetta.

—

Jak się pan czuje? — zagadnął Pel am i przedstawił się.

—

Pamiętam pana.

Pel am podszedł do szarego krzesła i stanął, jakby zastanawiając się, czy wypada mu usiąść. — Coś panu przyniosłem. — Położył na stoliku książkę, najnowszy bestseller. — Kryminał. Nie wiem, czy pan lubi.

Buffett nie spuszczał z niego wzroku.

Pel am odchrząknął. Milczenie przedłużało się.

Powiedział więc: — Nie byłem pewien, czy nie wolałby pan czegoś do picia. Co pan właściwie pija? Piwo?

—

Nic. Postrzelili mnie w plecy.

—

Słyszałem. Jak pan się czuje?

—

A jak mam się czuć?

Znowu cisza. Pel am doszedł do wniosku, że nie ma co liczyć na niefrasobliwą pogawędkę

czy żarty. Odsunął się od krzesła i skrzyżował
ręce na piersiach. — Niech pan posłucha.

Przykro mi z powodu tego, co się stało. Ale
chciałbym pana o coś poprosić. Pańscy
kumple dają mi się we znaki. A konkretnie

133

takich dwóch z dochodzeniówki. Wie pan, łążą za mną krok w krok. Uważają, że widziałem
tamtego gościa w samochodzie...

Buffett, wpatrując się dla odmiany w ekran
telewizora, wybuchnął: — Bo *widział* go pan.

—

Nie widziałem — odparł spokojnie

Peł am. — Wiem, że pana zdaniem go
widziałem. Ale tak nie było.

Buffett z uporem wbijał spojrzenie w telewizor.

Jego oczy pociemniały, malowało się w nich

zdenerwowanie. Czubkiem języka dotknął

kącika warg. Wszystko to powodowało, że

sprawił wrażenie osaczonego zwierzęcia. —

Jak mógł go pan nie widzieć? Przecież

siedział z przodu.

—

Oślepiało mnie światło.

—

Gówno prawda.

Pel am poczerwieniał. — Myśli pan, że coś ukrywam. Nie. Opisałem wam przecież faceta, który na mnie wpadł.

—
Och, jak to ładnie z pana strony. Ja *też* go widziałem. Nie potrzebujemy *jego* rysopisu. Zresztą, dawno już zwiął. Wynajęli go do morderkiej roboty, a teraz jest już pewnie z powrotem w Miami albo w Chicago.

—
Myśli pan, że mnie przekupili?

—
Myślę, że jest pan taki sam jak wszyscy.

Nie chce się pan angażować.

134

Pel am westchnął. — Lepiej już sobie pójdę.

—
Moim zdaniem, jeśli ktoś zagłąda do samochodu, to — do cholery — widzi tego, kto siedzi z przodu. A jeśli ktoś rusza ustami, to znaczy, że z kimś *rozmawiał*

—
Ja wcale...

—
Widziałeś go! Widziałem, że patrzyłeś
mu prosto w twarz!

—
Jeżeli tyle pan widział, to dlaczego sam
go pan nie opisze, do diabła?!

—
Ile ci zapłacili?

—
Ja wcale...

—
Posłuchaj mnie — przerwał mu brutalnie
Buffett. — Będziesz miał gliny na karku
dwadzieścia cztery godziny na dobę! Nie
dadzą ci spokoju. Nie dadzą ci się spokojnie
wysrać, dopóki im nie powiesz...

—
Peł am machnął ręką zrezygnowany i
podszedł do drzwi.

—
Ty sukinsynu! — Twarz Buffetta zrobiła
się sina, żyły na jego szyi nabrzmiały, a w
kącikach ust pojawiła się ślina. Głos uwiązł mu
w gardle i przez chwilę Peł am obawiał się, że
tamten właśnie dostał ataku serca. Gdy

zorientował się, że Buffett stracił mowę z wściekłości, na dobre już rozeźlony wypadł z sali.

Prosto na wchodzącą do niej młodą kobietę.

135

—
Przepraszam — mruknął.

Zamrugała powiekami i nieśmiało odsunęła się na bok. — Och, to ja przepraszam.

Była to chuda blondynka, pod trzydziestkę, ubrana w stonowany, niekrzykliwy strój.

Wyglądała jak sekretarka i uśmiechała się nieśmiało, z zażenowaniem. Pel am uznał, że jest żoną postrzelonego policjanta i pomyślał, że tamten miał sporo szczęścia, żeniąc się z tak ładną istotą. Pomyślał też, że jeszcze przez długi czas będzie z nią miała prawdziwe piekło.

Kobieta odezwała się: — Szukam doktora Albertsona.

Pel am pokręcił głową, wzruszył ramionami i minął ją.

Był w już w holu, gdy usłyszał, jak Buffett krzyczy za nim: — No jasne, idź sobie! Tak po

prostu! Nie krępuj się, ty sukinsynu!

Krzyk cichł w miarę, jak Pel am oddalał się od sali. Stojący na warcie policjant też coś powiedział — coś, czego Pel am nie dosłyszał — chociaż sądząc po złośliwym uśmiešku, musiało być to równie niemiłe, jak pożegnalne słowa Buffetta. Po chwili stał już przy windzie, wyłamując palce i czując, że szczęki zaciskają mu się ze złości. Siedem razy wcisnął przycisk windy, zanim zdał sobie sprawę, że lampka się

136

świeci, a dźwig jest już w drodze.

Drgnął, słysząc za sobą kobiecy głos: —

Przepraszam. Nie chciałam panom przeszkodzić.

Obejrzał się i zobaczył idącą ku niemu tamtą blondynkę. Spojrzała na numery pięter pojawiające się na wyświetlaczu ponad drzwiami windy.

Pel am zacisnął zęby. — Nie ma sprawy.

—

Wyglądał mi znajomo. — Zerknęła w tył, w głąb korytarza.

—

Kto?

—

No, pański kolega. Mężczyzna w sali, z której pan wychodził.

—

Me *zna* go pani?

Wyjaśniła, że nie. Szukała lekarza prowadzącego jej matkę i pielęgniarki ją tutaj skierowały. Skinęła głową w kierunku sali

Buffetta. — Kto to jest?

Pel am odparł: — Ten policjant, którego postrzelili.

—

No tak, oczywiście! Czytałam o nim w „Post-Dispatch”. Zamieścili jego zdjęcie. Jak on się nazywa?

—

Donnie Buffett.

—

To pana przyjaciel?

Pel am machnął ręką. — Chyba pani słyszała... Nie sądzę; aby można nas było

137

uznać za przyjaciół.

Przyjechała winda. Weszli do środka. Z tyłu za nimi stanął mężczyzna w szlafroku, zaciskający dłoń na wysokim stojaku z kroplówką przypominającym chromowany wieszak na kółkach.

—
A lekarz właśnie wyszedł na lunch. —

Kobieta zrobiła zabawną minę. — Miałam się z nim spotkać w sprawie mamy. Teraz muszę tu znowu wrócić za godzinę.

—
Pani mama jest tutaj pacjentką?

—
Po histerektomii. Nic jej nie jest. Co prawda bez przerwy narzeka, ale to właśnie znaczy, że nic jej nie jest.

Winda, z wolna wypełniająca się owocowym aromatem jej perfum, zatrzymała się na parterze. — No to jesteśmy — powiedział, gdy znaleźli się w przestronnym holu. Owiąło ich chłodne powietrze.

—
Tak.

Nazywam się John Pel am. Uścisnęła

jego dłoń. — Nina Sassower.

Kiedy znaleźli się na ulicy przed szpitalem,
Nina rozejrzała się. Miała przepiękny profil; jej
twarz była... Jak najlepiej można by ją opisać?

Wolna od ciężaru trosk.

Zaraz jednak uśmiechnął się z goryczą. *Wolna
od ciężaru trosk. Za dużo filmowego*

138

słownictwa, za dużo artystycznych skojarzeń.

Nie, ta kobieta była po prostu *zmysłowa,
ładna. Seksowna.*

Spojrzał na zegarek. Miał dużo rzeczy do
zrobienia i niewiele czasu, żeby ze wszystkim
zdążyć: trzeba było załatwić ubezpieczenie
tymczasowe na domy, w których mieli kręcić,
jak każdego dnia przejrzeć z tuzin zezwoleń
na realizację zdjęć i upewnić się, że żadne z
nich się nie zdezaktualizowało w związku z
przedłużającym się czasem produkcji,
zadzwoić do banku w Sherman Oaks w

sprawie hipoteki na sfinansowanie jego
własnego filmu „Czas środkowoamerykański”,
wreszcie sprawdzić pozostałe weksle i
zastanowić się, do kogo by tu jeszcze uderzyć
w sprawie pożyczki — a wszystko to w czasie,
gdy będzie próbował zgubić policyjny ogon.

Ostatecznie nie zrobił żadnej z wyżej
wymienionych rzeczy. Zapytał za to Ninę: —
Masz ochotę na lunch?

I jak się okazało, miała.

O trzeciej po południu Pel am był z powrotem
w przyczepie, gotów wyruszyć na plan, kiedy
zadzwoił telefon. Chwycił słuchawkę i przy-
trzymując ją między uchem a uniesionym
barkiem, wkładał jednocześnie skórzaną
kurtkę. — Tak?

139

—
Jutro kolacja.

—
Okej. To ty, Marty?

—
Może lepiej usiądź. Siedzisz?... Telorian.

Pel am na chwilę zaniemówił. — Jesteś

pewien?

—

Daj spokój. Czy jestem *pewien*? —

powtórzył sarkastycznie Wel er.

Ahmed Tel orian. Pięćdziesięcioletni inwestor pochodzenia or-miańsko-irańskiego (po aferze z zakładnikami zaczął się podawać za Persa) uwielbiał amerykańskie kino w takim samym stopniu, w jakim uwielbiał zarabiać miliony na sprzedaży podzespołów elektronicznych. Wraz z żoną Telorian zakupił, przebudował i odremontował stare kino w Westwood, z którego wspólnie uczynili kultowy bastion niezależnego kina, gdzie pokazywano najdziwniejsze filmy. Wiele z nich należało do gatunku *noir*, ulubionego gatunku Johna Pel ama.

Przed kilkoma laty Telorian i Pel am spędzili razem wieczór, pijąc i rozmawiając o Claire Trevor, Glorii Grahame, Robercie Mitchumie i Edzie Dmytryku. Nad szklaneczkami mocnego ouzo spierali się głośno, z zaciśniętymi pięściami.

Powodem tamtego spotkania przed paru laty

było poboczne zajęcie Teloriana — a

140

mianowicie produkcja niskobudżetowych filmów. Przeczytał on „Czas
środkowoamerykański” Pel ama i był
zainteresowany kupnem praw do scenariusza.

Przypadło to na czas, kiedy Pel am nie życzył
sobie mieć do czynienia z wytwórniami
filmowymi, chyba że zlecały mu
przygotowywanie dokumentacji do swoich
filmów. Bez mrugnięcia okiem odrzucił więc
hojną propozycję Teloriana, który wściekły
wybiegł ze spotkania. Od tamtej pory Pel am
nigdy o nim nie myślał. Teraz poczuł, że jego
puls przyspiesza, gdy zadawał pytanie: —

Telorian jest w Maddox?

Bardziej prawdopodobne byłoby zobaczyć
Elvisa przepychającego się do stolika w Hard
Rock Cafe.

—

Przypadkiem był w Chicago. Moja
sekretarka go namierzyła. Mówi, że kilka lat
temu go spławiłeś.

—

Kilka lat temu wszystkich spławiałem.

—
Nie, żeby wziął to sobie do serca. A w
każdym razie nie za bardzo. Nadal uważa, że
„Czas środkowoamerykański” może być
przebojem. Pojutrze musi być w domu, ale
udało mi się go przekonać, żeby po drodze
wpadł do St.Louis i z tobą porozmawiał.

—
A jak się zapatruje na to, żebym to ja

141

reżyserował?

—
Zero obiekcji. Chce tylko wiedzieć, co
zamierzasz. To już nie te czasy, co dawniej.

Teraz interesują go tylko hity. Nie ma nic
przeciwko czarno-białym filmom, o ile
przynoszą *zyski*. Rozumiesz?

—
Kiedy ląduje jego samolot?

—
Wtedy, kiedy powie swojemu pilotowi,
żeby wylądował. Spotkasz się z nami o ósmej
w hotelu Waterfront Sheraton. W barze w lob-
by. Wiesz, gdzie to jest?

—
Znajdę.

—
Jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt minut
jazdy z Maddox.

—
Dostał wstępną wersję scenariusza? —
upewnił się Pel am.

—
Dostał wszystko, co trzeba. Ty tylko
przywieź jak najwięcej plotek o Tonym
Sloanie.

W holu, którego ściany pokrywała tapeta w
kwiatowy wzór, stał biały plastikowy stół, a na
nim przezroczysty, plastikowy dzbanek ze
sztucznymi kwiatami. Po lewej stronie
zakończone łukiem drzwi prowadziły do
salonu. Meble w obu pokojach pochodziły
głównie z lat pięćdziesiątych i zostały
zakupione w domu towarowym — stoły w
kształcie nerki, krzesła z jasnego drewna,

142

miękkie fotele i dwuosobowe sofy z beżową tapicerką oraz całe mnóstwo plastiku. Był po
prostu wszędzie. W kącie salonu młoda

kobieta w białej bluzce i czarnych rybaczkach

usiłowała przebrnąć przez etiudę Chopina.

Młody, muskularny mężczyzna w luźnych

brązowych spodniach i żółtej koszuli z krótkimi

rękawami opierał się o pianino, uśmiechając

się i kiwając lekko głową.

—

Wiesz, pierwszy raz zobaczyłem cię

wtedy wieczorem, na tańcach. Było...

—

Pamiętam. — Dziewczyna przestała grać

i popatrzyła na niego.

—

Było gorąco jak w piekle, a ty stałaś po

drugiej stronie sali pod tym japońskim

lampionem.

—

Pamiętam, był podarty.

—

Właśnie, był podarty. Żarówka

prześwitywała przez papier, a ty stałaś w jej

świecie. Od razu wiedziałem, że jesteśmy dla

siebie stworzeni.

Przykrył jej dłoń swoją.

W drzwiach wejściowych wyrósł z wolna
potężnie zbudowany mężczyzna i uniósł w
górze pistolet maszynowy. Młodzi ludzie
odwrócili się. Z ich twarzy zniknął uśmiech.

—
Nie! — krzyknęła kobieta. Mężczyzna
zrobił krok naprzód w stronę napastnika. Z

143

pistoletu padła głośna seria. Obrazy, wazony, lampy eksplodowały, ściany pokryły ciemne
dziury, a z ciał dwojga młodych trysnęła krew,
gdy rzucili się ku sobie. Wreszcie napastnik
opróżnił magazynek i nastąpiła przejmująca
cisza. W tej ciszy kochankowie osunęli się
wolno na podłogę, a ich zakrwawione dłonie
szukały siebie nawzajem. Palce ich się
zetknęły, a ciała znieruchomiały.

Żaden z kilkunastu spoconych ludzi stojących
w pokoju wokół nieruchomych, krwawych
zwłok nie powiedział ani słowa. Żaden z nich
nawet nie drgnął. Większość nie patrzyła
wcale na zabitych, lecz na brodatego
mężczyznę w dzinsach i zielonym
podkoszulku, który stał oparty o stojak
reflektora, podczas gdy jego zaczerwienione

oczy błądziły w zadumie po salonie. W końcu

Tony Sloan ruszył przed siebie, deptając

zużyte łuski po nabojach. Kręcił głową.

Młody mężczyzna w brązowych spodniach

usiadł, otarł krew z nosa i odezwał się: — Daj

spokój, Tony. Było dobrze.

—

Cięcie — rozległ się okrzyk zza kamery.

Zakrwawiona aktorka zerwała się na nogi i

uderzyła lepkimi od krwi dłońmi o biodra. —

Chryste Panie — mruknęła ze złością.

Znalazłszy się w samym centrum jatki, Sloan

144

rozejrzał się uważnie. Wreszcie wypalił: —

Wcale *nie było* dobrze.

Facet z pistoletem maszynowym wyciągnął z

uszu watę i zapytał: — Co on powiedział?

Aktorka wykrzywiła się. — Powiedział, że nie

było dobrze.

Zabójca wzruszył ramionami.

Sloan dał znak scenarzyście Danny'emu i

asystentce reżysera, młodej blondynce po

trzydziestce. Cała trójka stłoczyła się w kącie

pokoju, podczas gdy na plan wbiegli

garderobiani i pracownicy scenografi , żeby
uprzątnąć całe pobojowisko. — Musimy to
nakręcić na zewnątrz — oznajmił Sloan.

Złoty kucyk asystentki reżysera rozkołysał się,
gdy jego właścicielka energicznie przytaknęła.

—
Na zewnątrz? — westchnął Danny.

Zgodnie z umową podpisaną ze
Stowarzyszeniem Scenarzystów Filmowych
płacono mu za każdą poprawkę, jaką
wprowadzał do scenariusza „Missouri River
Blues". Mimo to ta akurat metoda zarabiania
pieniędzy dawno już przestała być dla niego
atrakcyjna.

—
To po prostu nie było wystarczająco, no,
dynamiczne — myślał na głos Sloan. — Tej
scenie potrzeba ruchu. *Oni* powinni być w
ruchu. Myślę, że to bardzo ważne, żeby się

145

ruszali.

Teraz Danny wyciągnął z uszu zatyczki. —
Może zapomniałeś, że zarówno w powieści,
jak i w pierwszej wersji scenariusza oboje

uciekają. To nie *ja* ich zabiłem.

Reżyser odparł: — Nie, nie, nie, Nie o to chodzi. Oni *muszą* umrzeć. Po prostu uważam, że powinni zginąć na zewnątrz.

Wiesz, żeby było widać, jak niewiele ich dzieli od wolności. Przypomnij sobie lęki Rossa.

—

Lęk przed zamknięciem — wyrecytowała asystentka reżysera, wymachując swoim sztywno sterczącym kucykiem. Trudno było stwierdzić, czy powiedziała to z szacunkiem, czy raczej z sarkazmem.

Danny owinął koniec własnego kucyka, czarnego niczym skrzydła kruka, wokół krótkich palców, a następnie strzepnął z policzka kawałek czerwonego plastiku z łuski ślepego naboju. Wyglądał na równie wyczerpanego, jak Sloan. — Powiedz mi, czego ty właściwie chcesz, Tony. Chcesz, żeby umarli, to ich uśmiercę. Chcesz, żeby umarli przed domem, uśmiercę ich przed domem. Tylko mi to powiedz.

Reżyser zawołał: — Pel am? Cholera, poszedł sobie?

Pel am, który nie miał w uszach zatyczek, lecz

146

siedział na frontowych schodach jakieś dziesięć metrów od miejsca strzelaniny,

podniósł się i wszedł do salonu. Ominął rozbite

szkło oraz ceramikę i jednym krokiem

przeszedł ponad dwoma ubranymi w ochronne

kombinezony specami od broni, usuwającymi

spłonki pirotechniczne, które nie wybuchły.

Sloan zwrócił się do niego: — Mamy jakąś

drogę?

—

A po co ci droga?

—

Chciałbym, żeby zginęli na drodze —

wyjaśnił Sloan. — Albo przynajmniej w pobliżu

jakiejś drogi.

Aktorka w rybackach zaprotestowała: — Nie

chcę znowu ginąć. Wtedy jest hałas i straszny

bałagan, i w ogóle mi się to nie podoba.

—

Musisz umrzeć i tyle — uciął Sloan. —

Przestań wreszcie narzekać.

Dziewczyna wskazała zakrwawionym palcem

kasetę z filmem, którą asystent operatora

wyciągał właśnie z kamery. — Ja już nie żyję.

Masz to wszystko na taśmie.

Reżyser wbił wzrok w podłogę. — Musimy znaleźć drogę, która bieglaby przez las. Nie,

obok pola. Dużego pola. Może w pobliżu

szkoły, albo czegoś w tym rodzaju. Ross i

Dehlia planują ostatni skok. Ale wpadają w

zasadzkę. Goście z Agencji Pinkertona stają

147

zniecka w oknach i...

Pel am otworzył usta.

—

Przestanieś mnie wreszcie dręczyć

„Bonnie i Clyde'em", Pellam? — warknął

Sloan. — To będzie całkiem inna scena.

Wszyscy będą myśleli, że tamci dwoje oberwą

— to znaczy publiczność pomyśli o „Bonnie i

Clydzie". Będą pewni, że już to gdzieś widzieli.

Ale nie, o nie. Tym razem dzieciaki się

wywiną. Może pistolety się zatną albo...

Danny przerwał mu: — *Oba* się zatną? Mamy

dwóch agentów.

—

Okej, jednemu zatnie się pistolet, a drugi

zwyczajnie chybi.

—

Więc teraz mają przeżyć, tak? — upewnił się radośnie Danny.

—

Nie, nie, nie. Chcę, żeby uciekli, a dopiero potem zginęli... W jakimś dziwnym wypadku... Już mam! Wjadą prosto pod pociąg.

Aktorka wtrąciła: — Wszystko mi jedno, byleby już do mnie nie strzelali.

Pel am odezwał się: — Ktoś już nakręcił takie zakończenie z pociągiem. Kto to był? To bardzo w stylu lat siedemdziesiątych. El iot Gould mógł w jakimś filmie wjechać pod pociąg. Albo Donald Sutherland. W „Sugarland Express”. — Zastanawiał się, dlaczego tak go

148

to wkurza. „Missouri River Blues” to przecież nie był *jego* film.

Wtyczka z wytwórni, młody koleś, którego kręcone włosy wyjątkowo nie były związane w kucyk, zapalił papierosa i rzucił w przestrzeń:

—

Wiecie, ile kosztuje wynajęcie pociągu?

Sloan chciał coś powiedzieć, ale zmienił

zdanie. Po chwili odparł:

—

Mógłbym się zgodzić na tira.

Pel am mruknął: — To może od razu zmien

tytuł filmu na „Córka Bonnie i syn Clyde'a”?

Danny przybił mu piątkę.

Reżyser zignorował ich zachowanie. —

Daniel, zmień tę scenę i daj egzemplarz tekstu

Johnowi. Chcę, żeby to wyglądało tak, jakby

za moment mieli zginąć, ale w ostatniej chwili

coś się wydarza, uciekają, a potem giną w

jakimś dziwnym wypadku.

Danny był już naprawdę u kresu

wytrzymałości. — Tylko co? Co takiego się

wydarza? Powiedz mi. Rzuć jakiś pomysł.

Reżyser wzruszył ramionami. — Zaskocz

mnie. Chcę, żeby to wyglądało tak, jakby

człowiek nie mógł ich zniszczyć, tylko

przeznaczenie. Przeznaczenie, przyroda albo

jakieś inne gówno.

Pel am wtrącił się: — Czy to ma być jakaś

szczególna droga?

—
Droga... — Spojrzenie Sloana znowu

zaczęło błędzić po pokoju.

—
Ma być blisko rzeki, a po jednej jej

stronie ma być wielkie pole. Chcę, żeby

samochód zjechał z drogi i wpadł do rzeki.

Do rzeki. Pełną skrzywił się. W dzisiejszych czasach zdobycie pozwoleń na tego typu

sceny najczęściej graniczyło z cudem. Nikt nie

chciał, żeby benzyna, olej silnikowy i rozmaite

części samochodowe zaśmiecały jego

akweny. Wiele scen wypadków

samochodowych kręciło się po partyzancku, w

ukryciu, bez pozwolenia — ekipa zjawiała się i

znikała, zanim o wszystkim zwiedziały się

władze, a ewentualne dowody pozostawały na

dnie rzeki lub jeziora. Pełną pomyślał, że jeśli

Sloan uprze się, żeby packard Rossa wpadł

do Missouri, trzeba to będzie nakręcić właśnie

w taki sposób.

Sloan oznajmił: — Obejrzę teraz materiał z

całego dnia.

Pośpiesznie ruszył w stronę drzwi. Nie zdążył

jednak wyjść, gdyż w holu rozległy się

podniesione głosy.

Do salonu wszedł tyłem ochroniarz, usiłujący powstrzymać dwóch wysokich mężczyzn w jasnoszarych garniturach. Tamci stanowczo parli do przodu, mówiąc coś cichymi i

150

uprzejmymi, lecz nie znoszącymi sprzeciwu głosami. Jeden z mężczyzn spojrzał na Pel ama i zwrócił się do swojego partnera: — To ten. — Minęli poczerwieniałego ze zdenerwowania ochroniarza i wdarli się na plan.

—

Hola, hola — zawołał Sloan. — Co to ma być?

—

Pan John Pel am?

Zanim Pel am zdołał odpowiedzieć, Sloan odparł ze zniecierpliwieniem: — To jest zamknięty plan zdjęciowy. Muszą panowie go opuścić.

Jeden z nowoprzybyłych odezwał się wysokim głosem, w którym pobrzmiwał skruszony ton:

— Bardzo nam przykro z powodu tego najścia.

To zajmie tylko chwilę. — Po czym zwrócił się do Pel ama i powtórzył: — Czy pan John

Pel am?

—

Zgadza się.

Sloan popatrzył na Pel ama. Na jego twarzy malowały się jednocześnie zakłopotanie i wściekłość. — John, kim są ci ludzie? Co tu się u diabła *dzieje*?

Podobnie jak poprzedniego dnia policjanci, tak i ci dwaj zignorowali Sloana, zwracając się wprost do Pel ama: — Jesteśmy z Federalnego Biura Śledczego. — Mignęły mu dwa identyfikatory.

151

I tak jak poprzedniego dnia, kiedy na planie zjawili się gliniarze, tak i tym razem wszyscy przestali pracować i obserwowali niezwykłą scenę.

—

Jestem agent specjalny Monroe, a to agent specjalny Bracken. Pozwoli pan z nami na zewnątrz? Chcielibyśmy zadać panu parę pytań... — Agenci nawet nie spojrzeli na zakrwawioną aktorkę. Pewnie w swoim życiu widzieli już sporo ofiar strzelaniny.

—

Na jaki temat?

—

Przestępstwa, którego mógł pan być
świadkiem. Mógłby nam pan poświęcić kilka
minut?

—

W tej chwili jestem naprawdę bardzo
zajęty.

—

Rozumiem — mruknął Bracken. Monroe,
ze swoimi wycienio-wanymi włosami i
starannie wypielęgnowanym wąsikiem,
pasował do wizerunku agenta FBI. Bracken
zaś był niechlujny i miał na sobie pognieciony
garnitur. Wyglądał jak zwykły oprych. Może był
tutaj w przebraniu. — To nie zajmie dużo
czasu.

—

On jest *bardzo* zajęty — zaprotestował

Sloan. — Jak zresztą my wszyscy.

Bracken odezwał się do Pel ama, jakby to *on*
zgłosił sprzeciw: — Proszę pana, jeśli w

152

dalszym ciągu będzie pan odmawiał

współpracy, będziemy zmuszeni zabrać pana
do St. Louis i...

Sloan podszedł do nich zdecydowanym
krokiem. — Nie wiem, o co chodzi, ale nie
wolno wam tutaj włączyć ot, tak sobie. Załatwcie
nakaz, albo coś takiego. John, co tu się u
diabła dzieje? O czym oni mówią?

—

Oczywiście możemy wrócić z nakazem,
proszę pana. Ale wówczas będzie to nakaz
aresztowania obecnego tu pana Pel ama...

—

Za co?

—

Za lekceważenie funkcjonariuszy
państwowych i utrudnianie śledztwa. A teraz,
jeśli tego właśnie panowie chcą...

—

Jeżu — jęknął Sloan i zamknął oczy.
Wyglądało na to, że jest bardziej
zdenerwowany od Pel ama. — Porozmawiaj z
nimi, John. — Machnął gwałtownie ręką, jakby
odpędzał natrętną pszczołę. — Nie życzę
sobie już więcej *tego* rodzaju problemów.

Rozumiemy się?

—

Może moglibyśmy wyjść na zewnątrz,
panie Pel am? — zaproponował Monroe. —

To nie potrwa długo.

Sloan dał Pel amowi znak, unosząc z irytacją
brwi, i zapewnił agentów: — Zrobi to z
prawdziwą przyjemnością.

153

7

Pellam pierwszy wyszedł na zewnątrz, a za

nim obaj agenci. Minęli rząd przyczep,

wózków pod kamery oraz agregatów

prądowców i znaleźli się na ulicy. Tam

od razu Pel am został pokierowany na cho-

dnik, z dala od ciekawych spojrzeń członków

ekipy oraz miejscowych gapiów, którzy z

fascynacją obserwowali sprzęt i od czasu do

czasu machali — niektórzy nieśmiało, inni z

przyjacielską życzliwością — do kręcących się

po planie aktorów.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku pokazał

Pel ama palcem i szepnął coś na ucho stojącej

obok kobiecie. Ich twarze pociemniały i bez

uśmiechu patrzyli, jak znika im z oczu za
rzędami zaniedbanych żywopłotów. Gdy
zgodnie z otrzymanym poleceniem skręcił w
jedną z bocznych uliczek, znowu mignęło mu
tamtych dwoje. Ciągle przypatrywali mu się z
nietajoną wrogością; teraz jednak dołączyło do
nich jeszcze kilka innych osób.

W połowie drogi do miejsca, gdzie, jak sądził
Pel am, agenci zaparkowali swój wóz,
mężczyźni zatrzymali się. Miał ich teraz po

154

obu bokach.

—
Możemy porozmawiać tutaj.

—
Tutaj? — Pel am zrobił krok w tył, żeby
zwiększyć dzielący go od nich dystans. Oparł
się plecami o ceglana ścianę jednego z budyn-
ków. Obejrzał się i stwierdził, że jest dosłownie
przyparty do muru. Odwrócił się do Brackena.

— Nie moglibyśmy...?

—
Stul pysk — warknął elegancik Monroe.

Bracken wbił krótki palec wskazujący w pierś

Pel ama i pchnął go brutalnie na ścianę. —
Wiemy, że się do ciebie dobrał. Wiemy, że
trzyma cię za jaja. — Choć obaj musieli się
tego ranka golić, Bracken zrobił to znacznie
bardziej niechlujnie. Czuć go było potem. Ci
dwaj najwyraźniej nigdy nie słyszeli o wodzie
kolońskiej.

Pel am machnął ręką zirytowany i ruszył w
stronę wylotu uliczki. — Idźcie do diabła.

Dwie olbrzymie dłonie zacisnęły się
równocześnie na jego ramionach i cisnęły nim
z powrotem o ścianę. Jego głowa trafiła na
szybę. Posypało się szkło.

—
Chyba się nie zrozumieliśmy —
powiedział Monroe.

Pel am wolał nie ryzykować przeszukania,
zwłaszcza że za paskiem spodni miał nie
zarejestrowaną broń. Podniósł w górę dłonie w

155

pojedynczym geście. — Może po prostu powiecie mi, o co wam chodzi.

—
Świadek przestępstwa federalnego, który
odmawia składania zeznań albo składa

falszywe zeznania, może być uznany za
winnego obrazy wymiaru sprawiedliwości,
utrudniania śledztwa oraz krzywoprzysięstwa.
— Na swoim owłosionym nadgarstku Bracken
miał grubą, złotą bransoletę, niezbyt
odpowiednią dla agenta rządu federalnego.

—
A także znowy, jeżeli dowiedzie się
istnienia powiązań pomiędzy nim a
bezpośrednim sprawcą — dodał ten drugi.
Bracken przysunął twarz do twarzy Pel ama.

— Chodzi o to, że skoro brak ci jaj, żeby
powiedzieć nam, co widziałeś tamtego
wieczoru, potraktujemy cię jak współnika
zbrodni.

—
Aresztujecie mnie?

—
Nie, proszę pana.

—
W takim razie to się chyba nazywa
dręczenie świadka. I to chyba dobry moment,
żebym zadzwonił po swojego prawnika.
Bracken znowu chwycił go za klapy i pchnął

silnie na ceglana ścianę. Tym razem Pel am

pamiętał, żeby pochylić głowę do przodu,

dzięki czemu nie rozbił kolejnej szyby. —

Wiemy, że widziałeś w lincolnie Crimmins, i

156

chcemy, żebyś go zidentyfikował.

—

Nawet nie wiem, o kim mowa.

—

O facecie, który cię przekupił.

Zapomniałeś już?

Monroe wyciągnął z kieszeni zdjęcie

operacyjne. Był to kadr przeniesiony z taśmy

wideo i w prawym dolnym rogu widoczne były

data i godzina. Fotka przedstawiała

masywnego mężczyznę o szerokiej twarzy,

słowiańskich rysach i wysokich zakolach. Miał

otwarte usta i odwracał się, jakby mówił coś do

idącej za nim, niewidocznej na zdjęciu osoby.

—

Nigdy go nie widziałem.

—

Przyjrzyj się uważnie, Pel am. To jest

właśnie Peter Crimmins.

—
Ja go nie...

—
Przyjrzyj się, Pel am — powtórzył

Monroe. — To ten człowiek siedział w

lincolnie. To on odpowiada za śmierć Vincenta

Gaudi i za postrzelenie **oficera** policji z

Maddox. Tego człowieka widziałeś. Chcemy

tylko, żebyś to potwierdził.

—
Nie mogę potwierdzić czegoś, czego nie

widziałem.

—
Więc nie będziesz z nami

współpracował? — warknął Bracken.

—
Właśnie *współpracuję*. Wysłuchałem

was. Prawdę mówiąc, to, co się tu dzieje,

157

przekracza granice współpracy. Żegnam.

To była bardzo, bardzo długa godzina.

Peter Crimmins pocił się. Jego bawełniana

koszula marki Sea Island była mokrzuteńka u

nasady kręgosłupa i pod pachami. Krople potu

osadzały się we włosach na jego piersi, a kiedy się poruszał, czuł ich zimny dotyk na swojej skórze. Pot zbierał się także w głębokich fałdach tłuszczu w miejscu, gdzie kończyła się klatka piersiowa, a zaczynał brzuch. Pot ściekał mu strużkami po plecach. Crimmins zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może wyprosić agentów z biura, a wówczas oni albo go aresztują, albo dadzą mu święty spokój. Gdyby go jednak aresztowali — co z łatwością mogli zrobić — oznaczałoby to konieczność wezwania jego prawnika i przyjaciela w jednej osobie.

A tego Crimmins wolał uniknąć. Dlatego zgodził się odpowiedzieć na pytania agentów. Gestem poprosił ich, żeby zajęli miejsca w jego gabinecie z widokiem na ciasny parking z jednej strony, a ciemny pokój pełen biurek z drugiej i dotknął czubkiem palca znamienia nad okiem. Grad pytań trwał przeszło godzinę. Jego goście byli przystojnymi, ciemnoskórymi mężczyznami, wyglądającymi bardziej na absolwentów ekonomii niż na agentów

federalnych. Przypominali większość klientów Crimminsa (zarówno tych działających legalnie, jak i tych pracujących na granicy prawa) — inteligentni, uprzejmi, z rezerwą. Lecz pod tymi zewnętrznymi pozorami krył się chłód styczniowego poranka na Środkowym Zachodzie.

Jeden z agentów zadawał pytania, drugi na zmianę notował i mierzył Crimminsa nieprzeniknionym spojrzeniem.

—
Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie był w ostatni piątek wieczorem, proszę pana?

Nie znosił tego „proszę pana”. Brzmiało to tak, jakby na koniec każdego zdania mężczyzna spluwał, żeby okazać mu swoją pogardę. Ale co mógł na to poradzić? Takie było odwieczne prawo negocjacji — nigdy nie mów niczego, co może być później zacytowane na twoją niekorzyść. Gdyby w przyszłości chciał zarzucić agentom nękanie go, gość odparłby zapewne: „Przez cały czas zwracałem się do niego grzecznie «proszę pana»... Wystarczy zajrzeć do stenogramu”.

—
Większość wieczoru spędziłem w swoim

biurze.

—

O której pan stąd wyszedł?

—

Okolo dziesiątej. Moze za kwadrans

dziesiąta.

159

—

Był pan w biurze sam?

—

Tak. Moja sekretarka wychodzi

codziennie o piątej piętnaście. Ja często

pracuję do późna.

—

Czy w biurze jest ochroniarz?

—

Mamy ochroniarzy, pewnie. Ale żadnego

z nich nie widziałem tamtego wieczoru, kiedy

wychodziłem z biura.

—

Czy ktoś może potwierdzić miejsce

pańskiego pobytu w tym czasie?

—

Naprawdę myślicie, że zabiłem Vince'a

Gaudię? — zapytał Crimmins, poirytowany.

—

Czy ktoś może to *potwierdzić*, proszę

pana? — powtórzył agent.

—

Nie.

—

Jest pan właścicielem samochodu marki

lincoln?

—

Owszem. I mercedesa kombi. Z silnikiem

diesla.

—

Jakiego koloru jest pański lincoln?

Crimmins potarł wypukłość swojego trzeciego

oka. Dlaczego aż tak go nienawidzili? —

Granatowy. Ale to już wiecie, prawda?

—

Numer rejestracyjny? Crimmins podał im

go.

—

Gdzie był pański samochód tamtego

wieczoru, o którym mowa? Crimmins był

głodny. Miał niski poziom cukru we krwi i jeśli nie
jadł regularnie — czasami nawet do pięciu
razy dziennie — zdarzały mu się ataki
hipoglikemii. Z pewną przyjemnością pomyślał
o tym, że Vince Gaudia nie zdążył zjeść
swojego ostatniego posiłku tamtego wieczoru,
kiedy zginął. — Pojechałem nim do miasta.

—
Gdzie go pan zaparkował, proszę pana?

—
Tam, gdzie zawsze parkuję. Na krytym
parkingu przy Ritzu.

—
Czy posiada pan model Lincoln
Continental?

—
Już wam mówiłem.

—
Nie mówił pan, jeśli chodzi o ścisłość.

Nie znamy modelu pańskiego wozu. Czy to
jest Continental?

—
To zwykły sedan. Model Town Car.

—

A teraz proszę mi jeszcze raz

powiedzieć, gdzie pan był tamtego wieczoru.

Crimmins zapytał: — Chodzi panu o to, w którym miejscu siedziałem?

—

Twierdzi pan, że był u siebie w biurze?

—

Nie twierdzą. Byłem tutaj. Już to wcześniej panom *mówiłem*. Czy pański kolega tego nie zapisał? Widziałem, że coś zapisywał.

—

A dlaczego w biurze nie było pańskiej sekretarki?

161

—

Wychodzi codziennie kwadrans po piątej.

To też już *mówiłem*. Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność. Agenci czepiali się każdego jego słowa.

Wreszcie podnieśli się. Zatrzasnęli swoje notesy, zabrali płaszcze i już ich nie było.

Peter Crimmins siedział teraz sam przy swoim biurku, wpatrując się w dobrze znane nacięcia biegnące wzdłuż krawędzi blatu, wodząc po

nich palcem, czując brzuch napierający na pasek spodni.

Ocknął się, słysząc dzwonek telefonu.

Dzwonił jego prawnik. Crimmins postanowił nie mówić mu nic o wizycie gości z FBI.

Rozmowa z nimi przebiegła gorzej, niż się spodziewał, ale gdyby powiedział o tym prawnikowi, ten wściekłby się, że Crimmins nie zorganizował spotkania w jego obecności. Na szczęście temat przesłuchania w ogóle nie wypłynął; prawnik wolał mówić, niż słuchać.

—
Pete, mam dla ciebie ważne informacje.

Zadzwoń do mnie z bezpiecznego telefonu, okej?

Crimmins chrząknął i rozłączył się. Zszedł na dół i przeszedł ulicą na kryty parking hotelu Ritz Carlton. Nie zadając sobie trudu, żeby okazać bilet, skinął głową młodemu parkingowemu, a ten pognał, żeby

162

przyprować mu jego lincolna. Crimmins popatrzył kwaśno na nadjeżdżający wóz.

Wręczył chłopakowi banknot, wsiadł do auta i wyjechał na szeroką ulicę. Podniósł słuchawkę

samochodowego telefonu, którego numer
zmieniany był tak często, że Crimmins miał 95
procent pewności, iż linia jest bezpieczna.

—
Podobno masz jakieś informacje. —

Crimmins prowadził spokojnie, znacznie
poniżej dozwolonej prędkości.

—
Tamten świadek — rzucił prawnik. Ten
akurat nie był jednocześnie jego przyjacielem.

—
No.

—
Świadek zabójstwa Gaudi .

—
Wiem, o kim mowa. Co z nim? —

warknął Crimmins; był wściekły, ponieważ
istniała jednak pięcioprocentowa szansa, że
linia nie jest bezpieczna.

—
Znalazłem go.

—
Jak?

Podzwoniłem po ludziach, którzy byli mi
winni przysługę. *Przysługę?* Nonsens. Takie
pijawki nie miewają długów wdzięczności. —
Kto to jest?

—
Jakiś gość z ekipy filmowej, która kręci w
Maddox.

—
Z ekipy filmowej? Nic nie wiem o żadnej

163
ekipie.

—
Kręcą u nas film gangsterski. — W
ożywionym głosie prawnika zabrzmiała ironia,
lecz Crimmins ją zignorował.

—
No i co dalej? Mów. Mężczyzna odparł:
— Twierdzą, że facet widział kogoś w
samochodzie. Policja z Maddox i FBI. Póki co
za bardzo się boi, żeby zeznawać.

—
Co właściwie widział? — zapytał wolno
Crimmins.

Są pewni, że widział kierowcę — odparł
prawnik, po czym dodał: — Jest jeszcze coś, o
czym powinieneś wiedzieć. Słyszałem od ko-
goś w Departamencie Sprawiedliwości, że
Peterson zamierza się do niego dobrać. Rzuci
się na niego i nie popuści. Będzie go cisnął tak
długo, aż znajdzie na ciebie haka.

Crimmins westchnął. — Jak tamten się
nazywa?

—

John Pel am.

—

Gdzie go znajdę? Prawnik zawahał się;
może był zaskoczony, że Crimmins tak nagle
zainteresował się szczegółami. Zaraz jednak
powiedział: — Facet ma przyczepę. No wiesz,
wóz kempingowy Parkuje go w różnych miej-
scach, ale najczęściej na tym starym
kempingu nad rzeką, w Maddox. Niedaleko
cementowni.

164

—

Myślałem, że jest nieczynny.

—

Może otworzyli go specjalnie dla tych
filmowców.

—
To dość odludne miejsce, prawda?

Wahanie w głosie prawnika przerodziło się w
dłuższe milczenie. Wreszcie zdołał wykrztusić:

— Dlaczego tak cię to interesuje, Peter?

Możesz mi to wyjaśnić?

Crimmins odparł: — Przez jakiś czas nie będę
cię potrzebował.

Mów, na czym stoimy, Nełs — polecił Ronald
L. Peterson, prokurator stanowy we
wschodnim okręgu Missouri.

Znajdowali się w przestronnym gabinecie
urządzonym w funkcjonalnym stylu lat
sześćdziesiątych. Same meble kosztowały
fortunę. Solidne biurko zrobiono z drzewa
tekowego, chociaż trudno było się tego
domyślić, spoglądając na zasłany stertami
papierów blat. Wzdłuż trzech ścian ustawiono
regały pełne ciemnych, zaczytanych wolumi-
nów. „Przepisy prawa federalnego” Moore'a,
„Kodeks karny wykonawczy”, „Kodeks
postępowania cywilnego”. Orzeczenia

sądowe, przeglądy prawnicze, wydawnictwa

Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników.

Młody, płowłosy Nelson, o wyglądzie

165

typowego prymusa prestiżowej uczelni, otworzył teczkę wypchaną żółtymi arkuszami

papieru kancelaryjnego, a następnie zaczął je

kolejno wyciągać i segregować.

Peterson, wiek czterdzieści cztery lata, miał na

sobie ciemnoniebieski garnitur od Brooks

Brothers, już prawie dziewięcioletni, białą

koszulę i żółty krawat w czarne grochy

(teoretycznie do noszenia latem, ale Peterson

uważał go za coś w rodzaju talizmanu; miał go

na szyi w dniu, w którym posłał za kratki

siedmiu szefów Cosa Nostry i od tamtej pory

zakładał go zawsze, kiedy czuł, że — tak jak

teraz — przydałoby mu się trochę szczęścia).

Był potężnie zbudowanym mężczyzną o

dużych dłoniach i gładkiej twarzy. Zaczynał

łysieć, a cienkie, białe koszule, które tak

chętnie nosił, opinały lekko wystający brzuch o

napiętej, różowawej skórze. Należał do ludzi,

których twarze nie zmieniają się znacząco od

momentu, gdy skończyli trzynaście lat. Rów-

nież pod innymi względami nadal przypominał
nastoletniego wyrostka, jakim kiedyś był:
pewnego siebie, mściwego, bystrego,
zdeterminowanego, pruderyjnego. I nadal
ulegał swoim maniom.

Jego stosunek do pracy, jak również ogólne
podejście do wymiaru sprawiedliwości,

166

charakteryzowała czarująca wręcz prostota.

Ronald Peterson sprawował funkcję
prokuratora w jednym z ważniejszych okręgów
sądowniczych z tego samego powodu, z
jakiego przez ponad dziewięć lat pracował w
Departamencie Sprawiedliwości: ponieważ
uważał, że ci, którzy źle postępują, powinni iść
do więzienia.

Przed laty, będąc jeszcze studentem prawa
targanym wątpliwościami co do wyboru ścieżki
kariery, Peterson usłyszał, jak jeden z pro-
fesorów na Harvardzie mówił, że najlepsi
prawnicy są najgorszymi sędziami. Miał na
myśli to, że praktykujący prawo kierują się
własną moralnością — prawnicy nie muszą
dokonywać trudnych ocen tego, co jest dobre,

a co złe; oni stosują się jedynie do litery prawa. Uwaga profesora okazała się dla Petersona objawieniem i tego samego lata podjął pracę stażysty w biurze prokuratora okręgowego, którym obecnie kierował. Od tamtej pory zawsze postępował zgodnie z prostymi zasadami. Sprawował swoje obowiązki z oddaniem szyckiego fundamentalisty, z którym łączyło go przekonanie o słuszności własnego postępowania oraz graniczący z ekstazą podziw dla abstrakcyjnych pojęć.

167

Obecnie Peterson prowadził dżihad skierowany przeciwko jednemu człowiekowi, który nazywał się Peter Crimmins. Kampania ta miała mniej wspólnego z niesławnym programem „60 minut”, w którym bez litości objechano jego biuro, niż można by przypuszczać. W rzeczy samej, tym, co prokurator uważał za najbardziej odrażające w sprawie Crimminsa, było to, co już dawno sam uznał za zasadniczy problem Ameryki: świadoma i na chłodno podjęta decyzja

uczciwego biznesmena o wejściu w konflikt z prawem. Podobnie jak ludzie handlujący poufnymi informacjami, do których Peterson odczuwał równie silny wstręt, Crimmins doszedł do wniosku, że dochody z licznych firm przewozowych nie zaspokajają jego chciwości i przerzucił się na pranie brudnych pieniędzy oraz inne przekręty — zupełnie, jakby był to kolejny logiczny krok w podboju rynku.

Nelson, asystent prokuratora stanowego, jeszcze raz przejrzał wszystkie wydobyte z teczki papiery, po czym spojrzał w młodzieńcze oczy swojego przełożonego. — Sprawa jest śliska. — Urwał gwałtownie, natychmiast żałując niefortunnego doboru słów.

168

Peterson nieustannie powtarzał swoim współpracownikom, żeby unikali nieprecyzyjnych sformułowań. Liczył się konkret. Czarne i białe. Peterson znany był ze swoich napadów wściekłości. Dzisiaj jednak nie był w nastroju, żeby kogokolwiek sztorcować za tego rodzaju niewinne wpadki.

Pociągnął tylko łyk kawy z kubka i zapytał: —

Wiadomo nam, co robił Crimmins wieczorem
w dniu zabójstwa?

—
Wszystkiemu zaprzecza, ale nie ma alibi.

Tego dnia nikt z naszych za nim nie chodził.

Nie przechwyciliśmy żadnych rozmów telefo-
nicznych dwie godziny przed ani dwie godziny
po strzelaninie. No i jeździ lincolnem.

—
Mamy dowód?

—
Tylko poszlakę. Wóz, którym uciekli
zamachowcy, był granatowy, tak jak
samochód Crimminsa. Jak dotąd nie udało się
potwierdzić numerów rejestracyjnych czy
innych znaków rozpoznawczych.

—
Crimmins ma ochroniarza, prawda?

—
Owszem. Ale gość nie pasuje do
rysopisu zamachowca.

—
A materiał z wcześniejszych

podśluchów? — zainteresował się Peterson.

— Może Crimmins choćby *zająknął się* o
czymś, co mogłoby świadczyć o planowanym

169

zamachu? Nie było mowy o *żadnych wypadkach*? O jakimś, powiedzmy, *sprzątaniu*?

Nelson odparł, że niestety nie; jednocześnie
przez cały czas gładził swój młodzieńczy,
zaróżowiony policzek, pod którym nerwowo
przygryzał język. I zaraz dodał: — Ale sam
pan wie, jak trudno monitorować jego
rozmowy. Crimmins połowę swoich telefonów
wykonuje z parkingu, z aparatu w
samochodzie...

Z niezmaconym spokojem Peterson obrócił się
na swoim funkcjonalnym fotelu w stylu lat
sześćdziesiątych i zlizął kroplę kawy, która
ściekła z krawędzi filiżanki. Strata
najważniejszego świadka, w którym pokładał
tyle nadziei, była ciosem, który wzbudził w nim
coś więcej niż tylko zwykłą wściekłość. Furia,
jaka go ogarnęła, była tym trudniejsza do
zniesienia, że Peterson mógł ją skierować
jedynie przeciwko samemu sobie — w końcu
to on przystał na niepoważne żądanie Gaudi ,

aby zdjąć mu z karku ludzi z biura szeryfa.

Wolno wypuścił z płuc powietrze, spoglądając na rozciągające się w dole miasto. Czy to możliwe, żeby Crimmins osobiście pofatygował się na miejsce zbrodni? Po co miałby aż tak ryzykować? Może tylko umówili się na spotkanie. Może Crimmins próbował

170

dogadać się jakoś z Gaudią, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Peterson klepnął się po udach. Był na diecie (jedną z rzeczy, które go wkurzały, był fakt, że z wyglądu przypominał Petera Crimminsa — z tym że Crimmins miał bujniejszą fryzurę). Jego głowa odwróciła się powoli, lecz zdecydowanie, jakby był automatem działającym w zwolnionym tempie. — A tamten świadek? Jak on się nazywa? Pel am?

—
Gliny nie chcą nam nic powiedzieć.

—
Co za fiuty — warknął Peterson. Plasnął dłonią o udo i poczuł, jak tłuszcz faluje pod wpływem uderzenia. — Jeden z nich dostaje kulkę, a burmistrz i komisarz nie pozwalają

nam tknąć najważniejszego świadka. Wiesz,
dlaczego to robią? Darmowa reklama w „Post
Dis-patch”, o to im chodzi. Kto się nim zajął?

—
Monroe i Bracken. Nieźle go postraszyli,
ale nadal nie chce zeznawać.

—
Jesteś pewien, że dobrze mu się
przyjrzał?

—
Uhm. Nie ma mowy, żeby go nie
zauważył. To po prostu niemożliwe.

—
W takim razie pewnie jest przekupiony.

—
Też mi się tak wydaje — przytaknął
Nelson, chociaż po prawdzie wcale tak nie
uważał. Jego zdaniem Crimmins po prostu

171
zagroził tamtemu, że zabije go, jeśli piśnie choć słówko.
No i Pel am zaniemówił.

—
Bierz się ostro do roboty. Dowiedz się o
nim wszystkiego, co tylko się da — polecił

Peterson.

—

O kim, o Crimminsie? — Ku swemu
przerażeniu Nelson zdał sobie sprawę, że
właśnie zadał kolejne beznadziejnie durne
pytanie. Dodał więc szybko: — Oczywiście ma
pan na myśli Pel ama...?

—

Uhm.

—

I jeszcze jedno. Przekaż Monroe i
Brackenowi... — Peterson zamyślił się i utkwiał
nieobecne spojrzenie w stojącej na biurku
nakręcanej zabawce. — Niech mu dadzą
wycisk.

—

Co takiego? — Nelson aż się zakrztusił.
Oczy Petersona błyszczały, gdy skierował je
na swojego zakłopotanego asystenta. —
Rzecz jasna w przenośni — dodał
mimoходом. — Chodziło mi o to, żeby *mieli*
go na oku. Rozumiemy się, prawda?

—

W przenośni — powtórzył Nelson. —

Jasne, od razu wiedziałem, co pan ma na myśli.

172

8

Pellam zdał sobie nagle sprawę, że chociaż zna Ninę Sassower już od dwudziestu czterech godzin, nie ma pojęcia, jak ta dziewczyna zarabia na życie.

— Tak się składa, że jestem bezrobotna — odparła, kiedy ją o to zapytał. Zaczerwieniła się przy tym, sprawiając wrażenie bardzo skrępowanej tym faktem.

Pel am pocieszył ją, że pracuje w branży filmowej od ponad dziesięciu lat i przez większość tego czasu też był bezrobotny.

Spacerowali po tym, co pozostało z centrum Maddox. Po skończonym lunchu udali się, pod milczącym naciskiem Pel ama, w stronę przeciwną do parku, gdzie Tony Sloan dopracowywał choreografię zabójstwa dwóch agentów Pinkertona, którzy natykają się na kryjówkę Rossa; słysząc odgłosy strzałów, Nina zerkała nerwowo na boki swoimi wąskimi oczami. Strzelano ślepakami, ale i tak

brzmiało to groźnie. Pel am dotknął jej ramienia i skierował się w stronę rzeki.

Tego dnia miała na sobie obszerny, pomarańczowy sweter z dekoltem w serek.

Falbaniasta spódnica w identycznym kolorze wydymała się jak żagiel w powiewach

173

rzeńskiego wiatru. Na nogach miała jasnobrązowe buty, a przez rękę przewiesiła płaszcz przeciwdeszczowy w tym samym odcieniu. Na Santa Monica Boulevard jej strój by szokował, ale tutaj, w Maddox, wydawał się całkiem twarzowy.

Kiedy oddalili się nieco od odgłosów strzelaniny, kobieta wyraźnie się odprężyła. — Zanim mnie zwolnili, pracowałam w poradni w podstawówce.

Pel am pamiętał swoją wizytę w poradni zawodowej. Nauczyciele w Catskil , gdzie się wychował, zachęcali go do dalszej nauki, ale testy wykazały stosunkowo niskie uzdolnienia w każdym z wymienionych kierunków (ponieważ Pel am lubił czytać, doradca uznał, że powinien sprzedawać książki, a słysząc, że lubi chodzić do kina, wydał werdykt: „Bileter, a

przy dużym nakładzie pracy kierownik kina").

—

To nie była poradnia *zawodowa* — raczej terapeutyczna.

—

Byłaś psychiatrą?

—

Psychologiem. A potem zaczęli ciąć koszty... Także w Ilinois. Pewnie tak samo jest w całym kraju.

—

Dziwię się, że w Maddox w ogóle są jeszcze jakieś szkoły.

—

Właściwie to mieszkam w Cranston, tam

174

jest trochę lepiej. Bliżej St. Louis. Ale i tak sytuacja jest raczej kiepska. Chociaż jak człowiek ląduje na ulicy, to pewnie jest mu

wszystko jedno, czy bezrobocie w kraju

wynosi jeden procent, czy dwadzieścia.

—

Pewnie masz rację.

Spojrzeli w kierunku wylotu szerokiej ulicy i

jakieś pół kilometra w dole ujrzeli szare

rozlewisko rzeki. Pomimo gęstej płątaniny

przewodów wysokiego napięcia i kabli
telefonicznych ulica sprawiała wrażenie
głównej arterii dziewiętnastowiecznego,
opustoszałego, pogranicznego miasteczka.
Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby nagle
wypełniły ją zaprzęgi zakurzonych mułów,
poganiacze bydła, kuce i robotnicy rzeczni
brnący po kostki w błocie w stronę nabrzeża.
Peł am zauważył kilka malowniczych
budynków, jakby żywcem wziętych z 1880
roku, o fasadach pokrytych liszajami
łuszczącej się farby.

—
Wiesz co, zrobiłbym kilka fotek. To
potrwa tylko chwilę. Wydobył mocno
sfatygowany polaroid i zrobił cztery zdjęcia.
Upchnął jeszcze wilgotne, nie wywołane
odbitki w kieszeni koszuli, po czym ruszyli
dalej, Nina i on.

—
Przydadzą się do twojego filmu?

175

—
Nie do tego, który akurat kręcimy.

Prowadzę katalog budynków i miejsc, które mogłyby przydać się różnym reżyserom.

Dzięki temu nie muszę zaczynać wszystkiego od zera za każdym razem, gdy zadzwoni telefon.

—
Pracujesz dla jednej wytwórni czy masz własną firmę?

—
Jestem wolnym strzelcem. Jak większość ludzi w tej branży. W dzisiejszych czasach wytwórnie zajmują się tylko finansowaniem i dystrybucją. Wszyscy inni są zatrudniani jako niezależni podwykonawcy. Dawniej było inaczej. W latach trzydziestych i czterdziestych wytwórnie kupowały człowieka razem z jego duszą — o ile oczywiście ją miał. Nie roześmiała się. Wyglądało na to, że usiłuje raczej dobrze zapamiętać wysłuchaną właśnie lekcję na temat robienia interesów w Hollywood, więc Pel am stwierdził, że nie opowie jej dowcipu o castingach przeprowadzanych na kanapie. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego zajął się znowu starymi budynkami, a Nina

obserwowała, jak je fotografuje.

—

Jak on wygląda? Ten twój katalog.

Mogłabym go zobaczyć? Pełnam przechowywał koszulki z odbitkami w segregatorze wciśniętym pod łóżko w

176

przyczepie. Odparł: — To się da zrobić.

Szli dalej pod górę.

—

Możemy tutaj wejść? — Nina wskazała

mijający właśnie sklep. Pełnam miał

świadomość, że dokładnie w tej chwili

powinien był rozglądać się za polem dla

Sloana, ale mimo to się zgodził.

Weszli do ogromnego magazynu pełnego

staroci wygrzebanych z okolicznych

budynków. Nina powiedziała, że interesują ją

kolumny i kominkowy gzyms. Znaleźli dwie

spróchniałe, drewniane kolumny, niechlujnie

odarte z farby; wyraźnie widać było na nich

plamy farby, nacięcia i ślady przypalania

lutlampą. Ninie się podobały, ale uznała, że

cena czterystu dolarów za sztukę jest zbyt

wygórowana. Pel am przyznał jej rację. Nie
uważał zresztą, aby pasowały do jego
nowoczesnego, kalifornijskiego bungalowu w
Beverly Glen. — Poza tym stwarzałyby mi
kłopot — zauważył. — W przyczepie.

To ją rozbawiło. Przystanęła przed
pociemniałym, łuszczącym się lustrem
oprawionym w starą, dębową ramę i
przeczesała palcami włosy.

—
Powiedz mi coś więcej o sobie —
poprosił Pel am. Zarumieniła się i zerknęła na
mosiężne wiaderko na węgiel z wytłoczoną w

177

metal tuwarzą.

—
To cherub — rzucił Pel am, porzucając
temat, który najwyraźniej nie był dla niej
wygodny.

—
Zawsze myślałam, że to rodzaj cygara.

Clint Eastwood palił takie w spaghetti
westernach.

—

Chyba masz na myśli *cheroot**.

—

Może i tak. Ciągłe coś mi się płacze.

* Rodzaj cygara o cylindrycznym kształcie. Od francuskiego słowa *cheroute*, pochodzącego od tamilskiego *curuttu Ichuruttu Ishuruttu* i oznaczającego zwinięty tytoń.

Milczała przez chwilę, po czym odezwała się

bezbarnym głosem: — Hm, a więc mam ci

coś o sobie powiedzieć. Pomyślmy. — Widać

było, że przygotowuje się psychicznie na jego

reakcję. — Na pewno pomyślisz, że moje

życie jest strasznie nudne. Wychowałam się w

Maddox. Studiowałam na Mizzou —

Uniwersytecie Stanu Missouri — w St. Louis.

Filologię angielską, zupełnie

nieprzyszłościowy kierunek. Potem dostałam

pracę w bibliotece, ale miałam wrażenie, że

zmierzam donikąd, więc zrobiłam magisterkę z

psychologii. Później przeniosłam się do

Cranston i zamieszkałam w bezpiecznej

odległości od mamy, a wtedy jeszcze i od taty.

Moje zainteresowania? Astrologia, shiatsu...

Masaż? — pomyślał natychmiast Peł am. Czy

178

ich znajomość osiągnęła już właściwy etap, aby mógł jej wspomnieć o swoim udzie? Chyba tak. Ostatecznie jednak wybrał plecy. —

Tak się składa, że mam kłopoty z kręgosłupem

— powiedział. I zaraz dodał. — *Lędźwiowym.*

Odparła z udawanym żalem: — Niestety,

kręgosłup lędźwiowy to nie moja działka. —

Typowy unik.

—

Widzę, że masz ściśle określoną

specjalizację. — Zanim zadał następne

pytanie, odczekał — jak mu się wydawało —

odpowiednio długą chwilę. — A chłopaka?

—

Chłopaka... — Zastanowiła się, a jemu

przyszło do głowy, że może próbuje naprędce

sklecić kolejne kłamstewko. — Od czasu do

czasu spotykam się z takim jednym. Częściej

się nie widujemy, niż widujemy. Wiesz, jak to

jest. Kiedy byłam młodsza, ciągle się z kimś

umawiałam, ale... Sama nie wiem, chyba coś

takiego we mnie było — przyciągałam samych

palantów. Skąd się tacy brali, naprawdę...

—

Wyszłaś za męża?

—

Nie. A ty byłeś żonaty?

Pel am przyznał, że jest w tej kwestii

weteranem.

—

Zawsze uważałam, że lepiej w ogóle nie wychodzić za mąż, niż wziąć ślub, a potem

179

cierpieć z powodu rozwodu.

—

No wiesz — mruknął Pel am — trzeba się namęczyć, żeby później mieć satysfakcję.

— Zastanawiali się przez chwilę nad tymi słowami, przyglądając się spluwaczce za pięćdziesiąt dolarów. Wreszcie odezwał się: — Pewnie myślisz, że to nie było zbyt mądre.

Nina przytaknęła. — Owszem. Tak, tak właśnie myślę. — Roześmiała się. Zatrzymali się przy pudłach pełnych starych płyt, po pięćdziesiąt centów sztuka. Pel am lubił dźwięk trzeszczących longplayów. Sam nie miał odtwarzacza płyt kompaktowych. Znaczną część pieniędzy przeznaczanych regularnie na zakup muzyki topił w starych winylach. Po powrocie do domu przegrywał je na kasety,

których potem słuchał w samochodzie. Zaczął szperać w pudle opatrzonym etykietką „Jazz”.

— Lubisz muzykę?

—

O tak, muzyka to podstawa — odparła i zerknęła mu przez ramię na okładkę albumu, który właśnie oglądał.

—

Kto to? — zapytała.

—

Oscar Peterson. — Teraz będzie: *Co to za jeden?*

—

Brzmi znajomo.

—

No, Oscar Peterson — powtórzył Pel am.

180

—

Hm... Ja najbardziej lubię łagodnego rocka. Spokojne kawałki. Relaksujące.

Oho.

—

To akurat jest jazz — powiedział.

—

Coś jak Stevie Wonder? — zapytała

całkiem poważnie Nina.

—

Coś w tym rodzaju — odparł Pel am. —

Korzystają z tych samych akordów.

Kiedy wyszli na zewnątrz, ponownie dopadła

go paranoja Tony'ego Sloana. Wyjaśnił Ninie,

że musi wracać do pracy. Pochylił się, żeby

cmoknąć ją w policzek na do widzenia, a ona

ścisnęła mocno jego dłoń i nawet lekko się

do niego przytuliła. Takie prawie serdeczne

pożegnanie. Opuścił wzrok i bez problemu

zajrzał w głęboki dekolt jej swetra. Kiedy się

odsunęła, wciąż gapił się na jej jasną skórę.

Nina zauważyła jego spojrzenie. Pel am

odezwał się szybko: — Właśnie podziwiałem

twoje kolczyki. Bardzo ciekawy wzór.

—

Dostałam je w prezencie — rzuciła; może

wolała myśleć, że jednak podziwiał coś

innego.

Wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne i

uśmiechnął się. — Nie miałabyś ochoty

poszukać ze mną kiedyś jakiegoś

malowniczego pola?

Nina skinęła głową. — Jasne. Bardzo chętnie.

181

— Nagle spoważniała i dotknęła jego
ramienia. — Ale najpierw muszę ci coś
powiedzieć.

Mój chłopak w rzeczywistości nie jest

*chłopakiem. Mam przyjaciółkę, która jest moją przyjaciółką. Nie lubię filmowców. No wiesz, Ten,
kto kosztuje wina, nie skosztuje moich*

*warg... **

—

I?

—

Chcę ci powiedzieć, dlaczego cię
zaczepiłam.

*** Z wiersza George'a W. Younga.**

—

Nie rozumiem.

—

To znaczy, nie chodzi o to, że mi się nie
podobasz.

—

Rozumiem.

—

Widzisz, kiedy ekipa filmowa zjeżdża do

miasta, zawsze zatrudnia miejscowych. Ale to
nie jest *jedyny* powód, dla którego cię zagad-
nęłam.

Rozumiem...

—
Myślisz, że mogłabym się u was
zatrudnić?

Właściwie mógł się tego spodziewać. To nie
był pierwszy raz. Musiała zauważyć wyraz
jego oczu. Szkła jego okularów nie były aż tak
ciemne.

—
Przepraszam cię. — Wbiła spojrzenie w

182

chodnik. — Nie powinnam cię o to prosić. Po prostu...

—
Nic się nie stało.

—
Po prostu już od pół roku jestem bez
pracy. Nie udało mi się nawet załapać do
kelnerowania.

Dotknął niewiarygodnie miękkiej,
pomarańczowej wełny, otulającej jej silne
ramię. — Problem w tym, że właściwie już
prawie skończyliśmy zdjęcia. Wszyscy statyści

są obsadzeni, zresztą i tak niewiele zarabiają.

—

Nie, źle mnie zrozumiałaś. — Jej twarz poróżwiała. — Wcale nie chciałabym *grać*.

Nawet nie lubię kina. Moim zdaniem filmy to strata czasu.

Me lubi kina?

—

Ach, tak. — *Przecież wszyscy kochają kino...* — O czym w takim razie myślałaś?

—

Nie wiem. W mieście pełno jest ludzi z waszej ekipy... Trzydziestosiedmioosobowa obsada z Hollywood. Sześćdziesięciu dwóch miejscowych statystów.

Siedemdziesięciu jeden członków ekipy z Los Angeles, sześćdziesięciu siedmiu z St. Louis, dwunastu kaskaderów, ośmiu kierowców, dwóch producentów, dwóch dostawców posiłków, dwóch treserów zwierząt, jeden kapuś z Wybrzeża, jeden reżyser--wizjoner, miłośnik

183

efektów specjalnych. I jeden dokumentalista.

—

A co właściwie potrafisz robić? — spytał.

Nina zastanawiała się przez chwilę. Rumieńce zniknęły, podobnie jak jej nieśmiałość. Peł am pomyślał, że za tą bladą twarzą Juli Roberts kryje się ostry jak brzytwa i równie niebezpieczny umysł szkolnego psychologa.

— Jedyne, co umiem, to prowadzić gimnastykę dla dziewcząt i rozmawiać z uczniami.

Peł am ponownie ścisnął jej ramię.

—

Poza tym — powiedział — potrafisz się jeszcze malować. Prychnęła z rozbawieniem.

— Teraz ze mną flirtujesz.

—

Nie, mam pewien pomysł — odparł

Peł am. I zaraz dodał: — Oprócz tego na flirtowanie.

MISSOURI RIVER BLUES

SCENA 180A — WNEȚRZE, DZIEN

SAMOCHÓD ROSSA, cd. UCIECZKI ROSS

—

Wiesz, pierwszy raz zobaczyłem cię wtedy wieczorem, na tańcach. Było...

DEHLIA

(podtrzymując zranione ramię) Pamiętam.

ROSS

Było gorąco jak w piekle, a ty stałaś po drugiej stronie sali pod tym japońskim lampionem.

UJĘCIE Dehli ; jej włosy rozwiewają się na

184

wietrze. Patrzy na ROSSA z miłością.

DEHLIA

(gwałtownie wciągając powietrze) Pamiętam,

był podarty. ROSS

Właśnie, był podarty. Żarówka prześwitywała

przez papier, a ty stałaś w jej świetle. Od razu wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

—

Rany, ale szajs. Dostyc już tego czytania,

Peł am. — Stile i Pełam siedzieli na urwistym

brzegu Missouri. Peł am przeglądał popra-

wiony scenariusz. Powtórzył z uczuciem: —

„Jesteśmy dla siebie stworzeni”.

—

Peł am — Stile wzdrygnął się. — Błagam

cię, przestań.

—

Wiesz, że oni to mówią tuż przed tym,

zanim wpadną do rzeki? Nie uważasz, że to

cudne? Dziura w japońskim lampionie jako

metafora wolności.

—

Chcesz usłyszeć porządną metaforę?

Gówno prawda. W tym przypadku — ruchem

głowy Stile wskazał scenariusz — jedno

wielkie gówno.

—

Założę się, że w finałowej scenie gliny

znajdują wrak samochodu, ale nie znajdują

ciał. — Pel am przekartkował scenariusz i

przeczytał zakończenie. — Cholera, miałem

rację. Przybij piątkę.

Rozległo się plaśnięcie dłoni i kaskader

185

pokuśtykał w stronę swojej yamaha. Całe popołudnie strzelano do niego z bliska z

czterdziestki piątki i za każdym razem musiał

stoczyć się po schodach. Trzydzieści strzałów

i piętnaście upadków. Później Sloan zmienił

zdanie i zdecydował, że po tym, jak oberwie,

Stile powinien wypaść przez okno. Jednak

koordynator scen kaskaderskich nalegał, aby

nakręcić tę scenę rano i dał Stile'owi wolne na

resztę dnia. Spotkał się więc z Pel amem i całe

popołudnie jeździli razem na motorze,

szukając odpowiednio dużego pola dla

Sloana. — Co to za laseczka, z którą cię

widziałem?

—

Nina Sassower. — Pełnam stanął przy

motorze.

—

Imię jak imię. Jakoś jej dotąd nie

zauważyłem.

—

To był jej pierwszy dzień na planie.

Złatwiłem jej pracę charakteryzatorki. Jest w

tym naprawdę niezła.

—

Jest też niezła w całowaniu i rzucaniu ci

się na szyję. To akurat była święta prawda.

—

Kanapowy casting to jedno, Pełnam. Ale

jeżeli okaże się, że zaliczysz tę dupeczkę tylko

dlatego, że złatwiłeś jej robotę charaktery-

zatorki, podczas gdy ja wypadam z okien i w

nocy muszę zadowalać się liczeniem baranów,

to nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Jednak Pel am wcale nie myślał o Ninie

Sassower i jej ramionach. W tej chwili dręczyła

go myśl o tym cholernym polu. Znalezienie do-

mów i budynków do filmu to była bułka z

masłem, szczególnie biorąc pod uwagę

sytuację ekonomiczną Maddox. Ale pole to już

całkiem inna sprawa. Musiało być okolone

gęstymi drzewami, a w pobliżu miała

przebiegać droga, płynąć rzeka i stać szkoła

otoczona zaroślami. Niedaleko powinien też

być urwisty brzeg, z którego samochód

uciekierów mógłby się odpowiednio

dramatycznie stoczyć.

Najlepsze, co udało im się dotąd znaleźć, to

niewielka terasa sąsiadująca z

zachwaszczonym poletkiem dyni. Żeby

dojechać do urwiska i roztrzaskać się w

imponujący sposób, packard Rossa musiałby

przedrzeć się najpierw przez gąszcz forsycji,

jałowców i młodych klonów.

—

Bardzo urodzajny stan, to Missouri —

zauważył Pel am. —Ale dziwnie nieobfitujący

w pola.

—

Nadal nie mogę pojąć, dlaczego
pracujesz dla Sloana. Nawet kurwa ma swoje
zasady, Pel am. Ogień i woda, rozumiesz, co
mam na myśli?

187

Pel am starł krople rosy ze szkiełka swojego zegarka. Szósta wieczór. Za dwie godziny miał
się spotkać z Martym Wel erem i Ahmedem
Telorianem. — Dobra, na dzisiaj chyba damy
sobie spokój. Jedziemy na piwo. — Wskoczył
na motor. A Stile schował polaroidy do
kieszeni i wdrapał się na siedzenie za
Pel amem.

Wiatr nasilił się i co chwila uderzał
przenikliwymi podmuchami. Właściwie już nie
padało, ale ulice zasłane były pokłosem ulewy
— kawałkami kory i połamanymi gałęziami —
a w powietrzu czuło się wilgoć. Podbiegł do
nich pies z sierścią sterczącą po deszczu,
obwąchał ich, warcząc groźnie, i uciekł, gdy
Pel am kopnął rozrusznik. Wypadli na mokry
asfalt.

—

Dzwoniłem do Hanka. — Pel am

przekrzykiwał ryk silnika; miał na myśli
prawnika z wytwórni, który grał z nimi w karty.

— Powiedział, że nic się z tym nie da zrobić.

—

Mówisz o tych gościach z FBI?

—

Mogą przesłuchiwać każdego, kogo
zechcą, mogą wstrzymać produkcję, mogą
zakwestionować wszystkie nasze zezwolenia.

Mogą się nawet przejechać do Delaware i
Sacramento i przejrzeć wszystkie dokumenty
wytwórni.

188

—

O, kurczę. Tony urwie ci jaja, stary.

—

Po prostu mnie wywali i tyle — odparł

Pel am.

—

Nie może cię chyba zwolnić za to, że nie
chcesz zeznawać. Założę się, że wtedy
mógłbyś go pozwać.

—

Akurat.

Ruchem głowy Pel am wskazał rzekę. Wzdłuż brzegu sunął rząd barek. Wiał silny wiatr i większość załogi zbiła się w ciasną gromadkę na holowniku. Marynarze pokładowi, ubrani w pomarańczowe kamizelki, stali na dziobie i wrzeszczeli coś do krótkofalówek — pewnie do kapitana, który stał w sterowni oddalony od nich o długość trzech stadionów piłkarskich.

On jeden miał na sobie garnitur i krawat.

Stile spojrział we wskazanym kierunku i krzyknął: — Stary, uwielbiam statki rzeczne! W tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim „Altona” pokonała trasę z St. Louis do Alton w godzinę i trzydzieści pięć minut. Widzisz tamte światła? To właśnie Alton.

—
Skąd ty wiesz *takie rzeczy*? —

odkrzyknął Pel am, odwracając głowę; warkot silnika niemal zagłuszał ich słowa.

—
Przez dłuższy czas nikt nie mógł pobić tego rekordu. Oczywiście „Robert E. Lee” zrobiłby to bez problemu. Albo „Natchez”.

Uważaj na ten zakręt.

Pel am spojrzał na drogę w samą porę, żeby z poślizgiem wejść w ostry zakręt. Stile'owi nawet nie drgnęła powieka. Skręcili z River Road i popędzili w stronę centrum miasta.

Światło ulicznych latarni nabierało we mgle jaskrawej poświaty. — Popatrz tylko — krzyknął wtedy Pel am do Stile'a — jak to światło oślepia! Jak ja mogłem wtedy cokolwiek zobaczyć?

Podjechał pod dyskонт monopolowy i zgasił silnik.

Weszli do oświetlonego zielonymi neonami sklepu, podeszli do lodówki i zaczęli się spierać, jakie piwo kupić: kanadyjskie czy amerykańskie. W końcu rzucili monetą. Pel am przegrał, więc Stile porwał z półki sześciopak budweisera i wcisnął go Pel amowi do rąk, mówiąc: — Muszę się odlać.

Pel am zapłacił za piwo i wyszedł na zewnątrz.

Otworzył puszkę i wskoczył na motor. Pociągał piwo, spoglądając na szerokie, ciemne rozlewisko rzeki.

Cicho zagwizdał kilka taktów z „Across the Wide Missouri”.

Syrena odezwała się dopiero, gdy samochód był tuż za nim; wtedy też rozległo się przenikliwe, metaliczne wycie. Jednocześnie

190

rozbłysły światła. Pel am był tak zaskoczony, że upuścił puszkę, wylewając sobie większość jej zawartości na dzinsy. — Psiakrew! —

Odwrócił się gwałtownie. Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy ruszyli w jego stronę krokiem agentów rządowych polujących na samego Dil ingera.

Dwóch detektywów: biały Anglosas i Włoch. O, nie... Tylko nie oni.

—
No i co najlepszego zrobiliście? —

Pel am podniósł rękę, pokazując im swoje przemoczone levisy.

Włoch zignorował rozlane piwo i chwycił Pel ama za ramię; rozległ się szcęk kajdanek. Nic nie rozumiejąc, Pel am wpatrywał się w srebrną bransoletkę na swoim nadgarstku. —

O co...

Policjant zakuł drugą jego rękę.

—

...chodzi?

—

Ma pan prawo zachować milczenie. Ma pan prawo do adwokata. — To mówił włoski detektyw.

—

Jeżeli nie stać pana na adwokata — podjął jego partner — zostanie on panu przydzielony z urzędu. Jeżeli zrezygnuje pan z prawa do milczenia, wszystko, co pan odtąd powie, może być użyte przeciwko panu w

191

sądzie.

—

Zrozumiał pan swoje prawa?

Peł amowi przyszło do głowy, że w jakiś sposób dowiedzieli się o jego nie zarejestrowanej czterdziestce piątce, która w tej chwili znajdowała się dokładnie pod nim, w skrzynce na narzędzia jego yamahy.

—

Aleja...

—
Zrozumiał pan swoje prawa?

—
Jasne, że zrozumiałem. Za co mnie
aresztujecie? Blondyn odparł: — W tym
mieście jazda pod wpływem alkoholu to
poważne wykroczenie, proszę pana.

Pel am zamknął oczy. Pokręcił głową z
niedowierzaniem.

—
Musimy zbadać pana alkomatem —
oznajmił detektyw włoskiego pochodzenia.

—
Niestety, obawiam się, że nie mamy go
przy sobie — rzucił blondyn.

Na co Włoch odparł, jakby recytował wcześniej
wyuczoną rolę: — W takim razie zabieramy go
ze sobą na posterunek.

—
Co się tutaj dzieje? — Ze sklepu wyszedł
Stile, żując kawałek suszonej wołowiny.

—
Oni... — zaczął Pel am.
—

Proszę się do tego nie mieszać, proszę

pana — powiedział groźnie Anglosas.

—
...właśnie mnie aresztowali.

192

—
Za co?

—
Za jakąś bzdurę — krzyknął Pel am.

Popatrzył na zegarek. Było dwadzieścia minut po szóstej. — Panowie, o ósmej mam bardzo ważne spotkanie. Nie mogę...

—
Milczeć.

—
Niech pan mnie posłucha, muszę się z kimś spotkać w St. Louis...

Został brutalnie pociągnięty w stronę samochodu policyjnego. Detektyw o ciemnej karnacji położył mu na głowie swoją włochatą łapę i wepchnął go do środka.

Pel am zawołał: — Stile, zadzwoń w moim imieniu do Marty'ego i powiedz mu...

Dobrze, dobrze, starczy już tego. —

Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. A

Pełną z furią kopnął wtedy w tył znajdującego
się przed nim siedzenia.

—

Jeszcze chwila, a zaczniesz to podpadać
pod stawianie oporu — rzucił w przestrzeń

Włoch.

—

Gdzie jest ten posterunek? — dopytywał
się Stile. — Jadę z wami.

Gliniarze władowali się do wozu. Jeden z nich
mruknął: — Adres jest w książce telefonicznej.

Może pan sprawdzić.

Niespiesznie odjechali, zostawiając Stile'a z
kawałkiem suszonej wołowiny w jednej ręce i

193

pięcioma puszkami piwa w drugiej.

Posłuchaj — polecił Ralph Bales. I Stevie

Flom słuchał.

—
Wiesz, nasz gość nie jest zadowolony.

Siedzieli w lokalu należącym do znanej sieci restauracji przy Big Bend Boulevard w St.

Louis. Stevie pił kawę bezkofeinową. Ralph

Bales zamówił herbatę z dwoma plasterkami

cytryny. Mieli tu akurat wieczór spaghetti

odbywający się pod hasłem: „Nie wstydz się,

jedz ile wlezie". Wokół nich całe rodziny

grubasów pochylały się nad górami żarcia.

—
Wcale nie jest zadowolony.

Jako punk Stevie generalnie miał gdzieś to,

czy ktoś jest zadowolony, czy nie; jednak tym

razem ten niezadowolony człowiek wisiał mu

kupę kasy.

—
Więc teraz to moja wina? — zapytał

ostro. Stół zakołysał się, gdy Stevie pochylił

się gwałtownie i wyszeptał: — Może miałem

pozwolić, żeby tamten glina cię sprzątnął?

Ralph Bales przyłożył palec do ust. — *Ja* nie mam ci nic do zarzucenia. Wiesz, Lombro nie

myśli racjonalnie. Stwierdził, że zamiast w

194

plecy, trzeba było strzelić tamtemu w nogę, albo coś w tym rodzaju. Nie robiliby wtedy wokół tego aż tyle hałasu.

—
Tak, jasne, strzelić w nogę. Było ciemno,

a ja miałem tylko ten pedalski pistolecik.

Strzeliłbym mu w nogę i tylko go drasnął, a

wtedy on odwróciłby się i rozwalił mi łeb całą

serią! Gość pieprzy jak potłuczony. Pieprzy,

mówię ci!

Mężczyźni nie znali się zbyt dobrze. Obracali

się w całkiem innych kręgach. Ralph Bales był

o całe piętnaście lat starszy. Miał niezłe kon-

takty w żegludze rzecznej i mógł całkiem

poważnie zająć się transportem, gdyby nie to,

że pracując dla rodziny Giancana, narobił

sobie kłopotów w Chicago. Pewna kwota

pieniędzy, która miała być dostarczona z

Cicero na Oak Park, nie dotarła do swego

miejsca przeznaczenia. Ralph Bales nie stracił

życia tylko dlatego, że chciano, aby oddał

dług, który spłacił zresztą z własnej pensji,

lecz od tamtej pory był w Chicago spalony.

Wrócił więc jako bankrut do rodzinnego St.

Louis, nawiązał kontakty w sektorze usług portowych, w transporcie rzeczonym i przewozach ciężarowych, a z czasem został konsultantem.

Właśnie udzielając porad w zakresie ochrony,

195

Ralph Bales poznał Steviego Floma. Ich wspólny znajomy potrzebował kogoś do pomocy w wyrzuceniu kilku skrzynek szkockiej z ciężarówki i przeniesieniu ich cennej zawartości w bezpieczne miejsce. Robota poszła gładko, chociaż arogancja Steviego irytowała Ralpha Balesa. Jednocześnie odkrył drugie oblicze młodego człowieka — Steviego Desperata, który do tego stopnia tonął w długach, przepuszczając pieniądze w kasynach, przy stoliku do pokera i na dziewczynki (wyglądało na to, że co noc zaliczał nową), że był gotów na wszystko, byle tylko ktoś mu za to zapłacił.

—
I ty mi mówisz, że to moja wina. Nagle to wszystko *moja* wina!
—

Nie słuchałeś — przerwał mu Ralph

Bales. — Właśnie próbuję ci wytłumaczyć...

Na zewnątrz było zimno i mokro, lecz pomimo

fatalnej pogody Ste-vie miał na sobie

podkoszulek bez rękawów. Był posiadaczem

niezłych mięśni i lubił się nimi chwalić.

—
Musimy poradzić sobie Lombro...

Poradzić sobie z nim — wybuchnął

znowu Stevie; tym razem wybuch był mniej

gwałtowny, bo podnosił akurat do ust kubek z

kawą. — Co to ma do cholery znaczyć?

—
Po pierwsze chodzi o to, że nie

196

dostaniemy żadnej kasy.

—
Nie dostaniemy kasy? — Stevie wrócił do

wysokich decybeli. — Lombro też tam wtedy

był! Dlaczego nie uważał na gliny, dlaczego

nie zatrąbił, albo coś w tym rodzaju? Kurwa

mać!

Kilkoro rodziców, zatroskanych o swoje

pucłowate potomstwo, posłało groźne

spojrzenia w kierunku ich stolika.

Ralph Bales nachylił się nad blatem. —

Zaczekaj...

—

Zaczekaj... Posłuchaj... Gadasz jak jakiś

cholerny świadek Jehowy.

—

Z tym człowiekiem naprawdę nie ma

żartów.

—

Wiesz co? Teraz *ty* posłuchaj. Gość wisi

mi pięć tysięcy dolców. Co, jak się okazuje —

popytałem trochę po ludziach — jest i tak niską

stawką za sprzątnięcie kogoś.

Ralph Bales powiedział Steviemu, że Lombro

zapłaci im dziesięć tysięcy — a nie

dwadzieścia pięć — do podziału na dwóch.

Teraz spojrział lodowato na młodego

człowieka. — Z kim o tym rozmawiałeś? —

zapytał groźnie.

Stevie nagle się uspokoił. Zajrzał do kubka z

kawą i dolał sobie śmietanki. — Z nikim. Po

prostu trochę popytałem, to tu, to tam. Żad-

nych konkretów.

Ralph Bales westchnął. — O, Jezu. Nigdy

nikomu nic o tym nie mów. Nic. Nikomu.

Nigdy. Lombro ma takie kontakty, że głowa

mała.

—

Zlecenia... Kontakty... — Stevie

przewrócił oczami. Mówił już jednak znacznie

ciszej. Spojrzenie Ralpha Balesa najwyraźniej

napędziło mu pietra.

—

No dobra, sprawa wygląda tak: my

uciszamy świadka, a Lombro wypłaca nam

wszystko to, co jest nam winien, plus

dwadzieścia pięć procent.

—

To dlaczego nie załatwiłeś tego od razu

tamtego dnia? Nad rzeką? Można było chwilę

zaczekać.

—

Zastanów się, co mówisz — odparł wolno

Ralph Bales.

—

No przecież...

—

Zastanów się głębiej.

Stevie był zbyt dumny, a natura punka tkwiła w

nim zbyt głęboko, żeby otwarcie okazać

komuś podziw, lecz jego uśmiech mówił

wszystko. — Już łapię. Chciałeś, no wiesz,

naciągnąć Lombro na większą kasę.

—

Ty... Ty na nic nie patrzysz, tylko

wyrywasz do przodu — pouczył go Ralph

Bales. — Ja najpierw myślę.

198

—

Mówisz: dwadzieścia pięć procent? —

Stevie starał się szybko obliczyć należną mu

kwotę. — Ile to będzie ćwierć z pięciu tysięcy?

Pięćdziesiąt procent to dwa i pół tysiąca. A

połowa tego? — Pogubił się w rachunkach.

Ralph Bales odezwał się: — To znaczy, że

zgarniesz prawie siedem kawałków. Nie

najgorzej, jak za dwa dni roboty.

Prawie siedem kawałków? Stevie rozpromienił

się. Nie chciał tego, ale nie potrafił ukryć

uśmiechu.

Ralph Bales też się uśmiechnął. — No i co?

Twój kumpel Ralph ładnie się o ciebie
zatroszczył? Co?

Stevie odparł: — No, to jest w porządku.

Kiedy?

—

Kiedy co?

—

Kiedy to zrobimy?

—

Zastanawiałem się nad tym. Chyba
powinniśmy wstrzymać się przez dzień lub
dwa. Niech Lombro myśli, że ciężko
pracujemy na swoją wypłatę. Od czasu do
czasu będę do niego dzwonił i mówił, że jeste-
śmy na tropie. Tak, jakbyśmy już prawie go
mieli, ale nie byli pew czy to faktycznie ten.

Twarz Stewiego rozjaśniła się kolejnym pełnym
podziwu uśmchem, ale tym razem skierował
go do kubka z wodnistą kawą. Po ch' li

199

uśmiech zniknął, a Stevie odezwał się: — A co będzie, jeśli, no wie ten dupek jednak zacznie
gadać i pieprzone gliny...

—
Przepraszam panów. — Na ich stół
padł czyjś cień. Potężna męczyzna o krótkich,
siwych włosach i muskularnych ramionach
ubrany w wykrochmaloną kraciastą koszulę,
mierzył ich poważnym wzrokiem. Wyglądał
wypisz, wymaluj jak tajniak. Mięśnista twarz R*
pha Balesa zapłonęła; nagle poczuł wyraźny
ucisk w miejscu, w którym gołota dotykała jego
biodra. Przesunął dłoń w tym kierunku, jed-
nocześnie ogarniając spojrzeniem kilkadziesiąt
siedzących wokół nich ludzi. Serce waliło mu
w piersi; zaczęło bić jeszcze szybciej, gdy
zauważył, że Stevie Flom przygląda się
tamtemu z uśmiechem, który nie wróżył
niczego dobrego.

A niech to...

Tamten odezwał się ponuro: — Chciałbym
panów o coś prosić.

—
Naprawdę? — Stevie powiedział to tak,
jakby chciał splunąć na niego; wysokiego mężczyznę.

— A o co?

Stevie, tylko nie rób niczego głupiego...

—
Przy tamtym stoliku siedzą moje dzieci.

— Ruchem głowy mężczyzna wskazał pobliski stolik. — Czy moglibyście bardziej uważać na

200

to, co mówicie? Nie wiem, skąd jesteście, ale w tych okolicach nie używamy takich wyrażeń.

Stevie przestał się uśmiechać, za to oczy rozbłyły. Jego ręka zniknęła pod stołem, gdzie niewątpliwie trzymał swoją dwudziestkę piątkę.

O Jezu Chryste...

Twarz Ralpha Balesa pokrył gęsty pot.

Gwałtownie nachylił się nad stołem, próbując złapać Steviego za rękę.

Lecz gdy ta wychynęła spod blatu, okazało się, że Stevie trzyma w niej papierową serwetkę. Dokładnie wytarł nią usta, po czym powiedział: — Najmocniej pana przepraszam.

Miałem strasznie ciężki dzień. Kłopoty w pracy.

—
W porządku. Osobiście mi to nie przeszkadza. Chodziło mi głównie o dzieci.

Odwrócił się, żeby odejść. Stevie zawołał do

jego pleców: — Proszę zszczęcić.

Mężczyzna spojrział na niego.

Stevie milczał przez chwilę, zanim rzucił: —

Mój przyjaciel też chciałby pana przeprosić...

Szczerząc zęby, popatrzył na Ralpha Balesa,

który wytrzymał jego spojrzenie, po czym

zwracając się do siwowłosego mężczyzny,

powiedział: — Proszę przyjąć moje wyrazy

ubolewania.

201

— Cóż, przeprosiny zostały przyjęte.

Drzwi samochodu gwałtownie się otwierają.

Poświata ulicznej latarni razi go w oczy.

Karton piwa wymyka mu się z rąk, podczas

gdy on usiłuje złapać równowagę. Głośny

brzęk tłuczonego szkła. Wykrzywiona twarz

lysiejącego faceta, mówiącego: „Wal się”.

Nachyla się i zagląda do wnętrza samochodu.

Widzi własne odbicie w szybie wozu, słyszy

bulgot piwa u swoich stóp... Lincoln odjeżdża.

To właśnie Peł am powiedział detektywom.

Jedyną informacją, jakiej nie mógł im udzielić,

a która sprawiłaby, że w ułamku sekundy

zostałby zwolniony i mógłby popędzić na

spotkanie z Martym Wel erem i ich

potencjalnym współnikiem, był rysopis

kierowcy lincolna.

Jak daleko stąd znajdował się Sheraton?

Pel am nie wiedział. Ile czasu zająłby dojazd

do hotelu? Wydawało mu się, że około

czterdziestu minut. Nie, żeby miało to w tej

chwili jakieś znaczenie. Właśnie wybiło wpół

do dziesiątej...

Siedział w ciasnym pokoiku na posterunku

policji w Maddox. Po przeciwnej stronie

chwiejącego się stołu zasiadło dwóch

przesłuchujących go detektywów. Podobnie

jak pozostałe pomieszczenia, także i to

202

niewielkie biuro cuchnęło starością: starym drewnem, lizolem, pleśnią i cierpką wonią

farby. Ściany pokrywała niezdrowa zieleń, a

osłonięte lampy jarzeniowe zwisały z

ciemnawego, brudnego sufitu na czarnych

przewodach. W głównym pomieszczeniu stało

dwanaście biurek. Tylko przy dwóch z nich

ktoś pracował, a tylko trzy nosiły ślady

używania.

Jazda na posterunek zdawała się nie mieć

końca. Peł am doszedł do wniosku, że popełnił błąd, mówiąc detektywom o spotkaniu; teraz był już pewien, że specjalnie wieźli go na przesłuchanie okreśłą drogą, żeby przypadkiem nie zdążył na czas.

Kiedy go wprowadzili, skutego kajdankami i nachmurzonego, czterech znajdujących się w pomieszczeniu policjantów spojrzåło na niego wrogo czterema parami oczu. Włoski detektyw przykucnął przed jakąś szafką, otworzył ją i zaczął wyciągać ze środka różne rupiecie: katalog wysyłkowy Searsa, puste doniczki, śrutówkę w plastikowym worku, sterty notatek służbowych. — Nic z tego. Nigdzie go nie widzę. Char-lie, gdzie podział się nasz alkomat?

—
Nie mam pojęcia.

Szukali go jeszcze przez kilka minut, bez

203

większego zaangażowania i, jak się okazało, na próżno. — Będzie trzeba pożyczyć od patrolu drogówki. To nie powinno zająć więcej

niż godzinę. Do tego czasu będzie pan musiał
tutaj poczekać.

Kiedy to usłyszał, było pięć po ósmej.

—
To spotkanie jest dla mnie bardzo
ważne. Koniecznie muszę na nim być —
warknął Pel am.

—
Wie pan, kiedy jest się aresztowanym,
nie zawsze można mieć to, co by się chciało.

—
Nie jestem pijany. Zatrzymajcie mnie
albo wypuście.

W odpowiedzi zaprowadzili go do maleńkiej
klitki, w której się teraz znajdował. Stwierdzili,
że skoro i tak mają trochę czasu, mógłby
przypomnieć im, co mu wiadomo na temat
zabójstwa Gaudi . Powiedzieli, że pozwolą mu
zatelefonować, jeżeli poda im choć jeden —
tylko jeden — fakt dotyczący kierowcy
lincolna.

—
Ukartowaliście to wszystko.

—

Może pan to nazywać, jak chce, ale

prawo jest po naszej stronie — odparł

obojętnie Anglosas. — Lepiej, żeby się pan

dobrze zastanowił.

Po raz kolejny powtórzył im więc swoją

historię, po czym dodał: — Chcę się widzieć z

204

moim adwokatem.

—

I to wszystko? Już to wcześniej

słyszeliśmy

—

Chcę się widzieć z adwokatem.

—

Nie jest pan o nic oskarżony. Nie

możemy panu postawić żadnych zarzutów,

dopóki nie zostanie pan przebadany

alkometem. Na razie więc...

—

Żądam spotkania z adwokatem.

—

Na razie musi się pan wstrzymać. —

Upór Pel ama wyraźnie irytował włoskiego

gliniarza.

Jego partner wyglądał, jakby wpadł na jakiś pomysł. — Może skoro już tu jest, moglibyśmy zrobić portret pamięciowy?

—
Nie wiem — mruknął Pel am. —

Podobno jestem pijany.

—
Hm. Mimo to może zechciałby pan spróbować?

Spróbował więc podać im portret pamięciowy mężczyzny, który na niego wpadł. Mówiąc, wpatrywał się tępo w określenia widniejące na formularzu „Rysopis podejrzanego”. *Włosy, kręcone, afro, cieniowane, dredy, krótka grzywka, farbowane, blizna, tatuaż — słowny, tatuaż — rodzaj wzoru, utyka, pryszczaty, ospowaty, zajęcza warga, leworęczny, krzaczaste brwi, muskularny, welniana*

205
czapka, kowbojski kapelusz, kaszkiet, turban...

Portret pamięciowy, jaki powstał na podstawie jego opisu, nie zrobił na nikim wrażenia.

Policjanci uznali, że najwyraźniej Pel am postanowił być krnąbrny.

Gliniarz o nazwisku zaczynającym się na literę

H powiedział: — Wie pan, jak dotąd nikt inny się nie zgłosił. Tylko pan może nam pomóc.

Pel am usiłował spamiętać ich nazwiska. Jak się nazywał ten na „H”? *Hilbert? Hanson?*

Hearst?

—

...sprawdziliśmy tablice...

—

Tablice? — powtórzył Pel am.

Ten, który wyglądał na Włocha, ten na „G”,

wyjaśnił: — Tablice rejestracyjne innych samochodów znajdujących się w okolicy tamtego wieczora.

—

To fajnie. Jest tu gdzieś wasz

przełożony? Chciałbym z nim natychmiast porozmawiać.

Anglosas ciągnął: — ...i nic nam to nie dało.

Oprócz pana nie mamy innych świadków.

Hel man, Harrison?

Ten na „G” spytał grobowym tonem, czy

Pel am jest świadom, ile osób ginie rocznie w wypadkach z udziałem pijanych kierowców.

Pellam nie wiedział, czy powinien

206

odpowiedzieć, czy nie.

Hagedorn! To było to. Teraz został mu jeszcze ten na „G”. *Giovanni?*

Powtórzył ze znużeniem: — Chciałbym

porozmawiać z adwokatem.

—

Nie może pan — odparł ten na „G”.

—

Mam do tego prawo. Tak jest zapisane w

konstytucji. Mam prawo do obrony przed

oskarżeniem. — Zaraz pożałował swoich słów.

Zabrzmiały napuszenie i opryskliwość. Równie

dobrze mogły paść z ust tego łysego,

tchórzliwego szefa CIA, którego Tony Sloan

uczynił czarnym charakterem swojego

pierwszego filmu.

Policjanci popatrzyli po sobie, po czym

spojrzeli na niego. Miał wrażenie, że

przewrócili oczami, chociaż ich źrenice ani na

moment nie oderwały się od jego twarzy.

Gliniarz o nazwisku zaczynającym się od litery

„G” wyjaśnił: — To działa tylko wtedy, gdy jest się o coś oskarżonym.

—

Jeżeli nie jestem o nic oskarżony, to na

co właściwie mogę się wam przydać?

—

Na nic — stwierdził z goryczą ten na „G”.

— Naprawdę na nic.

Peł am uderzył otwartą dłońią o blat stołu.

Odgłos uderzenia zaskoczył nawet jego

samego. Policjanci zamrugali powiekami, ale

207

żaden z nich się nie poruszył. — Aresztujecie mnie za to, że stałem przy swoim motorze i

popijałem piwo czy nie? Skoro nie potraficie

znaleźć mordercy... — Peł am czuł, że serce

bije mu coraz szybciej. — *Sami* nie potraficie znaleźć żadnych tropów, więc obwiniacie

mnie.

—

Czekaj no...

Peł am rzucił przez zaciśnięte zęby: — Idźcie

do swojego szefa i powiedzcie mu, że sprawa

dawno byłaby zamknięta, gdyby nie świadek,

któremu brakuje jaj, żeby wam pomóc. Ten

typowy WS. Cokolwiek to do cholery znaczy!

Hagedorn przerwał mu: — Czy ktoś zapłacił

panu za milczenie?

Włoski detektyw dodał: — To przestępstwo,

proszę pana. Poważne przestępstwo. Za coś

takiego idzie się na długie lata za kratki.

Z filmów, przy których realizacji pracował,

Pel am dobrze znał schemat „dobry glina —

zły glina". W tym wypadku miał do czynienia z

wariacją „zły glina —jeszcze gorszy glina".

Jakiś inny policjant, młody mundurowy,

wetknął głowę przez uchylone drzwi. —

Nigdzie nie mogę znaleźć tego alkomatu.

Bardzo mi przykro. A ci z drogówki nie mają

żadnego na zbyciu.

—

No cóż, panie Pel am, chyba ma pan dziś

208

szczęście.

—

Spędziłem trzy godziny w tej zasranej

dziurze. Ładne mi szczęście.

—

Mógł pan przesiedzieć te trzy godziny w

naszym areszcie. Zapewniam pana, że byłoby

to o wiele mniej przyjemne.

Pel am minął ich i wszedł do głównej sali. Tam

zagadnął oficera dyżurnego: — Był tutaj taki

facet? Wysoki blondyn z wąsem?

—

Tak, ale już poszedł. Przykro mi.

—

Poszedł, przykro mi — powtórzył Pel am,
przedrzeźniając policjanta.

—

Bo doszło do drobnego nieporozumienia.

Z mojej winy. Słyszałem, jak chłopcy
rozmawiali o patrolu drogówki i nie widząc
pana nigdzie w pobliżu, uznałem, że zabrali
pana do nich. Skierowałem pańskiego kolegę
do kwatery głównej policji drogowej. To spory
kawałek stąd, przy międzystanowej
siedemdziesiątce. Jakieś siedemdziesiąt,
osiemdziesiąt kilometrów... — Z kamienną
twarzą dodał jeszcze: — Bardzo mi przykro.

Pel am zacisnął powieki i potarł je palcami. —

Czy ktoś mógłby mnie odwieźć do mojej
przyczepy?

—

Obawiam się, że to niemożliwe, proszę
pana. Nie jest pan podejrzanym ani
świadkiem, więc byłoby to wbrew

regulaminowi.

—

Czy w takim razie moglibyście mi

przynajmniej wezwać taksówkę?

—

Taksówkę? — zaśmiał się oficer dyżurny.

Zawtórowali mu obecni w pomieszczeniu

policjanci. — Ostatnia korporacja taksówkowa

działała w Maddox... kiedy to było, Larry?

—

Żebym to ja pamiętał...

—

Nie ma sprawy — przerwał Pel am. —

Przejdę się.

—

Do swojej przyczepy? — zawołał jakiś

gliniarz z niedowierzaniem. — To będzie

niczego sobie spacer.

A inny dorzucił: — Ładnych parę kilometrów.

Przed zamkniętymi na głucho delikatesami znalazł automat telefoniczny i w końcu udało mu się połączyć z recepcją.

Wszystko się zgadza, pan Wel er czekał w hotelowym holu do godziny dziewiętej, potem wyszedł w towarzystwie jakiegoś dżentelmena. Udawali się na kolację. Czy przypadkiem jego nazwisko nie brzmi Pel am?

—

Tak, to ja. Czy pan Wel er zostawił dla mnie jakąś wiadomość? Owszem. Pel am miał

210

do nich dołączyć w Templeton Steak House o wpół do dziesiątej.

Czyli półtorej godziny temu.

—

Gdzie to jest?

Z niefrasobliwych wyjaśnień młodego recepcjonisty wynikało, że lokal mieści się jakieś pół godziny drogi od Maddox.

—

Dzwonię z automatu na ulicy. Nie zna pan przypadkiem ich numeru telefonu?

—
Tak się składa, że mogę go panu podać.

Ma pan ochotę na stek?

—
Słucham?

—
Pytam, czy zamierza pan tam jeść, czy tylko spotkać się z panem Wel erem. Jeśli to drugie, to wiem, że miał on opuścić lokal o wpół do jedenastej. O jedenastej ma lot z Lambert Field.

—
Wymeldował się?

—
Zgadza się. I wydaje mi się, że wspominał coś o wyjeździe do Londynu.

Pel am westchnął. — A ten drugi dżentelmen?

Pan Telorian?

—
O ile mi wiadomo, miał dziś wieczorem lecieć do Los Angeles. Odniosłem wrażenie, że panu Wel erowi bardzo zależało na spotkaniu z panem. Wielokrotnie dowiadywał się w recepcji, czy pan do niego nie dzwonił.

Pel am wpatrywał się w przyciski telefonu.

211

—
Halo? — W słuchawce rozległ się głos
sympatycznego recepcjonisty.

—
Jestem.

—
Niech pan tak szybko nie rezygnuje z
wizyty w Templeton. Robią najlepsze steki w
całym kraju, takie jest moje zdanie. Chce pan
zapisać sobie ich numer?

Pel am grzecznie odmówił.

Wyszperał w kieszeni jeszcze jedną
ćwierćdolarówkę, zadzwonił i przysiadł na
krawężniku.

Pół godziny później zza zakrętu wyłoniły się
światła taurusa Sti-le'a i samochód zatrzymał
się tuż przed nim. Było to pierwsze auto, jakie
przez cały wieczór pojawiło się na drodze.

To, co pan teraz odczuwa, nazywamy bólem
fantomowym.

—
Brzmi jak z „Pogromców duchów” —

mruknął Donnie Buffett. Kobieta uśmiechnęła się.

Buffett pokręcił głową, śmiejąc się z własnego żarciku. Ale tak naprawdę uważnie jej się przyglądał. To fakt, że była lekarzem *oraz* kobietą. Jednak Buffett zbyt długo żył na tym świecie, żeby być zaskoczonym, iż doktor Weiser, słynny specjalista zajmujący się uszkodzeniami rdzenia kręgowego, nie okazał się mężczyzną. Nie mógł się jednak nadziwić

212

temu, z *jaką* kobietą przyszło mu mieć do czynienia: młodą, zaraz po trzydziestce, o foremnej, ślicznej twarzy, krótkich, ostrzyżonych na punka kasztanowych włosach i zadartym nosku, z dołeczkiem w brodzie.

Paznokcie pomalowane błyszczącym, białym lakierem. Szminka czerwona jak światło stopu.

Spod białego fartucha wyglądała jedwabna bluzka w geometryczne wzory w kolorach czerwonym, zielonym i niebieskim. A na dodatek — oprócz ciemnych rajstop i czarnych butów za kostkę, których sznurowadła przechodziły przez specjalne haczyki zamiast przez dziurki — miała na sobie krótką, skórzaną spódnicę. Właściwie mini.

Po wejściu natychmiast wyciągnęła do niego rękę na powitanie, uścisnęła ją zdecydowanie i przedstawiła się: — Wendy Weiser. Specjalista od uszkodzeń rdzenia kręgowego. Pan jest tym policjantem, prawda?

Buffett przekrzywił głowę i starając się ukryć zaskoczenie, odparł: — Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani, jeśli nie wstanę.

—
Ładne rzeczy — rzuciła. — Ech, ci dzisiejsi mężczyźni. Zero szarmanckich gestów.

Następnie opadła na krzesło i natychmiast zaczęła mówić, błyskając zielonymi oczami.

213

Najpierw powtórzyła większość z tego, co już słyszał od profesora Goulda. Chociaż nie wspomniała o niemożliwości leczenia w trybie ambulatoryjnym, ogólny sens jej słów był równie przygnębiający.

Wyjaśniła, że ból, jaki odczuwał w nogach, powszechnie występuje w przypadkach uszkodzenia rdzenia kręgowego i jest określany jako „ból fantomowy”. Wtedy właśnie pozwolił sobie na żart z „Pogromcami

duchów".

Wciąż podziwiał jej strój, gdy nagle Weiser zerwała się z miejsca. Podeszła do drzwi i zamasyście je zamknęła, po czym stanęła przy jego łóżku. — Regulamin tego nie przewiduje, ale... Czym byłoby życie bez ryzyka, prawda?

—

Przebywanie z kimś takim jak ja sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu chyba niczym nie grozi, zgodzi się pani ze mną? Nawet gdybym chciał, nie mogę przecież uganiać się za panią po pokoju. Ale kiedy dostanę wózek, będzie się pani musiała mieć na baczności.

—

Jeszcze się kiedyś pościgamy, pan i ja.

— Przyjrzała mu się z uśmiechem zaciekawienia. — Widzę, że ten zamachowiec nie pozbawił pana poczucia humoru.

214

—

Droga pani doktor — odparł z udawaną powagą Buffett — jeżeli ma mi pani pomóc,

chyba najpierw *ja* będę musiał pomóc pani.

Nauczę panią policyjnego żargonu.

—

Coś nie tak powiedziałam?

—

Strzelec.

—

Co proszę?

—

Mówi się strzelec, nie zamachowiec.

—

Och. Nie mówi się zamachowiec?

—

Tylko w telewizji. My mówimy strzelec.

Albo SP.

—

SB?

—

SR Jak „sprawca”.

—

Super. — Rozszerzyły jej się oczy.

Buffett nawet przez chwilę nie wierzył w jej entuzjazm, ale i tak był wdzięczny. Lekarka

dodała:

—
Będę musiała to kiedyś wykorzystać. SR

A czy SP to też taki, co okrada ludzi? Jak
złodziej?

—
Tak. „Sprawca” równa się „czarny
charakter”.

—
W takim razie mój były mąż był takim SP.

—
To bardzo możliwe — odparł Buffett. —

A skoro już się uczymy

—
sprawca nie strzela, tylko mierzy. Albo
celuje. Albo bierze kogoś na muszkę. A jeśli

215

już zabija, wtedy mówi się, że kogoś sprzątnął, rozwalił albo stuknął.

—
Uczą was tego w akademii policyjnej?

—
To raczej wynik studiów podyplomowych.

—
Panie oficerze...

Wystarczy Donnie.

—

Ja mam na imię Wendy. Wszyscy mówią na mnie Wendy. — Popatrzyła na niego zdumionym, rozbawionym wzrokiem. —

Muszę przyznać, Donnie, że większość ludzi, którzy przeszli to, co ty, rzadko bywa w równie dobrej formie.

Machnął ręką w kierunku nóg, dając jej do zrozumienia, że ma na myśli swój stan. —

Ryzyko zawodowe. Jeśli ktoś się z tym nie godzi, wybiera inną pracę. Co nie znaczy, że jest mi to obojętne.

Czy naprawdę wolno mu było zwracać się do niej po imieniu? W końcu była *lekarzem*. Ale z drugiej strony nosiła kolczyki w kształcie miniaturowych hamburgerów.

Weiser otworzyła torebkę i wyjęła z niej paczkę papierosów; zapalniczka była przezornie wetknięta pod celofanowe opakowanie. — Mogę?

—

Proszę bardzo.

Spytała: — Ty też chcesz zapalić?

—

Nie.

216

—
Nie gadaj — prychnęła.

—
Nie pracuję w obyczajówce. — Buffett

uświadomił sobie, że nie golił się od dnia, w którym znalazł się w szpitalu. Podejrzewał, że wygląda jak siedem nieszczęść. Cóż, to już był jej problem. On na szczęście nie musiał siebie oglądać.

Weiser przysunęła bliżej szare krzesło i kilka razy głęboko się zaciągnęła. Potem założyła nogę na nogę i pochyliła się, żeby zgasić papierosa na obcasie swojego buta.

Następnie wrzuciła niedopałek do kieszeni.

—
Dowód rzeczowy — powiedziała. Usiadła prosto, stawiając obie stopy na podłodze.

—
Pani doktor...

—
No zaraz... — Uniosła jedną brew.

Wendy — poprawił się. — No wiesz, ale

on wydawał się taki prawdziwy...

Znowu uniosła brew.

—

Ten ból.

Wstała i otworzyła okno, żeby przewietrzyć pokój, po czym znowu usiadła. Na ramionach i twarzy poczuł powiew zimnego powietrza. Nie czuł go jednak na nogach. Lekarka odezwała się: — To kwestia fizjologii, a zarazem psychiki. Pacjenci po amputacji mają podobne doświadczenia. Są one o tyle prawdziwe, że

217

ból jest doświadczeniem subiektywnym i to, co w tej chwili odczuwasz, to ból taki sam, jak każdy inny. Określa się go jako fantomowy, ponieważ jego odczuwanie nie jest związane z pobudzaniem zakończeń nerwowych... Ale, ale — czy twoja żona nie miała tu dzisiaj do ciebie zajrzeć?

—

Już to zrobiła, jakiś czas temu. Jutro znowu wpadnie. — Spróbował wyobrazić sobie Penny Buffett i Wendy Weiser gawędzące ze sobą przy gril u czy na

policyjnym pikniku. Nie było to wcale takie trudne.

Weiser skinęła głową. — Trudno, następnym razem z nią porozmawiam. Posłuchaj, Donnie, dzisiejsza wizyta jest raczej towarzyska. Wykonaliśmy już część badań, ale zrobimy ich jeszcze więcej. Za kilka dni będę mogła powiedzieć ci coś bardziej konkretnego o twoich wynikach. Na razie chciałabym ogólnie porozmawiać z tobą o twoim urazie.

Buffett odwrócił wzrok. Weiser jakby od niechcenia przysunęła krzesło bliżej jego łóżka, żeby znaleźć się w polu jego widzenia. Popatrzył na nią i był zmuszony wytrzymać jej spojrzenie.

—
Powiem ci teraz, co zamierzam zrobić jako twój lekarz i co ty sam możesz dla siebie

218

zrobić.

—
Okej.

—
Po pierwsze, zamierzam zrobić coś,

czego nie robię w przypadku większości pacjentów: powiem ci, co będzie się działo w twojej głowie przez najbliższych kilka miesięcy. Zamierzam dopuścić się — jak oni to nazywają na Wal Street? — nielegalnego ujawnienia poufnych informacji. Zazwyczaj my, lekarze, zatrzymujemy je dla siebie w kontaktach z naszymi pacjentami, ale ty mi wyglądasz na rozsądnego faceta, sceptyka. Donnie, wielu ludzi z uszkodzeniem rdzenia kręgowego nie chciało mnie nawet wpuścić do sali przez pierwszy miesiąc swojej choroby. Rzucali we mnie wazonami! Widzisz tę bliznę? To pamiątka po metalowej tacy. Miałam pacjentów, którzy zdawali się mnie w ogóle nie zauważać. Kiedy coś do nich mówiłam, udawali, że oglądają telewizję. Zupełnie, jakby nie było mnie w tym samym pokoju. Nie godzili się z moją obecnością, tak jak nie godzili się ze swoim urazem. Ty jesteś zupełnie inny.

—
Nie jestem w stanie ignorować kobiety w skórzanej spódnicy. Chyba mam to w

genach.

—

Myślę, że stworzymy udany duet. —

219

Nagle spoważniała. — W urazach takich jak twój istnieje kilka etapów rekonwalescencji —

mam tu na myśli rekonwalescencję

emocjonalną. Najpierw przychodzi szok.

Odrętwienie, emocjonalna blokada. Coś

podobnego dzieje się z ciałem, kiedy doznaje

fizycznego urazu. Szok chroni pacjenta. Stan

ten może trwać nawet do dwóch, trzech

tygodni po wypadku. To naprawdę

niesamowite, ale wygląda na to, że ty

zakończyłeś już ten etap. Tak szybka

rekonwalescencja zdarza się bardzo rzadko.

Podejrzewam, że wszedłeś już w drugi etap —

uświadomienia sobie, co się stało. Możesz

zacząć odczuwać niepokój, panikę, lęk.

Ogólny zjazd.

—

Zjazd?

—

Moja córka tak mówi.

—

Masz córkę?

—

Dwunastoletnią.

—

Niemożliwe.

Skwitowała to uprzejmym uśmiechem. —

Tym, co cię teraz czeka, jest uporanie się z
wrażeniem, że tak naprawdę wcale cię tu nie
ma. Lekarze powiedzieliby, że — cytuję —
będziesz nieobecny emocjonalnie.

—

A jak nazwałaby to twoja córka?

220

Weiser zastanowiła się. — Pewnie
powiedziałaby, że się „wylogu-jesz”. To będzie
twój mechanizm obronny na czas naprawdę
podłego samopoczucia. Jednak w twoim
przypadku mam wszelkie podstawy, aby
sądzić, że nie będzie to trwało zbyt długo.

Ostatnie słowo wymówiła, przeciągając „u”.

Zbyt dluuuugo. Zabrzmiało to dziwnie, więc
pomyślał, że zrobiła to celowo. Pomyślał też,
że pomiędzy tymi śmiesznymi punkowymi
kolczykami tkwi bardzo przenikliwy mózg.

—
Więc tak wygląda drugi etap — odezwał się. — A czego mam się spodziewać w trzecim?

—
Nazywamy to „defensywną ucieczką”.
Będzie ci się wydawało, że jesteś w stanie sam się wyleczyć. Albo że zaakceptowałeś już swój stan i przestał ci on przeszkadzać.
Przestaniesz chodzić na terapię i będziesz robił wszystko, byleby tylko nie myśleć o wypadku. A tak przy okazji — będziesz się wtedy zachowywał jak ostatni sukinsyn. Po prostu nie do zniesienia. Będziesz próbował obwiniać innych za to, co się stało. Będzie w tobie wiele złości.

—
Kiedyś pewien dzieciak, którego znałem, zrobił sobie krzywdę. Przejeżdżaliśmy akurat w pobliżu doków, a tu ten dzieciak z mojej

221

okolicy...

—
To znaczy skąd?

—
Z Alton.

—
Nie żartuj — wykrzyknęła. — Ja
mieszkam w Wood River.

—
No to jesteśmy sąsiadami — uśmiechnął
się Buffett.

—
Kiedy byłam też mężatką — on był
profesorem na Uniwersytecie
Waszyngtońskim — mieszkaliśmy w Clayton.
Mój Boże, ale się cieszyłam, kiedy mogłam
się stamtąd wreszcie wynieść z powrotem na
wieś... Ale mówiłeś coś o tym swoim
znajomym?

—
To był jeszcze dzieciak. Nurkował w
rzece... — Przyszło mu do głowy, że użył
niewłaściwego słowa. Czy można nurkować w
rzece? Powinien był powiedzieć: „skoczył do
rzeki”. — ...a wiesz, jak wysokie mają tam
pomosty. Uderzył w deskę, której nie
zauważył. Nie utonął, bo zaraz go

wyciągnęliśmy, ale stracił wzrok. Rozbił sobie
tył głowy, czy coś w tym rodzaju. Później
próbował mnie pobić. Powiedział, że po-
winieniem był zauważyć tę deskę. Oskarżył też
innego dzieciaka o to, że mu ją podsunął. W
końcu wyprowadził się i nigdy więcej tu nie
wrócił ani nawet nie zadzwonił.

222

Zastanawiał się, po co właściwie opowiedział
jej tę historię. Szukał w myślach
odpowiedniego zakończenia, czegoś, co
nawiązałoby do jej wcześniejszych słów — na
próżno. Milczał zatem.

Weiser odezwała się: — Jesteśmy
przyzwyczajeni do takiego zachowania. To
część procesu rekonwalescencji. Mnie samej
zdarza się tak reagować. Dorastałam w
towarzystwie trzech braci. Łatwo tracę
cierpliwość i wybucham. — Wyciągnęła z
kieszeni fartucha niedopałek papierosa.
Odłamała zwęglony koniec, zapaliła i
zaciągnęła się głęboczynną. Gdyby Weiser
nachyliła się kilkanaście centymetrów bardziej
w prawo, zobaczyłaby strzykawkę z igłą, którą

zabiegana pielęgniarka zostawiła na stoliku przy jego łóżku na chwilę przed jej wizytą — strzykawkę, o której Buffett myślał niemal wyłącznie przez cały czas trwania ich rozmowy. Chwycił teraz zagłówek swoimi dużymi dłońmi i napiął wydatne mięśnie. Zdołał dźwignąć się o dwa centymetry w górę. Na czoło wystąpił mu pot. Jeszcze jedna próba i kolejne dwa centymetry. Miał wrażenie, że dźwiga ciężar ciała dziesięciu mężczyzn. Sięgnął po strzykawkę.

Nie, jeszcze nie da rady. Jeszcze kilka

223

centymetrów.

Wciągnął głęboko powietrze i jeszcze raz chwycił się łóżka. Centymetr, potem jeszcze jeden.

Nie rezygnował i przesuwiał się o kolejne centymetry, coraz bliżej i bliżej. Pół centymetra. Przerwał na chwilę i otarł z oczu zimny pot, czując, jak serce wali mu z ogromnego wysiłku. Donnie Buffett pomyślał, że to dobrze, iż tak bardzo się zmęczył. Wręcz doskonale. Kiedy wstrzyknie sobie powietrze

do żyły, przyspieszony puls sprawi, że pęcherzyk szybciej dotrze z krwią do jego serca i rozsadzi je niczym popsuty tłok, a wtedy reszta jego ciała dołączy do nóg pogrążonych w martwym, głębokim i wiecznym śnie...

Można? — John Peł am stał niepewnie w progu szpitalnej sali.

Zaskoczył leżącego w łóżku policjanta, który upuścił coś na podłogę. — Do diabła — warknął Buffett. — Przestraszył mnie pan.

—

Przepraszam. — Peł am wszedł do środka i lawirując między porozstawianymi wszędzie wazonami rozejrzał się dookoła.

Dziesiątki bukietów, wiązanek, roślin doniczkowych. Był ciekaw, czy pielęgniarzki nie mają nic przeciwko podlewaniu tej całej

224

oranżeri .

Teraz w drzwiach pojawiła się blada, ładna buźka. Peł am dał kobiecie znak, żeby weszła do środka. — To jest Nina. A to Donnie Buffett.

Kobieta przywitała się.

—
Witam — rozległ się stłumiony głos

Buffetta. Skręcony na bok zwiesił się z łóżka i
na próżno usiłował podnieść coś z podłogi.

Jego zaczerwieniona twarz błyszczała od
potu.

—
Dobrze się pan czuje? — Peł am obszedł
łożko.

Buffett szukał chyba długopisu, który
widocznie upuścił... Nie, to nie był długopis,
tylko strzykawka.

—
Chwileczkę, ja to zrobię. — Peł am
nachylił się, podniósł strzykawkę i podszedł z
nią do plastikowego pojemnika na odpady z
napisem: „Tylko zużyte strzykawki
jednorazowe”.

—
Nie! — krzyknął Buffett.

Peł am zamarł i oboje z Niną spojrzeli
podejrzliwie na policjanta.

—
Ja muszę zrobić sobie zastrzyk.

—
Sam? — spytała kobieta. — A czy to nie
należy do obowiązków pielęgniarek?

Przez kilka sekund Buffett w milczeniu

225

wpatrywał się w strzykawkę. Wreszcie odchrząknął. — Jestem diabetykiem. Sam
potrafię zrobić sobie zastrzyk.

Pel am wzruszył ramionami. — Ale ta leżała
na podłodze. Poproszę pielęgniarkę o inną. —
Wrzucił strzykawkę do pojemnika na odpady.

— To żaden kłopot.

Oczy Buffetta przywarły do pojemnika z
wyrazem bezbrzeżnej rozpacz. Pel am
sięgnął po przycisk, żeby wezwać
pielęgniarkę. Buffett warknął: — Ja już sam to
później zrobię.

—
Naprawdę, to żaden kłopot.

Buffett wyrwał mu przycisk. — Powiedziałem:
później.

Zaległa niezręczna cisza. Nina i Pel am
jednocześnie spytali, czy Buffett dobrze się
czuje, więc odparł: — Nic mi nie jest. — I
znowu milczenie. Nina zajęła się kwiatami;

obejrzała je i dołała wody do kilku wazonów.

Buffett sprawiał wrażenie poirytowanego jej inicjatywą, ale nic nie powiedział, a ona zdawała się nie zwracać uwagi na jego zły humor.

Pel am przyjrzał się pobieżnie Buffettowi i doszedł do wniosku, że wygląda naprawdę nieźle, biorąc pod uwagę, co go niedawno spotkało. Jeśli nie patrzeć na jego czerwoną,

226

spoconą twarz, sprawiał wrażenie całkiem zdrowego człowieka, który postanowił spędzić dzień w łóżku. Jedynym śladem doznanego urazu była biała, workowata koszula nocna w drobne, bladoniebieskie groszki.

—
Pan w ogóle to w jakiej sprawie? —

odezwał się Buffett. Pel am nie wiedział, jak na to zareagować. Nie spodziewał się tej ciągłej wrogości. Zadał więc pierwsze z brzegu pytanie, jakie przyszło mu do głowy. —

Nie potrzebuje pan czegoś?

—
Nie. Niczego mi nie trzeba. — Kiedy po raz kolejny zapadło między nimi niezręczne

milczenie, Buffett poddał się i uczynił wysiłek,
aby podtrzymać rozmowę. — Trochę się
nudzę, wie pan. Ale mam telewizor. —
Szerokim gestem wskazał stary odbiornik,
jakby sami nie byli go w stanie zauważyć.
Pel am rzucił: — A ja przyszedłem tu dzisiaj,
bo ostatnio trochę mnie poniosło.

Buffetta jakby to też zmuszało do przeprosin,
a wcale nie miał na nie ochoty. Przez dłuższą
chwilę śledził w telewizji niemą relację
dziennikarza CNN. W jakimś zagranicznym
porcie rozładowywano tankowce. Pel am
zaczynał już podejrzewać, że policjant
zamknie się w sobie na dobre i na tym
zakończy się ich wizyta. Spojrzał na Ninę, a

227
wtedy Buffett odezwał się: — To ja zacząłem.

A pan po prostu... na to zareagował. To
wszystko... wytrąciło mnie trochę z
równowagi.

—
Czytałam kiedyś w jakimś czasopiśmie
— zaczęła Nina. — To był „Glamour”. A może
raczej „Mademoiselle”? Napisali, że jeżeli ko-

muś zdarzy się poważny wypadek, to na kolejne pół roku staje się zupełnie innym człowiekiem. — Urwała gwałtownie; może przestraszyła się, że Buffett uzna, iż jest skazany na sześć miesięcy psychicznej udręki.

On jednak roześmiał się. — Ja na pewno dostaję teraz znacznie więcej kwiatów niż dawniej. Może sobie pani jakieś wziąć, jeśli ma pani ochotę.

Nina pokręciła głową. — Och, nie. To nie wypada.

Buffett spojrział na Pel ama. — Poza tym odwiedził mnie burmistrz. Nie było to aż tak ekscytujące jak, powiedzmy, wizyta burmistrza Los Angeles, bo nasz jest jednocześnie dilerem Buicka i ma salon przy Sto Czwartej.

Wie pan, są różni burmistrze. — W głosie Buffetta pojawił się zwodniczy ton. Może chciał być cyniczny, a może naprawdę robił na nim wrażenie fakt, że odwiedził go sam

228

burmistrz. Pel am nie potrafił tego stwierdzić.

Zapadło milczenie, które przerwał Buffett,

mówiąc: — To wszystko jest tylko tak cholernie nudne. Telewizja jest do chrzanu, wie pan?

—
Nie mam telewizora — powiedział

Pel am z większym entuzjazmem, niż zamierzał. — To znaczy, mam odbiornik, ale bez anteny, tylko podłączony do magnetowidu.

Buffett westchnął i zaczął przyciskać guziki szarego, topornego pilota, przeskakując z kanału na kanał. Na ekranie pojawiła się scena z jakiegoś starego filmu. Policjant wyłączył odbiornik. — Chyba powinienem się zdrzemnąć. Nadal jestem w szoku. Naprawdę. To się podobno nazywa szok rdzeniowy — nie taki tam zwykły szok, cha, cha! Sen bardzo dobrze mi robi.

W wyimaginowanym scenariuszu Pel ama następowała teraz scena, w której policjant pyta go, z czym właściwie przyszedł, a on prosi: „Niech pan coś zrobi, żeby pańscy koledzy z dochodzeniówki przestali rujnować mi życie”.

Nie mógł się jednak zdobyć na to, żeby to
powiedzieć. Zastanawiał się, co nim
powodowało. Chyba nie mogło to mieć nic

229

wspólnego z faktem, że wyjdzie stąd za chwilę z piękną kobietą u boku i wróci do swojej
pracy. Ani z wyrazem twarzy Buffetta, który
nie wyglądał już tak zdrowo, jak się Pel amowi
z początku wydawało: półotwarte usta, oczy
strzelające na boki, przerażenie, które
policjant starał się ze wszystkich sił ukryć.

Nie, to wszystko nie miało znaczenia.

Powstrzymała go świadomość, że Buffett leży,
podczas gdy on sam stoi. I tyle.

—
W takim razie lepiej już pójdziemy —

odezwał się. — Chciałem tylko zajrzeć i
zobaczyć, jak pan się czuje.

—
Jasne. — Buffett skinął głową. — To miło
z pana strony.

—
Ma pan coś do czytania? —
zainteresował się Pel am. — Mógłbym coś
panu podrzucić przy następnej okazji.

—
Niczego nie czytam. Nie lubię czytać. —

Powieść kryminalna, którą Pel am przyniósł przy pierwszej wizycie, leżała nie otwarta pod nocnym stolikiem.

—
A może ma pan jakieś zainteresowania?

—
Owszem, mam.

—
Tak? A jakie?

Buffett przeniósł spojrzenie z kwadratowego ekranu telewizora na pojemnik, do którego

230

Pel am wyrzucił zużyty strzykawkę. — Koszykówka, softbal , bieganie i hokej. To są moje zainteresowania.

Kiedy byli już na dole przy recepcji, Pel am przypomniał sobie, że poznał Ninę, gdy ta odwiedzała w szpitalu matkę. Zapytał więc, czy nie chciałaby do niej zajrzeć.

Kobieta pokręciła głową. — Byłam u niej dzisiaj rano. Dwa razy dziennie to już lekka przesada. Mama jest kochana, ale... — Wyszli na zewnątrz. Zachmurzyło się i znacznie

ochłodziło. Nina zapytała: — Twój rodzice

żyją?

—

Tylko mama. Mieszka na północy stanu

Nowy Jork. Rzadko się widzimy. Zwykle po

trzech dniach kończą nam się tematy do roz-

mowy.

Nina wyjęła z kieszeni długi szal w

jaskrawozielone i żółte cętki i założyła go.

Pełną patrzył, jak cieniutki materiał spowija

bladą skórę jej szyi.

—

Bardzo podoba mi się praca, którą mi

załatwiłeś — powiedziała. — Wszyscy są dla

mnie tacy mili.

—

W pewnych zawodach kręcenie filmów

może być przyjemnością. Jeśli jednak jesteś

kimś więcej niż dokumentalistą albo

charakteryza-torem, zaczyna to być

231

upierdliwe.

—

Jedyny minus to efekty specjalne.

Prawdziwa ohyda. Ciągłe tylko ta sztuczna
krew i rany postrzałowe. — Zaciśnęła powieki
i zadrżała z obrzydzenia. — Dlaczego ten pan
Sloan robi takie brutalne filmy?

—
Bo mnóstwo ludzi płaci za to, żeby je
oglądać...

—
Dlaczego tak się rozglądasz? —
zapytała nagle Nina.

—
Rozglądam się?

—
Tak. Zupełnie jakbyś podejrzewał, że
ktoś cię śledzi.

—
Gdzie tam. Po prostu zawsze i wszędzie
myślę o robocie. Rozglądam się za nowymi
plenerami. Tak się składa, że właśnie to
będziemy teraz robić. Poszukamy wielkiego
pola. Przyda mi się pomoc kogoś stąd.

—
Nie zapominaj, że nie jestem stąd.

Mieszkam w Cranston.

—
Jesteś bardziej tutejsza niż ja.

—
Czy to dlatego mnie dzisiaj zaprosiłeś?

— Jej umalowane perłową szminką wargi
wygięły się lekko w uśmiechu.

—
No wiesz, wyszukiwanie plenerów wcale
nie jest takie łatwe, jak by się mogło wydawać.

Wyczuwam w tobie ukryty talent.

—
We mnie?

232

—
Muszę znaleźć duże pole tuż nad rzeką.

Powinna przez nie przebiegać droga. Jak

twoim zdaniem należałoby się do tego

zabrać?

—
Hm, sama nie wiem. Chyba najprościej

to przejechać się wzdłuż rzeki. Jechałabym

tak długo, aż znalazłabym takie pole.

—
Widzisz? To właśnie miałem na myśli.

Jesteś urodzoną doku-mentalistką.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

—
No, niech ci będzie. Ale o siódmej muszę być z powrotem. Czekam na telefon. Popatrz, już nawet mówię jak filmowiec. *Czekam na telefon*. Aha, nie chciałam pytać ludzi na planie, ale jaka jest różnica między oświetleniowcem a kablowym?

—
To najczęściej zadawane pytanie w historii show-biznesu. Oświetleniowiec to mistrz oświetlenia, odpowiada za żarówki. A kablowi to elektrycy zajmujący się okablowaniem.

Podeszli do jej samochodu.

—
Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

Peł am uprzedził ją. — Szef wózkarzy też czasami odpowiada za oświetlenie.

—
Nie o to mi chodziło — roześmiała się Nina, rzucając mu kluczyki. — Chciałam cię zapytać, czy znasz kulisy jakiegoś

kanapowego castingu.

Peter Crimmins był członkiem Klubu

Ukraińskiego w St. Louis.

Gdyby tylko chciał, z pocałowaniem ręki

przyjęto by go do elitarnego Klubu

Metropolitalnego lub — chociaż był takim

trochę farbowanym chrześcijaninem — do

Klubu Golfowego w Covington Hill s. Ale je-

dyna organizacja społeczna, do jakiej należał,

to był ten klub. Mieścił się on w zaniedbanym

dwupiętrowym budynku o brudnych, poszarza-

łych oknach, wciśniętym pomiędzy puste

działki zarośnięte samosiejkami drzew i

dławiącym je zielskiem. Wnętrze — jedno

duże pomieszczenie zastawione połamanymi

stolikami i kulawymi krzesłami — wypełniała

woń cebuli, dymu papierosowego i pleśni.

Miało się wrażenie, że czas zatrzymał się tu w

roku, w którym otwarły się podwoje klubu — w

1954.

Tego popołudnia Crimmins siedział przy

jednym stoliku z Joshuą, swoim kierowcą i

szefem ochrony. Pili herbatę zaparzoną w

tanim samowarze. W klubie było jeszcze czterech lub pięciu mężczyzn, którzy normalnie chętnie przysiedliby się do Crimminsa, ale woleli nie robić tego wtedy, gdy towarzyszył mu Joshua. W obecności

234

ochroniarza nie czuli się zbyt pewnie. Oczywiście wiedzieli o Crimminsie wszystko. Czytali zarówno „Post-Dispatch”, jak i „Ukrainian Daily News”, z których pierwsza relacjonowała jego kryminalne poczynania, a druga donosiła o przedsięwzięciach towarzyskich, społecznych i zawodowych. Te ostatnie doniesienia w ogóle ich nie interesowały; byle głupiec mógł rozdawać pieniądze na prawo i lewo. Ale odnoszący sukcesy przestępca — tak, to było coś.

Otaczali go więc, pławiąc się w blasku jego złej sławy. Przebywając w pobliżu Crimminsa, podnosili własny prestiż. John Gotti miał swój klub w nowojorskiej Małej Itali, Peter Crimmins miał swój. Byli przekonani, że dzięki niemu okolica klubu stała się bezpieczniejsza. Crimmins i Joshua pili herbatę już od dobrych

dziesięciu minut, gdy do klubu wszedł
barczysty mężczyzna w dzinsach i niebieskiej,
dżinsowej kurtce. Miał na sobie brudną
koszulę i był przysadzisty, chociaż poruszał
się z pewną gracją. Crimmins nie pochwalał
tak pospolitych i niedbałych strojów; z drugiej
strony, poza wykonywaniem na boku zleceń
takich jak to, które miał dla niego Crimmins,
człowiek ten mógł być na co dzień brygadzystą
albo stolarzem.

235

Joshua przedstawił ich sobie: — Tom Stettle.

Pan Crimmins.

—

Bardzo mi miło, proszę pana — Stettle
strzelał oczami to w jedną, to w drugą stronę;
na chwilę jego spojrzenie spoczęło na
znamieniu Crimminsa — jego „trzecim oku” na
środku czoła.

—

Nazywasz się Stettle?

—

Zgadza się, proszę pana — odparł

tamten.

—
Siadaj.

Mężczyzna posłuchał. Składane plastikowe krzeselko zatrzeszczało pod jego ciężarem.

Crimmins świadomie przedłużał milczenie.

Zauważył jednak, że zamiast odczuwać skrępowanie, Stettle wyraźnie się odprężył i spojrzał na niego z sympatią.

Wreszcie Crimmins odezwał się: — Joshua powiedział ci, o co chodzi?

—
Tak jest, proszę pana.

Niezbyt bezpiecznie było spotykać się ze Stettlem twarzą w twarz. Gdyby coś poszło nie tak, zawsze istniało ryzyko, że zleceniodawca zostanie zidentyfikowany. Crimmins wolał jednak zawsze na własne oczy przekonać się, kogo zatrudnia. Rozmowa toczyła się łatwiej, jeśli się wiedziało, jak ktoś wygląda. Można było zaobserwować charakterystyczne gesty i

236

porównać je ze słowami. To z kolei pomagało stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę, czy można na nim polegać i za ile można go kupić.

—

Pochodziłeś za nim trochę? Za

Peł amem? Stettle przytaknął.

—

Wiem, że policja też go obstawia.

Zauważyłeś kogoś? Ludzi z biura Petersona?

—

Kilku, od czasu do czasu. To nawet zabawne. Tak, jakby jednego dnia mieli to w budżecie, a drugiego już nie. Łażą za nim tylko tyle, ile trzeba.

Crimmins poczuł silną potrzebę przypomnienia mężczyźnie, że płaci mu piętnaście tysięcy dolarów za jego pracę. Nic jednak nie powiedział. Kolejna żelazna zasada, jaką się kierował, oprócz tej, która kazała mu zapewniać byt rodzinie, brzmiała: „Nie szarp za smycz, jeżeli nie musisz”.

—

Miej go nadal na oku.

—

Będę, ale to, że facet głównie kręci się w terenie, wcale nie ułatwia sprawy — wie pan, o czym mówię? W mieście, gdzie jest dużo ludzi, można łatwiej zniknąć. Są taksówki i

metro. I szybciej można coś zorganizować...

Wyważony i pełen uszanowania ton

wypowiedzi Stettle'a poprawił Crimminsowi

humor. Cieszył się, że Stettle szczerze

przedstawia mu swoje wątpliwości. On sam

237

sądziłby raczej, że takie sprawy łatwiej za-

łatwia się na wsi.

—

W porządku. Na razie rób swoje. Joshua

wie, jak się z tobą skontaktować?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

—

Dzięki, że wpadłeś. Napijesz się

herbaty? A może skosztujesz placka?

—

Dzięki, ale nie, proszę pana.

Stettle opuścił klub, rozglądając się badawczo.

Crimmins pomyślał, że może lustruje

tandetnie wykonaną boazerię, myśląc, że sam

zrobiłby to lepiej.

Zwrócił się do Joshuy: — Potrafi zrobić z niej

użytek?

—

Z czego?

Crimmins ciągle zapominał, że niektórzy ludzie nie myślą tak szybko jak on. — Z broni.

—
To źle postawione pytanie. Wiem tylko, że ją ma i nie waha się jej używać. W Maddox za coś takiego obowiązuje ustawowy wymiar kary, więc wielu gości ma opory. On nie ma.

Crimmins podniósł się z krzesła i nalał sobie i ochroniarzowi po jeszcze jednej filiżance herbaty.

II

238

S'a vous plaît, est-ce que vous avez un ...

gościa, *monsieur* Wel era?

Słuchawkę wypełniły trzaski napływające z

odległości trzynastu tysięcy kilometrów,
przekazywane przez kable telefoniczne i fale
radiowe.

— *Non, monsieur.*

—
No dobra, *est-ce qu'il a une réservation?*

Łomot, który rozległ się za jego plecami,
sprawił, że Pel am upuścił komórkę. Obrócił
się na pięcie. Zobaczył czyjąś pięść ponownie
spadającą z impetem na drzwi przyczepy.

Nachylił się i ze ściśniętym sercem wyjrzał na
zewnątrz. Znowu *oni*. Z jakiegoś powodu
zapamiętanie nazwisk dwóch agentów FBI
przyszło mu o wiele łatwiej niż w przypadku
tamtych dwóch detektywów, Anglosasa i
Włocha. Bracken i Mon-roe.

—
Chwileczkę! — zawołał. — Rozmawiam
przez telefon! — Walenie nie ustawało. —

Moment. Rozmawiam z *Paryżem*. *Repétez?*

S'il vous plaît... Nie ma? Okej, to znaczy —
merci.

Psiakrew.

Sześć godzin wcześniej Marty Wel er opuścił

Londyn, podobno udając się do Paryża. Nie było go jednak w Plaża Athenee — gdzie się zawsze zatrzymywał (albo gdzie *jak twierdził*,

239

się zatrzymywał) — i Pel am nie miał zielonego pojęcia, gdzie go szukać. Chciał go przeprosić za to, że nie dotarł na tamto spotkanie z Telorianem.

Odłożył telefon na bazę i otworzył drzwi. Z powagą skinął głową, ale nie zaprosił agentów do środka.

—
Jak tam się pan miewa, proszę pana? — odezwał się Monroe. Cisza.

Bracken, który wyglądał tego dnia mniej niechlujnie niż ostatnio, zapytał: — Panie Pel am, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy weszli?

—
Szczерze mówiąc, tak.

—
To nie potrwa zbyt długo. Pel am odparł:

— Ja naprawdę nie...
—

Chcielibyśmy tylko zadać panu kilka

dodatkowych pytań. Nasza ostatnia

rozmowa...

—
Rozmowa?

—
...nie była szczególnie owocna.

—
Wczoraj wieczorem dokładnie

opowiedziałem policji z Maddox, co się

tamtego wieczoru wydarzyło. I to już chyba po

raz drugi. Albo trzeci. Nie wymieniacie się

informacjami czy co?

Monroe zachowywał uprzejmość i upór

domokrażnego handlarza. — Bardzo nam

240

przykro z powodu tego, co ostatnio zaszło.

Pracujemy pod olbrzymią presją. Wie pan, jak

to jest.

Pel am odczekał kilka sekund, po czym rzucił:

— Cóż, proszę wejść.

Znalazłszy się w środku, agenci przysunęli

sobie krzesła i usiedli, pochylając się lekko

naprzód, żeby zachować nienaganną

postawę. Nogawki ich jasnych spodni uniosły się wysoko w górę, odsłaniając łydki. Pel am uznał, że to zabawne — brakowało im bigła typowego dla miejskich gliniarzy. Było w nich coś anonimowego.

Pochwalili panujący w przyczepie porządek, a Bracken dodał nieco zazdrośnie, że pewnego dnia też ma zamiar sprawić sobie wóz kempingowy. Żeby jeździć do Minnesoty na szczupaki.

Jak na razie była to powtórka z zabawy w złego i dobrego gliniarza.

—
Problem w tym, że ci z Maddox niezbyt chętnie z nami współpracują. Nie mają wielkiego poważania dla funkcjonariuszy federalnych.

Ciekawe, dlaczego.

—
Bylibyśmy naprawdę bardzo wdzięczni, gdyby mógłby nam pan powiedzieć, co pamięta. Musi nas pan zrozumieć, panie

śledztwa.

Pel am chciał im się jakoś zrewanżować za ich uprzejmość, więc jeszcze raz zrelacjonował wszystkie fakty — tak dokładnie, jak tylko potrafił. Piwo, lincoln, facet, który na niego wpadł, to, jak się nachylił i zajrzał do samochodu, jak ten zaraz odjechał, swoją rozmowę z policjantem. Po tylu powtórkach zaczynał już dochodzić do wprawy w opowiadaniu tej historii.

Agenci słuchali go, nie okazując żadnych emocji. Żadnego przewracania oczami, żadnego szarpania za klapy czy popychania na szyby i wybijania okien. Po prostu słuchali go i nie zgłaszali zastrzeżeń. I ani razu nie nazwali go „typowym WS-em”. Jedyne zadawali pytania.

W końcu Pel am zdał sobie sprawę, że minęła już okrągła godzina. Zaczynało go to nudzić.

Czuł się jak złapany na haczyk szczupak. O mały włos nie podzielił się tą refleksją z Brackenem — wędkarzem.

—
Proszę nam to jeszcze raz powtórzyć...

Tylko jeden, ostatni raz, słowo honoru.

—

Okej. Ostatni raz. — I Pel am ponownie wyrecytował swoją opowieść.

242

Monroe wszystko spisywał. Pel am zastanawiał się, ile tacy agenci zarabiają i ile pieniędzy podatników idzie na spisywanie przypadków oślepienia świadka światłem odbitym w samochodowej szybie.

Później zaczęli pytać go o rzeczy pozornie niezwiązane z samym zabójstwem. Dlaczego kupował cały karton piwa? Czy mógłby opowiedzieć im o tamtej rozgrywce pokera? Czy wie, kim był Vincent Gaudia? Czy kiedykolwiek wcześniej widział tamtego policjanta?

—

Nie.

—

A czy to prawda, że wtedy tam podał pan coś policjantowi?

—

Hm — mruknął Pel am. — Rzeczywiście,

tak było.

—

Odniosłem wrażenie, że był pan
zaskoczony. Dlaczego był pan zaskoczony?

—

Wtedy, kiedy podawałem mu torbę?

—

Nie, przed chwilą. Kiedy o tym
wspomnieliśmy.

—

Po prostu nie podejrzewałem, że ktoś
jeszcze wie, że coś mu wtedy dałem.

Ich brwi drgnęły. — A cóż to było?

—

Myślicie, że dałem mu łapówkę?

—

Po prostu chcielibyśmy się dowiedzieć,
co było w tej torbie.

243

—

Pączek.

—

Pączek?

—

Z konfiturą z róży — dodał Pel am. —

Pomyślałem, że będzie zdrowszy niż te z
ajerkoniakiem.

—
Ach, tak.

Kolejne pytania; kolejne pół godziny.

—
Czy kierowca — zapytał Bracken — miał
w wozie uchwyt do napojów?

—
Żartuje pan? — parsknął Pel am i
popatrzył na zegarek.

Wreszcie agenci wstali —jednocześnie —
zupełnie jakby jego odpowiedź na pytanie
(„Czy znał pan Vince'a Gaudię, zanim ten
zginął?" „Nie") była dla nich sygnałem do
odwrotu.

Odprowadził ich do wyjścia. Podziękowali za
poświęcony im czas, a Bracken odwrócił się
jeszcze i upewnił się: — Chyba w najbliższym
czasie nie zamierza pan wyjeżdżać z miasta?

W jego głosie pojawił się dziwny ton. Nie
przybrał jeszcze pozy „złego gliny", ale nie był
też już „dobrym gliną".

—
Zostanę do końca zdjęć. A potem...

—
Jak długo to potrwa?

—
Góra tydzień.

—
W takim razie powinien pan coś
wiedzieć. Posiadamy informacje

244

wywiadowcze, z których wynika, że Peter Crimmins — główny podejrzany w sprawie
zabójstwa Gaudi — kontaktował się ze
swoimi współnikami spoza stanu.

Najprawdopodobniej z Chicago. Peł am nie
wiedział, co ma zrobić z tą informacją.

—
Często tak się dzieje — ciągnął Bracken
— kiedy szef mafi szuka sobie cyngla. Z
reguły nie najmują do tego miejscowych.

—
Rozumiem.

—
Mówię to tylko po to, żeby pan był
ostrożny.

—
Jasne. No cóż, dzięki za troskę.

Już wychodzili, gdy Monroe przystanął
jeszcze raz, żeby mu podziękować. Przy
okazji dodał: — Ale wie pan, nasi ludzie
obstawiają wszystkie lotniska w okolicy.

—
Wszystkie?

—
Tak, stacje kolejowe też.

Zostawili go w niepewności co do swoich
intencji. Czyżby zamierzali szukać płatnych
zabójców w samolotach i pociągach? A może
raczej próbowali zasugerować mu, że gdyby
przyszła mu ochota nawiać przed karzącym
ramieniem sprawiedliwości, powinien
pomyśleć o kupnie biletu na autobus
dalekobieżny

Pielęgniarka zauważyła zakrwawiony

245

paznokieć jego kciuka.

—
Co jest? — zapytała. — Co się stać?

Była to niska i szeroka w biodrach Filipinka.

Miała łagodne oczy, ale rzadki wąsik nad jej pełnymi, purpurowymi ustami sprawiał, że wyglądała, jakby była brudna, co z kolei nadawało jej twarzy wyraz okrucieństwa lub w najlepszym razie obojętności.

Pielęgniarka wyjęła z pudełka lateksowe rękawiczki. Nałożyła je, uniosła bliżej jego dłoni i z niesmakiem przyjrzała się z bliska krwawej plamie.

—
Nie mam AIDS — zapewnił ją żałośnie.

Chwyliła mocniej jego rękę i wykręciła ją, żeby lepiej obejrzeć palec. Boże, ależ była silna. Czuł bijącą od niej zwierzęcą woń potu.

—
Jak to zrobić?

—
Słucham?

—
Gdzie to wsadzić?

Jednym szarpnięciem ściągnęła z niego prześcieradło i koc i rozpoczęła oględziny — od połowy uda, w górę, unosząc i obracając na boki jego pozbawione czucia nogi. Buffett

skojarzył to z wyrabianiem ciasta. Z
zagniataniem ciasta na chleb. Chciało mu się
płakać.

—
Nic mi nie jest. Mogłaby mnie siostra
zostawić w spokoju?

246

—
Pan sobie pogorszyć. Tacy jak pan,
zawsze wszystko utrudniać.

Palce, których dotyku nie czuł, obmacywały
skórę jego nóg. Zamknął oczy. To był dla
niego kolejny sprawdzian — nawet w takiej
chwili, pomimo całego swojego cierpienia i
upokorzenia, ze wszystkich sił starał się
cokolwiek poczuć. W pewnym momencie
wydawało mu się, że wie, gdzie znajdują się
ugniatające jego ciało palce, ale kiedy
otworzył oczy, przekonał się, że ręce
pielęgniarki są zupełnie gdzie indziej, niż to
sobie wyobraził. Nie czuł niczego, absolutnie
niczego...

Wtedy jednak ona dostrzegła chusteczkę
higieniczną wystającą spod jego bokserek.

Wyciągnęła zgniecioną ligninę, przesiąkniętą ciemną krwią. Buffett poczuł, że pali go twarz.

Na czoło wystąpił mu pot.

Pielęgniarka ściągnęła swoje okrutne, a może tylko obojętne usta. Wyrzuciła zakrwawioną chustkę do kosza na śmieci, nachyliła się nad nim, rozsunęła jego włosy łonowe i przyjrzała się z bliska niewielkiemu nacięciu w pobliżu penisa. Nie było długie ani głębokie, ale silnie krwawiło. Włosy wokół rany aż zrudziały, a na cewniku widniała czerwona plama.

Pielęgniarka westchnęła, wzięła do ręki

247

krótkie, błyszczące nożyczki i przycięła gęste włosy w miejscu zranienia. Przemyła ranę i przyłożyła gazę, którą następnie przykleiła białą taśmą samoprzylepną. Potem ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła je do kosza na śmieci.

—

Przepraszam — odezwał się. — Ja tylko... Porozumiewawczo mrugnęła ciemnymi powiekami. — Pan chce sprawdzić, czy coś poczuć. — Cmoknęła z dezaprobatą. — Wy ludzie... Wszystko utrudniać. Utrudniać wszystkim praca.

Wyszła. Buffett popatrzył za nią, a potem na pojemnik z odpadami medycznymi, w którym wcześniej wylądowała jego bezcenna strzykawka. Z rękoma na swoich martwych udach spojrzał na pusty ekran telewizora, po czym wbił nieruchome spojrzenie w sufit, czekając na łzy, które nie nadchodziły. Wreszcie podniósł ręce i z furią zaczął szarpać za gumę do ćwiczeń, przerzuconą przez pręt ponad jego głową. Po tym, jak cały ranek — od siódmej do południa — minął mu na badaniach, Buffett poprosił salowego, żeby przewiesił mu przez pręt gumę do ćwiczeń, bo chciałby trochę popracować nad mięśniami ramion. Zaraz też chwycił mocno uchwyty i zaczął przyciągać je do siebie, ćwicząc na zmianę to prawą, to lewą ręką. Salowy

248

przyglądał się temu z aprobatą. — Stary, nie chciałbym próbować się z tobą na rękę... —

Teraz Buffett znowu zaczął ćwiczyć. Odliczał przy tym od sześćdziesięciu do zera. Kiedy się gimnastykował, zawsze tak odliczał — kiedy liczba powtórzeń się zmniejsza, trudniej jest przerwać ćwiczenia.

Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem,

pięćdziesiąt sześć...

Najgorzej było przerwać, zanim doszło się do zera. Wiedział, że w takim przypadku przydarzy mu się coś strasznego.

Na przykład dopadnie go atak paniki.

Czterdzieści siedem, czterdzieści sześć,

czterdzieści pięć...

Sam pot.

Jeszcze jedno pociągnięcie, jeszcze jedno, i jeszcze jedno.

Przy „trzydziestu trzech” do sali wkroczyła wolno Wendy Weiser.

—

Cześć, Donnie.

—

Siemanko, pani doktor.

—

Jak się dzisiaj czujesz?

—

Bombowo. — Buffett uśmiechnął się jak na zadowolonego faceta przystało.

Fantomowy ból, fantomowy uśmiech.

Normalka.

Przysunęła sobie krzesło tak, jak to miała w

249

zwyczaju, i klapnęła na nie w taki sposób, jakby siadała na kolanach swojemu chłopakowi. Pomyślał, że to czarujące. Nie był pewien, czy to jest odpowiednie słowo, i nie wiedział, czy można czarująco siadać na krześle, ale tak właśnie pomyślał. Był tu dopiero od dwóch czy trzech dni, a już pięć razy mu się śniła. Czasami, kiedy nie spał, fantazjował na jej temat; myślał

0

tym, jak siada, jak siedząc, rozsuwa

lekko kolana, jak się garbi

1

w ten sposób kryje kształt swoich piersi,

jak szeleściłyby jej pończochy, jak opadałby

fartuch... Jak dotąd nie posunął się dalej w

swoich fantazjach.

Myśl o doktor Weiser była tą jedyną, która nie

dawała mu spokoju, kiedy planował samobójstwo. Miał nadzieję, że to nie ona znajdzie jego ciało.

—
Chciałbyś się czegoś napić?

—
Owszem, szkockiej. Najlepiej dwunastoletniej Glenfiddich. Byłoby fajnie.

Wesoły Donnie, wesołe żarciki.

—
A co powiesz na napój energetyczny?

—
Niech będzie.

Otworzyła jego kartę. — Widzę, że masz rozpisane badania na kolejnych parę dni.

Wciąż jeszcze niewiele można powiedzieć.

250

Szok rdzeniowy powoli ustępuje...

Następnie Weiser zaliczyła swoją porcję uciskania i ugniatania jego nóg, po czym wykonała serię badań neurologicznych — tych samych, które Gould zaserwował mu już kilka dni wcześniej. Kiedy dotknął czubka swojego nosa, powiedziała: — Świetnie. — Tak samo

jak Gould. I chociaż bardzo chciał, żeby jej
diagnoza oznaczała dla niego coś innego niż
ta Goulda, było jasne, że się z tamtą pokrywa.
Zanotowała coś w karcie, a potem usiadła i
zapaliła papierosa.

—
Zraniłeś się — rzuciła wreszcie.

Przytaknął, unikając jej wzroku, i przesunął na
bok zwisającą z pręta gumę do ćwiczeń.

—
Ja tylko... — Głos uwiązł mu w gardle.

—
Wiem, jak bardzo zależy ci, żeby
dowiedzieć się czegoś więcej o swoim stanie
— odezwała się łagodnie. — Ale dopóki szok
całkowicie nie ustąpi, postępując w ten
sposób, możesz jedynie zrobić sobie krzywdę.
Szpitale są brudne. To siedlisko bakterii.

—
Mogę złapać zakażenie? — szepnął z
rozpaczą w głosie.

—
Możesz. — Przez chwilę przyglądała mu
się uważnie, po czym orzekła: — Ty chcesz

mnie pewnie spytać o seks.

—

Nie, ja tylko... — Skinął głową i przyznał:

251

— Chciałem sprawdzić, czy coś poczuję. Tam.

Usłyszał, że jest jeszcze zdecydowanie za
wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić. Zgodziła
się jednak odpowiedzieć na kilka jego pytań i
dodała: — Teraz nie mam za wiele czasu.

Wyjeżdżam na kilka dni.

Poczuł dławienie w gardle. Opuszczała go.

Drzemiąca w nim panika tylko czekała na taką
informację; ścisnęła mu serce tak bezlitośnie,
że aż się spocił. Kurczowo zacisnął dłonie na
uchwytach gumy.

—

Dokąd jedziesz? — Zapytał tylko po to,
żeby wyrwać się z kleszczy paniki.

—

Mam domek nad jeziorem Ozarks.

—

Jedziecie razem z mężem?

—

Jestem rozwiedziona.

Kiedy to powiedziała, przypomniał sobie, że

już o tym rozmawiali. Weiser dorzuciła: —

Spotykam się z kimś.

—

Też tam czasami jeżdżę. Na konie.

Pamiętam, że jest tam mnóstwo koni... I

drzew. — Mgliste wspomnienie przypląnęło i

zaraz się rozwiało.

—

Niestety, nie ma jednoznacznych

odpowiedzi, jeśli chodzi o seksualną sferę

życia po uszkodzeniu rdzenia kręgowego,

Donnie.

—

Sfera życia... Wy, lekarze, używacie

252

takich dziwnych słów. — Na ułamek sekundy z trudem wznoszona fasada pękła i lekarka

drgnęła, widząc w jego oczach błysk gniewu.

Zaraz jednak na twarz Buffetta powrócił

uśmiech.

—

Dużo o tym myślisz?

—

A mam coś innego do roboty? —

Wyszczrzył zęby. — Całymi dniami gapię się na cycki lasek w telewizji.

Weiser roześmiała się. — Na podstawie umiejscowienia i charakteru urazu wiemy, że nie będziesz już nigdy chodził, Donnie. Nic na to nie poradzimy, a przynajmniej nie przy pomocy dzisiejszych technologii . Jednak na tym etapie rekonwalescencji kwestia dysfunkcji seksualnej jest wciąż otwarta...

Dysfunkcja... Ta funkcja, tamta funkcja...

Buffett poczuł się rozczarowany. Wciskała mu kit. Jakie partnerstwo? Jaki udany duet? To głównie prawda.

—
Nawet w najgorszych przypadkach pacjentowi można bardzo pomóc.

Mówiła, ale on był już myślami gdzie indziej. Ciekawe, jak często pieprzyła się z tym swoim facetem w letnim domku nad jeziorem. Czy leżąc pod nim, szepnie mu do ucha, że całe przedpołudnie rozmawiała o fiutach i dochodzeniu ze świeżo upieczonym

...dwie sprawy. Jedna, to sam stosunek.

*A druga to splodzenie potomstwa... Jeżeli
mężczyzna...*

Prawdopodobnie bzykała się z nim cztery,
pięć razy w tygodniu. Prawdopodobnie miała
fantastyczne orgazmy, prawdopodobnie brała
go do ust...

*...dwa rodzaje erekcji — odruchowa i
psychogenna. Do erekcji odruchowej
dochodzi pod wpływem działania fizycznego
bodźca na genitalia, oczywiście w pierwszej
kolejności na penis, ale także na prostatę lub
pęcherz. Do tego rodzaju erekcji dochodzi bez
udziału mózgu.*

W jego głowie rozległ się ostrzegawczy
dzwonek. Nagle zaczął się silnie pocić.
To panika podnosiła swój ohydny łeb.
Swędziały go pachy. Czuł, że poci się w
miejscach, w których nigdy nie widział u siebie
potu — na policzkach, w uszach, na wierzchu
dłoni. Chryste Panie, pociły mu się nawet
nadgarstki! Zupełnie jakby wilgoć zapragnęła

nagle opuścić jego uszkodzone ciało

wszystkimi porami skóry; to było jak ucieczka

szczurów z tonącego okrętu.

—

Kiedy rano budzisz się z erekcją, to jest

254

to erekcja odruchowa. Erekcja psychogenna jest reakcją na fantazje i bodźce wizualne — a także na podniecające nas myśli.

Weiser przerwała, żeby zapytać: — Dobrze

się czujesz?

—

Trochę tu gorąco.

Podniosła się i otworzyła okno. Stała

odwrócona do niego plecami, jedwabna

spódnica ciasno opinała jej pośladki. Wyraźnie

widział zarys majtek.

Donnie przełknął ślinę.

Usiadła. Znowu zapaliła papierosa, zaciągnęła

się głęboko trzy razy, a potem go zgasiła.

—

Zbadamy cię. Przekonamy się, czy

mamy do czynienia z uszkodzeniem górnego

neuronu ruchowego czy dolnego neuronu

ruchowego. Jeżeli górnego, będziesz mógł

mieć erekcje odruchowe...

O czym ona gada?

—
*A jeśli uszkodzony został dolny neuron
ruchowy, wówczas w sferze twojej sprawności
seksualnej dojdzie do tak zwanej arefleksji...*

—
To znaczy, że erekcje będą
psychogenne? — Buffett ze wszystkich sił
starał się skoncentrować. Nienawidził takich
nadętych określeń. Lekarskie gadanie. Panika
żywiła się właśnie takimi określeniami. Dawaly
jej siłę — ba, wręcz po nich szczytowała!

255

Wierciła się, zagłuszając ból — ból
fantomowy, ten zdradziecki ból. Wślizgiwała
się w jego trzewia, a potem wędrowała wyżej,
aż do klatki piersiowej. Buffett zacisnął zęby i
napiął mięśnie brzucha, żeby nie dostała się
do serca, bo wtedy z pewnością by go zabiła.
Nie odrywając wzroku od oczu lekarki, mocno
pociągnął za gumę do ćwiczeń. Wysięk
fizyczny w walce z paniką.

Są cztery możliwości. Możesz mieć

całkowity lub niecałkowity odruch lub

całkowitą albo niecałkowitą refleksję.

Najcięższym przypadkiem jest całkowita

arefleksja, ponieważ oznacza brak jakichkol-

wiek odruchów i brak wpływu mózgu.

Oto on, Donnie Buffett, leży niecałe dwa metry

od pięknej kobiety o błyszczących, zielonych

oczach i słucha, jak ta opowiada mu o sztyw-

niejących członkach... Zerka w dół, na małe,

nieruchome wybrzuszenie w swoim kroku i

czuje, jak szpony paniki zaciskają się kilka

centymetrów od jego serca.

—

W przypadku postrzałów uszkodzenie

nie jest zwykle całkowite. A jeśli chodzi o

pacjentów z całkowitą refleksją, trzy czwarte z

nich jest w stanie odbyć stosunek, a u ponad

połowy dochodzi do ejakulacji i orgazmu.

Ale ja nie będę jednym z nich. Dziewczyna w

256

opiętej mini opowiada mi o wytryskach, a ja absolutnie niczego nie czuję...

—

Może się okazać, że nie będzie to

konieczne — najprawdopodobniej nie będzie

— ale ewentualnie mógłbyś zastanowić się

nad protezą.

Pierwszą myślą Buffeta była sztuczna noga.

—

...Istnieje kilka rodzajów implantów, które

wszczepia się do penisa.

Panika aż zawyła z zachwytu. Rozszalała się

teraz na dobre, wiała się, stawiała na tym swoim

parszywym łbie. Pot lał się z niego strumie-

niami. Buffett przełknął ślinę.

—

Natomiast jeśli chodzi o twoje szanse

zostania ojcem, najczęstszym skutkiem

uszkodzenia rdzenia kręgowego jest

zmniejszenie się liczby plemników. Ale trzeba

pamiętać, że mnóstwo zdrowych ludzi też ma

problemy z poczęciem dziecka, poza tym jest

wiele metod...

A syn? Co będzie z synem, którego zamierzał

mieć?

To był ten moment. Nie dając mu żadnej

szansy na obronę panika chwyciła go za

gardło.

Donnie Buffett zaczął drzeć jak antylopa, która dostała się w paszczę lwa.

Oczy lekarki zwęziły się lekko. Mrużąc je

257

patrzyła, jak policjant ociera sobie pot z twarzy. — Donnie...?

Spojrzał na nią i przełknął ślinę. —

Przepraszam. — Dotknął lekko swojego

ramienia. — Ciągle jeszcze mnie boli. No

wiesz, tam, gdzie oberwałem. Czasami

naprawdę mocno mi to dokucza.

—

Chcesz coś przeciwbólowego?

—

Nie, po prostu od czasu do czasu czuję

te cholerne ukłucia. Pocę się wtedy jak mysz.

Mów dalej. — Uśmiech. — Proszę.

Był w stanie powiedzieć to tylko dlatego, że

był już martwy. Szpony paniki rozdarły mu

serce na strzępy. Już było po nim. Mógł być

równie uprzejmy, jak spoczywający na marach

nieboszczyk.

Weiser mówiła jeszcze przez kilka minut, po

czym podsumowała swój wykład. Coś na

pocieszenie, coś do śmiechu. Pokiwał głową,

choć nie miał pojęcia, co do niego

powiedziała. Dodała, że żałuje, iż musi

wyjechać. Niedługo znowu pogadają.

Podziękował jej. Patrząc jej prosto w oczy,

powiedział: — Wiesz, bardzo mnie podniosłaś

na duchu. Dzięki. — Uścisnęli sobie dłonie.

Buffett życzył jej miłego weekendu.

Kiedy wyszła, podniósł słuchawkę i połączył

się z Bobem Gianni na posterunku policji w

258

Maddox. Przez chwilę rozmawiali o niczym, a kiedy Buffett poczuł, że nie wytrzyma już ani

sekundy dłużej, poprosił detektywa o numer

telefonu. Po drugiej stronie na moment

zapadła cisza, a potem Buffett usłyszał

wymieniane kolejno cyfry. Zapamiętał je.

Zapytał jeszcze: — To numer komórkowy,

tak?

—

Tak, ma w przyczepie komórkę.

—

Dzwoni się tak jak na stacjonarny?

—

Dokładnie tak samo.

■

Pomimo zamkniętych powiek Donnie Buffett

wyczuł, że ktoś stanął w drzwiach jego sali.

Miał nadzieję, że to nie Penny. I jeszcze

większą, że to nie jej rodzice.

Najlepiej, żeby to była pielęgniarka, która

przyszła opróżnić zbiornik z moczem.

Ale nie, żeby wymienić mu cewnik.

Z prawdziwą radością ujrzał nad sobą Johna

Pel ama.

—

O, to pan, szefie — powitał go. Pel am

skinął mu głową i wszedł do środka.

—

Nowe kwiaty, jak widzę — rzekł. —

Teraz zaczyna tu naprawdę wyglądać jak w

259

szklarni.

—

Fakt. Wie pan, że nie przepadam za
kwiatami? Nie chciała wtedy nic wziąć, ta
pańska dziewczyna. Powinien jej pan zabrać
jakiś bukiet. Jak ona ma na imię? Powie pan,
że sam go kupił...

—
Ucieszyłem się z pańskiego telefonu. I
tak zamierzałem tutaj zajrzeć.

Buffett wskazał mu krzesło. — Po co? Miał
pan ochotę na kolejne zniewagi?

Pel am roześmiał się.

—
Kiepsko się wtedy czułem. Naprawdę do
niczego.

—
Nie ma sprawy — zapewnił go Pel am.

—
Chyba powoli zaczynam wariować.

Jakby...

—
Rozumiem. Jak pan się teraz czuje?

Buffett pokiwał głową i roześmiał się. —

Świetnie, dzięki. Lekarz powiedziałby pewnie,
że wtedy przechodziłem fazę zaprzeczenia.

Nie przyjmowałem do wiadomości tego, co się stało. Kiedy człowiek się z tym pogodzi, zaczyna mu być łatwiej.

—
To dobrze.

—
Jeszcze trochę rehabilitacji i przesiądę się na wózek. Jest strasznie dużo przepisów dotyczących niepełnosprawnych. I dostępu dla wózków. Niech się pan wybierze na mecz

260

Cardinalsów, nawet tam muszą mieć specjalne podjazdy. Świat praktycznie stoi przede mną otworem.

—
Wiem, że są specjalne drużyny sportowe dla... no, wie pan. — Peł am zawahał się, nie wiedząc, czy powinien powiedzieć „paraplegików” czy „niepełnosprawnych”. Wybrnął, mówiąc: — Dla osób na wózkach. Widziałem na kablówce.

—
Tak, rozgrywki koszykówki. Koszykówka na wózkach... Niektórzy biorą też udział w

maratonach. Trasa musi chyba prowadzić z
góry na dół. Kurczę — rzucił z uśmiechem —
oto cały ja: chciałbym zaliczyć maraton,
siedząc na tyłku. A może miałby pan ochotę
coś przegryźć?

—
Wielkie dzięki. Nie przepadam za
szpitalnym żarciem.

—
Nieee, mam tu coś lepszego. Chipsy z
dipem. Albo ciastka. Peł am pokręcił głową.
Buffett sam zjadł pół ciastka i przez chwilę
wpatrywał się w milczeniu w celofanowe
opakowanie. Zwinął ciasno brzegi torebki i
odłożył ją na tacę.

Peł am tymczasem zwiedzał podokienną
szklarnię. Zapytał: — Od dawna pan na
służbie?

—
Niedługo minie siedem lat.

261

—
Tak to się mówi? „Na służbie”?

—

Jasne, można i tak.

—

Miał pan swój rewir, tak jak to było za dawnych czasów?

—

Niektóre dzielnice nie są już tak bezpieczne, jak kiedyś. Mad-dox naprawdę zeszło na psy... A pan robi filmy, tak?

—

Ja nie. Ja tylko wyszukuję plenery.

—

To jak się pan wkręcił do tej roboty?

—

Tak jakoś mnie wciągnęło. Lubię podróżować.

—

Poznał pan jakieś kociaki z Hol ywood?

Założę się, że tak.

—

Trzymam się z dala od Wybrzeża. To trochę nie mój świat.

—

To dlaczego siedzi pan w tej branży?

—

A dlaczego pan jest gliną? Buffett

wzruszył tylko ramionami.

—

Aha, zapomniałbym. — Peł am podniósł

w górę poplamioną torbę, którą cały czas

trzymał w ręku. — Mam piwo. Wolno panu

pić?

—

Do diabła, pewnie, że wolno.

Peł am przysiadł na solidnym, szarym krześle.

Otworzyli dwie puszki i opróżnili je.

—

Wie pan — odezwał się potem Buffett. —

Ci wszyscy goście, z którymi pracuję —

niektórzy z nich to prawdziwe skurczybyki, ale

262

jak przychodzą mnie odwiedzić, robią się z nich zwyczajne lamusy. Przynoszą mi kwiaty,

gazety. Ale żaden nie przyniósł piwa. Zresztą

niewielu do mnie zajrzało. Chyba boją się, że

nie będą wiedzieli, co powiedzieć, albo coś w

tym rodzaju.

Peł am wstał i włożył dwie kolejne puszki do

dzbanka przy łóżku. Potem napełnił go zimną

wodą. Wieczko nie chciało się domknąć. —

Jak trafi pan na niezbyt bystrą pielęgniarkę, to może się panu upiecze.

—
Wielkie dzięki, szefie.

Pel am pociągnął łyk piwa. Odczekał chwilę, po czym powiedział: — Już ostatnim razem chciałem o tym z panem pogadać, ale — no cóż, był pan w kiepskiej formie, więc wolałem się wstrzymać.

—
Z czym?

—
Wsiedli na mnie. Pańscy kumple, a teraz jeszcze FBI, dają mi nieźle popalić. Byli nawet na planie, a to może zaszkodzić filmowi. Boję się, że stracę robotę, a nie mogę sobie teraz na to pozwolić.

Buffett wzruszył ramionami. — Skoro pan niczego nie widział, to pewnie tak było.

—
No tak, ale *oni* tak nie uważają i wszędzie za mną łążą. FBI zamierza przyjrzeć się rozliczeniom podatkowym wytwórni. Chcą

przekopać całą dokumentację. — Pel am rozłożył bezradnie ręce.

—

Tak, federalni zawsze byli dupkami —

odparł Buffett, jakby wyjaśniał Pel amowi

istnienie równie oczywistego zjawiska, jak

gravitacja. Potem jednak pokiwał głową. —

Ron Peterson — prokurator stanowy — to

zwyczajny maniak. — Opowiedział Pel amowi

o Gaudi , Crimminsie i programie „60 minut”.

— Peterson chce dorwać Crim-minsa i nic na

tym świecie go nie powstrzyma.

—

Ale ja naprawdę chcę pomóc —

zapewnił go Pel am. — Nie chciałbym być tym

„WS-em”, ale...

Oczy Buffetta rozbłysły. Zaczął się śmiać.

—

Co w tym takiego śmiesznego? —

obruszył się Pel am.

—

Ktoś nazwał pana „WS-em”?

—

Pańscy kumple. Ci dwaj z

dochodzeniówki.

—
Gianno i Hagedorn. — Buffett znowu się
roześmiał. — Nikt panu nie powiedział, co to
znaczy?

—
Powiedzieli tylko, że tak się nazywa
świadka, który nie chce współpracować z
policją.

—
Pel am, niech pan nie wierzy we
wszystko, co mówi policja. To znaczy „wal

264

się”!

—
Bardzo śmieszne. Naprawdę, cholernie
śmieszne. Buffett nie przestawał się śmiać.

Po chwili również wargi Pel ama wygięły się
lekko w górę i roześmiał się głośno. — „WS”.

Muszę przyznać, że to dobre!

—
Niech pan posłucha, Pel am. Mam dla
pana propozycję. Chciałbym, żeby
wyświadczył mi pan przysługę. Zrobi pan to, a
ja powiem naszym, żeby się od pana

odczepili. W sprawie federalnych nic nie poradzę, ale gliny z Maddox mnie posłuchają.

—
Mógłby pan to zrobić?

—
Ma pan moje słowo.

—
Co to za przysługa?

—
Nic wielkiego. Chciałbym, żeby przyniósł mi pan coś z domu.

—
Ja?

—
Jeśli to nie kłopot.

—
Nie, chyba nie. — Buffett zauważył, że wzrok Pel ama zatrzymuje się na jego obrączce. — Zapytał: — A żona nie może tego załatwić, kiedy następnym razem przyjdzie z wizytą?

—
Chodzi o to — odparł Buffett, a jego zdeterminowane i rozradowane spojrzenie

przeniosło się z twarzy Pel ama na śnieżący

265

ekran telewizora — że moja prośba mogłaby ją zdenerwować.

To było nieduże osiedle parterowych domków,

każdy z trawnikiem wielkości paczki

papierosów, pięć minut jazdy od centrum

Maddox. Zarówno budynki z ciemnej cegły,

jak i trawniki, były schludne i starannie

utrzymane. Miła okolica. Pel am miał

wrażenie, że przejeżdżał już tędy w

poszukiwaniu idealnego domu dla Tony'ego

Sloana, spełniając jego kolejną zachciankę. Z

pobliskiej autostrady dochodził ciągły, irytujący

szum, który wypełniał powietrze, a

wydobywający się z kilku kominów żółtawy

dym wisiał ciężko ponad posesjami.

Pel am zsiadł z motoru. Przystanął przed

domem i jeszcze raz sprawdził adres. Na

podjeździe obok stał zaparkowany biały

nissan, a za nim brązowe kombi merkury na

numerach rejestracyjnych z Ilinois.

Niewielki przydomowy ogródek był cmentarzyskiem uschniętych kwiatów.

Właściwie zostały z nich same łodygi. Robiło to ponure wrażenie. Pełnam nie znał się na ogrodnictwie, ale gdyby to był jego ogródek, zasadziłby w nim jakieś rośliny, które nie gubiłyby liści na zimę. Kręta, ceglana ścieżka zaprowadziła go na ganek. Zauważył coś je-

266

szcze: w przeciwieństwie do innych posesji, na trawniku przed domem nie walały się żadne trzykołowe rowerki ani zabawki.

Nacisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Uchylił ramę z moskitierą i zastukał, używając do tego dużej, mosiężnej kołatki. Chwilę później drzwi się otworzyły. Przed nim stała szczupła brunetka o pociągłej, dość nijakiej twarzy i patrzyła na niego nieufnie. Pod trzydziestkę.

Nieskazitelna cera. Ale wystarczyło na moment odwrócić wzrok, żeby zapomnieć, jak wygląda.

—

Pani Buffett?

—

Tak? — Otworzyła drzwi na tyle, na ile
pozwalał jej na to ciężki, mosiężny łańcuch.

Ze środka doleciał go mdlący, słodkawy
zapach — równie dobrze mógł to być
odświeżacz powietrza, jak i tanie perfumy.

—
Nazywam się John Pel am.

Zamrugała powiekami. Zaraz jednak
skojarzyła. — Ach, tak, oczywiście. Donnie
uprzedził mnie, że pan przyjdzie. — Oficjalny
uśmiech. Nie przedstawiła mu się. Od Buffetta
wiedział, że ma na imię Penny.

—
Mam coś dla niego zabrać.

—
Tak też mi powiedział.

Drzwi zamknęły się, by zaraz ponownie się
otworzyć, tym razem już bez łańcucha.

267

Gestem zaprosiła go do środka. Wewnątrz zobaczył jeszcze dwoje ludzi. Domyślił się, że
to jej rodzice. Kobieta wyglądała tak, jak
Penny mogłaby zapewne wyglądać za jakieś
dwadzieścia lat: szczupła, siwe włosy, piękna
cera. I bardzo nieufna. Ojciec Penny miał

około sześćdziesięciu lat, a jego różowa koszula z krótkimi rękawami skrywała zaokrąglony brzusek biznesmena. Oboje popatrzyli na Pel-lama pytająco. Przedstawił im się.

—
Stan Brickel — odparł mężczyzna. —

Jestem ojcem Penny. A to moja żona, Ruth.

— Kobieta skinęła Pel amowi na powitanie.

Zdał sobie sprawę, że gdyby w tym momencie powiedział „Bardzo mi przykro”, chcąc w ten sposób wyrazić swoje życzliwe współczucie, mogliby odnieść wrażenie, że coś się stało i

Buffett nie żyje. Zamiast tego zapytał więc: —

Mieszkacie państwo w okolicy?

—
W Carbondale.

Pel am skinął głową. — Widziałem się z nim jakąś godzinę temu. Z Donniem. Wyglądał całkiem nieźle.

—
Służy pan razem z nim?

—
Jestem jego znajomym.

Penny powiedziała: — Kilka razy wspominał mi o panu. *Naprawdę?*

268

—
Co właściwie ma pan dla niego zabrać?

—
Jakieś formularze. Do pracy.

Penny zachnęła się. — Przecież ja mogłam mu je przynieść.

—
Ale po drodze mam je podzucić do sądu karnego. Donnie mówił, że to strasznie ponure miejsce. — Było to kłamstwo, którego nauczył go Buffett.

—
Mimo to mogłam je tam zawieźć. Gdyby Donnie mnie poprosił, zrobiłabym to. — W jej głosie brzmiała ogromna żarliwość.

W tym momencie Pel am zauważył zapaloną świeczkę. Była jakaś dziwna. Gruba, czerwona, prawie na metr wysoka, z zatkniętymi na górze amuletami. Musiała palić się już od dłuższego czasu; na czarnej podstawce zebrała się kałuża gładkiego

wosku. U podstawy świecy zauważył dwa
wbite pod kątem kadzidełka — to one
wydzielały ową duszącą woń. Drzewo
sandałowe, albo coś w tym rodzaju.

Przypomniało mu się liceum — lampy
ultrafioletowe, Jefferson Airplane, pacyfy,
które wtedy faktycznie były symbolem pokoju,
i hipisowskie farbowane T-shirty, które nosiło
się, bo były modne, a nie dlatego, że budziły
nostalgię.

Rozejrzał się po salonie. Już sama świeca

269

powinna dać mu do myślenia; mimo to
zaskoczył go widok zgromadzonej tam kolekcji
obrazów, figurek oraz ikon. Wyłącznie o
tematyce religijnej, w większości prymitywnie
wykonanych. Pełen był ciekaw, czy to Penny
była ich autorką. Były tam portrety rdzennych
Afrykanów, wychudzonych ciemnoskórych
mężczyzn i kobiet o przenikliwym,
euforycznym spojrzeniu. Były też drewniane
krzyże pochłapane ciemnoczerwoną farbą.
Rysunki pentagramów, mapy gwiazdozbiorów
i kryształy. Wielka szklana piramida, wewnątrz

której znajdowało się coś skurzonego i
żółtobrazowego. Wyglądało jak suszona
morela. Podobnie jak większość obecnych w
pokoju „dzieł sztuki”, również i piramida
pokryta była grubą warstwą kurzu.

—
Może miałby pan ochotę na kawę? —
spytała Ruth.

—
No tak, kawa. Napije się pan? ■—
zreflektowała się Penny.

—
Nie, dziękuję.

Ruth dodała: — To żaden kłopot.

—
Naprawdę dziękuję. Nie mogę długo
zostać. Jeśli można, chciałbym od razu
zajrzeć do gabinetu Donniego.

Penny wskazała mu drogę.

Gabinet okazał się pomieszczeniem, które

270

dopiero zaczynało przypominać pokój pracy.

Był bardzo mały. Ściany pokrywała cienka, ja-
snobrazowa boazeria; wzór na drewnie

wyglądał jak korytarze wydrążone przez korniki. Tysiące małych dziurek, niczym ślady wypalone przez miniaturowe papierosy.

Najprawdopodobniej Donnie kładł ją samodzielnie — z większości desek wystawały łebki nierówno wbitych gwoździ. W miejscu, gdzie boazeria sięgała sufitu, biegła około dwumetrowa ozdobna listwa. Kilka takich listew wciąż stało w rogu pokoju. Pel am pomyślał ze smutkiem, że długo potrwa, zanim remont zostanie ukończony.

Otworzył dolną szufladę biurka Buffetta.

Odsunął na bok pudełko, o którym mówił mu Donnie, i znalazł to, czego szukał. Wsunął wypchaną kopertę do kieszeni kurtki.

Wstając, usłyszał dobiegający z dołu kobiecy głos, w przejmujący sposób intonujący: —

Ommmm...

Pel am zszedł na dół do salonu, gdzie siedziało troje ludzi, których na pierwszy rzut oka nie łączyło nic poza tą tragedią. Na podłodze przed świecą Penny zawodziła jednostajnie głosem mocnym i dźwięcznym, przypominającym odgłos silnika pracującego

na niskim biegu. Nic nie mogłoby jej w tej

271

chwili powstrzymać. W oczach miała łzy. Siedziała na sposób japoński, z pośladkami spoczywającymi na piętach. Nuciała coraz szybciej:

—
Ommmm...

Wtulona w oparcie kanapy Ruth obrysowywała krótkim, nie pomalowanym paznokciem wzór obicia w żółtą jodełkę. Stan rzucił ostro w jej stronę: — Zrób mi lepiej kawę. I kanapkę. Tylko tym razem nie przesadz z majonezem. Przedtem za dużo mi nałożyłaś.

Powieki Penny były przymknięte, a z jej warg niczym modlitwa wydobywał się ów miarowy, melancholijny dźwięk.

Peł am z nikim się nie pożegnał. Po prostu otworzył drzwi i wyszedł.

Początkowo zamierzał wstrzymać się z otwarciem koperty, dopóki nie wsiądzie na motor. Po paru krokach przystanął jednak, wyjął ją z kieszeni i sprawdził, co go tak uwiera w nogę. W jednym miejscu koperta

przedarła się i przez dziurę wystawał kurek

rewolweru Smith

& Wesson. Pełną przykrył go szybko

formularzami raportów posterunku policji w

Maddox i podszedł do swojej yamaha.

W cukierni U Gennaro powietrze pełne było

272

unoszących się drobinek kurzu. Philip Lombro przez dłuższą chwilę śledził lot jednej z nich,

po czym ponownie skierował uwagę na

Ralph Balesa.

—

Nawet nie ruszyłeś swojej *cannoli**.

—

Jest świetna. Bardzo mi smakuje,

naprawdę — zapewnił go Ralph Bales. Jak na

zwalistego faceta, który uwielbiał steki,

makaron i hamburgery, przejawiał on dziwny

brak upodobania do deserów. Nieraz

zastanawiał się, dlaczego przy tego typu

robocie tak często ląduje w restauracji, jedząc

słodkocze i popijając je kawą albo herbatą. —

Zawsze wolno jadłem. Moja żona...

—

Jesteś żonaty? — przerwał mu

zaskoczony Lombro.

—
Byłem. Ona kończyła cielęcinę, a ja
ciągle jeszcze miałem pełny talerz. Zdrowiej
jest wolniej jeść. Trzeba dokładnie przeżuwać
każdy kęs, nawet pięćdziesiąt razy. Co
prawda sam tego nie robię, ale wiem, że
powinno się tak robić.

Zauważył, że cukierni brakowało
autentyczności. W niczym nie przypominała
tych, które pamiętał z dzieciństwa. Przede
wszystkim była bardzo czysta; poza tym
ekspedientki miały na sobie żółto-brązo-we
kelnerskie fartuszki, a wystawione w

273
szklanych, przejrzystych witrynach
miniaturowe ciasteczka wyglądały jak
pierścionki i naszyjniki w dziale jubilerskim
eleganckiego domu towarowego w St. Louis.

Nie podobało mu się to. Cukiernia powinna
być ciemna, urządzona w drewnie, a ciastka
powinny leżeć za brudnym, popękany
szkłem. Jej wnętrze powinien wypełniać
zapach drożdży, a cholerne *cannoli* nie

powinny kosztować aż trzy siedemdziesiąt
pięć za sztukę.

Lombro pokiwał głową z umiarkowanym
zainteresowaniem. — Moja bratowa robi
doskonale *cannoli*. O wiele lepsze niż te tutaj.

Mam wrażenie, że za szybko napełniają je
kremem. Tak się nie robi... Ale mówiłeś, że
znalazłeś naszego świadka.

—

Zgadza się.

—

Jak się nazywa?

Ralph Bales spodziewał się tego pytania. —

Peter James. — W książce telefonicznej

* Sycylijski przysmak przypominający rurkę z kremem.

miasta St. Louis dwudziestu siedmiu ludzi fi-
gurowało jako Peter, Pete, albo P. James.

Poza tym takie nazwisko łatwo było

przekręcić. Jak mówiłeś? James Peters? Jim

Peters?

Lombro przyjrzał się uważnie swojej serwetce

274

i odłożył ją z powrotem na kolana. — I co, rozmawiałeś z nim?

—

Tak. Odbyliśmy poważną rozmowę —
odparł cicho Ralph Bales. I zaraz wyrecytował
kolejną wyuczoną kwestię: — Nieźle się
wystraszył, kiedy mnie zobaczył. Ale zgodził
się pójść nam na rękę.

—
Pójść na rękę?

—
To znaczy...

—
Wiem, chce pieniędzy. W zamian za to
mnie nie wyda.

—
Rzeczywiście tak to mniej więcej ujął.
Lombro pociągnął łyk kawy, oparł się
wygodnie na krześle i założył nogę na nogę w
taki sposób, że stopa opierała się na kolanie.

Wyglądał zupełnie jak mafijny don. —
Wierzysz mu?

—
No, wie pan...

Lombro przerwał mu: — Chodzi mi o to, czy
dotrzyma słowa, jeśli mu zapłacę?

Ralph Bales namyślał się przez chwilę, po

czym powiedział: — W takich sprawach nigdy nie można być niczego pewnym... — Tej kwestii sobie nie przecwiczyl, mimo to spodobała mu się. — Ale moim zdaniem ten facet nam nie zagraża. Nie jest zawodowcem. Boi się i myślę, że dotrzyma słowa.

—

Czym się zajmuje?

275

Tego pytania Ralph Bales się nie spodziewał.

Wzruszył ramionami i przez dłuższą chwilę popijał kawę. — Ma jakąś robotę w St. Louis.

Dokładnie nie wiem. Komputery czy coś w tym rodzaju.

—

A co właściwie oferuje w zamian?

—

Podał pański rysopis. Zgadza się co do

joty. Mówi, że zajrzał przez okno do

samochoodu i dobrze pana zapamiętał.

Lombro dotknął swojej siwiejącej skroni, jakby

ta wiadomość przyprawiła go o ból głowy. — A

dlaczego nie powiedział o mnie policji? To

pytanie Bales akurat przewidział. — Już

mówiłem, że się bał.

—

Groziłeś mu?

Ralph Bales dziobał widelczykiem ciastko.

—

Groziłeś, pytam? — powtórzył surowo

Lombro.

—

No... hm, dałem mu tylko do

zrozumienia, że nie jesteśmy zadowoleni z tej

sytuacji. Powiedziałem, że jak będzie trzeba,

jesteśmy gotowi posunąć się do

ostateczności. Wie pan, negocjowałem, żeby

zbić cenę. Ale, jak już mówiłem, nie zrobiłem

mu żadnej krzywdy.

—

I udało się?

—

Co?

—

Zbić cenę.

276

—

Niestety, nie bardzo.

—
Ile chce?

Ralph Bales przestał dłużyć w ciastku i włożył
sobie do ust spory kęs. — Pięćdziesiąt
tysięcy.

—
Hm...

Zgodnie z przygotowanym zawczasu
scenariuszem Ralph Bales policzył w myślach
do dwunastu. Potem dodał z powagą: —
Wiem, że moje zdanie pana nie interesuje, ale
mógłbym to inaczej załatwić. — To zdanie
miało ułatwić Lombro przełknięcie kwoty
pięćdziesięciu tysięcy.

—
Koniec z zabijaniem. Zabraniam ci.

Zabraniam ci. Ralph Bales próbował
przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszał
od kogoś takie słowa. Może od księdza w
szkole. *Zabraniam.* Tak mówiło się w starych, czarno-białych filmach.

—
Ja tylko chciałem przedstawić panu inne
wyjście.

—

To nie jest wyjście.

Philip Lombro dokładnie wytarł usta
kwadratową, papierową serwetką, a kiedy
uporał się z okruchami ciastka, wziął jeszcze
jedną serwetkę i przetał nią obcas swojego
buta. Potem zadał jeszcze jedno pytanie,
którego Ralph Bales się nie spodziewał,

277

choć w zasadzie było to jedno z tych pytań, które nie wymagają żadnej odpowiedzi: — Do-
myślałem się, że chce też, abyśmy zapłacili mu
w banknotach o niskich nominałach?

Halo, halo...

Donnie Buffett otworzył oczy.

Nad nim stał John Pel am i bacznie mu się
przyglądał. Buffett wolno wciągnął powietrze.

— Siemasz, szefie.

—
Dobrze się czujesz? — W oczach

Pel ama pojawił się wyraz zatroskania.

—
Tak. Ja tylko... To takie ćwiczenie.

Podobno ma uspokajać. Ale chyba na mnie
nie działa.

—
Piwo powinno zadziałać. Chcesz jeszcze

jedno?

—

Pewnie, że chcę.

Tym razem oprócz wilgotnej papierowej torby

Pel am trzymał jeszcze w ręce grubą, białą

kopertę. Buffett zauważył najpierw ją, a do-

piero potem torbę.

Pel am zamknął drzwi. Buffett rzucił: —

Tutejsze przepisy tego zabraniają.

—

Tak? A co, jesteś gliną? — Otworzył

dwie puszki fostera. Buffett z przyjemnością

popatrzył na niebiesko-czerwone logo. —

To rozumiem! Zaraz będę w lepszej formie...

278

—

Jesteś pewien, że ci to nie zaszkodzi?

Przy tych wszystkich lekach, które bierzesz?

Buffett pociągnął trzy solidne łyki. — Oooch —

jęknął. — Jestem w rajku.

Pel am usiadł na krześle. W ręce nadal

trzymał kopertę. Buffett wpatrywał się w nią.

—

Donnie... Hm, twoja żona...

—
Mówiła coś o tym? — Ruchem głowy

wskazał kopertę.

—
W ogóle jej nie widziała.

Buffett pociągnął kolejny łyk. Nie patrzył na

Pel ama.

—
Kiedy wychodziłem, coś jakby... nuciła.

Policjant przyjrzał się z bliska puszcze. —

Wiem, czasami jej się to zdarza. Takie ma, no
wiesz, hobby.

—
W Kaliforni to mnóstwo ludzi medytuje.

—
Kochana z niej dziewczyna. I świetnie

gotuje. Jakbyś chciał pogadać o makaronach,

Penny jest prawdziwym ekspertem. Potrafi

przyrządzić każdy rodzaj. Do tego podaje biały

sos z małży. Znasz kogoś, kto potrafiłby zrobić

biały sos z małży?

—
Poznałem też Staną i Ruth.

No tak. Są w porządku. — Buffett

rozejrzał się po sali. — Nie mamy zbyt wielu
wspólnych tematów. Ale Stan to przyzwoity
gość.

279

—
Sprawia takie wrażenie. A z twoją żoną
wszystko w porządku, Donnie?

—
Jak to — w porządku?

—
Chodzi o to, że nie tylko nuciła, ale paliła
jeszcze tę świeczkę...

Buffett roześmiał się, chociaż wiedział, że
oczy ma poważne. Odparł: — Jest trochę
przesadna. Pamiętasz, jak to było z
Reaganem? Nancy miała własnego astrologa.
W dzisiejszych czasach sporo ludzi interesuje
się takimi rzeczami. Kryształami i tak dalej. —
Sięgnął do stolika i podniósł z niego
przezroczysty, zielony kamień. — Zieleń ma
mnie podobno uzdrowić. Penny mi to
przyniosła. — Załamał mu się głos, więc
przełknął ślinę. — Mam go zawsze przy sobie

nosić. Pomyślałem jednak, że jak szefostwo odkryje, że lecę się u szamanów, to nie dostanę krzyża zasługi. — Znowu się roześmiał. Śmiech szybko przerodził się w płytki kaszel. — Kazali mi się przewracać z boku na bok. W przeciwnym razie to gówno zaczyna zalegać mi w płucach. — Jego twarz znieruchomiała i spochmurniała. — Poza tym dużo ćwiczę. — Wskazał Pełlamowi zawieszoną nad łóżkiem gumę. — Ani się obejrzysz, jak wrócę do dawnej formy.

280

—
Czyli koszykówka na wózku?

—
Skopię ci tyłek, zobaczysz.

—
Ja nawet nie gram w kosza —

uśmiechnął się Pel am. Buffett znowu spojrzął na kopertę. — Widzę, że znalazłeś, o co cię prosiłem.

Pel am podał mu kopertę. — Trochę sfatygowany. Policja w Mad-dox tak krucho przędzie?

Buffett wyciągnął broń z koperty i z czułością wzię ją do ręki. Otworzył magazynek i przeliczył naboje. Aż pięć razy przeczytał wygrawerowany okrągłymi literami napis „Remington”. Wyglądało na to, że nie dosłyszał pytania, ale po chwili odezwał się:

— To trefna broń.

—
Co to znaczy? — spytał Pel am.

—
Broń z usuniętym numerem seryjnym.
Nie do namierzenia. Czasami przy okazji nalotów na narkotykowych dilerów znajdujemy całe mnóstwo takich trefnych gnatów. Można sobie wtedy coś wybrać i trzymać na wszelki wypadek.

—
Jako zapasową broń?

Buffett zakręcił bębenkiem i odparł: — No cóż, *ja* traktuję ten rewolwer jako zapasowy. Ale mnóstwo gliniarzy wykorzystuje trefną broń w innych celach. Kiedy na przykład w ciemnym

281

zaułku atakuje ich jakiś dupek, każą mu się zatrzymać, a on nie słucha... — Buffett umilkł, jak gdyby to, co właśnie powiedział, było

wystarczającym wyjaśnieniem.

Pel am niepewnie pokręcił głową.

Buffett ściszył głos: — Nie rozumiesz?

Zdejmujesz gościa ze służbowej klamki, a do ręki wkładasz mu tę trefną. Kiedy cię potem przesłuchują, mówisz, że strzelałeś, bo napastnik był uzbrojony. — Zauważył, że się poci, i wytarł sobie twarz.

—

Często tak się dzieje?

—

Zdarza się. Góra doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Problem w tym, że kiedy człowiek ginie z bronią w ręku, jego dłoń automatycznie się na niej zaciska. Taki odruch. Dlatego tak trudno znaleźć odciski palców denata na podrzuconej broni. Komisja dyscyplinarna zawsze coś podejrzewa, ale dopóki ta sama historia nie powtarza się zbyt często jednemu gliniarzowi, wtedy z reguły staje po naszej stronie. — Popatrzył na Pel ama. — Dzięki za to, co dla mnie zrobiłeś.

—

Naprawdę myślisz, że ten, kto do ciebie

strzelał, może wrócić i znowu spróbować?

Tutaj, w szpitalu?

—

Po prostu będę się z tym czuł

bezpieczniej. — Ruchem głowy wskazał

282

rewolwer.

—

Rozumiem. — Peł am dokończył piwo.

— Szkoda, że nie przyniosłem też orzeszków.

Buffett odstawił swoją puszkę. — Chyba

skurczył mi się żołądek. Dawniej potrafiłem

wypić na raz trzy takie jak ta.

—

Jeszcze będziesz...

Oczy Buffetta błysnęły. — Nie mów tak. Nie

znoszę tego.

—

Czego?

—

Gadania, że wszystko jeszcze będzie

dobrze. Wszystko się ułoży. Moja matka tak

mówiła: „wszystko się ułoży”. I „nie ma tego

złego ...

Pel am wzruszył ramionami. — To ty pierwszy

zacząłeś narzekać na swój spust. Ja tylko

chciałem powiedzieć, że...

—

No to lepiej nic już *nie mów*, okej?

—

Jasne, jak chcesz.

—

Właśnie tak chcę.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie

odzywał. W końcu Buffett powiedział: —

Słuchaj, Pel am, przepraszam. Za bardzo mi

pobłazasz. Już dawno powinieneś posłać

mnie do diabła. I jeszcze mi solidnie

przyłożyć...

—

On nie, nigdy nie uderzyłbym faceta z

rewolwerem.

283

—

Wiesz, jestem zmęczony... Chyba

powiniennem się zdrzemnąć. Później trochę

podzwonię, tak, jak obiecałem. Powiem

chłopakom, żeby zostawili cię w spokoju.

—
Dzięki. I tak miałem już iść. Mam dzisiaj
randkę.

—
Randkę?

—
Z tutejszą dziewczyną. Tą blondynką,
którą poznałeś.

—
Sprytnie, Peł am, naprawdę sprytnie.
Obiecujesz panience rolę w filmie, a potem,
ani się obejrzy, robisz jej casting do
rozbieranych scen. Ech, wy faceci z
Hol ywood.

—
Zupełnie nie trafiłeś. Ta tutaj nie cierpi
filmów.

—
Nie cierpi filmów? Jak ona miała na
imię? Nancy?

—
Nina.

—
Niezła z niej sztuka.

—
To fakt — przytaknął Pel am i ruchem
głowy wskazał szpitalny korytarz. — Jej matka
miała operację, czy coś w tym rodzaju. —
Spojrzał na rewolwer. — Sam mam taki w
domu. Czasami lubię sobie postrzelać...

Buffett skinął nieuważnie głową. Był wyraźnie
rozkojarzony. Przez cały czas wpatrywał się w

284

broń, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy kula przeszyje mu mózg. Na jak długo
zachowa zdolność myślenia? Co wtedy
zobaczy?

Pomyślał: „Pieprzyć to. Już się nie boję”.

Podniósł nieprzytomny wzrok na Pel ama. —

Co mówiłeś?

Pel am, który zdążył tymczasem opowiedzieć
mu historię swojego sławnego przodka,
cierpliwie ją powtórzył.

Na moment w oczach Buffetta zagościło
rozbawienie. — Dziki Bil Hickok? Nie gadaj!

—

Tak brzmi rodzinna legenda. Jeśli nawet
nie jest prawdziwa, to dzięki niej
zainteresowałem się amerykańską historią. I

zacząłem zbierać starą broń.

—

Czym on strzelał? Czterdziestką piątką?

—

Dziki Bil ? Nie. Miał Navy Colta, kaliber

0,36. A ta twoja pu-kawka, ile ma cali? 3,57?

— Peł am wskazał rewolwer Smith & Wesson,

który Buffett wciąż trzymał w dłoni.

—

To cudo? Nie. To standardowy kaliber,

trzydziestka ósemka.

—

Mogę zobaczyć, jak leży w ręce?

Buffett podał mu broń kolbą do przodu i gdy

Peł am ją oglądał, dodał: — I jeszcze jedno,

stary. Czy mówiłeś mojej żonie coś na mój te-

mat, kiedy się z nią widziałeś?

285

—

Nie przypominam sobie. Może tylko tyle,

że wydajesz się być w niezłej formie.

—

Tak jej powiedziałeś? Dzięki.

Peł am wsunął nagle rewolwer do kieszeni

kurtki. Buffett popatrzył na przebijający spod materiału zarys broni. — Co ty wyprawiasz?

Pel am odparł: — Chyba go sobie zatrzymam.

Na jakiś czas.

—

Ej, nie wygłupiaj się. Dawaj go tutaj. —

Buffett pomyślał, że Pel am żartuje.

—

Przykro mi.

—

Zwariowałeś?! Daj mi go zaraz!

—

Wiesz, zastanowiłem się nad tym

wszystkim — powiedział wolno Pel am — i

moim zdaniem to się zwyczajnie nie trzyma

kupy. Przed twoją salą przez całą dobę

sterczy strażnik, a na dole szpitalna ochrona

pilnuje wejścia. Nie sądzę, żeby jakikolwiek

zamachowiec był na tyle głupi, żeby w takich

warunkach próbować raz jeszcze...

—

A kim ty jesteś, do cholery, żeby narażać

moje życie?!

—

Mam wrażenie, że właśnie *uratowałem* ci życie, Donnie. Buffett zamrugał powiekami.

Peł am dodał: — Co tak naprawdę zamierzałeś zrobić z tym rewolwerem?

—

Oddaj mi go!

—

Co chciałeś z nim zrobić?

286

—

Oddawaj moją pieprzoną broń! — ryknął

Buffett. I zaraz wyrzucił z siebie wściekle: —

Równie dobrze mógłbym podciąć sobie żyły!

Mógłbym przedawkować leki!

—

No to zrób to. Ja nie mam zamiaru ci w

tym pomagać.

—

To *mój* rewolwer! — wrzasnął Buffett. —

Błagam... — Z oczu pociekły mu łzy. Otarł je

ze złością. Przygarbił się i opuścił bezradnie

ręce.

—

Na pewno jest ci ciężko — odezwał się

Pel am. — Ale wcale nie musisz tego robić. —

Dotknął swojej kieszeni.

—

Nic nie rozumiesz — wyszeptał Buffett.

— Już nigdy nie będę chodzić! Nigdy więcej nie będę się pieprzył z kobietą. Nigdy. I nigdy nie będę miał dzieci. Ty tego nie zrozumiesz!

—

To, że teraz tak się czujesz...

—

Jak się *czuję*? *RIGHT SQUARE BRACKET* — krzyknął Buffett. —

Skąd *ty* możesz wiedzieć, co czuję? Skąd do cholery możesz to wiedzieć?

Pel am wolno wypuścił powietrze z płuc. Przez chwilę znosił wyraz rozpaczliwej bezradności malujący się na twarzy policjanta, po czym powiedział: — Będę w mieście jeszcze przez tydzień. Jeżeli po tym czasie nadal będziesz chciał odebrać swój rewolwer, nie ma sprawy.

Dostaniesz go z powrotem.

287

—

Tak? A co się może zmienić przez

tydzień? — warknął Buffett. — Nadal będę

leżał w łóżku z odleżynami na dupie, nadal
będę szczał przez rurkę, moja żona nadal
będzie gadać z gwiazdami, a kumple nadal
będą się bali mnie odwiedzać.

—

Za tydzień.

—

Oddawaj go!

Peł am otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

— Za tydzień — powtórzył.

Nie było to miejsce, w którym chciałby być
pochowany. Osobiście Philip Lombro wybrałby
bardziej urozmaiconą okolicę: drzewa,
wzgórza, skały wyrastające z ziemi na
podobieństwo Stonehenge. Uznał jednak tę
zachciankę za niemądrą. Nie znał żadnego
cmentarza, na którym z ziemi wystawałyby
korzenie drzew i skały, a grunt był nierówny.
Cmentarze stanowiły taką samą inwestycję,
jak każda inna nieruchomość, a śmierć
musiała przynosić korzyści finansowe.
Cmentarz położony na obrzeżach Maddox
przypominał teren typowej dla Środkowego
Zachodu, zbudowanej z prefabrykatów szkoły

podstawowej. Na jego tyłach widać było osiedle pastelowych domków o jednakowym wyglądzie. Na każdym podwórku rosły po dwa młode klony w koronie barwnych liści,

288

delikatnych i drżących jak drzewa z gąbki, które kupował swoim bratankom w komplecie z zestawami miniaturowych kolejek.

Lombro zaparkował na skraju żuźlowego podjazdu i wysiadł ze swego lincolna. Wolno przeszedł kilka kroków po niskiej trawie. Niektóre płyty nagrobne zapadły się w rogach.

Lombro czuł się nieswojo, zaglądając w te ciemne, wąskie szczeliny; był ciekaw, czy przyświecając sobie latarką, można by w dole dostrzec wieko trumny. Ta myśl go przeraziła.

Nie cierpiał tego cmentarza i był wściekły na brata za to, że wykupił kwaterę tutaj, zamiast w Mount Pleasant, gdzie pochowani byli ich rodzice.

Dzień był mglisty, słoneczny i gorący. Babie lato, pomyślał, chociaż nigdy nie wiedział, co to właściwie znaczy. Czyżby była to metafora nawiązująca do drugiej młodości kobiety, kiedy ta ma szansę ostatni raz zrobić użytek

ze swoich wdzięków, zanim nadejdzie jesień
jej życia? Jednak takie wytłumaczenie
wydawało mu się zbyt górnolotne i zbyt
wulgarne, jak na tak niewinnie brzmiące
określenie. Najeżony przyszczyżonymi krótko
chwastami trawnik szeleścił pod jego stopami;
Lombro zauważył, że buty pokryła mu
warstewka pyłu z pokruszonych suchych liści.

289

Pochylił się i dotknął trawy. Była nieprzyjemnie sztywna; łodyżka dmuchawca okazała się
jedyną miękką rzeczą, jaką poczuł pod
palcami. Wyprostował się i ruszył w stronę
grobu.

Miał na sobie ciemny garnitur i silnie się pocił.

Mimo to nie chciał zdejmować marynarki.

Jego zdaniem zmarli zasługiwali na to, aby
okazywać im bezwzględny szacunek.

Cmentarz świecił pustkami. Było jeszcze
wcześnie, a dzień powszedni; tu i ówdzie
krzątali się tylko najwytrwalsi żałobnicy. Dwie
starsze kobiety stały, trzymając się pod rękę,
nad wiekowym grobem bez pomnika,
oznaczonym jedynie niedużą, pociemniałą,
metalową tabliczką. Lombro przypomniał

sobie, że wszystkim weteranom przysługiwała taka tabliczka. Zastanawiał się, czy kobiety oplakują ojca, który zginął pod Verdun, męża poległego w Normandii czy syna zabitego w Da Nang.

Kiedy wreszcie stanął przy grobie, nie doświadczył żadnego z uczuć, jakich się spodziewał. Nie zapłakał. Czuł oszołomienie, ale żadnego wzruszenia, jak nieśmiały mężczyzna, który martwieje w obecności przepięknej kobiety. Popatrzył w dół, na świeżo rozkopaną ziemię. Zdawał sobie

290

sprawę, że spychają ją do grobu buldożerami, i cieszył się, że na gliniastym podłożu nigdzie nie widać śladów stóp. Kamień nagrobny był wykonany z szarego marmuru i tak gładko wypolerowany, że odbijały się w nim ciemne, zwiędłe kwiaty.

Lekki wiaterek poruszył zieloną bibułą spowijającą wiązanekę, którą trzymał w ręku. Całkiem o niej zapomniał. Położył ją na ziemi, po czym doszedł do wniosku, że deszcz rozmoczy papier i nie będzie to dobrze wyglądało. Zdjął z kwiatów bibułę i wetknął ją

do kieszeni.

Zawrócił do samochodu. W tej samej chwili dotarło do niego, że nigdy dotąd nie bał się działać zdecydowanie. Postępując w ten sposób, dorobił się sporego majątku i stał się podporą swojej rodziny, powszechnie szanowanym człowiekiem budzącym — rzecz jasna w pewnych kręgach — respekt i lęk.

Mimo to uważał, że to, co zrobił — zabójstwo Vincenta Gaudi — odmieniło go. I to diametralnie. Nie dlatego, że sam czyn był tak brutalny; nie należał on do sfery jego życiowych doświadczeń. Wprawił w ruch ludzi i siły, nad którymi nie potrafił zapanować i których działań nie był w stanie przewidzieć.

Pistolet, który upadł na posadzkę w łazience

291

restauracji Orsini — pistolet Ralpa Balesa — i który połączył ich ze sobą, stał się pierwszym ogniwem długiego łańcucha koszmarnych reakcji, w których efekcie czuł się teraz mały i bezsilny.

Lombro oparł się o samochód. Łagodny wietrzyk niósł skwierczące od upału, suche

powietrze. Zauważył zbliżający się drogą wóz
Ralph Balesa; przez poszarzałą przednią
szybę widać było toporną głowę kierowcy.
Lombro sięgnął do kieszeni i wyjął z niej żółtą
kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów.
Chciał, żeby ich spotkanie było tak krótkie, jak
to tylko możliwe.

Żałował, że napatoczył im się ten świadek.

Żałował, że w ogóle spotkał na swojej drodze
Ralph Balesa.

Ale najbardziej ze wszystkiego Philip Lombro
żałował, że leżący naokoło niego zmarli,
spoczywający nieruchomo w tej wyrównanej,
oczyszczonej z korzeni i skał ziemi, nie mogą
powstać naraz jak jeden mąż, śmiejąc się i
gawędząc ze sobą, jakby wcale nie umarli, a
tylko zostali ukołysani do płytkiego snu przez
cudowną ciszę tego niespotykane ciepłego
popołudnia.

Po kilku godzinach jeżdżenia w tę i z
powrotem wzdłuż brzegów Missouri i jednego

292

z dopływów Missisipi Peł am znalazł wreszcie pole, na którym miał się rozegrać ostatni akt
dramatu Rossa i Dehlii.

Kręcili się to tu, to tam, ruszali z miejsca,
przystawali i Peł am zaczynał już na dobre
tracić nadzieję. Mijali parki stanowe,
przydomowe ogródki, przejazdy kolejowe,
pastwiska schodzące w dół ku rzece,
podmokłe łąki, ciągnące się wzdłuż drogi
niskie murki z czarnego i szarego tłuczonego
kamienia. Nic, co dałoby się sfilmować.
Przed sobą na desce rozdzielczej miał
rozłożony liścik od scenografa, w którym ten
ostatni błagał go o znalezienie właściwej
lokalizacji w ciągu najbliższych dwudziestu
czterech godzin, zaś na miejscu dla pasażera
wygodnie oparta siedziała Nina Sassower.
Starając się nie zwracać uwagi ani na nią, ani
na list, Peł am pokonał zakręt, wjechał
pomiędzy gęsto rosnące dęby i klony i z
piskiem opon zatrzymał samochód.
— Myślę, że to jest to.

Na przestrzeni pięciu akrów rozciągało się
porośnięte bujną roślinnością pole, okolone
rzędami gęstych drzew, których korony
właśnie zaczynały zmieniać kolor — niektóre
liście trzeba będzie pomalować sprejem albo

przykryć specjalną zieloną siatką (akcja filmu

293

rozgrywała się w czerwcu). Fasadę kościoła się wybuduje (pierwotne życzenie Sloana, aby w strzelaninie wzięły udział dzieci z pobliskiej szkoły, zdezaktualizowało się w nowym przypiływie natchnienia reżysera; według najnowszej, bardziej oryginalnej wersji, niewinnymi ofiarami mieli być przypadkowi wierni). Na tym kończyły się niezbędne modyfikacje.

Trawa rosła wysoko. Asfaltowa droga wiła się łagodnie pomiędzy polem a brzegiem rzeki — trzymetrowym kamiennym urwiskiem obmywanym w dole przez mętne wody Missouri. Peł am wysiadł i zrobił ze dwa tuziny zdjęć, po czym wrócił do szoferki. Ponownie uruchomił silnik i zawrócił do miasta.

—
Czym to pole różni się od innych? —

zapytała Nina z ciekawością. — Tym, że mniej na nim różnych śmieci?

—
Uhm — mruknął, w duchu uznając, że nie potrafi jej tego wytłumaczyć.

—
Oczywiście nie twierdzę, że to *nie jest*
ładne pole — dodała szybko, być może
odbierając jego milczenie jako wyraz
rozczarowania jej wcześniejszym pytaniem.

Pel am zauważył, że zainteresowanie Niny
filmem ostatnio znacznie wzrosło. Być może
miało to związek z jej nową pracą. Wszyscy

294
mówili, że jest naprawdę świetną
charakteryzatorką. Niewykluczone, że wpłynął
też na to fakt, iż Nina przeczytała pożyczoną
od Pel ama ostateczną wersję poprawionego
scenariusza „Missouri River Blues”.

Egzemplarz, który dostała, przypominał
notatnik studenta pod koniec pracowitego
semestru: pełen pozaginanych i pokreślonych
kartek, każdej w innym kolorze, z kolejnymi
wersjami poprawek wprowadzonymi przez
Danny'ego. Przeczytanie całości od początku
do końca wymagało cierpliwego przedzierania
się przez te zapiski. Mimo to przez całe po-
południe Nina nie mogła się oderwać od
scenariusza.

Co więcej, wzruszył ją do łez.

W milczeniu wracali do Maddox; w pewnym momencie Pel am zerknął na Ninę i zauważył, że kobieta ma wilgotne oczy.

Zamknęła właśnie scenariusz, mówiąc: —

Przepraszam cię, ale to takie smutne.

John Pel am od dawna niczym się nie wzruszał i już nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał na jakimś filmie. Nina wpatrywała się w szosę niewidzącym wzrokiem. — Niedawno straciłam kogoś bliskiego.

Pel am wymamrotał kilka słów współczucia. —

Kto to był? — zapytał.

295

Pogrążona w myślach nie dosłyszała jego pytania i musiał je powtórzyć.

—

Moja ciotka. Miała już swoje lata, ale...

To był wypadek samochodowy. — Urwała.

Zgodnie z nową wersją zakończenia wymyśloną przez Danny'ego, w ostatniej scenie filmu widzowie mieli zobaczyć zwolnione ujęcie pac-karda Rossa spadającego z urwiska do rzeki.

—

I zaraz po jej śmierci poczułam nagle
ogromną chęć... Nie, to nie była chęć, ale
potrzeba wyrażenia swoich uczuć słowami.
Ludzie często zwierali się Peł amowi i
powierzali mu swoje tajemnice. Działo się tak
wszędzie, gdziekolwiek by nie pojechał, i
zdarzało się w najmniej oczekiwanych
momentach. Podejrzewał, że miało to związek
z tym, że w każdym miejscu był tylko gościem.
Jego rozmówcy otwierali się przed nim, a
potem on wyjeżdżał, co stanowiło gwarancję,
że ich sekrety nigdy nie wyjdą na jaw.

—
Przeglądałam różne książki i wpadł mi w
ręce pewien wiersz. „Nie wchodź łagodnie do
tej dobrej nocy”. Ta stara poezja jest niesamo-
wita, nie uważasz? Mam na myśli to, że
choć ten wiersz był taki sztywny i oficjalny,
wszystko od razu do mnie dotarło.

—
To rzeczywiście ładny wiersz. — Peł am

296

wiedział, że jego autorem jest Dylan Thomas, ale nie pamiętał ani jednego słowa.
Pozwolił prowadzić się sygnalizacji świetlnej.

Nie wiedział, gdzie się dokładnie znajdują, ale
uznał, że im bliżej centrum Maddox, tym
powinno być więcej sygnalizatorów. Tam już
łatwo będzie mu się zorientować w terenie.

Kierował się zatem w stronę czerwonych,
zielonych i żółtych świateł.

—
Odczytałaś go na jej pogrzebie?

—
Tak. Byłam zaskoczona, że tak dobrze to
wypadło. Naprawdę dobrze. Wcześniej byłam
pewna, że się rozplaczę i wszystko popsuję.

Ale nie rozplakałam się. Też to kiedyś
zrobiłeś? Odczytałeś jakiś wiersz na
pogrzebie?

Pel am wrócił myślami do ostatniej
uroczystości żałobnej, podczas której mógł
występować w roli mówcy. To było siedem lat
temu w Santa Monica. Zmarły był jego
najlepszym przyjacielem, aktorem, i nazywał
się Tommy Bernstein. Ale Pel am nie
przyszedł na jego pogrzeb.

Nina o nic już więcej nie pytała i przez
dziesięć minut jechali w całkowitym milczeniu,

a potem jeszcze przez chwilę krążyli po centrum Maddox. Pel am zatrzymał się w pobliżu przyczepy Tony'ego Slo-ana. Nie zgasił

297

silnika. O tej porze Sloan na pewno siedział przed ekranem przy stole montażowym i przeglądał robocze zdjęcia. Nie znosił, kiedy mu wtedy przeszkadzano. Pel am zostawił polaroidy wraz z krótkim opisem lokalizacji u mizernej, roztrzęsionej i długowłosej asystentki reżysera i wrócił do samochodu.

Przejechali Main Street i zaparkowali przed małym sklepem spożywczym. Chcąc rozproszyć utrzymujący się ponury nastrój, Pel am rzucił pod wpływem nagłego natchnienia: — Wiem, arbuz. Kupmy sobie arbuza.

—

Teraz? W październiku?

—

Naszło mnie. Nic na to nie poradzę.

Chodź.

W środku znaleźli plastikowe pojemniki z porcjowanymi częstkami arbuza.

—
Coś blado wygląda — zauważyła Nina.

Pel am zaczepił ekspedientkę: — Skąd
sprowadzacie arbuzy w październiku?

—
Z północy.

—
A więc to eskimoski arbuz — zauważył,
zwracając się do Niny.

—
Przywożą je z Farmer's Market —
dodała ekspedientka i machnęła ręką w
stronę, gdzie —jak podejrzewał Pel am—
miała się znajdować północ.

298

Poprosił jeszcze o jednorazowe widelczyki i serwetki.

Po wyjściu ze sklepu poszli w górę ulicy,
wypluwając w dłoń pestki i wtykając je do
ziemi w wielkich betonowych donicach,
rozstawionych wzdłuż całego chodnika.

—
W przyszłym roku — odezwała się Nina
— trzeba będzie tu wrócić w porze zbiorów.

Pel am nie miał wobec niej aż tak

dalekosiężnych planów.

Minął ich wolno jakiś ciemny samochód i przez moment Pel amowi wydało się, że czuje na sobie czyjeś baczne spojrzenie. Jego ręka, podnosząca do ust widelczyk, zastygła nieruchomo w powietrzu, on zaś patrzył, jak samochód przyspiesza i znika mu z oczu.

Zostawili za sobą centrum miasta.

Nina przystanęła przed wystawą sklepu oferującego wymyślne buty — wyszywane cekinami, ozdabiane błyszczącymi kamykami i sztucznym złotem. — Kto w Maddox mógłby mieć jakikolwiek powód, żeby kupić sobie takie buty?

—
Zła Czarownica z Północy — zauważył.

—
Chyba z Zachodu — poprawiła go. *Może więc mimo wszystko lubi kino.*

—
No tak — odparł Pel am. — Zresztą podobała mi się tylko ta scena z trąbą

299

powietrzną.

—
Wiesz, kiedy byłam mała, myślałam, że
trąba powietrzna to prawdziwa trąbka, tyle że
trochę większa. Kiedy w szkole odbywał się
jakiś koncert, trzymałam się mocno poręczy,
żeby nie dać się porwać jak Dorotka.

Pel am uśmiechnął się. Wzięła go pod rękę i
na ułamek sekundy dotknęła policzkiem jego
ramienia.

—
Później z tego wyrosłam. Ale nadal nie
czuję się zbyt pewnie na koncertach. Zawsze
siadam z dala od sekcji dętej...

—
Ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz
— powiedział.

Jego słowa starły uśmiech z jej twarzy.
Szybko jednak przywołała na wargi jego
namiastkę i rzuciła krótko: — Dziękuję.

Właśnie wtedy odkryli fabrykę.
Pel am pierwszy zauważył budynek z
czerwonej cegły, stojący w pewnym oddaleniu
od ulicy. Otaczający go teren był tak
zarośnięty drzewami, krzakami i

wszechobecnym zielskiem, że widać było
jedynie czubek wysokiej, kwadratowej
budowli. Wysokie, zwieńczone eleganckimi
łukami okna przesłaniały ozdobne kraty z
kutego żelaza. Zachodzące słońce wpadało
przez nie do środka, rzucając na ściany

300

ogromne plamy czerwonego światła.

Peł am skręcił w wąską ścieżkę. Nina poszła
za nim.

Wytwórnia maszyn gwintujących w Maddox od
wielu lat była nieczynna. Budynek firmy miał w
sobie jakąś dziwną szlachetność; przypominał
nieco zamek — z ozdobnymi gzymsami i
otaczającym go rowem, który prawdopodobnie
powstał na skutek zapadnięcia się ziemi nad
dawnym systemem kanalizacji, ale od biedy
mógł udawać fosę. Zewnętrzną elewację
budynku do wysokości jakichś dwóch metrów
pokrywało niewyszukane graffiti, a metalowe
drzwi frontowe oklejone było grubą warstwą
kolejnych pokoleń ostrzeżeń o treści „Obcym
wstęp wzbroniony”. W cemencie nad
wejściem umieszczono metalowe ornamenty

w stylu art deco, przedstawiające kwiaty lili
oraz liście winorośli z wplecioną w nie nazwą
firmy.

Nina zbliżyła się cicho i stanęła za plecami

Pel ama. Ogarnęła spojrzeniem fronton

fabryki.— Jaki fajny stary budynek.

Pel am spróbował otworzyć frontowe drzwi.

Zamek był od dawna popsuty, ale podwójne

drewniane skrzydła wciąż zamykał

wewnętrzny łańcuch. Pel am pchnął je z całej

siły. Nie spoczął, dopóki pomiędzy drzwiami a

301

framugą nie utworzyła się około półmetrowa szpara. Wówczas wśliznął się do środka,
schylając się i przechodząc pod łańcuchem.

— Myślisz, że powinniśmy tam wchodzić? —

spytała Nina, gdy jego but zniknął za progiem.

Ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, nie-

śmiało podążyła za nim.

Wewnątrz Pel am zatrzymał się na środku

dębowej podłogi, pofalowanej i przez lata

wycieranej podszwami robotniczych butów i

kołami taczek. Po prawej stronie widać było

ciemne pomieszczenia biurowe. Poręcze i

framugi okien wykończono przy użyciu

opływowej blachy aluminiowej. Nad ich
głowami na spłowiałych malowidłach naścien-
nych górowali muskularni robotnicy. Z lewej
strony zwieńczone łukiem przejście wiodło do
przepastnej hali, oświetlonej teraz na
czerwono przez ostre promienie słońca
wpadające przez pożółkłe, brudne okna. Sufit
musiał znajdować się na wysokości chyba
dwunastu metrów. Nina stanęła za Pel amem.

—
To jest zbyt dobre, żeby tego nie
wykorzystać — odezwał się do niej.

—
Myślałam, że poza tym polem
niczego już więcej nie potrzebujesz.

—
Ten budynek świetnie się nada do
innego filmu, nad którym pracuję. Skoczę tylko

302

po polaroida i zaraz wracam.

Kiedy Pel am zanurkował pod łańcuchem i
zniknął za drzwiami, Nina podeszła do ściany
w głębi pomieszczenia, gdzie — jak sądziła —
majaczył w mroku stary kalendarz i kilka

innych cennych rupieci, które warto by stąd wynieść przed najazdem ekipy filmowej.

Okazało się jednak, że nie był to kalendarz, tylko plakat zespołu Bee Gees datujący się mniej więcej na rok 1975. Domyśliła się, że przed laty jakieś dzieciaki urządziły sobie w zrujnowanej fabryce tajemne miejsce spotkań.

Na podłodze znalazła starą pustą puszkę po kociej karmie, z tuzin butelek po piwie i wypalone zapalki. Weszła do dużego, pozbawionego okien biura, w którym zachowało się jakieś urządzenie z błyszczącego, pomalowanego na zielono metalu, przypominające wyglądem olbrzymią maszynę do szycia. Mrużąc oczy, próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność i przez dziesięć minut myszkowała po szufladach i szafkach. Znalazła piękną, wiekową skrzynię na pomarańcze, ale była za duża, żeby przeciągnąć ją przez ledwo uchylone drzwi.

Nadciągnęły chmury i zakryły słońce, spowijając wszystko szarym cieniem. Nina poczuła chłód, któremu towarzyszył niepokój.

Szybkim krokiem wróciła tam, skąd przyszła.

W głównym pomieszczeniu zatrzymała się. W pokrywającym dębowe deski kurzu wyraźnie odcisnęły się jej własne ślady, prowadzące do plakatu na ścianie i do sali z dziwną maszyną.

Były tam też odciski butów Pel ama, z charakterystycznymi, ostrymi noskami, które znikały za zwieńczonymi łukiem frontowymi drzwiami.

Zobaczyła jednak jeszcze inne ślady.

Wiodły w głąb budynku, w stronę ciemnych teraz pomieszczeń biurowych. I były całkiem świeże.

Przestraszona, wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała na arkadę, za którą znajdowały się uchylone drzwi. Trzydzieści metrów dalej.

Z których prawie dwadzieścia prowadziło obok tonących w ciemnościach pomieszczeń.

—
John? — zawołała. Cisza. Żadnej odpowiedzi.

Strach przebiegł jej po plecach i ścisnął za gardło. Do oczu napłynęły łzy. Krok po kroku, bardzo powoli, żeby nie zbudzić uspięonej pani-

ki, ruszyła w stronę wyjścia. Zauważyła, że
trzęsie się jej podbródek.

Pokonała trzy metry, cztery. Sześć.

Usłyszała jakiś dźwięk, jakby czyjeś kroki.

—

John? — Echo jej własnego

304

przerażonego głosu powróciło do niej z trzech różnych stron, jakby jakieś trio duchów
postanowiło sobie z niej zadrwić. Teraz już łzy
płynęły jej strumyczkiem po twarzy. Całą siłą
woli powstrzymywała się, żeby nie
przyspieszyć kroku.

Była już prawie pod łukiem. Przed sobą
dostrzegła błysk łańcucha przy drzwiach.

Widok ten dodał jej otuchy i zmniejszył nieco
lęk. Pełnam powinien lada chwila wrócić.

Zdąży...

Czyjaś dłoń zakryła jej usta i mocno ją
przytrzymała. Poczowała na wargach smak
tytoniu i soli. Jakieś ramię opasało jej klatkę
piersiową i uniosło ją. Ten ktoś powalił ją na
ziemię, pozbawiając zupełnie tchu. Jęknęła
boleśnie. Oddychała płytko, z trudem łapiąc
powietrze. On tymczasem klęczał już przy niej

i zbliżał twarz do jej twarzy.

14

Leżała na drewnianej podłodze; deski były zimne jak lód. Wąskie drzwi wpuszczały jedynie odbicie światła z głównego pomieszczenia, ona zaś znajdowała się w głębokim cieniu. Czuła odór śmieci, uryny i

305

pleśni oraz metaliczny smak swoich własnych łez. — Pomocy! — zawołała.

Jakiś mężczyzna wstał i zbliżył się do drzwi wejściowych. W tej chwili funkcjonowała jedynie racjonalna część jej umysłu i to ona doszła do wniosku, że napastnik po prostu ukradł jej torebkę i teraz wychodzi. Widziała jego ciemną sylwetkę na tle przytrzymywanych przez łańcuch drzwi, wyglądającą na zewnątrz. Zaraz jednak mężczyzna odwrócił się wolno i podszedł do niej. Ukucnął, a na jego twarz padł snop

bladego światła. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne o różowawych szklach. Pod starannie ostrzyżonymi włosami wyraźnie widziała jego twarz. Był młody, był przystojny i był biały. Te trzy fakty zaskoczyły ją i sprawiły, że jej strach nieco zelżał. Na policzku miał duże, owalne znamię albo przebarwienie skóry. Drgnął, czując na twarzy światło. Nie spodziewał się, że ona go zobaczy.

Jej strach powrócił. Teraz ją zabije, ponieważ go widziała... Jakkolwiek zamierzał ją skrzywdzić, potem z pewnością ją zabije.

Przesunął dłoń po jej pobladłym policzku. — Schowaj ręce pod siebie.

Nie zrozumiała, co do niej powiedział, więc spokojnie powtórzył polecenie. Kiedy nadal

306

nie wiedziała, o co mu chodzi, pomógł jej, unosząc w górę jej biodra i wsuwając jej dłonie pod pośladki. Może chciał ją w ten sposób unieruchomić, żeby nie mogła go podrapać.

Następnie, nadal klęcząc, nachylił się nad nią i przyłożył usta do jej ucha. Nina wykręciła głowę w przeciwną stronę i wzdrygnęła się na

myśl, że napastnik zaraz ją pocałuje. Czuła
żar jego oddechu.

—
Proszę — zawołała. — Niech mi pan nic
nie robi!

—
Mam wiadomość dla twojego przyjaciela.

Nie słuchała go. — Błagam.

—
Słuchaj!... Słuchasz mnie? Płacząc,
skinęła głową.

—
Pan Crimmins wie, że twój przyjaciel
widział go tamtego wieczoru w samochodzie.

Przełącz mu, że jeśli zgodzi się zeznawać, ja
wrócę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

—
Ale o co...?

—
Zrozumiałaś?

Nina powtórzyła: — Pan Crimmins...

—
A jeśli wrócę... — Znowu dotknął jej
policzka — to ci się na pewno nie spodoba.

Jej ciałem wstrząsnęło łkanie.

—

Nie ruszaj się stąd jeszcze przez pół
godziny — rozkazał jej. — Leż, tak jak teraz.

307

— Wstał.

Nie usłyszała jego kroków, tak jak nie
usłyszała brzęku łańcucha przy drzwiach
wejściowych. Dlatego była pewna, że nadal tu
jest, obserwuje ją, być może ukryty w mroku
zaledwie parę metrów od niej. Wpatrywała się
w daleki kwadrat brudnej szyby, błyszczącej w
promieniach słońca i w otaczającą okno
poświatę — małe kręgi czerwonego światła,
które widziała przez łyzy.

*

Znalazł ją siedzącą w kucki przed fabryką,
wpatrzoną tępo w popękany od korzeni drzew
chodnik pod swoimi stopami. — Nina?

Przez dłuższą chwilę nie podnosiła wzroku.

Kiedy to wreszcie zrobiła, jej oczy były pełne
łez. Wyczuł, że zbiera siły i zmusza się, aby
zachować spokój.

—

John... — Urwała i zanosła się łkaniem.

Drżała na całym ciele.

—

Co ci jest? — Przykucnął tuż przy niej.

Objęła go mocno i zaczęła się histerycznie

trząść. — Był tu... jakiś mężczyzna.

Peł am zeszywniał. Chwycił ją za ramiona. —

Co się stało?

Znowu łkanie. Musiał je przeczekać. Miał

ochotę wydusić z niej odpowiedź, zmusić ją,

żeby mu wszystko powiedziała. Jednak

308

cierpliwie czekał.

W końcu Nina odsunęła się od niego i

gwałtownie potarła swoje ucho — w miejscu,

gdzie dotknęły go wargi napastnika — tak

jakby chciała wyszorować je do czysta. —

On... nic mi nie zrobił. Przewrócił mnie tylko

na ziemię.

—

Zaraz wezwę policję. — Peł am

spróbował wstać.

—

Powiedział... Kazał mi coś ci przekazać.

—
Mnie?

—
Powiedział, że pracuje dla człowieka,
którego widziałeś, tego człowieka w lincolnie. I
że jeśli powiesz coś policji, wtedy on wróci i...
Mówił, że tamten nazywa się Crimmins.

Poczuł, że ręce trzęsą mu się z wściekłości, a
szyja pulsuje. Nie był w stanie tego
kontrolować. Drzenie przeniosło się na jego
szczękę i głowę, silniejsze od niego. Zamrugał
powiekami. Oczy zaszły mu łzami gniewu.

Nagle złapał go skurcz w żuchwie i zdał sobie
sprawę, że przez cały ten czas zaciskał zęby.

—
John...

—
Wezwijmy policję. Pokręciła głową. —

Nie.

—
Jak to? Musimy to zrobić.

—
Nie, John. Proszę cię. On mi nic nie
zrobił. Właściwie nic. Ale strasznie się go boję.

Powiedział, że wróci. — Popatrzyła na niego okrągłymi z przerażenia i mokrymi od łez oczami. — Proszę cię, po prostu odwieź mnie do domu.

Pel am rozejrzał się po polu i zaroślach otaczających fabrykę. Przypomniła mu się tamten ciemny samochód, który zwolnił, mijając ich wtedy na ulicy. Miał w tym mieście samych wrogów, ale żaden z nich nie miał twarzy. Gdzie oni wszyscy byli? Przyszedł mu na myśl jego odległy przodek, Dziki Bil, który stawał do pojedynków z innymi rewolwerowcami twarzą w twarz i w odległości nie większej niż cztery metry od swojego przeciwnika (z wyjątkiem, rzecz jasna, ostatniego — tego, który z zaskoczenia strzelił mu w plecy).

—
Jak on wyglądał? — zapytał.

Opisała mu go najdokładniej, jak umiała: kolor włosów, młody wiek, okulary z różowymi szklami. Po chwili zastanowienia dodała jeszcze opis spodni i kurtki. Nie pamiętała, jakie miał buty ani w jaką koszulę był ubrany.

—
Jest jeszcze coś...

—
Co takiego? — Pel am pomógł jej wstać.

—
Na policzku miał czerwony ślad. Tak
jakby duże znamię. Przypominało tę czerwoną
plamę na Jowiszu. — Dotknęła swojego po-

310

liczka.

—
Na Jowiszu?

—
Na tej planecie — wyjaśniła Nina. — Czy
teraz możesz odwiedzić mnie do domu? Bardzo
cię proszę.

eJa nie będę umawiał się na żadne spotkanie,
do cholery!

Pel am pchnął z całej siły drzwi. Otworzyły się
gwałtownie, uderzając o regał, aż jakiś
wolumin, stojący niebezpiecznie blisko krawę-
dzi półki, spadł z hukiem przypominającym
odgłos wystrzału.

W progu Pel am stanął. Wpatrywały się w

niego cztery pary oczu, w tym aż trzy z zaskoczeniem. Prokurator stanowy Ronald Peterson spokojnie przyglądał się, któż to zdecydował się tak wtargnąć do gabinetu. Pozostali, dwóch mężczyzn i kobieta, byli bardzo młodzi. Ich spojrzenia kursowały od intruza do Petersona i z powrotem.

Pel am zignorował ich obecność i rzucił: — Chcę z panem porozmawiać. Natychmiast.

—
To zajmie mi dziesięć minut. Macie coś przeciwko temu, żebyśmy teraz przerwali? — zwrócił się Peterson do swoich zauszników.

Było całkiem oczywiste, że jest ich szefem i nie mają w tej kwestii nic do gadania, a jedyna decyzja, jaką mogą podjąć, dotyczy tego, czy

311

przed wyjściem wypada im zabrać ze sobą papiery, czy też nie. Ostatecznie dokumenty zostały tam, gdzie były, a młodzież po cichu opuściła gabinet.

Pel am oparł dłonie na zagraconym blacie biurka, zdecydowanym ruchem odsuwając na bok nakręcaną sztuczną szczękę. Pochylił się do przodu. — Żądam ochrony dla siebie,

moich przyjaciół i dla wszystkich członków ekipy filmowej. Właśnie napadnięto moją znajomą. *W tej chwili* pod jej drzwiami ma stanąć wasz agent! Mieszka w Cranston przy...

—
Niech pan spocznie, panie Pel am.

Pel am nie skorzystał z zaproszenia; popatrywał to na kolekcję nakręcanych zabawek, to w spokojne oczy prokuratora, małe i ciemne jak pestki oliwek. Peterson ponownie wskazał mu krzesło. — Bardzo pana proszę.

Pel am usiadł.

—
Więc mówi pan, że pańska znajoma została napadnięta? Pel am opowiedział mu o wizycie w fabryce i o mężczyźnie ze znamieniem.

—
Crimmins. — Zatroskane spojrzenie Petersona przesunęło się po drżących za oknem kolorowych liściach. Po chwili warknął:

— Ten stary sukinsyn.

—

Pańscy agenci poinformowali mnie, że
wynajął zamachowca w Chicago, Detroit czy
gdzieś tam. To on. To na pewno ten facet. Żą-
dam ochrony.

—

Ochrony?

—

Agentów federalnych — wybuchnął

Pel am. — No, wie pan, ochroniarzy.

—

Szeryfów stanowych? Taka ochrona
kosztowałaby podatników sporo pieniędzy.

—

Macie przecież ten wasz program
ochrony świadków...

—

Ach, i tu dochodzimy do sedna sprawy.

Świadek — to nasze słowo-klucz.

—

Słuchaj pan, to nie jest zabawa. Zna pan
jego nazwisko. Crimmins. Niech go pan
aresztuje.

Peterson odparł: — Nic z tego nie rozumiem.

Dlaczego ten człowiek miałby panu grozić,

skoro w ogóle go pan nie widział?

—

Problem polega na tym, że *on* nie wie,

że nic nie widziałem. I skąd to wahanie?

Podobno chce pan dorwać Crimminsą. Otóż

właśnie mi groził i napadł na moją znajomą.

Możecie go aresztować.

—

Ta napaść, która jak pan mówi...

Pel am zerwał się z krzesła. — Jak *ja*

mówię! *RIGHT SQUARE BRACKET*... Moja znajoma... Peterson uniósł w 313

górze otwartą dłoń. — Proszę mi wybaczyć.

Mój błąd, przyznaję i przepraszam. Proszę,

niech pan usiądzie. Pel am usiadł.

Prokurator stanowy odezwał się urzędowym

tonem: — Czego właściwie pan ode mnie

oczekuje?

—

Domagam się ochrony. Przecież już

mówiłem.

—

W zasadzie moglibyśmy przydzielić panu

na jakiś czas jednego człowieka. Ale to, co się przydarzyło pańskiej znajomej, nie jest przestępstwem federalnym. To zwykła napaść.

Jurysdykcja federalna nie obejmuje...

—
Chce mi pan wmówić, że grożenie świadkowi w postępowaniu federalnym nie jest przestępstwem? — Urwał, widząc uśmiech na twarzy Petersona.

—
I znowu wracamy do tego samego.

Rozumie pan, co mam na myśli? Pan *nie jest* świadkiem. Nie podlega pan naszej jurysdykcji. Nic nie możemy w pana sprawie zrobić.

—
Tacy jak wy uwielbiają kruczki prawne — mruknął Pel am. Peterson zawahał się na moment; być może nie był pewien, kogo powinien zaliczyć do kategorii „tacy jak wy”. —

Chodzi o to, że nawet jeśli udałoby się go skazać za tę napaść, dostałby góra rok. A po

—
Bzdura.

Peterson nacisnął przycisk interkomu. W drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, w białej bluzce i jasnobrązowej spódnicy. — Słucham pana?

—
Proszę mi przynieść akta Crimmins.

—
Całą dokumentację, panie Peterson?

—
Nie, przepraszam, oczywiście, że nie.

Tylko pierwszą teczkę. Ze wstępnym rozpoznaniem. — Zerknął na Pel ama. — Pan naprawdę nie wie, kim jest Peter Crimmins?

No to już panu mówię. Rosjanin w drugim pokoleniu. To znaczy Ukrainiec. W dzisiejszych czasach trzeba wyrażać się precyzyjnie. Zarobił kupę kasy w branży przewoźniczej i wiemy, że zainwestował ją w pranie brudnych pieniędzy na olbrzymią skalę.

To jego podwładni wypowiedzieli wojnę jamajskiemu gangowi ulicznemu we wschodnim St. Louis.

Peł am wyobraził sobie, jak nakręcane
zabawki Petersona kolejno spadają z biurka, a
jakiś nieopierzony asystent prokuratora
wpada, żeby pozbierać je z podłogi. — Ale co
to właściwie...

—
Zginęło wtedy dwunastu ludzi. —

315

Peterson zmarszczył brwi, nie sprawiał jednak wrażenia szczególnie zszokowanego czy
zasmuconego.

—
Ale co to ma wspólnego ze mną?

—
„Masakra”. Tak to nazwał „Post-
Dispatch”. Nie było w tym cienia przesady.

Siedem ofiar stanowili przypadkowi
przechodnie.

—
Rozumiem, kiepska sprawa. Zwłaszcza
przed wyborami.

Przez chwilę Peterson siedział nieruchomo.

Potem podniósł wyjątkowo blady palec do
ucha i potarł je trzykrotnie z roztargnieniem.

Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był

opanowany: — Urząd prokuratora stanowego

otrzymuje się w wyniku nominacji.

Peł am przyglądał mu się sceptycznie.

—

Nie mam też ambicji zostać burmistrzem

tego miasta. Ani gubernatorem stanu czy

senatorem. I nigdy nie rozumiałem, jak można

chcieć zasiadać w Izbie Reprezentantów.

Do gabinetu weszła sekretarka i położyła na

biurku Petersona opasłą, czerwonobrązową

teczkę noszącą ślady częstego otwierania.

Prokurator stanowy wyjął z niej kilka plików

dokumentów i wycinków prasowych. Jeden z

nich położył sobie na kolanach i zaczął

kartkować, mrużąc przy tym oczy.

316

Po chwili na biurku zaczęły lądować zdjęcia, ciskane na blat niczym karty do gry. Peł am

przyjrzał im się. Był zaskoczony tym, że fo-

tografie są kolorowe. Z jakiegoś powodu

zakładał, że policyjni fotografowie posługują

się czarno-białą kliszą. Zdziwił się, że krew

może mieć aż tak intensywną barwę. Widywał

już wcześniej zwłoki; w rzeczywistości krew

wydawała mu się ciemniejsza.

—
Ci chłopcy mieli po dziesięć lat. Chociaż
po tym, co ich spotkało, raczej trudno to
stwierdzić.

Pel am wziął do ręki błyszczące odbitki i rzucił
je Petersonowi. Jedna z nich spadła na
podłogę. Prokurator stanowy podniósł ją i
przyjrzał się jej uważnie. — Przed dwoma laty
byliśmy bardzo blisko postawienia Petera
Crimmins'a w stan oskarżenia pod kilkoma
zarzutami wymuszania. Mieliśmy
wiarygodnego świadka. Młodą kobietę,
sekretarkę, która mogła pogrążyć Crimmins'a.

Przydarzył jej się dziwny wypadek. Jakimś
niezwykłym zbiegiem okoliczności z kuchenki
spadł na nią garnek z wrzątkiem. Miała
oparzenia trzeciego stopnia na udach i kroczu.

Twierdziła, że gotowała obiad. — Peterson
podniósł głos tak, że brzmiał on teraz jak
jakieś upiorne zawodzenie. — *Oparzenia*

317

trzeciego stopnia! Jej skóra przypominała gotowany stek! — Oczy prokuratora pałały. —
Ale wie pan, co było najdziwniejsze? To, że
ten wypadek zdarzył się o północy. Zna pan

kogoś, kto gotowałby obiad o północy? —

Peterson uniósł w górę otwarte dłonie. —

Moja żona nie gotuje o północy! Zna pan kogoś, kto by to robił?!

Pel am milczał. Twarz Petersona płonęła z wściekłości. Powoli się uspokajał. Sięgnął po chusteczkę higieniczną i przetrął nią czoło i policzki. — Tamta kobieta odwołała przed sądem swoje zeznania.

—

Mam więc rozumieć, że Crimmins jest złym człowiekiem, notorycznie zastraszającym świadków.

—

Panie Pel am, nie mam cienia wątpliwości, że to on zamordował Vince'a Gaudię. Miał motyw i nie ma przekonującego alibi. W przeszłości wielokrotnie zlecał swoim ludziom zastraszanie świadków, pobicia i zabójstwa. Sam pan wie, co zrobił pańskiej przyjaciółce. Problem w tym, że teraz, kiedy Gaudia nie żyje, moje zarzuty w sprawie wymuszeń i korupcji są warte tyle, co nic. Crimmins dostałby góra trzy, cztery lata. —

Pel am zauważył krople potu na czole

Petersona. Zobaczył, że tamten, drżąc na

318

całym ciele, pociera nerwowo kciukiem o palec wskazujący.

Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie

słychać było zmęczenie. Powtórzył cierpliwie:

— Nie mogę panu pomóc.

Wrócił jakby z powrotem na ziemię. Otworzył

inną teczkę i w skupieniu przetrząsał jej

zawartość.

—

To co będzie z ochroną dla Niny? —

spytał Pel am.

—

Myślę, że dla własnego bezpieczeństwa

powinna wyjechać z miasta. Niewiele możemy

w tej sprawie zrobić.

—

Ja mam kilku znajomych reporterów —

oznajmił groźnie Pellam. — Ta historia

mogłaby ich zainteresować. Odmawiacie

ochrony tym, którzy nie chcą dla was

zeznawać.

Peterson przywołał na swoją jajowatą twarz

niewinny, dobroduszny uśmiech. — Och, nie
sądzę, aby ta sprawa ich zainteresowała.

—
Nigdy nie wiadomo.

Peterson wyjął z teczki kilka dokumentów. —

Kłopot z dziennikarzami — powiedział,
przerzucając papiery — polega na tym, że
najbardziej lubią wywlekać brudy na światło
dienne. Pańska historia świadka raczej ich
nie porwie.

319

Peł am machnął ręką zniechęcony i podszedł
do drzwi.

—
Ta jednak — powiedział prokurator
stanowy, uśmiechając się szeroko — mogłaby
ich zainteresować...

Wypuścił z dłoni jakiś raport i pozwolił mu
spaść na biurko. W lewym górnym rogu
widniała pieczęć stanu Kalifornia, zaś na
środku białej, pogniecionej strony tytułowej
Peł am zauważył dwie fotografie i kilka
krótkich drukowanych akapitów.

Zdjęcia nie przedstawiały jednak Petera

Crimmins, żywych gangsterów ani martwych przechodniów, tylko Johna Pel ama we własnej osobie.

Wyglądał na nich na wycieńczonego — miał podpuchnięte oczy i był nieogolony.

Przedstawiły dwa ujęcia jego twarzy — en face i z profilu. Pod nimi widniały nierówne linijki zdań; widać było, że wystukano je na taniej maszynie do pisania. Było tam nazwisko Pel ama, jego dane osobowe, data wykonania zdjęcia oraz nazwiska kilku zastępców z biura szeryfa stanowego w Los Angeles. Zaś na samym dole dokumentu znajdował się dopisek: „Oskarżonemu postawiono następujące zarzuty: morderstwa, nieumyślnego spowodowania śmierci, sprzedaży i posiadania kontrolowanych substancji”.

320

Pański szef wie, że ma pan na koncie

odsiadkę?

Peł am zdjął dłoń z klamki. Wrócił do biurka

Petersona i usiadł. Popatrzył na swoje

policyjne zdjęcie.

Odwrócić głowę... Potrzebny nam profil.

Jeszcze raz odwrócić głowę... Ten tutaj? Tak,

to on zabił tego znanego aktora. On, niestety.

Peterson odezwał się wesoło: — Wie pan,

pamiętam coś niecoś z prawa

ubezpieczeniowego. Czy nie jest tak, że

gwarancja przestałaby obowiązywać, gdyby

okazało się, że pańska wytwórnia zatrudnia

byłego przestępcę? Zwłaszcza takiego, który

miał sprawę o narkotyki?

—

Uniewinniono mnie od zarzutu handlu

narkotykami i morderstwa.

—

Niech pan nie spiera się ze mną o

drobiazgi, panie Peł am. Ofiara zmarła,

ponieważ dostarczył pan jej sześćdziesiąt

gram kokainy, czy nie tak? To przez pana

zginął wyżej wymieniony Tommy Bernstein.

Taki młody człowiek...

321

Wyżej wymieniony najlepszy przyjaciel.

Peł am wyciągnął rękę i dotknął swojego zdjęcia.

Załóż ten kombinezon, a potem cię skujemy i sprowadzimy na dół. Jak się będziesz stawiał, to pożałujesz. W przeciwieństwie do ciebie mamy pałki — rozumiesz, co to znaczy? A teraz ruszaj się.

Właśnie dlatego nie poszedł na pogrzeb Tommy'ego. Siedział wtedy w tymczasowym areszcie w biurze szeryfa hrabstwa Los Angeles i czekał, aż postawią go w stan oskarżenia.

Wpatrywał się teraz w fotografię własnej zmizerniałej twarzy, nie odczuwając absolutnie żadnego przymusu, żeby się tłumaczyć. Mógłby pokręcić ponuro głową, zagryzając z bólem usta, i opowiedzieć o tym, jak Tommy, płacząc, błagał go o jeszcze jedną działkę. *Proszę cię, John, ten ostatni raz.*

Pomóż mi, pomóż, pomóż. Nie dam rady bez tego pracować. Widzę kamery, stary, i czuję,

jakbym był cały z drewna. Nie mogę grać, do cholery. Musisz mi pomóc... Tommy

Bernstein, uroczy wariat i genialny aktor, wspierał się na ramieniu Pel ama, a łzy płynęły ciurkiem po jego nalanej twarzy. Wyglądał żałośnie, jak dziecko, którym w głębi duszy

322

nigdy nie przestał być — dziecko, którego Pel am nie zdołał w nim w porę dostrzec.

Ale nie, nie ma sensu tłumaczyć tego wszystkiego temu zgorzkniałemu, zimnemu człowiekowi siedzącemu po drugiej stronie biurka. Odparł więc tylko: — To zdarzyło się dawno temu.

Peterson spojrzał na niego chłodno. — Były przestępca zawsze pozostanie byłym przestępcą. Czegoś takiego nie da się cofnąć.

—

Rzeczywiście się nie da.

Peterson powtórzył: — Pański szef o tym wie?

—

Nie.

—

To czysto cywilna sprawa. Nie mam prawnego obowiązku podzielić się z nim tą

wiedzą, jednak czuję się do tego moralnie
zobligowany. Sądzę, że kiedy się o tym dowie,
natychmiast wyrzuci pana z pracy.

—
Też tak sądzą. Ale jeśli powiem, że
widziałem w samochodzie Crimmins'a,
zapomni pan o całej sprawie...

—
W ubiegłym tygodniu odbył pan kilka
rozmów z Martym Wel e-rem.

—
Z Martym? Skąd pan wie o Martym?

—
Rozmawialiście o projekcie filmowym,
nad którym wspólnie pracujecie, prawda? —
Ponieważ Pel am milczał, Peterson mówił da-
lej: — W następstwie tych rozmów zaczął pan

323

na gwałt szukać pieniędzy. Odwiedził pan swój bank w Sherman Oaks i pewnego dilera
samochodowego, ale ten nie był niestety
zainteresowany pańskim porsche, któremu
najwyraźniej dość daleko do idealnego
stanu...

Bezprawnie założyliście mi podsłuch w telefonie.

—
Broń Boże. Po prostu popytaliśmy to tu, to tam. To wszystko. Przedstawiamy się i zadajemy pytania. Większość naszych rozmówców z reguły chętnie z nami współpracuje.

—
Do czego pan zmierza?

—
Nie jest tajemnicą, że potrzebuje pan pieniędzy — dużych pieniędzy. I to, jak widać, dosyć rozpaczliwie.

—
I pan myśli, że Crimmins zapłacił mi, żebym nie zeznawał.

—
Tak. Dokładnie tak myślę.

Twarz Pel ama zapłonęła gniewem. Zerwał się z krzesła i nachylił nad biurkiem; jego oczy ciskały błyskawice, prawa pięść była zaciśnięta. Papiery i nakręcone zabawki posypały się na podłogę.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu; w tym czasie Peterson próbował opanować swój strach, a Pel am swoją wście-

324
kłość. Niewiele brakowało, by uderzył prokuratora stanowego.

Wreszcie Peterson odezwał się cicho: —

Bardzo pana proszę. Mówię to dla pańskiego własnego dobra. Chyba ma pan już wystarczająco dużo kłopotów, żeby teraz szukać nowych?

W końcu Pel am wyprostował się i zamiast do drzwi podszedł do okna. Przez dłuższy czas bił się z myślami, nie odrywając wzroku od rozciągających się w dole połaci bujnej roślinności. St. Louis było bardzo zielonym miastem, nawet w październiku. W chwili gdy to, co najważniejsze w jego życiu, było zagrożone, Pel am zaczął nagle dostrzegać najdrobniejsze szczegóły otoczenia. Na przykład barwy jesiennych liści i kształty drzew. Nagle skinął też głową, lecz nawet jeśli podjął jakąś decyzję, postanowił zachować ją dla siebie i bez słowa opuścił gabinet

Petersona.

Stalowa kula przetoczyła się obok małego, prostokątnego kawałka trawy.

—
Przegrałeś — rzucił starszy mężczyzna,
zwracając się do Petera Crimmins, który
uśmiechnął się i skinąwszy głową pozostałym
graczom, przeszedł ponad pomalowanym na
czarno niskim ogrodzeniem. Znajdowali się w
325
niedużym parku na przedmieściach St. Louis.
Mrużąc oczy, Crimmins przyglądał się
rozległemu osiedlu budynków mieszkalnych z
czerwonej cegły. Zastanawiał się, ile mogła
kosztować ich budowa. Nigdy nie zajmował
się nieruchomościami. Uważał, że to dobre dla
Żydów. Ostatnio jednak chodził mu po głowie
pomysł wybudowania czegoś. Chciał zostawić
po sobie jakąś spuściznę i uważał, że jeśli ma
już utopić sporą część swojej fortuny w tego
rodzaju inwestycji, byłoby dobrze, aby
nazwano ją jego imieniem.

Stojący w pobliżu Joshua opierał się o latarnię
z niczym niezmaconym spokojem typowym
dla podstarzałych bramkarzy albo agentów

służb specjalnych. Jakaś tęga kobieta w
dżinsowym kowbojskim komplecie rozmawiała
w budce przez telefon, żywo gestykulując. W
grubych palcach obracała papierosa.

Crimmins miał na sobie luźne ciemne spodnie,
sandały i wyjściową białą koszulę. Od
przeszło godziny grał w bule. Dawniej, w
pogodne popołudnia takie jak to, ten w
zasadzie włoski park był pełen ludzi. Ale
nawet Crimmins, który całe życie mieszkał w
pobliżu, nie przypominał sobie, kiedy to mogło
być. Być może w czasach wystawy światowej
w St. Louis; w epoce, gdy miasto wciąż

326

jeszcze zachowywało swój kon-federacki charakter. Do licha, a teraz przy huśtawkach
koczowali bezdomni! Crimmins nie aprobował
takich ludzi. Uważał, że powinni wziąć się w
garść i znaleźć sobie jakąś pracę — tak, jak to
się kiedyś robiło.

Często powtarzał, że każdy powinien polegać
tylko na sobie.

Rozejrzał się po parku. Sporo czarnych,
kręcących się to tu, to tam na swoich
rowerach lub sadzących przed siebie tymi

swoimi wielkimi susami. Oprócz nich

Portorykańscy. Białe wyrostki w skórze albo

brudnym dzinsie, ze swoimi piłkami,

deskorolkami i gitarami. Kilku biznesmenów.

Kobiety uprawiające jogging i popychające

jednocześnie dziecięce wózki na trzech

wysokich i grubych kołach.

No i byli jeszcze Chińczycy.

Crimmins nie lubił Żydów, bał się Murzynów i

Portorykańczyków, ale Chińczyków po prostu

nie znosił.

Przypatrywał się właśnie czterem czy pięciu

azjatyckim rodzinom, które zorganizowały

sobie piknik w parku. Crimmins zdawał sobie

sprawę ze skali ich napływu. Nieruchomości i

przemysł elektroniczny. Kolejny transport był

już w drodze.

327

Ani się człowiek obejrzy, a wezmą się za pranie brudnych pieniędzy.

Jakiś chłopak przemknął obok niego w pędzie,

przykucając jak surfer na swojej deskorolce.

Tuż za nim, jakby przygnany porywem po-

wietrza, pojawił się mężczyzna o ciemnej

karnacji i zbliżył się do Crim-minsa. — Proszę

się zatrzymać.

Joshua wyrósł jak spod ziemi, stając
pomiędzy nimi z dłonią w kieszeni marynarki.

—
Policja, koleś — odezwał się mężczyzna.

— Wyjmij tę pieprzoną rękę tak, żebym mógł
ją widzieć. Chyba że macasz się po jajach.

Błysnęły policyjne odznaki i identyfikatory.

—
Gianno, wydział policji w Maddox. A to
detektyw Hagedorn.

—
Też z Maddox — warknął Crimmins.

Hagedorn stanął w pobliżu. Miał rozpiętą
marynarkę. Gianno zwrócił się do Crimminsa:

— Chcielibyśmy zadać panu parę pytań.

Crimmins gestem dał znak ochroniarzowi,
żeby ich zostawił. Jo-shua posłuchał i z

odległości kilku metrów obserwował całą
trójkę.

—
Niedawno napadnięto pewną kobietę.

—
Czy to ktoś, kogo znam? — zaniepokoił

się Crimmins.

—

Nie była to pańska znajoma, to pewne.

328

Podobno z dużą niechęcią zgłosiła całe zdarzenie. To FBI zawiadomiło nas o tej napaści.

Od kiedy to napaść jest przestępstwem federalnym? — zastanawiał się Crimmins, ekspert w dziedzinie prawa federalnego i znawca aktów oskarżenia. Nagle zrozumiał.

— No tak — odezwał się ze zmęczeniem. —

Myślicie, że to ja za tym stałem.

—

Według zeznań ofiary napastnik powiedział jej, że pracuje dla pana.

Crimmins zamrugał z niedowierzaniem. — Dla mnie? Gianni podał mu rysopis młodego człowieka ze znamieniem.

—

Nie znam nikogo, kto tak wygląda.

Zresztą nigdy nie posunąłbym się do tego, żeby komuś grozić.

—

Jasne — zaśmiał się Ginno. — Pewnie,

że nie.

—
Gdzie pan dzisiaj był? — włączył się
Hagedorn.

—
W domu. Potem przyszedłem tutaj.

—
Żeby wykonać parę telefonów, których
nikt nie podsłucha, tak? — Ruchem głowy
Gianno wskazał budkę telefoniczną.
Crimmins zirytowany pocierał kciukiem o
palec wskazujący, aż zbielał mu paznokieć. —
Chcecie mnie aresztować?

329

Hagedorn odparł pytaniem na jego pytanie: —
Poda pan nam listę nazwisk swoich
pracowników?

—
Chyba nie muszę tego robić.

—
Mieliśmy nadzieję, że będzie pan z nami
współpracował — rzucił Gianno.

—
Lepiej by to wyglądało — dodał jego

partner.

—

Mam gdzieś, jak to wygląda. Ja...

Gianno odwrócił się do Hagedorna. —

Spadamy stąd. Gość w niczym nam nie

pomoże. Weźmy się lepiej za Pel ama...

Blondyn pogroził mu lekko palcem, na co

policjant umilkł z miną przyłapanego na gafie

uczniaka. Przez chwilę obaj przyglądali się

Crimminsowi, który zachowywał kamienną

twarz. W końcu odeszli.

Kiedy obaj detektywi zniknęli za rogiem,

Crimmins ruszył przed siebie ulicą, dając znak

Joshule, aby poszedł za nim. Kiedy ochroniarz

się z nim zrównał, zauważył rzęsisty pot na

czole Crimminsa i jego śmiertelną bladość. Z

pewnością nie były to oznaki fizycznego

zmęczenia.

— Znajdź mi Stettle'a — syknął wściekle

Crimmins. — Nie obchodzi mnie, gdzie jest i

co właśnie robi. Ma się natychmiast u mnie

stawić.

330

Tego dnia wody rzeki były wyjątkowo błotniste.

Mimo to nie sprawiały wrażenia bardziej
wzburzonych niż zwykle — wiał rzeński wiatr,
lecz nie na tyle silny, aby na powierzchni
zaczęły tworzyć się białe grzywy fal.

Najwyraźniej jakieś zawirowania nurtu
podrywały z dna grudy gliniastego błota,
barwiąc rzekę na całej jej szerokości, od
brzegu do brzegu.

John Pel am, siedzący za kierownicą swojego
wozu kempingowego, przeciągnął się i po raz
kolejny wybrał numer telefonu Niny. Kiedy
znowu odezwała się automatyczna
sekretarka, rozłączył się, nie pozostawiając
żadnej wiadomości. Wcześniej tego samego
dnia odbyli ze sobą krótką rozmowę, w której
zapewniła go, że nic jej nie jest. Chciała po
prostu odpocząć. Czy mógłby zadzwonić do
szefa działu charakteryzacji i wytłumaczyć
ją...? Oczywiście. Co jeszcze mógłby dla niej
zrobić? Może potrzebuje towarzystwa? Nie,
odwiedziła dziś w szpitalu matkę i przy tej

okazji poprosiła lekarza o kilka sztuk walium dla siebie. Pellam zauważył, że Ninie płacze się język i rozłączył się, żeby mogła się zdrzemnąć.

Ledwie odłożył słuchawkę, kiedy zadzwonił do

331

niego niezwykle poruszony Tony Sloan i oznajmił, że zamierzają wkrótce nakręcić finałową scenę. Pel am wiedział o tym i miał zamiar uczestniczyć w zdjęciach. Zaniepokoiło go, że Sloan z taką stanowczością wzywa go na plan. Chyba nie wpadł na to, żeby po raz kolejny zmienić lokalizację? Szef obsługi technicznej zdradził mu w zaufaniu, że Sloan musi zmontować 125-minutowy film z piętnastu pełnych dni zdjęciowych — *dwudziestoczterogodzinnych* dni zdjęciowych.

Pel am, dziękując w myślach Bogu, że nie jest montażystą Sloana, obiecał, że będzie na miejscu, zanim wystrzelą ostatniego ślebaka.

Teraz wstał i poprawił wiszący na ścianie plakat z „Napoleona” Abła Gance'a, jedyną ozdobę swojej przyczepy. Następnie wsunął colta do kieszeni kurtki lotniczej i właśnie zamierzał wyjść, gdy ponownie rozległ się

dzwonek telefonu.

—

To ty, Nina? — spytał.

—

Siedzisz wygodnie? — Głos w
słuchawce należał do mężczyzny.

—

Słucham?

—

Siedzisz?

—

Ledwo cię słyszę, Marty. Gdzie u licha
jesteś?

—

W Berlinie.

332

Pel am mocniej przycisnął komórkę do ucha, jak gdyby mogło to wpłynąć na poprawę
połączenia pomiędzy stanem Missouri, w
którym Winston Churchill ukuł określenie
„żelazna kurtyna”, a miejscem, które kiedyś
się za nią znajdowało.

—

Próbowałem łapać cię w Londynie i
Paryżu — krzyknął Pel am. — Posłuchaj,

stary, strasznie cię przepraszam za tamten

wieczór.

—
Nie musisz krzyczeć. Wtedy jeszcze

bardziej przerywa. Ja dobrze cię słyszę. Co
mówiłeś?

—
Przykro mi, że nawaliłem. Ale miałem
wypadek.

—
No cóż, ten twój wypadek kosztował nas

kupę kasy. Telorian *był* zainteresowany, ale wkurzył się, bo już drugi raz go olałeś. Co jest,

John, masz jakiś freudowski kompleks na tle

Irańczyków? Przepraszam, Persów. Mogłeś

przynajmniej zadzwonić. Ale teraz powiedz mi,

czy siedzisz wygodnie?

—
O czym ty gadasz?

—
Nagrałem ci węgierskiego producenta.

—
Co takiego?

—
Wiem, wiem, że to dziwnie brzmi.

Paramount w ostatniej chwili wycofał się z tej produkcji o terrorystach. Mówię ci, ale była

333

afera! Więc teraz twój „Czas

środkowoamerykański" ma zielone światło.

Jeden gość w Londynie skontaktował mnie z inwestorami w Budapeszcie. To duet rodem z East Vil age. Młodzi faceci. Przedstawiłem im ciebie jako nowego Jarmuscha.

Węgrzy finansujący kultowy film kina *noir* rozgrywający się w Wisconsin. A więc tak ma wyglądać Nowy Ład.

—
No cóż, Marty, bardzo się cieszę. I co dalej?

—
Dasz radę wyłożyć sto pięćdziesiąt kawałków?

—
Jak się bardzo postaram.

—
To lepiej się postaraj, chłopie.

—
Powiedziałeś im, że to ja będę

reżyserować?

—

Od razu się zgodzili. Dużo o tobie
słyszeli, John... To był żaden problem. —

Płynący zza oceanu głos Marty'ego brzmiał
wyjątkowo szczerze. — Rozumiesz, o czym
mówię?

O śmierci Tommy'ego Bernsteina, rzecz
jasna.

—

Podoba im się to, co robisz. Ty im się
podobasz. A raczej facet, za którego cię
uważają. Nie spraw im zawodu.

—

Co to za jedni?

334

—

Chodzi ci o ich nazwiska? Nie do
wymówienia. Różne dziwne znaczki nad
literami. Kogo to zresztą obchodzi? Postaraj
się o kasę, a mój nowojorski prawnik
przygotuje umowę. Dobrze byłoby ją podpisać
jeszcze przed pierwszym. Myślisz, że da się to
zrobić?

—
Tak. Nawet na pewno... Słuchaj, Marty...

Dzięki. Wiesz, ile to dla mnie znaczy... —

Przerwane połączenie litościwie położyło kres
tym pełnym wdzięczności wywodom.

Rozmowa została zakończona.

Peł am wyszedł z przyczepy, strzepnął grudkę
zaschniętego błota ze swoich kowbojek i
wskoczył na motor.

16

Dostaliśmy wasze pismo w sprawie napaści
na tę Sassower.

Ronald Peterson popatrzył na Boba Gianno i
pytająco uniósł brew. — No i?

—
Pogadaliśmy sobie z Crimminsem.

Żaden z dwóch detektywów nie zwrócił uwagi
na błysk satysfakcji, jaki na moment zagościł
w oczach Petersona. Prokurator rzucił Nelso-

nowi znaczące spojrzenie, a ten nie mógł

335

powstrzymać uśmiechu.

Hagedorn podjął temat: — Oczywiście zaprzecza, jakoby miał z tym cokolwiek wspólnego. Można się było tego spodziewać.

Faktycznie.

—

Rzecz jasna w ogóle się tym nie przejęliśmy. Chodziło o to, żeby go sprowokować. Wymieniliśmy nazwisko Pel ama, ale tak, żeby myślał, że niechcący nam się wysnęło. Szkoda, że go pan wtedy nie widział.

—

Rozsądne posunięcie — zauważył

Peterson.

—

Też tak uważamy. Teraz na pewno coś zrobi. Albo spróbuje od razu uciszyć Pel ama, albo przynajmniej go zastraszyć. Tak czy inaczej będziemy go mogli przyskrzynieć.

Siedzieli w gabinecie Petersona. Policjanci od razu zwrócili uwagę na kolekcję nakręcanych

zabawek prokuratora i teraz każdy z nich
usiłował naprędce wymyślić do tego jakiś
zabawny komentarz, ale nic nie przychodziło
im do głowy. Peterson z trudem ukrywał
radość, obserwując ich rosnące skrępowanie.

—
Pomysł, żeby przycisnąć Pel ama, jest
bardzo dobry. — Peterson umilkł i przez
dłuższą chwilę przeglądał nudnawy raport nie
mający nic wspólnego z omawianą obecnie

336

sprawą. Dopisał na marginesie jakąś uwagę, po czym rzucił dokument na biurko. —

Wiedzieliście, że Pel am siedział?

—
Co takiego? — zaśmiał się Hagedorn.

—
Za nieumyślne spowodowanie śmierci.

W San Quentin.

—
Cholera. W San Quentin! — stęknął

Gianno. — Poważna sprawa. Kto by
pomyślał...

Peterson widział, że małomiasteczkowi
gliniarze aż gotują się z poczucia winy na

myśl, że sami nie dotarli do tej informacji.

Zapytał: — Możecie to jakoś wykorzystać? —

Sam długo zastanawiał się nad kryminalną przeszłością Pel ama i doszedł do wniosku, że miejscowa policja niewiele może w tej sprawie zdziałać.

Hagedorn i Gianni popatrzyli po sobie.

Anglosaski gliniarz — przystojny blondyn, przystojniejszy niż większość pracujących dla Petersona agentów FBI — uniósł w górę dłonie i namyślał się, zagryzając wargi.

Wreszcie odezwał się: — Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić. Pozwolenia na kręcenie zdjęć zostały już wydane. Zresztą dawny wyrok skazujący i tak nie miałby chyba na to żadnego wpływu. A co z warunkami zwolnienia warunkowego?

337

—
To znaczy?

—
Może złamał je, opuszczając stan? —

wyjaśnił Hagedorn. Było to coś, o czym Peterson nie pomyślał. Prawie niezauważalnie

zmarszczył brwi. Żeby ubiegł go taki
prowincjonalny glina z zabitej dechami dziury!
W duchu postanowił porządnie zrugać
Nelsona za przeoczenie tego faktu. — Biorąc
pod uwagę datę popełnienia przestępstwa i to,
że stale podróżuje służbowo, nie sądzę, aby
tak było, ale na wszelki wypadek polecę to
sprawdzić mojemu asystentowi. Teraz jednak
wydaje mi się, że wszyscy zgadzamy się co
do jednego: Crimmins wie, że Pel am oskarżył
go o napaść na tę dziewczynę i — dzięki
sprytowi naszych przyjaciół z Maddox —
może zdecydować się na jakiś ruch przeciwko
niemu. Będziemy go obserwować. Ale
jednocześnie uważam, że powinniśmy
mocniej przycisnąć Pel ama.

—
Ma pan jakiś pomysł? — spytał panuro
Gianno, wyczuwając w słowach prokuratora
sarkazm, lecz nie umiając go zidentyfikować.
Peterson odparł: — Owszem, mam. Dwóch
moich agentów odwiedziło wcześniej plan
zdjęciowy. Znaleźli coś naprawdę ciekawego.
Poproszę, żeby tu wpadli i dokładnie nam o

wszystkim powiedzieli.

338

MISSOURI RIVER BLUES

SCENA 179E — PLENER, DZIEŃ — DROGA POMIĘDZY

POLEM A RZEKĄ

Wąska droga biegnie pomiędzy polem a rzeką. Przy drodze od strony rzeki stoi mały, parterowy KOŚCIÓŁEK w otoczeniu KRZEWÓW i DRZEW. Droga mija zarosła i przecina pole, mając po obu stronach otwartą przestrzeń.

PÓŁZBLIŻENIE PACKARDA ROSSA

zaparkowanego jakieś piętnaście metrów za KOŚCIOŁEM. DEHLIA ociera z czoła SZTUCZNĄ KREW i przy otwartych drzwiach wyciąga się na przednim siedzeniu samochodu. Ross i trzej GANGSTERZY biorą PISTOLETY MASZYNOWE i ukrywają się w zaroślach w oczekiwaniu na przyjazd opancerzonej furgonetki. Ross zatrzymuje się w pół drogi i zawraca do Dehlii. Podaje jej swój ULUBIONY PISTOLET.

ROSS

Za pół godziny, skarbie, będziemy już za

rzeką i będziemy wolni. DEHLIA

Gdyby coś się stało...

DWA UJĘCIA Rossa, który przykłada jej palec

do ust, żeby ją uciszyć. Następuje długi

POCAŁUNEK, po którym Ross wstaje,

339

odbezpiecza PISTOLET MASZYNOWY i biegnie w stronę zarośli.

—

Przed nami wielki finał! Spróbujmy tym razem zmieścić się w stu ujęciach. — Tony Sloan zajął swoją pozycję w cieniu ogromnego, trzynastotonowego dźwigu pod kamerę. Następnie rozejrzał się po planie, który wkrótce miał się zmienić w pole walki. Sloan, kierownik planu, operator kamery, wiecznie zdenerwowana długowłosa asystentka reżysera oraz koordynator pracy kaskaderów właśnie zakończyli wizję lokalną, podczas której tratowali trawę i chwasty, przedzierając się ponad rozpadającym się kamiennym murkiem w stronę żółtawych wód rzeki i z powrotem. Odwlekali tym samym nakręcenie kulminacyjnej sceny filmu, to znaczy ataku na furgonetkę z pieniędzmi.

Właściciele firmy przewozowej, poinformowani

)

o planach gangu Rossa, zastąpili transport gotówki workami pociętych gazet, a zwykłych strażników — agentami Pinkertona. Ranna

Dehlia miała, półleżąc, obserwować całą scenę, piękna i bezradna; na jej oczach

furgonetka miała zatrzymać się na miejscu rzekomego wypadku drogowego, przed

340

blokującym jej przejazd packardem Rossa.

Zanim jednak Ross zdoła wrzucić granat

dymny przez okienko furgonetki, z wozu

wyskoczą agenci i na oślepie otworzą ogień.

Pobożni obywatele, opuszczający kościół po

zakończonej mszy, znajdą się w złym czasie

w złym miejscu, stając się niewinnymi ofiarami

rzezi. Ross i Dehlia podejmą decyzję o

ucieczce. Ujadą jednak niecały kilometr, kiedy

nagle pod koła wyskoczy im chłopiec, którego

ojca Ross przypadkowo zabił jakieś

pięćdziesiąt scen wcześniej. Ross skręci

gwałtownie, żeby go ominąć, a samochód

runie w dół do rzeki (Peł am zaproponował,

aby zmienić tytuł filmu na „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy do dzikiej bandy”).

Ponad setka członków ekipy oraz trzydziestu aktorów i statystów sprawdzało oświetlenie, oliwiło wózki pod kamery, sprawdzało ustawienia podnośników hydraulicznych, podłączało kable, ładowało kasety z taśmą, regulowało ostrość kamer, kontrolowało pomiary światła, rozmieszczało mikrofony oraz czytało i powtarzało swoje kwestie.

Jednak najważniejszy w tym momencie człowiek zajmował się czymś zupełnie innym.

I nie był to szczupły, wiecznie potargany operator, ani nawet sam Tony Sloan.

341

Tego popołudnia kluczową rolę na planie odgrywał chudy, pięćdzie-sięciojednoletni mężczyzna o spokojnym sposobie bycia.

Zamiast kostiumu z epoki czy modnego, hol ywoodzkiego stroju, mężczyzna ten miał na sobie ciemne poliestrowe spodnie, schludnie wyprasowaną niebieską koszulę i zwykłe mokasyny.

Było coś delikatnego w Henrym Stacey, znanym zarówno tutaj na planie, jak i w

Hol ywood jako Stace. Bacznie lustrował
miejsce akcji okiem doświadczonego
filmowca. W rzeczywistości jego zajęcie miało
znacznie mniej artystyczny charakter, niż
mogłoby się wydawać, chociaż było —
przynajmniej zdaniem reżyserów pokroju
Tony'ego Sloana (a także większości jego
wielbicieli) — o wiele ważniejsze niż praca na
przykład operatora kamery.

Stace był bowiem zatrudnianym przez
wytwórnę konsultantem do spraw uzbrojenia.

Jak dotąd aktorzy i aktorki grający w „Missouri

River Blues" wystrzelili już do siebie nawzajem blisko siedemdziesiąt tysięcy serii ślepej
amunicji, która to liczba prawdopodobnie
znacząco przekraczała liczbę wszystkich serii
wystrzelonych z prawdziwej broni przez auten-
tycznych przestępców i stróżów prawa stanu

342

Missouri od czasu wstąpienia przezeń do Uni .

Zbrojmistrze i rekwizytorzy pracowali na planie
od czwartej rano, nadzorując ładowanie
całego arsenału pistoletów maszynowych,
karabinów i zwykłych rewolwerów do finałowej
sceny filmu. Stace osobiście doglądał

załadowania każdej broni, aby mieć pewność, że do magazynka nie dostał się przypadkiem ani jeden prawdziwy nabój.

Wspólnie z kierownikiem produkcji i jego asystentami sprawdzili rozmieszczenie setek miniaturowych ładunków wybuchowych — elektrycznie detonowanych fajerwerków — których eksplozje miały markować odgłosy wystrzałów. Następnie powtórzył tę samą procedurę z garderobianymi i charakteryzatorami. Chodziło o właściwe zamocowanie ładunków wybuchowych przy woreczkach ze sztuczną krwią umieszczanych na ciałach aktorów, którzy mieli w danym ujęciu zginąć lub zostać ranni (i którzy, w żaden sposób niezabezpieczeni, z niepokojem obserwowali, jak asystenci w grubych rękawicach i okularach ochronnych zakładają im wszystkie konieczne przewody). Wszystkie ładunki wybuchowe były podłączone do komputerowego panelu sterowania i mogły być zdetonowane albo przez jego operatora, 343 albo — przy dodatkowym okablowaniu —

przez ruch języczka spustowego broni, z której padał „strzał”; wybuch woreczka z krwią był widowym znakiem, iż „kula” nie chybiła celu.

Stace i jego zespół zajmowali się również przygotowaniem ładunków burzących i zapalających do ujęć, w których eksplodowały atrapy zabytkowych samochodów. Kolejnym punktem na liście jego obowiązków było przypominanie aktorom i aktorkom, żeby zatykali sobie uszy watą przed rozpoczęciem zdjęć; on też pokazywał im, jak obchodzić się z bronią i jaką pozycję przyjmować podczas strzelania. Powtarzał im również do znudzenia, żeby nie zapominali „zagrać” efektu odrzutu, który występuje przecież wtedy, gdy strzela się prawdziwą amunicją. Toczył nieustanne boje ze Sloanem (jak i z wszystkimi innymi reżyserami) o to, aby mierząc do siebie nawzajem, aktorzy dla bezpieczeństwa kierowali lufy lekko w bok od celu; reżyserzy tymczasem upierali się, żeby broń była skierowana prosto na cel, chcąc stworzyć w ten sposób wrażenie

autentyczności.

Jako odnoszący sukcesy i zdobywający

nagrody na zawodach strzeleckich

344

profesjonalista, Stace pełnił również na planie funkcję strzelca wyborowego — od czasu do

czasu zajmował swoje stanowisko przy ka-

rabinie powtarzalnym kaliber 0,380 albo

automacie M-16 i strzelał woskowymi

nabojami do celów, które miały być trafione

pociskiem, a gdzie z różnych względów nie

można było podłączyć ładunku wybuchowego:

szyb okiennych, powierzchni wody, a nawet,

jeśli zainteresowany wyraził na to zgodę, do

nagiego ciała kaskadera.

Przewidywano, że w ostatniej scenie „Missouri

River Blues" zostanie wystrzelonych pięć

tysięcy serii amunicji, w kilku różnych konfigu-

racjach. Po nakręceniu scen strzelaniny w

planie średnim i dużym, należało powtórzyć

wszystkie przygotowania i nakręcić to samo w

zbliżeniach i podwójnych ujęciach. Zapowiadał

się długi dzień. Wykończony szef obsługi

technicznej ocenił stan przygotowań, po czym

popatrzył na zegarek. — Ludzie, wygląda na

to, że będziemy dzisiaj gonili światło. — Co
znaczy: pracowali aż do zmroku.

—
Jesteśmy gotowi? — ryknął do
megafonu Sloan. Poszczególni członkowie
ekipy, niepewni, czy pytanie było akurat
do nich skierowane, zapewnili go, że tak.
Stace sprawdził położenie każdej sztuki broni,
345
zapisując je w swoim notesie, po czym wrócił
do stołu z płyty pilśniowej, na którym znaj-
dował się panel sterujący ładunkami
wybuchowymi. Jego trzech asystentów
siedziało przy nim niczym radiowi didżeje, z
rękami spoczywającymi na rzędach
rozmaitych przycisków. Ponieważ kręcona
właśnie scena była tak złożona i dopiero
niedawno została dodana do scenariusza,
zabrakło czasu, aby podłączyć ładunki
wybuchowe do broni w taki sposób, aby
aktorzy, strzelając, sami je detonowali. Młodzi
pomagierzy Stace'a — dwóch mężczyzn i
kobieta — musieli samodzielnie określić
kierunek lotu każdej z wystrzelonych kul i w

odpowiednim momencie nacisnąć właściwy przycisk.

Stace odparł: — Tak jest.

—

Dobra — zawołał kierownik planu. —

Wszyscy na swoje miejsca.

Dehlia wyciągnęła się na przednim siedzeniu zabłoconego packar-da, pozostawiając drzwi wozu otwarte.

Agenci Pinkertona zapakowali się do opancerzonej furgonetki, która wycofała się na główną drogę.

Parafianie weszli do kościoła.

Ci z członków gangu Rossa, którzy wkrótce

346

mieli rozstać się z życiem, jeszcze raz sprawdzili swoją uprzęż i liny mające szarpnąć ich do tyłu w momencie, gdy dosięgną ich kule agentów.

Operator obrazu wraz z kamerzystą zajęli swoje miejsca na dźwigu i wzniesli się sześć metrów nad ziemię. Sloan puścił tyczkę mikrofonu, którą do tej pory kurczowo ścisnął w dłoni, i przeszedł na stanowisko kierownika planu.

Teraz palnie nam mówkę — mruknął z
przekąsem Stace, zwracając się szeptem do
swoich asystentów.

Sloan podniósł megafon. Jego głos z trudem
przebijał się przez trzaski. — Czy mogę prosić
wszystkich o uwagę? Cisza! Chciałbym coś
powiedzieć. Może tego nie wiecie, ale
najbliższe osiem minut będzie mnie
kosztowało ćwierć miliona dolarów. Nie
spieprzcie tego.

Mowa-trawa...

Sloan na powrót zajął miejsce przy dźwigu.
Kierownik planu dał znak szefowi obsługi
technicznej. Włączono reflektory, zastępując
przytłumiony blask skrytego za chmurami
słońca jaskrawą poświatą, w której wszystkie
barwy zdawały się być blade i przygaszone,
lecz która po zastosowaniu odpowiednich

347
filtrów miała nabrać cech naturalnego światła.

Temperatura na planie momentalnie wzrosła o
pięć stopni i szybko szła w górę.

Kamery!

Asystenci wystąpili naprzód, każdy przy swojej kamerze. Rozległy się klapsy.

—
Akcja! — zawołał kierownik planu.

Masywna szara furgonetka wolno nadjechała gruntową drogą, minęła kościół, zbliżyła się do tarasującego jej przejazd packarda i zwolniła, po czym zatrzymała się. Dehlia uniosła swoją fachowo zakrwawioną głowę i dramatycznym gestem wzywała pomocy. Kierowca i siedzący z przodu strażnik wahali się przez chwilę. Ich wargi poruszały się, gdy rozmawiali ze sobą.

Potem zwrócili się do kogoś siedzącego w tyle. Wreszcie przednie drzwi wozu z wolna się otworzyły i strażnicy wyszli na drogę. Ross natychmiast rzucił w ich stronę świecę dymną i ruszył biegiem, pochylony, na tyły furgonteki.

—
Teraz! — krzyknął kierowca, wyciągając spod przedniego siedzenia pistolet maszynowy.

Tylne drzwi furgonetki otworzyły się z hukiem.

W tym samym momencie z kościoła zaczęli

wychodzić uśmiechnięci i rozgadani

parafianie. Dwóch strażników otworzyło ogień

do Rossa i pozostałych gangsterów, którzy

348

wybiegli spomiędzy drzew. Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Padające pociski wzbijały

kurz na drodze, dziurawiły znaki drogowe i

bok furgonetki. Ciała gangsterów padały

bezwładnie na ziemię. Wśród wiernych trup

słał się gęsto.

—

Kręcimy, kręcimy, kręcimy! — wołał

bezgłośnie Sloan. — Coś pięknego!

Dehlia próbowała uruchomić silnik packarda.

Ross osłaniał ją, wycofując się w kierunku

samochołu. Pozostali gangsterzy już nie żyli.

Na schody kościoła wyszedł ksiądz, dzierżąc

w dłoniach Biblię; jeden ze strażników skosił

go przypadkową serią z pistoletu...

—

Absolutna rewelacja — szepnął Sloan.

Dokładnie wtedy w sam środek strzelaniny —

a właśnie pomiędzy dwie walczące strony —

wjechały dwa całkowicie współczesne, grana-

towe sedany oraz biała furgonetka marki Ford

Econoline i z piskiem zahamowały. Z samochodów ospale wysiedli mężczyźni w garniturach, rozglądając się dookoła z pewnym rozbawieniem.

Sloan aż rozdziawił usta. Nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego — niektórzy krzyżąc z powodu zatkanych wata uszu.

—
Kurwa mać! — wrzasnął Sloan. To

349

akurat usłyszeli wszyscy. — Kim są ci ludzie, do cholery?

Kierownik planu był zbyt zaszokowany, żeby zatrzymać kamery. Dopiero asystentka reżysera, zaciskając dłoń na swoim kucyku, otrząsnęła się z wywołanego zaskoczeniem letargu i zawołała: — Cięcie! Cięcie! Wyłączyć światła!

Ogromne reflektory zgasły.

Inna asystentka, której zadaniem było pilnować, żeby droga pozostawała zamknięta dla ruchu, wpadła biegiem na plan. Sloan rzucił jej nienawistne spojrzenie. — Jechali prosto na mnie — łkała dziewczyna. — Nie

chcieli się zatrzymać...

Z pierwszego sedana wysiadł wysoki,
siwowłosy mężczyzna i rozejrzał się po planie.

Widząc reżysera, ruszył w jego stronę.

—

Co wy — zaczął Sloan — na litość boską
wyprawiacie? Macie pojęcie, coście właśnie
zrobili? — Jego twarz była purpurowa.

Mężczyzna wyciągnął legitymację służbową.

— Agent McIntyre. Pan tu za wszystko
odpowiada?

—

Kim pan jest?

—

Jesteśmy agentami z Biura do spraw
Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej Departamentu
Skarbu. Zostaliśmy poinformowani przez

350

prokuraturę z St. Louis o tym, że posiada pan niezarejestrowaną broń automatyczną, i
przyjechaliśmy ją skonfiskować.

—

Nie możecie tego zrobić!

—

Proszę opróżnić magazynki pistoletów —

zawołał McIntyre, zwracając się do aktorów.

— Następnie proszę zabezpieczyć broń i złożyć ją w naszej furgonetce.

Sloan rzucił się ku niemu, ale McIntyre go zignorował.

Tymczasem z samochodu wysiadł jeszcze jeden mężczyzna. Detektyw Bob Gianni popatrzył na dym i spustoszenie wokół siebie, a potem spojrział na reżysera. — Czy to pan nazywa się Anthony Sloan?

—

Tak, do diabła. Zdajecie sobie sprawę, ile mnie kosztuje wasza wizyta? Ta scena...

—

Aresztuję pana za naruszenie prawa stanu Missouri odnośnie posiadania nielegalnej broni. Proszę wyciągnąć ręce przed siebie.

Stace Stacey przyglądał sterczące mu nad uszami siwe kosmyki i powiedział ze

351

spokojem: — Obawiam się, że to pomyłka.

Znajdowali się w gabinecie Ronalda Petersona. Obok niego wiercił się wściekły

Tony Sloan i ze szczególną pogardą
przyglądał się kolekcji nakręcanych
zabawek zaśmiecających biurko prokuratora.

—
Pomyłka? — spytał Peterson. — Och,
nie wydaje mi się... Przede wszystkim jednak
pragnę podkreślić, że jak dotąd nie zostali
panowie oskarżeni o jakiegokolwiek
przestępstwo federalne. Odnotowaliśmy co
prawda wyraźne naruszenie prawa
federalnego, lecz na razie wstrzymujemy się z
decyzją co do dalszego postępowania.

Zgodnie z prawem stanu Missouri posiadanie
broni automatycznej, która nie została
zarejestrowana w Biurze do spraw Alkoholu,
Tytoniu i Broni Palnej, *jest* wykroczeniem.

Nasi koledzy z Maddox uznali, że może to być
podstawą do aresztowania pana. I to *oni* o tym zadecydowali, a nie agencja federalna.

—
Fiut z pana i tyle — mruknął Sloan.

—
Czy pan w ogóle rozumie, co ja do pana
mówię? — Rozradowany Peterson uniósł w
górze brew.

—
Rozumiem, że już nigdy nie nakręcimy w
tym stanie żadnego filmu. *To* na pewno
rozumiem.

352

Peterson wzruszył ramionami. — Nie jest pan aresztowany, więc może pan ze mną
rozmawiać bez obecności adwokata.

—
To też zrozumiałem! — warknął Sloan.

—
Proszę, niech lepiej pan mówi dalej,
panie Stacey.

—
Jestem wykwalifikowanym dilerem
trzeciej klasy uprawnionym do sprzedaży
broni automatycznej. — Stace położył na
biurku nieduży świstek papieru, tuż obok
chodzącej miniaturki piłki futbolowej. — Oto
moja licencja. Jak pan zapewne doskonale
wie, prawie wszyscy rekwizytorzy i zbrój
mistrze w Hollywood to dilerzy trzeciej klasy.

Peterson pobieżnie zerknął na dokument. —
Nie wątpię, proszę pana. W tej chwili martwi
mnie jednak wasza broń.

—
Każda sztuka została zarejestrowana,
znaczki skarbowe zakupione jak należy, a ja
mam zezwolenie na przewóz tej broni przez
granicę stanu.

—
Niestety, to nie jest wszystko.

Wymagany jest certyfikat Biura Departamentu
Skarbu...

—
Nie, proszę pana. Wszystko jest w jak
najlepszym porządku. — Filigranowy Stace
Stacey wyraźnie zaczynał dominować w tej
rozmowie, mimo że ani razu nie podniósł

353

głosu. — Taki certyfikat wydaje firma wypożyczająca broń. Tę akurat wypożyczyłem
w firmie Culver City Arms and Props. Ich
adres można znaleźć na stronie

Amerykańskiego Stowarzyszenia Filmowego
pod linkiem do waszyngtońskiego Biura do
spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Dziwię
się, że muszę tłumaczyć takie rzeczy
prokuratorowi stanowemu.

Peterson skrupulatnie notował. Następnie,

marszcząc brwi, zauważył: — Niestety, nie znaleźliśmy tego certyfikatu w waszej dokumentacji.

—
Jestem dobrym znajomym Steve'a

Marringa z lokalnego oddziału Biura na Wybrzeżu. Proponuję, aby pan się z nim natychmiast skontaktował.

—
Pomysł tej operacji wcale nie wyszedł z Biura. To kilku agentów FBI było akurat wtedy na planie, szukając jednego z waszych pracowników...

—
Pel ama — syknął Sloan.

Peterson zawahał się, po czym dodał kokietyjnie: — Rzeczywiście, tak się składa, że chodzi o pana Pel ama. Jak pan się tego domyślił?

Sloan, z oczami podkrążonymi ze zmęczenia, potarł grzbiet nosa. Milczał, więc Peterson

354

podjął temat: — Moi agenci zauważyli pistolety maszynowe i zawiadomili mnie o nich. Naturalnie niepokoimy się, aby nie

wpadły one w niepowołane ręce...

Stace odparł uprzejmie: — Cóż, ja nie tak dawno słyszałem o jakimś człowieku w San Francisco, który sprzedawał uzi licealistom.

Moim zdaniem właśnie takie sytuacje powinny was raczej niepokoić.

—
To rzeczywiście tragiczne. Ale moja jurysdykcja rozciąga się tylko na stan Missouri.

—
Mam już tego wszystkiego serdecznie dosyć — krzyknął Sloan. — Straciłem dziś przez was setki tysięcy dolarów. Dzwonię po adwokata...

Peterson pokręcił głową. — Panie Sloan...

Hm, tak przy okazji — pański „Helicop” bardzo mi się podobał. Choć potem musiałem wydać przeszło dwieście dolarów na gadzety dla dzieciaków na Gwiazdkę. Ale film był naprawdę świetny.

—
Dlaczego pan mi to robi?

—
Czy nie doszliśmy już do porozumienia?

— zapytał serdecznie Peterson.

—

Do porozumienia?

—

Czy nie wyjaśniłem panom

wystarczająco jasno, w jaki sposób

355

dowiedzieliśmy się o tych pistoletach? Chyba tak...

Sloan uspokoił się. W rozmowie pojawił się

enigmatyczny ton, przypominający to, co

często słyszało się w biurach i restauracjach

Beverly Hills i Zachodniego Hollywood. To

było bardzo w duchu zen — mówić coś,

jednocześnie niczego nie mówiąc. — Chodzi o

Pelama?

—

Niech pan z nim porozmawia, panie

Sloan. Po prostu niech pan z nim porozmawia.

Może jednak przypomni sobie, co wydarzyło

się tamtego wieczoru w dniu zabójstwa

Gaudin. — Peterson popatrzył jeszcze na

Stace'a. — Mówi pan o pistoletach uzi w San

Francisco. Otóż pan Pelam mógłby posłać za

kratki człowieka, który robi o wiele gorsze

rzeczy. Ale bez jego pomocy ten człowiek pozostanie na wolności i skrzywdzi znacznie więcej ludzi.

Sloan odparł: — Jak rozumiem, Peł am twierdzi, że niczego nie widział.

—
„Twierdzi”. Właśnie, ja wiem, co ten pan *twierdzi*.

—
Dlaczego miałby coś ukrywać? — myślał głośno reżyser.

—
Może się boi — chociaż zapewniliśmy go, że jesteśmy w stanie go chronić.

356

Osobiście uważam, że został przekupiony...

Nie, proszę się tak zaraz nie oburzać. Byłby pan zaskoczony, słysząc, co ludzie potrafią zrobić dla pieniędzy. Zwłaszcza że on już kiedyś siedział.

—
Co takiego? — zdziwił się Sloan.

—
W San Quentin. Prawie rok. Sądziłem,

że pan wie.

Stace położył ręce na kolanach i popatrzył Petersonowi prosto w oczy. — John Pel am jest uczciwym człowiekiem. W przeszłości rzeczywiście miał kłopoty. Ale kto z nas ich nie miewa.

—
Wiedziałeś o tym — krzyknął Sloan do zbrojmistra — i nic mi o tym nie powiedziałaś, do cholery?!

Stace Stacey nie był pracownikiem spółki Missouri River i Tony Sloan był tylko jednym z około trzydziestu reżyserów, którzy regularnie go zatrudniali. Był też z nich wszystkich najbardziej męczący. Dlatego teraz z pojedynku wzrokowego z reżyserem Stace wyszedł zwycięsko; uśmiechnął się tylko ze smutkiem, jak gdyby zażenowany dziecinną reakcją tamtego.

—
Nieumyślne spowodowanie śmierci — wyrecytował Peterson, zadowolony, że Sloan właśnie przegrał kolejną rundę tego spotkania.

Stace odparł: — Odsiedział swoje i wyszedł.

Wtedy był dobrym reżyserem, teraz jest
dobrym dokumentalistą.

—
Peł am coś *reżyserował*? Dlaczego nic o
tym nie wiedziałem?

—
Najprawdopodobniej kręciłeś wtedy w
Nowym Jorku reklamę butów do biegania —
podsunął Stace bez śladu ironi w głosie.

Peterson coś sobie zanotował. — Sprawdzę
to, co mi pan powiedział na temat waszej
broni, panie Stacey, i jeśli się pan nie myli, bę-
dzie ją pan mógł odebrać we wtorek z samego
rana, a postawione zarzuty zostaną uchylone.

—
Nie myślę się, proszę pana, i radziłbym od
razu wydać mi broń.

—
We wtorek?! — wybuchnął Sloan. — Nie
mogę czekać aż trzech dni. I tak już
przekroczyliśmy budżet. Jesteśmy...

—
Tak się niestety składa — wyjaśnił

Peterson — że mamy sobotę i w

waszyngtońskim biurze już nikogo nie ma.

Jutro jest niedziela, a w poniedziałek...

—

Wypada Dzień Kolumba. — Sloan

zamknął oczy. — Chryste Panie. Dlaczego

czekał pan z tym aż do dzisiaj? Przecież

wiedział pan o tej broni od dwóch, trzech dni.

Peterson przyjrzał mu się uważnie. — Czy

doszliśmy do porozumienia?

358

Gniew Sloana z wolna przygasał. — Może.

Niewykluczone, że tak. Stace otworzył usta.

— Czy pan przypadkiem nie sugeruje, żeby...

Sloan uciszył go ruchem ręki.

Peterson dodał: — W takim razie, panowie,

jeżeli wszystko jest już jasne... Aha, na znak

mojej dobrej woli porozmawiam z miejskimi

policjantami i poproszę, żeby zwolnili pana za

własnym poręczeniem.

—

Będę zobowiązany. Sprawia pan

wrażenie rozsądnego człowieka.

—

I jeszcze jedno, panie Sloan. —

Peterson przysunął reżyserowi czystą kartkę papieru. — Czy mógłbym prosić o autograf?

Wie pan, dla moich chłopców?

Czyżby znowu goście z FBI?

Głośne walenie do drzwi przyczepy brzmiało zupełnie jak w wykonaniu tamtych dwóch agentów federalnych. Pel am zdążył już jednak narobić sobie tylu wrogów, że nie mógł być niczego pewien. Otworzył, trzymając colta ukrytego pod czarną sportową marynarką.

Tony Sloan skinął mu głową na powitanie i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Pel am miał ochotę rzucić jakiś dowcipny tekst w rodzaju: „Obudziłbyś każdego umarłego”.

Lecz Tony Sloan miał tak ponurą minę, że

Pel am zrezygnował z żartów i powiedział

359

tylko:

—

Wejdź — po tym, jak Sloan już to zrobił.

Reżyser podszedł prosto do szafki, na której

stała butelka bourbo-na. Napełnił dwie

szklanki. — Byłeś na planie, kiedy kręciliśmy?

—
Spóźniłem się. Ale wszystko słyszałem.

Mamy jakiś problem z bronią?

Sloan krótko zrelacjonował mu wydarzenia,
których kulminacyjnym punktem było zakucie
go w kajdanki.

—
Mój Boże — westchnął Pel am. — Stace

to taki poukładany facet. Nie wyobrażam
sobie, żeby mógł czegoś nie dopatrzeć. —

Zauważył, że Sloan był dziwnie zamyślony.

Jego oczy nie strzelały nerwowo na boki, jak
to miały w zwyczaju, lecz były bardzo
spokojne. Niemal smutne.

Wciągnął w nozdrza woń whisky i opróżnił
szklankę do połowy. — Dobra, John, dość tej
zabawy. Po prostu powiedz mi, jak to było. Wi-
działeś tego faceta?

Pel am uznał, że Sloan ma na myśli gliniarza,
który go aresztował.

—
Już mówiłem, spóźniłem się. Nie
mogłem...
—

Mówię o tamtym gościu w *lincolnie*.

—

To dlatego tu jesteś? — roześmiał się

Pel am. — Rozmawiałeś... Z kim właściwie? Z

360

policją z Maddox. — Nie, *jasne, że nie z nimi*, pomyślał zaraz. — Z Petersonem. Gadałeś z Petersonem.

—

John, mogą nam wstrzymać produkcję na całe trzy dni. Jeżeli do tego dojdzie, wkroczy wytwórnia albo ubezpieczyciel i ten film może nigdy nie powstać.

—

Gdybym go widział, powiedziałbym o tym komuś. Do diabła, *wszystkim* bym powiedział.

Słuchaj, Tony, to jest jawny szantaż. We wtorek Peterson powie: „Pomyliliśmy się, bardzo nam przykro”. Zadzwoń do działu prawnego wytwórni. Skontaktuj się z Hankiem.

—

A co to za sprawa z tymi pieniędzmi?

—

Z pieniędzmi?

—

Podobno próbujesz zmontować jakiś
projekt z Martym Wel e-rem i szukasz kasy.

—
To prawda. Ale nie ma to nic wspólnego
z tobą, ani z nikim innym stąd.

—
Ktoś ci zapłacił, żebyś nie zeznawał?

Tak było, John? Pełną głowę i
wolno wciągnął do płuc potężny
haust powietrza wymieszanego z aromatem
whisky. — Wydaje mi się, że ty i ja nie mamy
już o czym ze sobą rozmawiać.

—
Nieprawda. — Sloan nachylił się i
wycelował w niego swój gruby palec. — Mamy

361

jeszcze *jedną* sprawę do omówienia. Powiesz Peter-sonowi, że w lincolnie siedział Peter
Crimmins. Mam gdzieś to, czy go widziałeś,
czy nie. Nawet *ja* wiem, że on tam siedział, chociaż nie mam zielonego pojęcia, kto to jest,
do cholery!

—
Przykro mi, Tony.

—
Ile ci zapłacił?

—
Muszę cię prosić, żebyś sobie poszedł.

—
Jeżeli chcesz nadal dla mnie pracować i
dostawać swoją działkę, powiesz Petersonowi
to, co chce wiedzieć.

—
Jesteś mi winien pieniądze, i tyle.

—
Jeżeli nie skończę tego filmu w ciągu
trzech najbliższych dni, wszyscy zostaniemy
bez pieniędzy.

—
To nie moja wina. Ja swoje zrobiłem.
Sprzedaj któreś ze swoich ferrari i zapłać mi,
ile trzeba.

Sloan odstawił szklankę na blat maleńkiej
kuchennej szafki. Wydawał się spokojny, ale
pod ciemną brodą widać było, jak na szyi
pęczniejają mu żyły. Zacisnął zęby. —

Rozgryzłem cię, Pel am — wyrzucił z siebie.

*** Właściwie: „Les Cahiers du Cinéma” — opiniotwórcze pismo założone w 1951 roku, do którego pisywali m.in. twórcy francuskiej Nowej Fali: Eric Rohmer, Jean-Luc Godard i Claude Chabrol.**

— Popytałem o ciebie tu i tam. Ty i te twoje

pretensjonalne filmy, ty i ten twój „Cahier du

362

Cinema"*, ty i ci twoi koleś, i te wasze dyskusje o Cannes albo kinie autorskim.

Rzucasz żarcikami, rozbawiasz całą ekipę.

„Bonnie i Clyde”, „Dzika banda”. Ale powiedz mi, Pełłam, ilu z nich *dzięki tobie* zarabia? Ile dzieci *dzięki tobie* skończy studia? Ilu ludzi obejrzało *twoje* filmy, a ilu przychodzi

zobaczyć *moje*?

Ostatni film reżyserowany przez Pel ama,

„Czas środkowoamerykański”, nigdy nie został

ukończony. Główną rolę miał w nim zagrać

Tommy Bernstein, który zmarł na planie, w

drugim tygodniu zdjęć, na rozległy, wywołany

zażyciem kokainy zawał serca. Wcześniejszy

film Pel ama zdobył Złotą Palmę na festiwalu

w Cannes, lecz północnoamerykańscy

widzowie mogli go zobaczyć tylko w Nowym

Jorku, Montrealu, Toronto, Los Angeles i tych

miastach, w których wypożyczalnie wideo

snobowały się na kultowe filmy. To, co

powiedział Tony Sloan, było więc w stu

procentach zgodne z prawdą.

Mimo to Pel am odparł gładko: — Nie powiem

Petersonowi, że widziałem, kto siedział w

tamtym samochodzie.

—

W takim razie zwalnię cię. Zmywaj się.

Wszystkie papiery i cały sprzęt przekażesz

Stile'owi. Zastąpi cię jako dokumentalista.

363

—
Podam cię do sądu, Tony. Wcale nie

mam na to ochoty, ale zrobię to.

—
Jeżeli ten film nie wypali, Peł am,

zgłoszę się do ciebie po *swoją* wypłatę.

Równy milion siedemset. Nawet jeśli

przegram, sami adwokaci będą cię kosztować

pół miliona. Nie szanujesz mnie i mojej pracy,

w porządku. Ale to nie znaczy, że masz prawo

pozbawiać mnie zarobku.

Wiedziałaś o tym? — spytał Ralph Bales.

Stevie Flom zerknął na podsuniętą mu stronę

wydawanego w Maddox „Reportera”, nie

mając zielonego pojęcia, o czym mianowicie

miałby wiedzieć. — Z reguły czytam „Post-

Dispatch”.

—
Dobra, założę się, że w „Post-Dispatch”

też o tym pisali. Widzisz przecież, to

wiadomość z Associated Press. Co oznacza,
że mnóstwo gazet ją przedrukowało.

Znajdowali się na nabrzeżu w St. Louis; nad
nimi górował srebrzysty łuk, jednocześnie
wyniosły i groteskowy, jak gigantyczna
zabawka, a przed nimi niezdrowo
wyglądające, żółtawomleczne wody rzeki ude-
rzały o betonowe słupy. Z głośników
czerwonego jak wóz strażacki turystycznego
statku parowego — tylnokołowca —
rozbrzmiewał jazz w wykonaniu sekcji dętej.

364

Kiedy zjawił się Stevie Flom, Ralph Bales akurat czytał gazetę. Opierał się o rdzewiejącą
balustradę, całkowicie pochłonięty artykułem.
Stevie Flom był zmarznięty i nie interesowało
go, o czym pisali w gazecie. Poprzedniej nocy
kiepsko spał, przewracając się z boku na bok i
nasłuchując, jak za oknem sypialni wiatr
szarpie samotnym drzewem. Długo wpatrywał
się w jego koronę. Kiedy zasypiał, naliczył na
gałęziach siedemnaście liści; kiedy się
obudził, było ich już tylko osiem. Jego żona
spała smacznie, z uśmiechem na twarzy.
Strasznie go to wkurzyło.

A potem obudziła się, cała radosna jak

skowronek, i to też go wkurzyło.

Wiadomość, której nie czytał, chociaż powinien, dotyczyła samolotu, który był w stanie startować pionowo — później jego skrzydła przekręcały się do przodu i dalej leciał już normalnie. — To *genialny* pomysł. —

Ralph Bales wskazał mu opuszczone doki nad samą rzeką. — Patrz, mógłby tutaj lądować.

Nie musiałbyś jeździć do Lambert. Jeżeli o mnie chodzi, najgorszą rzeczą w podróżowaniu są dojazdy na lotnisko.

Stevie Flom rzadko podróżował. Oczywiście jeździł do Reno. Poza tym kiedyś razem z paroma kumplami wybrali się do kasyna w

365

Porto-ryko. Zabrał też kiedyś żonę na Arubę — nic, tylko piasek, wiatr i żar lejący się z nieba na ziemię. Był ciekaw, gdzie Ralph Bales tak często wyjeżdża, że aż musi się martwić dojazdami na lotnisko.

—

Fajnie byłoby się takim przelecieć.

—

No — mruknął Stevie Flom. Popatrzył na
zdjęcie samolotu i po chwili namysłu uznał, że

to *faktycznie* całkiem niezły pomysł. Przyszło mu do głowy, że za pieniądze zarobione u
Lombro mógłby jeszcze raz zabrać żonę na
wakacje. Albo którąś ze swoich przyjaciółek.

Musiałyby tylko zdecydować, którą.

—
Dostałem zielone światło — oznajmił

Ralph Bales. Otworzył gazetę na pierwszej
stronie, gdzie nie było ani słowa o samolotach,
ani żadnych innych ciekawych wynalazkach.

—
Dostałeś... Aha, żeby zająć się tamtym
gościem z przyczepy, tak? Facetem od piwa?!

Dlaczego to tak długo trwało?

—
Lombro się trochę zdenerwował. Sam
nie wiem, on jest...

—
Stuknięty i tyle!

—
Tak. Stuknięty. Ale zwiększył twój udział
do dziesięciu.

—

Dziesięciu tysięcy?

—

Jasne, że tysięcy. A co myślałeś?

366

—

Kurczę, ale dlaczego? — Stevie

uśmiechnął się tak szeroko, że aż

pomarszczyły mu się jego gładkie jak u

niemowlaka policzki.

—

Dlaczego? To może chcesz, żebym do

niego zadzwonił i wszystko odkręcił?

—

Po prostu jestem ciekawy.

—

Ciekawy. No nie, on jest ciekawy —

westchnął Ralph Bales. — To ma wyglądać na

wypadek.

—

Na wypadek? Dlaczego?

—

Bo tak. Stąd ta dodatkowa kasa. Tak

sobie myślę, że można by coś wykombinować

z tym jego motorem.

—
Motorem?

—
No tak, z tą żółtą yamahą. Trzyma ją na tyłach przyczepy.

—
Nie ma sprawy — powiedział Stevie. —

Wypadek drogowy. Bułka z masłem.

Jakby codziennie nie robił niczego innego.

Stevie Flom pomyślał, że Maddox to idealne miejsce, żeby zwinąć samochód, ale fatalne, żeby po nim jeździć, jak się już go ukradło.

Lokalne gliny nie miały nic do roboty poza tym, żeby filować na trefne wozy, a samo miasto nie było wystarczająco duże, żeby zgubić się w ruchu ulicznym. Kiedy jak przykładowy obywatel wolno wyjeżdżał z

367

miasta, zwrócił na siebie uwagę dwóch policjantów z drogówki. Stevie był też niezadowolony z tego, że poprzednim właścicielem dodge'a, którego właśnie prowadził, była firma wypożyczająca samochody. To oznaczało, że widniejące na liczniku siedemdziesiąt siedem tysięcy ki-

lometrów to było siedemdziesiąt siedem tysięcy kilometrów ostrej jazdy pod ciężką stopą bezmyślnych kierowców. W rezultacie silnik tego cholernego grata stukał i zgrzytał, a z klimatyzacji wydobywał się ciągły syk, nawet kiedy była wyłączona.

Na szczęście wóz rozwijał niezłą prędkość i Stevie był w stanie dogonić motocykl, chociaż facet od piwa pędził jak szatan. Martwił się, że jeśli yamaha zacznie slalom po pasach, będzie tylko mógł pomachać tamtemu na do widzenia. Wcisnął gaz do dechy i zmniejszył dystans dzielący go od motocykla.

Może i trafił mu się kiepski samochód, ale pod jednym względem miał szczęście. Kiedy podjechał na kemping „Przy drodze”, facet właśnie wyszedł z przyczepy i wskoczył na yamahę. Spojrzał nawet na wóz Steviego, ale przelotnie, nie interesując się zbytnio tym, kto siedzi za kierownicą. Stevie minął go. W tylnym lusterku zobaczył, że mężczyzna

368

odpala motor. Wolno zawrócił i podążył jego śladem.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, facet od

piwa zmienił pas, wyrwał do przodu, a potem gwałtownie zahamował, wybierając ostatecznie najszybszy pas i przekraczając dozwoloną prędkość o dobre trzydzieści kilometrów.

Stevie, zaciskając spocone dłonie na kierownicy, zdołał go jakoś dopędzić i wkrótce gładko zmierzali już razem w kierunku St.

Louis.

Stevie postukiwał w kierownicę zdobnym w złoty sygnet małym palcem i myślał o ojcu. W pamięci zachował ograniczony zbiór surowych kadrów swojego starego i teraz zdał sobie sprawę, że niektóre z nich dziwnie pasowały do tego faceta na motorze. Szczupły, dobrze po trzydziestce, skórzana kurtka, motocykl. Ta myśl po raz kolejny tego dnia wprowadziła go w zły humor; wzburzony nachylił się, żeby włączyć radio. To był model cyfrowy i Stevie nie miał zielonego pojęcia, jak zaprogramować swoją ulubioną stację, „We Rock St. Louis — same hity całą dobę”. W starych odbiornikach po prostu przekręcało się gałkę i ustawiało wybraną częstotliwość, a potem pociągało za guzik i wciskało go do

środku. A teraz ta cała elektronika! Jedno

369

wielkie gówno.

Z całej siły kopnął radio obcasem i roztrzaskał

jego obudowę. Mimo to wciąż grało jakiś

smętny klasyczny kawałek. Kopnął jeszcze

raz i plastik pękł, a głośnik umilkł, jeśli nie

liczyć wydobywającego się z niego syku.

Stevie Flom przestał zawracać sobie głowę

muzyką i skoncentrował się na motocyklu.

Donnie Buffett nie od razu ją zauważył.

Otworzył oczy, ale bał się poruszyć głową. Bał

się, że od tego zwymiotuje. Od jakiegoś czasu

zażywał silne leki przeciwbólowe na płonącą

żywym ogniem ranę na ramieniu i miał przez

to nieustające mdłości.

—

Tak mi przykro — powiedziała.

—

Penny, skarbie... — Wyciągnął do niej

rękę, a ona — to dopiero było dziwne —

chwyciła ją w obie dłonie i ucałowała jego

palce, a potem potarła nimi o swój policzek.

Przyglądał się jej, jakby nie widział jej od

miesiący, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Gęste, ciemne włosy, ładna, pociągła twarz.

Zgrabna figura, fatalna postawa — garbiła się,

żeby ukryć swoje duże piersi, których rozmiar

wyraźnie ją krępował. Ubrana była w rzeczy,

które miała od dawna i które już wcześniej

nosiła, ale których nie mógł sobie

przypomnieć: szary kostium, pomarańczową

370

bluzkę i jasne rajstopy.

Buffett żałował, że nie mają dziecka — kogoś,

z kim Penny mogłaby teraz spędzać czas. Dla

kogo musiałaby być silna. Wierzył, że w głębi

ducha jest silną osobą, potrzebowała jednak

kogoś — lub czegoś — kto by tę siłę z niej

wydobył.

Podala mu torbę na zakupy. Upiekła

ciasteczka (to, co powiedział

0

niej Pel amowi, to święta prawda —

Penny była fantastyczną kucharką) i

przyniosła paczkę chipsów ziemniaczanych

oraz francuski dip o smaku cebulowym firmy

Sour King. Do tego „Reader's Digest”

kilka krzyżówek.

Donnie Buffett w życiu nie rozwiązał ani jednej krzyżówki.

Nachyliła się nad nim i pocałowała go w policzek, jak siostra brata. Poczł zapach jej perfum. Był ciekaw, czy postrzał w szyjny odcinek kręgosłupa mógłby pozbawić go zmysłu węchu.

Rzecz jasna nie został postrzelony w odcinek szyjny, tylko w plecy. Na szczęście. Nadal więc miał doskonały węch.

Popatrzył na książeczkę z krzyżówkami. —
Dzięki, skarbie.

—
Zaznaczyłam ci kilka rzeczy do

371
przeczytania. — Rozłożyła przed nim „Reader's Digest”. „Moja walka z białaczką” — brzmiał tytuł pierwszego artykułu. „Przeżyj swoje życie dzień po dniu” — drugiego.

Trzeci artykuł przedrukowano z czasopisma „Higher Self i był on zatytułowany „Radość: nie bój się jej”.

Buffett spojrział na jedzenie, a Penny

powiedziała: — Nie wiem, czy wolno ci jeść
takie rzeczy.

—

Mogę. Przecież nie wycięli mi wyrostka,
ani nic w tym rodzaju. Pokiwała głową z
zapałem.

Buffett miał teraz okropną fryzurę. Włosy
opadały mu na czoło. Bez przerwy odgarniał z
twarzy ciemne kosmyki. Akurat znowu to zro-
bił, po czym stracił panowanie nad swoim
ramieniem i uderzył ręką o metalowy
zagłówek łóżka.

—

Cholera — syknął

Na ślicznej twarzy Penny odmalował się szok.

— Wezwę pielęgniarkę — zawołała
zaniepokojona. Zerwała się z krzesła i
rozpaczliwie szukała wokół siebie przycisku
alarmowego.

—

Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. To
te proszki, które biorę.

—

Niech ktoś nam pomoże!

372

—
Penny.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszało.

— Tak mi przykro.

—
Przestań to ciągle powtarzać. Dlaczego to mówisz? Otworzył paczkę chipsów i zjadł kilka, żeby pokazać jej, że mu smakują. Nie mógł się jednak zmusić, żeby spróbować dipa. Potem nadgryzł ciastko. Było bardzo dobre. Zjadł jeszcze jedno. Ich słodycz przypomniała mu jego Ostatnią Wieczerzę — pączka i kawę, które dostał od Pel ama. Wziął do ręki torbę, którą przyniosła, zamierzając postawić ją na podłodze przy łóżku. W środku wyczuł świeczkę. Wyjął ją. — Penny...

—
Wiem, co o tym sądzisz. Ale to ci na pewno nie zaszkodzi. Włożyłam ci jeszcze olejek.

—
Olejek...

Wstała i wyjęła mu z rąk torbę. — Olejek do
aromaterapii .

—
Do aromaterapii.

—
Wlewa się go do wanny i...

—
Raczej trudno będzie mi wziąć teraz

kąpiel — rzucił zirytowany. — Jakim cudem
miałbym wejść do wanny?

Popatrzyła na niego przez łzy. — Może nie
trzeba go wlewać do wanny. To znaczy, skoro
działa na ciało w kąpielu, to chyba wystarczy

373

się nim posmarować, prawda? — I zaraz dodała: — Wierzę, że to działa. Trzeba tylko
chcieć wyzdrowieć. Smarujesz się olejkiem i
ze wszystkich sił myślisz o tym, że chcesz być
zdrowy. Wczoraj wieczorem medytowałam
przez godzinę i siedem minut...

Panika słyszy te słowa i pręży się do skoku. A
potem zaczyna szarpać wnętrzności Donniego
Buffetta.

Na jego czole pojawia się pot.

Dobry Jezu, nie daję mu spokoju! Szamocze

się w środku, bawi bólem w jego nogach,
wkrada się do serca, tańczy na jego kroczu
(nie dasz rady go podnieść, co, gnojku?)

Panika...

Buffett próbuje z nią walczyć. Wbija paznokcie
we wnętrze swojej lewej dłoni. Skupia się na
tym bólu, pragnąc, aby zmienił się w falę
cierpienia. Dopiero ono sprawia, że panika
obojętnieje. Przestaje się ruszać, traci siły.

Buffett z wolna się uspokaja. Penny zdaje się
nie zauważać roztargnienia męża; opowiada
mu o zakupach, o swoich rodzicach i o grupie
uświadamiającej, w której uczestniczy.

Panika wreszcie zasypia.

Już uspokojony, Buffett wciągnął głęboko
powietrze, po czym przerwał jej, mówiąc: —
Chciałbym, żebyś poznała moją lekarkę.

374

Penny zamrugała powiekami.

Buffett ciągnął: — Doktor Weiser. Jest
najlepsza w mieście.

—

Wiesz, co myślę o lekarzach.

Potrzebujesz czegoś więcej niż tylko...

—
Ja teraz naprawdę *potrzebuję lekarza*,
skarbie — odparł. — Nie upieraj się, proszę.
Spotkaj się z nią.

—
Okej — odparła radośnie; jej oczy
błyszczały. — Bardzo chętnie. Obiecuję ci, że
nie będę jej prawić kazań na temat...

Na temat czego? Tego, jak powinno się
praktykować medycynę? Na temat medycyny
holistycznej? Spirytualizmu?

Penny nie dokończyła zdania; zamiast tego
wykonała na piersi znak krzyża, jak wstydliva
harcerka. — Słowo honoru. — Poważnie
skinęła głową, jak gdyby chciała w ten sposób
potwierdzić przesadną szczerłość swoich słów,
choć prawdopodobnie zrobiła to zupełnie
bezwiednie.

Zdarzały się takie chwile, kiedy Penny robiła
wrażenie całkiem normalnej. Jej włosy były
czyste, błyszczące i ładnie zakręcone, rysy jej
twarzy — widzianej pod odpowiednim kątem
— łagodne, a podniesiony kołnierzyk bluzki
przesłaniał ciemne kości jej obojczyków. W

takich chwilach zwykle składała dłonie,

375

skrywając obgryzione skórki i ukru-szone paznokcie przed wzrokiem patrzącego. W jej oczach pojawiał się roztańczony blask — były trochę zdumione, trochę nieśmiałe. Wyglądała wtedy czarująco.

W takich chwilach Donnie Buffett przypominał sobie kobietę, w której się zakochał.

A teraz słuchał jej opowieści o tym, jak to ona i jej znajomi będą w jego intencji zanosić śpiewy medytacyjne.

—

Śpiewy medytacyjne — powtórzył i nagle poczuł się bardzo zmęczony. Wręcz wyczerpany. Zamknął oczy, czując, że jedyne, czego teraz pragnie, to znowu zasnąć.

Pograć się w sennych marzeniach o bólu przepływającym falami przez mięśnie, które na jawie nic już nie czuły. Zmęczenie spowiło go zmysłowo i otuliło ciasno, niczym ramiona dziewczyny desperacko uprawiającej miłość w akademiku.

—

Jestem skonany, skarbie — wymamrotał,

udając, że zapada w drzemkę.

—

Tak, powinieneś się przespać —

przyznała Penny i dotknęła jego ręki.

—

Uhm. — Niewiele brakowało, a Buffett
otworzyłby oczy i spojrzał na nią. Postanowił
jednak tego nie robić. Przez chwilę czuł
wyrzuty sumienia z powodu tego małego

376

oszustwa.

Jestem prawdziwym szczęściarzem.

Szczęściarzem, szczęściarzem,

szczęściarzem. Nie zarobiłem kulki w łeb. Nie

trafili mnie prosto w serce. Nie postrzelili mnie w szyję. Nadal czuję zapachy.

Z oddali dobiegł go jej stłumiony szept: —

Zdrzemnij się teraz, kochanie. Pójdę już. —

Usłyszał szelest papieru. — Tutaj ci

napisałam, jak używać świecy.

Donnie Buffett westchnął głęboko jak

człowiek, który zapada w sen. Nie minęła

nawet minuta, jak to kłamstwo stało się

prawdą, a on śnił, że zjeżdża na nartach z

malowniczej góry, której potężne, białe zbocza

wznosiły się prosto na tle nieskończonego

błękitu nieba.

W połowie drogi do St. Louis Stevie Flom

uznał, że nadarza mu się znakomita okazja.

Docisnął pedał gazu i samochód ospale

zareagował, wyprzedzając wlokącą się z

przodu ciężarówkę.

Zwolnił tuż przed yamahą. Z bliska okazała się

być motocyklem crossowym, o wysokich

błotnikach pełniących jednocześnie funkcję

chlapaczy oraz solidnych resorach, które

świetnie sprawdzały się na wybojach i

dziurawych miejskich drogach. Bagażnik był

377

nieco przekrzywiony. Stevie przyjrzał się uważnie żółtym błotnikom, srebrnej

kierownicy, czerwonemu kaskowi kierowcy i

jego skórzanej kurtce, po czym zaczął się

rozglądać za tablicą informującą o najbliższym

zjeździe z autostrady.

Dostrzegł ją jakieś osiemset metrów przed

sobą i zerknął w lusterko, żeby sprawdzić, jak

wygląda sytuacja. Z tyłu zamajaczyła mu biała

ciężarówka bez naczepy. Taka z dziesięcioma

biegami i kierownicą wielką jak młyńskie koło.

Była dość lekka i miała na pewno hamulce pneumatyczne, ale przy prędkości prawie stu kilometrów na godzinę jej droga hamowania wyniosłaby jakieś pięćdziesiąt metrów.

W tej chwili była czterysta metrów za nim.

Stevie Flom włączył kierunkowskaz.

Przyspieszył, aż od motocykla dzieliło go mniej niż metr; facet od piwa pochylał się nad kierownicą, a słońce odbijało się od jego lśniącego kasku. Kierowca ciężarówki trzymał się z tyłu. Musiał zauważyć migający kierunkowskaz Steviego, ale chyba zbił go z tropu fakt, że dodge nie zaczął jeszcze zwalniać.

Dziewięćdziesiąt metrów.

Stevie zjechał na lewą stronę pasa.

Kierowca ciężarówki musiał dojść do wniosku,

378
że Stevie włączył kierunkowskaz przez pomyłkę i przyspieszył, zbliżając się do niego na dwie długości samochodu. Z prawej strony jezdni rozszerzała się i widać już było zjazd z autostrady.

Stevie wcisnął gaz do dechy i spojrzał w prawo, po czym wykonał gwałtowny skręt

kierownicą.

Jego przedni zderzak zahaczył o tylne koło yamaha.

Motocykl gwałtownie zatańczył. Jego kierowca rzucił przerażone spojrzenie w tył, akurat w momencie, gdy motor zaczął kłaść się na boku. Rozległ się dźwięk klaksonu i przeraźliwy pisk hamulców ciężarówki. Lewy but motocyklisty uderzył o jezdnię w bezradnym, odruchowym geście. Kierowca wyciągnął ramiona i poleciał do przodu, ponad skreconą kierownicą.

Ze zbiornika na paliwo yamaha posypały się iskry. Facet od piwa, z ustami otwartymi do krzyku, którego Stevie nie słyszał, i z wyciągniętymi w obronnym geście ramionami runął na asfalt z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Z jego kasku poleciały odłamki włókna szklanego.

Stevie ostro wszedł w zakręt, o włos mijając żółty, plastikowy słup odblaskowy, i zmniejszył

379

prędkość do czterdziestu kilometrów na godzinę. Był zbyt zajęty odzyskiwaniem kontroli nad samochodem, żeby sprawdzić, co

właściwie wydarzyło się na autostradzie.

Znajdował się już na końcu zjazdu, gdy usłyszał pisk opon i kakofonię klaksonów. W ostatniej chwili przejechał na żółtym świetle i już spokojnie skręcił w brudną, brukowaną ulicę pełną ciągnących się wzdłuż niej warsztatów blacharskich, magazynów i odrapanych parterowych domków. Gdzieś niedaleko stąd płynęła Missisipi.

18

Uroczystość żałobna odbyła się w barakowatym budynku w centrum Maddox. W kaplicy domu pogrzebowego Beth Israel. Pel am nie wiedział, że Stile był Żydem. Rozmawiali o wielu sprawach, poczynając od kobiet, przez whisky, a na rynku nieruchomości kończąc, ale religia należała do tej kategorii tematów, których nigdy nie poruszali — podobnie, jak nie rozmawiali o

tym, dlaczego Stile trwał przy swoim zawodzie
i w przeciwieństwie do wielu innych ka-
skaderów nigdy nie spróbował swoich sił jako
380

reżyser drugiego planu.

Albo dlaczego Pel am przestał reżyserować
po śmierci Tommy'ego Bernsteina.

Pel am rozmawiał wcześniej z kuzynem Stile'a
z San Diego —jego najbliższym żyjącym
krewnym — i to od niego dowiedział się, że
Stile wychował się we wspólnocie żydowskiej
gminy reformowanej. Potem wystarczyło już
tylko kilka telefonów, żeby zorganizować
ceremonię.

Teraz ciało było w drodze do południowej
Kaliforni , a sto sześćdziesiąt osiem osób stało
w ciemnym budynku w obskurnej części po-
nurowego miasta w stanie Missouri, które już
dawno straciło dla nich wszelki urok czy
posmak nowości. Sądząc po strojach,
odbywał się tu pokaz mody, a nie uroczystość
żałobna: nikt z obecnych nie dysponował
strojem odpowiednim na pogrzeb, ale jako że
cała ekipa pochodziła z Hol ywood, czerń była

wszechobecna, chociaż w bardzo nieortodoksyjnym wydaniu: minisukienek, obcisłych trykotów i workowatych garniturów.

Surrealistyczny klimat potęgował jeszcze fakt, że wszyscy mężczyźni mieli na głowach jarmułki.

Szef Stile'a, koordynator kaskaderów, był twardym sześćdziesięcio-pięciolatkiem o 381

przedramionach pokrytych plątaniną wyblakłych tatuży, obecnie ukrytych pod rękawami wygniecionego, szarego garnituru.

Mężczyzna ten dawniej spadał z koni na planie u Johna Forda i wyskakiwał przez okna pod okiem Sama Peckinpaha, a teraz łkał jak dziecko. Zresztą wiele osób płakało. Nie było nikogo, kto nie darzyłby sympatią Stile'a, człowieka, który rzucał się w dół z czterdziestometro-wych urwisk i bez wahania skakał w ogień.

Pel am nie potrafił spojrzeć im wszystkim w oczy. W końcu Stile zginął z jego winy.

Yamaha była własnością spółki Missouri River Blues i kiedy Pel am zgodnie z poleceniem

Sloana przekazywał całą dokumentację filmową Stile'owi, zaproponował mu przy okazji: — Zabierz też motor, jeśli chcesz. Prędzej czy później Tony i tak każe mi go zwrócić. — Stile podziękował, zostawił pożyczony wóz na kempingu, do dyspozycji Pel ama, i paląc gumy, pognął autostradą międzystanową do St. Louis. Miał tam umówione spotkanie z prawnikiem Hankiem w sprawie zezwoleń na nakręcenie w plenerze sceny niesławnej finałowej strzelaniny. Pel am nie znajdował odpowiednich słów, żeby wyrazić swoje uczucia.

382

Objął za to jedną z młodziutkich aktorek i pozwolił jej się wypłakać na swoim ramieniu. Poczł ostry zapach lakieru do włosów i dymu z papierosów. Kobieta nie histeryzowała. Po prostu drżała na całym ciele. Pel am nie płakał. Podeszedł do rzędu ławek i zajął miejsce obok kilku innych członków ekipy, starszych mężczyzn, oświetleniowców. Rabin — a może tylko dyrektor domu pogrzebowego — stanął przed nimi i zaczął przemawiać. Pel am nie zwracał uwagi na jego słowa; to nie

one były najważniejsze, przynajmniej jego zdaniem. Cały ten rytuał nie miał nic wspólnego ze Stilem, nie w tej chwili. Liczyło się nie samo kazanie, ale czas, jaki zajmowało — ta godzina spędzona w wyłożonym drewnem, wyciszonym pomieszczeniu, z aksamitną czapeczką na głowie założoną na znak szacunku; przedział czasu zarezerwowany wyłącznie dla śmierci.

Docierało do niego brzęczenie słów przemawiającego, jego łagodny baryton.

Żałował, że nie potrafi się modlić.

W duchu postanowił, że zaproponuje

Sloanowi, aby ten zadedykował „Missouri

River Blues" Stile'owi ■ — w końcu ten film był

nie tylko produktem jego artystycznej wizji, ale

przede wszystkim niesamowitym popisem

383

sztuki kaskaderskiej.

Nie, nie zaproponuje — bez względu na to, co

wydarzyło się między nim a Sloanem, Peł am

zażąda od niego tej dedykacji. Przynajmniej tyle mógł teraz zrobić.

Ale to i tak było za mało.

Stevie Flom wiedział, co powie swojemu

wspólnikowi: „Po pierwsze, kiepsko go opisałeś. Po drugie, facet wyszedł z przyczepy i wsiadł na motor. Po trzecie, sam mogłeś to zrobić...”

Zdażył jednak wykrztusić tylko: — Po pierwsze... — W tym samym momencie bowiem Ralph Bales chwycił go za klapy modnej, czarnej kurtki i rzucił przerażonym Steviem o ścianę baru U Harry'ego.

— Panowie. — Barman pogroził im palcem, lecz bez większego zaangażowania.

Znajdowali się w obskurnym, śmierdzącym lizolem lokalu z niezbyt malowniczym widokiem na rafinerie w Wood River w stanie Il inois. Był to tego rodzaju bar, którego kierownictwo, widząc dwóch mężczyzn — dwóch *białych* mężczyzn, do tego względnie trzeźwych i nie będących pod wpływem narkotyków — wymierzających sobie sprawiedliwość, zostawiało ich w spokoju.

Rzecz jasna, do czasu.

384

Ralph Bales przeniósł spojrzenie z wystraszonej twarzy Steviego Floma na

kamienną facjatę barmana i puścił klapy tego pierwszego. Był bardzo bliski rozkwaszenia nosa swojemu współnikowi, ale po namyśle postanowił tego nie robić. Stevie zgarbił się i przesunął palcami po swojej ostrzyżonej najeża głowie. — Ej, Ralph, daj spokój.

Ralph Bales odwrócił się do niego plecami i przeszedł przez bar do znajdującej się na tyłach restauracji. Usiadł w wolnym boksie. Stevie podreptał za nim jak skarcony psiak i klapnął po przeciwnej stronie stołu.

Ralph Bales odezwał się: — Dupek z ciebie.

—
Po pierwsze było tak, że facet wyszedł z przyczepy i wsiadł na motor. *Skąd* miałem wiedzieć, że w środku ktoś jeszcze został?

Powiedziałeś, że gość jeździ na motorze. A w ogóle, to nawet mi go nie opisałeś.

—
Zamknij się i posłuchaj. Tym razem

Lombro jest *naprawdę* wkurzony.

—
To nie była moja wina.

—

„Że co?! Chyba się przesłyszałem? Kiedy

ty się nauczysz, że ludzi takich jak on *nie*

obchodzi, kto zawinił. Co mu zamierzasz teraz powiedzieć? „Ojej, panie Lombro, najpierw

postrzeliłem gliniarza, a teraz zabiłem

niewłaściwego człowieka, ale mogę to

385

wytłumaczyć”?

—

Powiedziałeś mi, że to byłem ja? —

szepnął Stevie.

Ku wielkiej satysfakcji Ralpha Balesa

gówniarz był w tej chwili autentycznie

przerażony. Przez kilka długich sekund

pozwoił mu zwijać się z niepewności. Potem

odparł: — Nie podałem mu twojego nazwiska.

—

Dzięki, Ralph. Porządny z ciebie gość.

—

Powiedziałem mi, że człowiek, którego

wynajęliśmy, popełnił błąd.

—

„Którego wynajęliśmy”. To znaczy, że ty i

ja wzięliśmy do tej roboty kogoś trzeciego. W

ten sposób nie będzie mnie podejrzewał. —

Stevie pokiwał głową. — Sprytnie pomyślane.

—

Lombro się wkurzył, ale na razie nie
pociągnie nas do odpowiedzialności.

Skrewiliśmy, więc wstrzymał wypłatę premii,
ale mimo to i tak coś nam skapnie. O ile tym
razem nie nawalisz.

—

Może więc teraz mógłbyś lepiej mi
gościa opisać.

—

A może lepiej wezmę cię za rękę,
zaprowadzę na miejsce i zapoznam z naszym
drogim świadkiem...

—

Przestań, Ralph...

—

Słuchaj no, ta sprawa zaczyna wymykać
nam się z rąk.

386

—

Może powinniśmy po prostu się ulotnić.

—

Bez pieniędzy? Szkoda jednak, że nie

załatwiłeś wtedy tamtego gliniarza...

—

Ty też miałeś okazję to zrobić — mruknął niepewnie Stevie. Ralph Bales otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz w tym samym momencie przypomniał sobie, jak przyciskał lufę pistoletu do głowy policjanta. — Fakt, miałem.

Podeszła kelnerka, zamówili więc koktajle piwne i hamburgery. Kiedy zniknęła, Ralph Bales powtórzył: — Ucisz tego cholernego świadka raz a dobrze, okej?

Stevie odparł: — Jasna sprawa. Nadal chcesz, żeby to wyglądało na wypadek? Bo jeśli masz takie życzenie, to...

Ralph Bales zastanawiał się przez chwilę. — Rób co chcesz. Wszystko mi jedno.

Jego słowa podziałały na Steviego jak balsam.

Rzucił: — Chcę ci tylko jeszcze coś powiedzieć. Po pierwsze, kiepsko mi go opisałeś... Ralph Bales poderwał się z miejsca.

Stevie uniósł w górę rozcapierzone dłonie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Żartuję,

Ralphy. Żartuję. Najgorsze, to stracić poczucie humoru.

Zabił mojego przyjaciela — oświadczył Pel am
387

— a ja zamierzam go za to dopaść.

Donniego Buffetta nie interesowały plany Pel ama. Wcześniej tego dnia odebrał telefon od Penny, która przez bite pięć minut nuciła mu swoje pieśni medytacyjne, podczas gdy on wpatrywał się w słuchawkę, najpierw z niedowierzaniem, a później z obrzydzeniem.

Wreszcie rozłączył się i zdjął słuchawkę z widełek. Następnie zwieziono go na dół i przez cały ranek tłamszono i nakłuwano.

Usłyszał, że ma napiąć mięśnie zwieracza. Z rozdrażnieniem zapytał: — Mięśnie *czego?* *RIGHT SQUARE BRACKET* —

Młody stażysta wyjaśnił: — Mięśnie pańskiego odbytu. Proszę je napiąć. — Na co z kolei

Buffett odparł tak głośno, żeby słyszeli go wszyscy pacjenci na korytarzu: — A, mówi pan o mojej *dupie?*

Pozostałe badania upłynęły w podobnej atmosferze.

A teraz jeszcze zjawił się u niego Pel am,

spocony i z oszalałym wzrokiem, i mówił coś o dopadaniu jakichś ludzi.

—
Posłuchaj, ukradłeś moją broń, pouczasz mnie w sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia, a potem przyłazisz i bredzisz coś o zabijaniu. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? — spytał spokojnie Buffett. Pel am nachylił się nad nim. Buffett zamrugął,

388

widząc z tak bliska jego twarz — wszystkie pory wyraźne jak na dłoni, linia ciemnych włosów, skóra na czole.

Wyraz oczu Pel ama przywiódł mu na myśl młodych policjantów, zaraz po ich pierwszej w życiu strzelaninie. Żądni czynu, pobudzeni do działania, a jednocześnie — o ironio — uspokojeni widokiem śmierci. To wszystko sprawiało, że byli wtedy przerażający.

Niesamowicie przerażający.

Pel am warknął: — Tamten facet z lincolna zabił mojego przyjaciela.

Buffett nie zareagował, więc Pel am opowiedział mu o śmierci Sti-le'a. — Pomylili go ze mną. Widzieli, jak wychodzi z przyczepy i wsiada na motor, więc go zabili. Myśleli, że

to ja.

—

Posłuchaj mnie, stary, przecież to szaleństwo jeździć motorem po mieście. Takie wypadki ciągle się zdarzają. Jak chcesz, mogę ci podać statystyki.

—

Do diabła ze statystykami. Chcę, żebyś mi poradził, jak to zrobić.

—

Co?

—

Jak go aresztować. Czy mogę do niego strzelić, jeśli będę musiał?

Śpiewy medytacyjne oraz całe to wcześniejsze tłamszenie i nakłuwanie zbladły

389

nagle w pamięci policjanta. Pel am i jego chłodny, budzący przerażenie wzrok całkowicie przykuły uwagę Buffetta. — Muszę gdzieś zadzwonić. — Przez następne dziesięć minut konferował z kimś przez telefon, podczas gdy Pel am wyglądał przez okno. Jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jakby coś do siebie mówił. Policjant

tymczasem rzucił do słuchawki: — Jaka jest szansa, że ten wypadek miał związek ze sprawą Pel ama?... Aha. Tak, wiem, co o tym myślicie, ale zaczynam uważać, że ten facet jest w porządku... Tak, mówię

0

Pel amie. Nie jestem już taki pewien, że on faktycznie *widział* tamtego gościa w lincolnie.

Pel am nastawił uszu.

Buffett dodał: — Dobra, róbcie to, co trzeba.

Rozumiem. Ale nie przyciskajcie go za mocno.

Zginał jego kumpel.

Odłożył słuchawkę i powiedział: — Uważają, że to był wypadek.

1

typowa ucieczka z miejsca wypadku.

Kierowca ciężarówki zeznał, że jakiś samochód najechał na motor. Numer

rejestracyjny należy do skradzionego dodge'a.

—

No widzisz. Skradzionego.

—

Większość takich tragedii powodują

390

gnojki w skradzionych wozach. Dlatego potem uciekają z miejsca wypadku.

Pel am znów się nad nim nachylił. —

Posłuchaj, ja wiem, że to był ten facet ze
znamieniem na twarzy. Musiał mnie widzieć w
biurze Pe-tersona po tym, jak napadł na Ninę.

—

Poproszę Gianni i Hagedorna, żeby to
sprawdzili. Oni... Pel am wybuchnął: —

Sprawdzili? *Sprawdzili!* Jedyne, co ci dwaj robią, to zatruwają mi życie. Niczego nie
rozumiesz. Za pięć minut stąd wyjdę,
odszukam człowieka, który zamordował
mojego przyjaciela, i dopadnę go. Jak nie
możesz mi w tym pomóc, to idź do diabła!

—

Posłuchaj, Pel am. Jeżeli ten facet
faktycznie to zrobił, w takim razie musi być
zawodowcem. Nie pozwoli ci się tak po prostu
aresztować. Chcesz to zrobić sam, bez

żadnego wsparcia? Zwariowałeś? A będziesz potrafił go sprzątnąć, jak zajdzie taka potrzeba? Czy ty w ogóle kiedyś do kogoś strzelałeś? — Buffett pokręcił głową, uśmiechając się pobłaźliwie.

Pel am rozsunął suwak kurtki i wyciągnął zza paska Colta Peace-makera. Z twarzy policjanta zniknął uśmiech, a jego niespokojne spojrzenie wędrowało za rewolwerem, aż ten znalazł się z powrotem na swoim miejscu, za 391

paskiem spodni Pel ama.

—
Powinieneś wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz — powiedział cicho Pel am. —

Ten facet ze znamieniem jest najpewniej współnikiem człowieka, który wysiadł z lincolna, a co za tym idzie, prawdopodobnie to on wtedy do ciebie strzelał.

Buffett rzeczywiście o tym nie pomyślał. Teraz jednak to zrobił. Po dłuższej chwili odparł wolno: — Jestem policjantem. Nie mogę pomóc ci nikogo zabić. Bez względu na to, kto by to nie był.

—
Wcale nie zamierzam go zabić. Chcę go
tylko aresztować. Czubkiem języka Buffett
dotknął kącika warg. — Nie wiem, co
właściwie chcesz ode mnie usłyszeć.

—
Jak dokonać obywatelskiego
zatrzymania? Czy najpierw mam go zmusić,
żeby się przyznał? Mogę go tak po prostu
aresztować, jak to robią w filmach? Muszę
odczytać mu jego prawa?
Buffett-policjant namyślał się przez chwilę. —
Przede wszystkim nie masz żadnego dowodu.
Kierowca ciężarówki nie widział, kto prowadził
tego dodge'a. Nasi chłopcy zrobiliby tak:
znalezli podejrzanego, przewieźli go na
posterunek i przesłuchali. Nie aresztowaliby
go, po prostu wzięliby go na spytki. Obejdzie

392

się bez wzywania adwokata, ale też gość będzie mógł wstać i wyjść, kiedy tylko zechce.

—
Mam więc go tylko przepytąć?

—
Postaraj się znaleźć jakieś

niekonsekwencje w jego zeznaniach. Może na przykład wymieni nazwiska ludzi, którzy mają zapewnić mu alibi, a my ich przyciśniemy i zmusimy do zmiany frontu. To cholernie żmudna robota, Pel am. Nie można tak po prostu kogoś aresztować.

—

A gdybym wziął ze sobą dyktafon i sprowokował go, żeby coś chlapnął?

—

Żeby nagrać taką rozmowę, nie potrzebujesz nakazu sądowego. To całkowicie legalne. Ale chyba trochę ryzykowne, nie sądzisz?

—

I sąd uzna to za dowód?

—

Prawdopodobnie tak.

Pel am wzruszył ramionami. Podeszedł do drzwi, ale w progu jeszcze na chwilę przystanął. —A to, co im powiedziałaś...

Naprawdę to doceniam.

—

O czym ty mówisz?

—
O tym, co powiedziałaś swoim kumplom

z dochodzeniówki. Że mi wierzysz.

Buffett zachnął się. Pel am zauważył, że z rezygnacją pociera oczy. Wyglądał na równie zmęczonego, jak więdące kwiaty, które

393

zaśmiewały półkę nad kaloryferem w jego sali.

— Dobrze się czujesz?

—
Chyba tak. Żona mnie dziś odwiedziła.

— Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale przytłoczyły go uczucia, które chciał naraz wyrazić; po prostu się w nich pogubił. Zanim zdołał wyrzec słowo, fala uczuć ustąpiła, poprosił więc tylko: — Możesz mi podać program telewizyjny? — Wskazał Pel amowi drugi koniec sali. — Ten sukinsyn salowy zostawił go na szafce. A co mi tam z niego przyjdzie? No sam powiedz. Niektórzy ludzie zwyczajnie nie myślą...

■

Odgłos pukania w na wpół uchylone drzwi
obudził Donniego Buffetta. Drzemał, a teraz
ocknął się ze snu, którego nie pamiętał, a
który pozostawił po sobie bliżej nieokreśloną
tęsknotę. — Tak? — wymamrotał. — Proszę.

Drzwi otworzyły się szerzej i ukazała się w
nich lekko przechylona głowa młodej
blondynki. Twarz, którą nie od razu skojarzył,
była delikatna i bardzo ładna. Kobieta stanęła
na progu. Niepewny krok, w połączeniu z

394

delikatnością i urodą, dodawał jej
zmysłowości. To zaś przygnębiło Buffetta
jeszcze bardziej niż wizyta Pel ama.

—

Dzień dobry. Nie śpi pan?

Na dźwięk głosu przypomniał sobie jej imię. —

Nina, prawda? Znajoma Pel ama?

Weszła do środka, jak gdyby jego słowa
oznaczały przyzwolenie. Miała na sobie

obcisłą, brązową sukienkę z jedwabiu. Przez ramię przewiesiła beżowy płaszcz. Donnie Buffett zmusił się, żeby nie patrzeć ani na jej obfite piersi, ani na zgrabne nogi o jasnej skórze, ale prosto w jej oczy.

—
A pan ma na imię Donnie.

—
Minęliście się. — Przygładził włosy i przejechał rozcapierzonymi palcami po swoim dwudniowym zaroście.

—
Naprawdę? — Skrzywiła się, a Buffett zastanowił się, jak choć przez moment mógł przypuszczać, że przyszła go odwiedzić.

Nina zapytała: — A kiedy stąd wyszedł?

Buffett ze zdumieniem zerknął na zegarek.

Wydawało mu się, że spał przez wiele godzin.

— Trzydzieści, czterdzieści minut temu.

—
Cały John. Trudno mu usiedzieć w jednym miejscu... Ojej! Jakie piękne róże. Te, które zwykle dostaję, nigdy się tak nie rozwijają.

—
Dają do nich taki proszek w torebce.

Trzeba go wsypać do wody.

—

I jak ładnie pachną! A pan nie wie
przypadkiem, dokąd poszedł Pel am?

Dziewczyno, gdybyś tylko wiedziała...

—

Niestety nie. Śmiało, niech pani weźmie
sobie kilka kwiatów. Jeśli podobają się pani
róże, to bardzo proszę.

Ale ona jedynie pokręciła głową. Przypomniał
sobie, że już raz jej coś takiego proponował.

Ludzie nie lubią szpitalnych kwiatów. Pewnie
uważają, że przynoszą pecha.

—

Pel am mówił mi, co się pani przydarzyło
w tej fabryce w centrum miasta. To paskudna
okolica. Nic się pani nie stało?

Pokręciła głową, ale nie odpowiedziała, jak
gdyby samo wspomnienie było dla niej zbyt
bolesne. Buffett pożałował, że w ogóle mówił
o tym napadzie. Ale czuł się zmuszony dodać:

— Może powinna pani wyjechać na jakiś czas z miasta, albo coś w tym rodzaju. Dopóki nie znajdą sprawcy.

—
Rzeczywiście, mogłabym to zrobić.

Miałam taki zamiar.

Jednocześnie porządkowała porozrzucane na nocnym stoliku czasopisma, układając je w równą stertę, aż wszystkie krawędzie znalazły się w idealnie równej linii .

396

Wzrok Buffetta pobiegł w stronę telewizora. Siedzenie transmisji sportowych pogłębiało jego przygnębienie, ale przyzwyczał się oglądać kiepskie popołudniowe filmy pod warunkiem, że dźwięk był wyłączony. Dialogi psuły całą zabawę. Dzisiaj zasnął, oglądając niemy i nudny film o porwaniu statku. Teraz miał ochotę znowu się zdrzemnąć, ewentualnie pooglądać to, co zwykle. Ta kobieta zaczynała go irytować. — Myślałem, że jest już po godzinach odwiedzin.

—
Uśmiechnęłam się do policjanta przy

wejściu, a on poprosił pielęgniarki, żeby mnie wpuściły.

Buffett chrząknął, starając się, żeby nie zabrzmiało to niesympatycznie.

Zaczęła śmieiej kręcić się po sali. Nie spodobało mu się to, że powiesiła swój płaszcz na oparciu krzesła. To znaczyło, że zamierzała zostać dłużej. Nie spuszczała z niego wzroku. Czuł się jak jakiś wybryk natury.

Dlaczego nie zostawi go w spokoju?

—

A jak *pan* się czuje? — zapytała.

—

Świetnie. Czuję się świetnie. — Na ekranie telewizora porywacze statku ścigali tych dobrych po pokładzie. A może to ci dobrzy ścigali porywaczy.

—

Wcale mi pan na to nie wygląda.

397

Popatrzył na nią. — Czasami bywam trochę półprzytomny. Od tego ciągłego leżenia.

Jej spojrzenie powędrowało do jego dłoni. —

Jest pan żonaty, prawda?

—

Tak.

—

Żona codziennie pana odwiedza?

—

Jasne. — *Dzielna z niej dziewczynka.* —

Przynosi mi ciasteczka. Ma pani ochotę na ciastko?

—

Nie, dziękuję. Macie dzieci?

—

Nie. A może na dip śmietanowy? Chyba cebulowy, ale nie jestem pewien.

Ta cała Nina nie miała zamiaru sobie pójść.

Dlaczego zmuszała go do tej rozmowy?

Dlaczego na jej ustach gościł figlarny uśmiezek, skoro nie było się z czego śmiać?

Buffett spytał: — Ma tu pani też kogoś bliskiego, prawda?

Przytaknęła. — Tak, mamę. Właśnie ją odwiedzałam. Ale znudziłam się i wyszłam.

Czy to bardzo nieładnie z mojej strony?

Zadała to pytanie nadąsanym tonem — tonem
małej, rozkapryszonej dziewczynki, który
miała zdaje się opanowany do perfekcji — a
on uświadomił sobie, że powinien w tym
momencie zaprzeczyć, co też natychmiast
zrobił, chociaż niezbyt przekonująco. Kątem
oka patrzył, jak na ekranie pistolety

398

maszynowe w ciszy strzelają do uciekających marynarzy, którzy bezgłośnie wzywali
pomocy. Kilku z nich zginęło. Niektórzy
oberwali w plecy.

—
No cóż — powiedziała, przestając się
uśmiechać. — Bardzo pan małomówny.

Komandosi przybyli z odsieczą załodze statku.

—
Próbuję oglądać film.

—
Bez dźwięku?

Wyłączył telewizor, odmawiając sobie w ten
sposób przyjemności oglądania dzielnych
komandosów w akcji. Był pewien, że teraz
kobieta wyczuje wreszcie jego niechęć i
wyjdzie.

Ale nie, nadal swobodnie przechadzała się po sali i porządkowała czasopisma. Potem wzięła się za wazonny.

—
Chyba zaczyna się ze mnie robić wredny tetryk — odezwał się tonem przeprosin. —

Hm, co to właściwie znaczy?

—
Zagiął mnie pan. Chyba to samo, co stary piernik. — Zaczęła wyrzucać zwiędłe kwiaty. — Myślałam, że pielęgniarzki lepiej się nimi zajmą.

—
Są bardzo zajęte. Wszyscy tu ciągle mają pełne ręce roboty. *Poza mną. Ja całymi dniami wyleguję się w łóżku. Godzinami mógłbym opowiadać o zmiękczacach do prania, płatkach śniadaniowych i tamponach. Do diabła, gdybyś dała mi wreszcie spokój, mógłbym też dowiedzieć się, jak uprawiać statki.*

Umyła wazonny w łazience i odstawiła je do wyschnięcia — dnem do góry — na kłapie

sedesu. Buffett czerpał niechętną
przyjemność z obserwowania jej. Szkło było
do czysta wymyte. Niektóre kobiety są po
prostu świetne w te klocki, pomyślał. Dać im
do ręki kawałek mydła i papierowe ręczniki, a
wszystko będzie lśnić. Penny też taka była.

Penny *jest* taka, poprawił sam siebie w duchu.

Nina podeszła do niskiej szafki stojącej w
przeciwległym końcu sali. Nie było już nic
więcej do zmywania. Żadnych też milczących
porywaczy statków ani reklam globulek na
drożdżycę. Żadnych zwariowanych
dokumentalistów filmowych.

Po prostu nic.

—

Hm, jestem trochę zmęczony — odezwał
się Buffett i udał, że szeroko ziewa. — Chyba
chciałbym się teraz trochę zdrzemnąć.

—

E, tam — odparła Nina, biorąc z szafki
talię kart. — A nie byłoby lepiej zagrać ze mną
w remika?

John Peł am, skrywając pod połą lotniczej
kurtki śmiercionośny wynalazek niejakiego

Samuela Colta, przechadzał się, z flegmą godną angielskiego ziemianina, ulicami miasta Maddox w stanie Missouri.

Kopnął kępkę trawy wyrastającej z idealnie okrągłej dziury w samym środku popękanej płyty chodnikowej. Potem poszedł dalej. Ulica świeciła pustkami — żadnych samochodów czy pieszych, tylko długi rząd niskich budynków. Najwyższy z nich — trzypiętrowa fabryka — mógł w przeszłości tętnić życiem, lecz teraz kpił z dni swojej dawnej chwały: dach zapadł się już jakiś czas temu, a stary, pozieleniały szyld na fasadzie jak na ironię głosił: „Luks”; końcówkę „fery” zatarł złośliwy czas.

Co jakiś czas Peł am oglądał się za siebie, zerkał w boczne uliczki i zwracał większą uwagę na odbicia w mijanych witrynach niż na nierówny chodnik, na którym stawiał swoje obute w brązowe kowbojki stopy, a mimo to jak dotąd nie zauważył nikogo, kto by go śledził.

Zostawił za sobą ten fragment miasta i wolnym krokiem skręcił w Trzecią, mijając miejsce, gdzie Donnie Buffett został

postrzelony. Tutaj także nieco dłużej zabawił.

Deszcz zmył ślady krwi, które widział
wcześniej — o ile to rzeczywiście była krew —

401

i teraz wszędzie wokół bruk był niepokalanie czysty. Oto jedna z zalet wymarłych miast —
mniej mieszkańców śmiejących na ulicach.

Peł am rozpiął lekko kurtkę i czas jakiś
spacerował w tę i z powrotem. Przeszedł kilka
przecznic, aż do uliczki, w której kilka dni
wcześniej zgubił śledzącego go sedana.

Wszędzie ani żywego ducha.

Tony Sloan i jego ekipa — nadal pozbawieni
swoich bezcennych pistoletów maszynowych
— kończyli zdjęcia do ostatnich scen filmu.

Pełłam domyślał się, że oprócz tego Sloan
godzinami wisi na telefonie, usiłując załatwić
zwiększenie budżetu. On sam omijał plan z
daleka. Sloan i tak nie chciałby z nim gadać.

Poza tym miał tam zbyt wielu przyjaciół,
których wolał trzymać z dala od tego, co miało
się wkrótce wydarzyć.

Pokręcił się trochę przed swoją przyczepą na
kempingu „Przy drodze”. Obszedł z wolna cały
teren, a następnie przeciąwszy go zapuścił się

na teren starej fabryki, gdzie napadnięto Ninę.

Włóczył się pomiędzy szarymi barakami z blachy falistej, na oko niezamieszkałymi od czasów drugiej wojny światowej. Spacerował chodnikami, wzdłuż których ciągnęły się sklepy handlujące zakurzonym sprzętem biurowym i medycznym. W pewnym

402
momencie, gdy wyjątkowo uważnie lustrował odbicie ulicy w sklepowej witrynie, zdał sobie sprawę, że przez cały czas wpatruje się w toporne manekiny w grubych pasach wyszczuplających, skromnie ukryte za plastikową, bursztynową roletą, a sprzedawca przygląda mu się z rozbawieniem i ciekawością.

Gdzie on się podziewa? Gdzie jest zabójca

Stile'a?

Potem zszedł nad rzekę i na rozpadającej się ławce w tym, co pozostało z parku miejskiego w Maddox, obejrzał zachód słońca. Znajdujący się za jego plecami sklepik wyrażał ambicje wszystkich mieszkańców tego miasta.

Drewniany szyld z nazwiskiem właściciela był

tak spłwiałały, że niemal nie do odczytania,
lecz nad wejściem umieszczono większą
tablicę, na której czyjaś niewprawna ręka
nabazgrała niechlujnie: „Skup złomu.

Wszystkie rodzaje. W każdym stanie.

Gotówka OD RĘKI!"

Po kolacji złożonej z hamburgera i piwa,
Pel am ponownie przeszedł się bocznymi
ulicami, a jedynymi żywymi istotami, jakie
spotkał na swojej drodze, byli nieliczni klienci
kursujący pomiędzy Wesołym Łajdakiem a
knajpą U Cal aghana oraz sfory

403

wychudzonych psów o dzikich oczach i przymilnie merdających ogonach — smutny
dowód na to, że swoje szczenięce lata
spędziły w towarzystwie ludzi.

O północy znowu trafił do parku. Przysiadł na
ławce z butelką piwa i nie opróżniając jej,
patrzył na poszarpane odbicie księżyca w wo-
dzie, wdychając chłodne powietrze nasycone
wonią mokradeł i ropy z jakiejś odległej fabryki
czy rafinerii.

Kiedy mnie w końcu odnajdzie?

Tej nocy jednak odnalazł go tylko sen i Pel am

obudził się na ławce o czwartej nad ranem, zdumiony w pierwszej kolejności tym, jak bardzo jest skonany, a w drugim rzędzie własną lekkomyślnością. Nie mógł się też nadziwić swojemu wyjątkowemu szczęściu, które pozwoliło mu uniknąć różnego rodzaju przykrości. Wrócił do przyczepy, obolały i zmarznięty, z drżącymi dłońmi, a jedynym punktem na jego ciele, gdzie odczuwał ciepło, było miejsce, w którym drewniana kolba colta wrzynała się w jego brzuch.

*

Doktor Wendy dobrze wyglądała.

Promiennie. Taka była jej twarz, promienna...

Jak to się mówiło w szkole? Mieli na to specjalne określenie. Jak ono brzmiało?

404

Wystrzałowa.

O właśnie. A mówiąc to, należało jeszcze strzelić palcami. Wystrzałowa. *Widziałeś tę dziewczynę? Ale wystrzałowa laska!*

—

Siemanko, pani doktor.

—

Witaj, Donnie.

Był ciekaw, czy żeglowała. Wyobraził ją sobie w białym bikini na cienkich ramiączkach. Miała niewielki brzusek — pamiętał, jak wyglądała w swojej prawie minispódniczce — ale jego zdaniem nie był to żaden problem. Był ciekaw, czy ma własną żaglówkę. Nie, raczej nie; wszystkie pieniądze wydawała pewnie na ciuchy i dziwaczne kolczyki. Ale jej facet mógł mieć łódkę.

Zastanawiał się, czy spędzała każdą niedzielę na łodzi. Zastanawiał się, jakby to było być jej mężem.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdarzało jej się umawiać z pacjentami. Postanowił, że kiedyś zaprosi ją na randkę.

Z rozmachem zamknęła drzwi i odstawiła swój zwykły numer z zapalaniem i gaszeniem papierosa. — Chciałam od razu ci o tym powiedzieć. Mamy już twoje wyniki, Donnie. Dotyczące twoich reakcji seksualnych.

—

Okej, w takim razie dobrze, że siedzę — no, jakbym miał jakieś inne wyjście... —

Uśmiech zamarł mu na ustach i z niepokojem zmarszczył brwi. — Jak brzmi wyrok?

—
Masz niecałkowitą refleksję.

Zapomniał już, co to oznaczało, lecz na podstawie tego, jak to powiedziała, jej znaczącego tonu i uśmiechu umiarkowanego triumfu wywnioskował, że przyniosła mu dobrą wiadomość.

—
...Prawie sto procent takich pacjentów może mieć erekcje, odruchowe albo psychogenne. U większości z nich, chociaż nie u wszystkich, dochodzi do wytrysku. Oczywiście liczba plemników będzie mniejsza niż normalnie, ale to oznacza jedynie, że chcąc mieć dzieci, będziecie musieli bardziej się postarać.

Weiser uścisnęła mu dłoń, jakby właśnie ubili ważny interes.

—
No proszę — odparł z radością Buffett, po czym nagle zaczął łkać.

Jego oczy napęłniły się łzami, z trudem łapał

oddech, ciałem wstrząsały spazmy, a twarz aż poczerwieniała z wielkiego wysiłku.

Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. *Co się ze mną dzieje?* Weiser milczała.

Buffetta dławiliły łzy, zwyczajnie w nich tonął.

Za chwilę go zabiją, życie wysączy się z niego tak samo, jakby krwawił z przeciętej tętnicy.

406

Czyżby tracił rozum? Czy tak to właśnie miało wyglądać? *Na jakim etapie rekonwalescencji dostaje się hysterii, złościutka?* Płakał bardziej rozpaczliwie, niż kiedy był dzieckiem, niż kiedy złamał nos, niż kiedy zmarła jego matka...

Nie... mógł... oddychać... Spróbował opanować wstrząsające nim łkanie. W końcu mu się to udało. Głęboko wciągnął powietrze i rozluźnił się. — Ja... — Nadszedł kolejny atak.

Buffett ukrył twarz w garści chusteczek higienicznych. — Ja... — Zastąpił chusteczki poduszką i płakał przez kolejnych kilka minut.

Łzy ledwie wysychały.

—
Podać ci coś? — spytała Weiser.

Pokręcił głową, z trudem łapiąc powietrze.

Nie chciał, żeby oglądała go w takim stanie.

Ta piękna, promienna lekarka w skąnym

bikini, żeglująca sześciometrowym jachtem.

Lekarka z narzeczoną i dwunastoletnią córką. Ale nie panował nad sobą, chwytając oddech szeroko otwartymi ustami i zanosząc się płaczem jak noworodek po pierwszym w życiu klapsie.

Zapytała, czy nie wolałby zostać sam, ale pokręcił przecząco głową, zakrywając twarz ramieniem. Po paru minutach zaśmiał się cicho: — Jestem zwyczajnym czubkiem — wydyszał.

407

—
Nawet nie masz pojęcia, jak wielki stres musisz teraz znosić. Buffett nie odczuwał ani paniki, ani przygnębienia, ogarnęło go za to autentyczne szaleństwo. — Nie wiem, dlaczego płaczę. Nie wiem, dlaczego — wyszeptał, zaczynając znowu łkać. — Nie wiem, dlaczego...

Tym razem Weiser nie próbowała niczego mu wyjaśniać. Posiedziała przez chwilę, przyglądając mu się uważnie, po czym wstała, otworzyła okno i zapaliła jeszcze jednego

papierosa.

Popołudnie w Maddox w stanie Missouri.

Peł am spędził cały dzień, płacząc się po okolicy i odgrywając rolę przynęty. Przeszedł się po sklepach ze starociami, po pustych ulicach, wypił piwo w każdej z trzech identycznych knajpek, potem jeszcze trochę pospacerował, wypatrując przez okulary przeciwsłoneczne człowieka, który wypatrywał *jego*.

Starał się trzymać z dala od innych ludzi; przechadzał się wolno i wielokrotnie ustawiał plecami do bocznych uliczek oraz mijających go samochodów.

Z czasem uznał, że doszedł już do dużej wprawy, jeśli chodzi o wystawianie się na cel.

O piątej po południu, po ośmiu godzinach

408

marszu, znalazł się na zatłoczonym targu rolniczym przy River Road. Zakurzony parking zastawiony był stoiskami, na których okoliczni farmerzy — zarówno ci całkiem tradycyjni, jak również dawni i obecni hipisi — z Missouri i południowego Illinois sprzedawali sery, warzywa, własne wypieki, jabłka i — jakżeby

inaczej — arbuzy z północy. Pełną am rozglądał
się, chłonąc sztuczną wesołość tego miejsca,
z jego wyblakłymi chorągiewkami i smętnym
klownem rozdającym balony garstce
maluchów

0

brudnych rączkach i buziach. Z tanich
głośników płynęły ostre, wibrujące dźwięki
muzyki country.

Pół godziny później stwierdził, że pora wracać
do przyczepy. Kupił butelkę wina, trochę sera,
chrupiące holenderskie precle i dwie śliwki.

Kiedy znalazł się w swoim wozie
kempingowym, niedbale zrzucił buty i kurtkę.

Następnie przemył twarz wodą, usiadł na
łóżku w głębi przyczepy i zjadł zimną kolację.

Nie przepadał za jabłkami, ale jedynym
alkoholem dostępnym na targu było wino
jabłkowe. Kupił je niechętnie, mając nadzieję,

że alkohol stłumi smak jabłek. Jego przypuszczenie okazało się słuszne, ale i tak wino było niewiarygodnie wręcz słodkie. Mimo to

409

wypił prawie pół butelki, trzy pełne kieliszki, i wzdrygnął się, czując gwałtownie podnoszący się poziom cukru we krwi.

Miał ogromną ochotę spotkać się z Niną, ale nie śmiał do niej zadzwonić z obawy, że znowu mógłby narazić ją na niebezpieczeństwo. John Pel am nie cierpiał tej cechy swojego charakteru — szczególnej umiejętności ściągania na siebie kłopotów. To za jej sprawą został kiedyś kaskaderem, to ona kazała mu robić filmy, które krytyka uwielbiała, a które wielu ludziom przyniosły same straty. Tak łatwo zapominał, że komuś może stać się krzywda z jego powodu. W najtrudniejszych momentach życia John Pel am dochodził do wniosku, że ma w sobie więcej cech swojego przodka-rewolwerowca, niżby sobie tego życzył. I niż życzyłoby sobie tego jego otoczenie.

Wstał, nalał kolejny kieliszek, a butelkę zabrał

ze sobą do łóżka. Wino jabłkowe. Ohyda.

Spojrzał na etykietę przedstawiającą przystojną parę farmerów po trzydziestce, męża i żonę, wysypujących jabłka z wielkiego kosza na platformę ciężarówki. Stwierdził, że serdecznie nie cierpi tej dwójki i ich naturalnie zaróżowionych, zdrowych, ekologicznych policzków.

410

Włączył taśmę Patsy Cline.

Nie. Zbyt sentymentalne.

Wybrał kasetę Michaela Nymana. Znacznie

lepiej. Zauważył leżące na podłodze

czasopismo, otwarte na stronie z

horoskopami. Próbował czytać, ale szybko

stracił zainteresowanie i znowu się położył.

Byk, 22 kwietnia — 21 maja. Zły okres na inwestycje. Twoja kariera może być

zagrożona. Panuj nad sobą i nie włócz się po

ulicach małych miasteczek z naładowanym

rewolwerem.

Kiedy obudził się po godzinie, nie mógł

nigdzie znaleźć butelki z reszką wina. Czując

bolesne pulsowanie w skroniach, stwierdził ze

skruchą, że musiał ją wykończyć.

Mylił się jednak.

Stojący na środku przyczepy mężczyzna
podniósł butelkę do ust i pociągnął solidny łyk.

Przełykając, przechylił lekko głowę do tyłu, nie
spuszczał jednak z Pel ama zaciekawionego
wzroku.

Wzdrygnął się — może z powodu nadmiernej
słodocy trunku — i odstawił butelkę na stół.

Następnie otarł usta palcami, tymi samymi,
które zaraz pochwyciły z blatu Colta

Peacemakera i wsunęły broń do kieszeni
spodni. Wtedy mężczyzna zbliżył się do

411

leżącego na łóżku Pellama. Był młody, przystojny i miał na sobie garnitur.

Pel ama zaskoczyło jednak co innego: to, że
znamię na jego policzku *rzeczywiście*

wyglądało identycznie jak plama na Jowiszu.

Nagle przyszło mu do głowy mnóstwo rzeczy,
które mógłby powiedzieć. Teraz, zaraz.

Niektóre były zabawne, inne groźne. Ale był
zaspany, strasznie bolała go głowa i nie miał
wcale ochoty na rozmowę. Szerzej otworzył
nieprzytomne oczy w nadziei, że pozwoli mu
to lepiej się skoncentrować, i w milczeniu

obserwował intruza.

Nieproszony gość dotknął szyjki butelki i wolno przesunął palcem po jej krawędzi. Na zewnątrz woda z chlupotem uderzała o kamienne nabrzeże, a z oddali dobiegał warkot ciężarówki z silnikiem diesla.

Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Pel am wolno opuścił stopy na podłogę. Dłoń intruza dała spokój butelce i zbliżyła się do biodra, gdzie prawdopodobnie ukryta była broń. Pel am poruszał się w zwolnionym tempie — nie z obawy, że mógłby sprowokować mężczyznę, ale przez ból, który po prostu rozsadzał mu skronie.

Ziewnął szeroko.

Mężczyzna odezwał się: — A jednak

412

spotkałeś się z Petersonem. Kiedy ziewał, zaczęły mu łzawić oczy. Otarł je wierzchem dłoni. Mężczyzna mówił dalej: — Dziewczyna nie przekazała ci wiadomości?

—

Przekazała mi co trzeba.

—

Pan Crimmins nie jest zachwycony tym,

że rozmawiałeś z prokuratorem. Jak dotąd go nie aresztowali, a więc zakłada, że trzymałeś gębę na kłódkę.

—
Nie mam nic do powiedzenia na temat Crimminsa.

—
Wie, że widziałeś go tamtego wieczoru w lincolnie.

—
Czego pan ode mnie chce?

Mężczyzna był wysoki — miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Ubranie opinało jego prężną sylwetkę, jakby był bardzo dobrze umięśniony. Peł am był ciekaw, czy facet miał erekcję, kiedy dotykał Niny.

—
Chcę mieć pewność, że zapomnisz, kogo wtedy widziałeś. Aha. I to wszystko?

Czyżby teraz miał sobie pójść? Tak po prostu?

Pamiętaj, żebyś powtarzał na prawo i lewo, że nigdy nie widziałeś Petera Crimminsa. A teraz śpij dobrze.

Człowiek ze znamieniem zapiął kurtkę i włożył rękawiczki.

413

Więc jednak wychodzi.

Ale po co mu rękawiczki? Na zewnątrz nie jest aż tak zimno.

Niespodziewanie mężczyzna zrobił krok do przodu. Zanim Pel am zdążył unieść ramię, żeby odbić cios, twarda pięść dosięgła z boku jego głowy. Pel am przewrócił się do tyłu i padł na łóżko jak kłoda. Cios był częściowo chybiony, lecz w połączeniu z kacem po winie jabłkowym sprawił, że ból niemal rozsadził mu czaszkę. Pel am jęknął i znowu otarł z oczu łzy.

—
Cholera — wysapał. — Dlaczego mi to robisz?

Próbując się podnieść, wyciągnął rękę w stronę szafki, żeby się podeprzeć. W tym samym momencie jego nadgarstek znalazł się w żelaznym uścisku silnej dłoni, która poderwała go do góry. Po raz kolejny wszedł w bliski kontakt z prawą pięścią napastnika.

Tym razem trafiła go ona prosto w szczękę.

Ponownie osunął się na łóżko, porządnie
zamroczony.

—
Ta twoja dziewczyna ma naprawdę
ładną buźkę. Domyślam się, że i resztę ma
niezgorszą.

Pel am podniósł się wolno i otarł krew z
policzka. Ból był tak dotkliwy, że prawie stracił

414

przytomność. Przez chwilę stał oparty o ścianę przyczepy i czekał, żeby przed oczami
przestały mu krążyć czarne pląty. Kiedy
wreszcie odzyskał jasność widzenia,
niepewnym krokiem ruszył w kierunku
łazienki.

Mijając człowieka ze znamieniem,
wymamrotał niewyraźnie: — Przepraszam. —
Zabrzmiało to bardzo grzecznie.

—
Tylko bez żadnych numerów. — W dłoni
mężczyzny pojawiła się broń, granatowy
pistolet. Pel am widział go z boku, widział dłoń
w rękawiczce, której silne palce otworzyły się i
szybko zacisnęły na kolbie pistoletu.

Napastnik przeładował broń.

Pel am oparł się o drzwi łazienki. Zapalił światło, ale nie wszedł do środka. Na chwilę zacisnął powieki, wspierając się o futrynę.

Usłyszał zbliżające się kroki. Alfabet Morse'a znajomych trzasków drewnianej podłogi, skrzypiącej pod ciężarem intruza. Poczował zapach wody po goleniu (czy Nina też go czuła? Bo Stile nie zdążył niczego poczuć, poza wonią oleju, benzyny i asfaltu, a potem krwi, krwi, krwi...).

—
Co ty tam robisz? — zapytał mężczyzna.

Pel am wsunął rękę do kieszeni swojej kurtki lotniczej, która wisiała tuż przy drzwiach

415
łazienki, i wyjął z niej rewolwer Buffetta — trefną broń, jak ujął to jej właściciel.

Odwracając się, powiedział: — Połóż się twarzą do podłogi.

Mężczyzna błyskawicznie przykucnął i wyrwał zza paska pistolet.

Rozległ się potężny huk wystrzału.

Szyby w oknach zadzwoniły, a na ścianach

osiadły drobiny prochu. Drzwi szafek zadrżały, a oprawiony w szkło plakat z posępnym Napoleonem zakołysał się od siły wybuchu.

Donnie Buffett usłyszał czyjeś kroki i otworzył oczy. Z korytarza za drzwiami jego sali dobiegało szuranie stóp.

Widywał już wcześniej lekarzy —
wyglądających nieco absurdalnie — w
foliowych osłonkach na butach. Wydawały taki
sam szeleszczący dźwięk. Wątpił jednak, by
to, co teraz słyszał, było odgłosem kroków
lekarza. Półprzytomnie spojrzął na zegarek.

Dziesiąta. Czyżby lekarze operowali jeszcze o
tak późnej porze?

A może to była pielęgniarka. Czasami
pielęgniarki podrzucały mu jakieś smakołyki i
choć światło w jego sali było zgaszone, a
Buffett już drzemał, jeżeli w grę wchodziło coś
do jedzenia, nie zamierzał pozwolić, aby go
pominięto. Jeśli faktycznie zmierzała tu

416

pielęgniarka, miał nadzieję, że będzie to tamta blondynka. Lubił ją. Była delikatna i wesoło
trajkotała, wykonując swoje obowiązki. Z kolei
ruda była milcząca i zdawała się być

niezadowolona z faktu, że angażuje się ją do skomplikowanych zabiegów z użyciem rurek, butelek oraz foliowych worków.

Nie wierzył jednak, aby była to którakolwiek z nich. Donnie Buf-fett, mąż domorosłego medium, w ułamku sekundy doznał nagłego objawienia i już wiedział, kim jest jego nocny gość.

Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale zanim zdążył ją pochwycić, drzwi sali uchyliły się.

Nie mógł uciec, nie miał gdzie się schować.

Ale mógł się bronić.

Zamknął oczy i zmusił się, aby równomiernie i płytko oddychać, jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Prawą dłoń powoli zaciskał w pięść, ostrożnie, centymetr po centymetrze.

Kroki przybliżyły się. Buffett napiął mięśnie ramienia. Intruz, kimkolwiek był, podszedł wolno do łóżka i stanął po jego lewej stronie.

Buffett postanowił, że najpierw chwyci go lewą ręką za krocze, a kiedy tamten zawyje i ze-
gnie się w górę, prawą pięścią rozkwasi mu nos...

Zastanawiał się, czy to ten sam człowiek,

który go postrzelił, wrócił, żeby dokończyć dzieła. Jeżeli wybrał ten sam *modus operandi* co w przypadku zabójstwa Gaudi, będzie miał przy sobie broń małego kalibru. Dwudziestkę, dwójkę albo dwudziestkę piątkę, które nie powodowały za dużo bólu i przelatwały na wylot. Buffett nie zginie od razu, ale zanim umrze, zdąży jeszcze tamtemu poważnie zaszkodzić.

Donnie Buffett grał w kosza, był miotaczem w rozgrywkach soft-bala i brał udział w zawodach przeciągania liny, a to znaczyło, że miał bardzo silne ręce.

Poczuł nagłą żądzę krwi — takie samo uczucie miewał w chwilach, gdy na polowaniu pociągał za spust. Barki zaczęły mu drżeć, a mięśnie ramion stężały.

Kroki zatrzymały się jakieś pół metra od jego łóżka.

Usłyszał szept: — Donnie...

Otworzył oczy i spojrzał na pochylającą się nad nim niewyraźną sylwetkę. Czyjaś dłoń zniknęła pod kloszem lampy i nagle salę zalało jaskrawe światło.

John Peł am, z kredowoblada twarzą,
przysiadł na krześle przy jego łóżku.

—
Cześć, szefie — powitał go drżącym
głosem Buffett. — Jak się tu dostałeś? Już

418

dawno po godzinach odwiedzin.

—
Wszedłem tylnym wejściem.

—
To się nazywa ochrona. Napędziłeś mi
cholernego stracha.

—
Muszę z tobą koniecznie pogadać,
Donnie. — Peł am utkwił w nim płonący wzrok.

Nie, nie w nim, gdzieś za jego plecami. Jego
twarz miała ziemisty odcień. Buffett nie
wiedział, czy jego gość jest chory, czy może
niedawno zemdlał. Peł am zaciskał coś w
dłoni, coś małego i ciemnego.

W prawej ręce Buffett poczuł bolesny skurcz i
zdał sobie sprawę, że przez cały czas trzymał
ją zaciśniętą w pięść. Rozluźnił palce i poczuł,
że ból ustępuje. Serce waliło mu jak młotem,

czuł falę słabości przetaczającą się przez jego klatkę piersiową i brzuch. — Co ty tu u diabła robisz o tej porze? — Zauważył, że sam też szepcze.

Co on tam ma, u licha?

Pel am popatrzył w dół na swoją dłoń i trzymany w niej przedmiot. Potem przeniósł spojrzenie na Buffetta i odparł: — Włamał się do mojej przyczepy. Ten sam, który napadł na Ninę, ten sam, który zabił mojego przyjaciela. Nie wiem, jak to zrobił, po prostu wszedł do środka. Uderzył mnie kilka razy. — Przez dłuższą chwilę patrzył Buffettowi w oczy. —

419

Wziąłem wtedy twój rewolwer...

—
Ten trefny?

—
Tak.

—
Chryste.

—
Wziąłem go. A potem go zastrzeliłem.

—

Chryste Panie, Pel am, zastrześlię go?

—

Nie chciałem tego robić. Zamierzałem go
tylko aresztować. Ale on najpierw wyciągnął
broń i...

—

Nie żyje? No dobrze, pomyślmy. Są
jacyś świadkowie? Myślisz, że ktoś mógł coś
słyszeć?

—

To jeszcze nie wszystko — wyszeptał

Pel am.

—

Na razie nie panikuj. Zastanówmy się
spokojnie. To było włamanie, czyli
przestępstwo, a ty miałeś prawo użyć siły,
nawet jeśli zrobię to niechcący. To twoje
święte prawo. Okej, zaraz zadzwonię do...

Pel am uniósł w górę dłoń. Trzymał w niej
portfel.

—

Gdzie stał ten twój wóz, kiedy to się
wydarzyło? — Buffett wziął do ręki portfel,
który Pel am mu podsunął, i z roztargnieniem

obracał go w dłoniach.

—

To nie wszystko — powtórzył Pel am

zdławionym głosem.

420

Policjant nadal mówił: o tym, co Pel am powinien teraz zrobić, o znajomych

prawnikach i o tym, które ustępy stanowego

kodeksu karnego dotyczą kwestii obrony

koniecznej. W pewnym momencie otworzył

portfel i przestał mówić. Po chwili zamrugał

powiekami. — Dobry Boże...

Pel am zadał mu pytanie, które nie wymagało

odpowiedzi: — Właśnie zabiłem agenta FBI,

prawda?

20

Pellam jak zahipnotyzowany wpatrywał się w

odznakę.

Buffett odezwał się: — To absurd. Peterson

nigdy by się tak daleko nie posunął.

—
Ale fakt jest faktem.

—
Peterson *nie zrobiłby* czegoś
podobnego. Nie ośmieliłby się.

—
Chciał, żebym uznał, że to Crimmins
próbuje zastraszyć Ninę i mnie i żebym
zdecydował się przeciwko niemu zeznawać.

Potrafisz to inaczej wytłumaczyć?

Buffett pokręcił głową. — Na litość boską,
przecież to prokurator stanowy.

—
To był ten sam facet, który groził Ninie.

421

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

—
Niemożliwe.

—
Dokładnie mi go opisała.

—
Żaden prokurator stanowy nie posłałby
agenta, żeby na kogoś nastawał. Może ten
gość faktycznie pracuje dla Crimminsa. A

raczej pracował. Był jednak podwójnym agentem. No wiesz, skorumpowanym.

—
Nie. Za tym wszystkim stoi Peterson.

—
Musiałby chyba postradać zmysły. To po prostu zbyt wielkie ryzyko...

Peł am przerwał mu ruchem ręki. — Ten facet *postradał* zmysły. Wiesz, że próbował mnie szantażować, by zmusić do mówienia?

—
Szantażować? Czym?

Peł am milczał przez dłuższą chwilę; zahaczył kciuk o szlufkę spodni. — Swego czasu siedziałem.

—
Ty siedziałeś? — Nie rozumiał Buffett.

—
W San Quentin — odparł Peł am, nie wdając się w szczegóły. Buffett patrzył na niego i nic nie mówił. Minęło kilka sekund.

Peł am dodał: — Peterson zagroził, że doniesie o tym mojej wytwórni.

Buffett wziął głębszy oddech, jakby chciał coś

powiedzieć, ale zrezygnował. Dopiero po chwili przyznał, że naprawdę nic o tym nie wiedział.

422

—
Tutaj chodzi o mojego przyjaciela. Ten człowiek zabił mojego kumpla.

— Nie — zaprzeczył z mocą policjant. —

Nawet jeśli tamten był podwójnym agentem nasłanym na ciebie przez Petersona, morderstwo byłoby już przesadą. Peterson prowadzi własną moralną krucjatę przeciw Crimminsowi i uparł się, żeby go wsadzić. To się zgadza. Ale nie posunąłby się do morderstwa. Nawet nie ma mowy.

—
Może to był nieszczęśliwy wypadek.

Może tamten śledził motocykl, bo chciał mnie nastraszyć. No i źle obliczył odległość, czy coś w tym rodzaju.

Buffett zgodził się, że to możliwe. — A co zrobiłeś z ciałem?

Pel am zastanawiał się przez chwilę, zupełnie

jakby ukrył to wspomnienie w najdalszym zakamarku swojej pamięci. — Co zrobiłem?

Po drugiej stronie ulicy stał jego samochód.

Zawinąłem gościa w worki na śmieci i wsadziłem do bagażnika. A potem przestawiłem wóz na parking przy dworcu autobusowym. Nie sądzę, żeby prędko go znaleźli. Aha, rzecz jasna wszystko to robiłem w rękawiczkach.

—
Dobrze, skoro tak. Nie miałeś przecież wyjścia.

423

—
Jezu — jęknął Pel am, kręcąc głową w oszołomieniu.

—
A broń?

—
Wrzuciłem do bagażnika razem z ciałem. Stwierdziłem, że może jak ją przy nim znajdą, pomyślą, że facet się zastrzelił.

—
Pel am, ludzie nie popełniają samobójstw

w taki sposób.

—

Chyba nie myślałem wtedy zbyt

logicznie.

—

Dobrze wytarłeś broń?

—

Tak. Chodzi o odciski palców, tak?

Wszystko gra.

—

To był rewolwer, więc na pewno masz na rękach ślady prochu, ale w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nikt tego nie sprawdzi. Kiedy gość się nie odmelduje, Peterson zorientuje się, że coś poszło nie tak, zakładając, że tamten faktycznie dla niego pracuje — to znaczy *pracował*. Co wtedy zrobi? Będzie musiał wszystkiemu zaprzeczyć. Moim zdaniem nic ci nie grozi.

—

Aleja...

Do sali weszła pielęgniarka. Uśmiechnęła się do Donniego. Na tacy niosła pojemniczek lodów i dwa ciastka. Podała mu też dwie

tabletki w papierowym kubku.

—

Czas coś przegryźć przed snem —

424

powiedziała.

Buffett odwzajemnił jej uśmiech. — Co to jest?

— zapytał. — Te tabletki?

—

To, co zwykle. Coś na uspokojenie.

Buffett przyjrzał im się badawczo. — Ativan?

Pół miligrama? Wychodząc, rzuciła: —

Dobranoc, panie doktorze.

—

Zawsze się upewniam. Czasami

dochodzi do pomyłek. Jak będziesz kiedyś w

szpitalu, zawsze pytaj, czym cię faszerują.

Peł am wziął chusteczkę higieniczną z

nocnego stolika i starannie wytarł nią odznakę

agenta federalnego.

Buffett zaproponował: — Masz ochotę na

lody?

—

Dzięki. Nie przepadam.

—

Na pewno? — Buffett otworzył
pojemniczek i zaczął wyjadać jego zawartość.

Nagle przerwał i odłożył na bok łyżkę. —
Pel am, ty zrobiłeś to, co ja bym zrobił na
twoim miejscu.

—
Niby tak.

Buffett znowu chwycił łyżkę. — Wiesz, jest
jeszcze jedna sprawa. — Pel am wziął z tacy
ciastko i zjadł je. Policjant mówił dalej: — Za-
łożmy, że masz rację, i ten facet — ten,
którego zastrześliłeś — rzeczywiście pracował
dla Petersona...

425

—
Aha.

—
W takim razie ten, który cię szuka, ten,
który zabił twój przyjaciela, nadal jest na
wolności.

—
Na to wygląda. — Pel am nie pomyślał o
tym wcześniej. — Ale co ja mogę na to
poradzić?

—
Może warto byłoby odkurzyć paszport.

W słuchawce rozległ się głos Niny: — Wiesz,
chciałabym się z tobą zobaczyć dziś
wieczorem.

Zabrzmiało to bardzo uwodzicielsko. Ale
Peł am nie był w nastroju, żeby uwodzić czy
być uwodzonym. Siedział na ławie niecały
metr od miejsca, w którym krew agenta FBI
zaplamiła dywan. Żeby ją zmyć, Peł am użył
wybielacza. Udało się, ale teraz w całej
przyczepie potwornie śmierdziało chlorem.

—
Trzy razy próbowałam się do ciebie
dodzwonić, ale nie odbierałeś.

—
Nie mam w przyczepie automatycznej
sekretarki — odparł, chociaż nie była to
prawda. Miał sekretarkę, tyle że rzadko ją
włączał.

—
Na planie gadają o tobie różne rzeczy.
Pan Sloan na przykład był bardzo niemiły.
Mówił, że cię pozwie. Strasznie mi przykro z

powodu twojego kolegi, John. Nie pamiętam

426

go, ale chyba kiedyś się poznaliśmy. Sprawiał
wrażenie miłego człowieka.

—

I taki był.

—

Więc chcesz być dzisiaj sam?

—

Coś w tym rodzaju.

—

To chyba nie jest dla ciebie dobre.

—

Co? "

—

To siedzenie sam na sam ze sobą.

Przyjedź do mnie. Do Cran-ston masz
zaledwie dwadzieścia minut drogi. — Mówiła
teraz niskim, kuszącym głosem.

—

To naprawdę kiepski moment.

—

No dobrze, skoro tak uważasz. — Jej
głos z kuszącego zrobił się szorstki.

Błagam, tylko nie teraz.

—
Czy może jeszcze inaczej mam to
rozumieć? — zapytała. *Rany boskie.*

—
Nie, nie. Chodzi o tę całą historię — o to,
że jestem świadkiem i tak dalej.

—
A dokładnie o co? — Nie odpuszczała;
było jasne, że domaga się rzeczowej
odpowiedzi. Peł am pomyślał, że to potwornie
niesprawiedliwe być zmuszonym kłócić się z
kimś, z kim się nawet nie sypia.

—
To wszystko pochłania strasznie dużo
mojego czasu.

—
Ale chyba nie w tej chwili.

—
Tak się składa, że owszem. Wystąpiły

427

—
pewne komplikacje.

—
Komplikacje? Myślałam, że ich nie

lubisz. — Teraz usiłowała się z nim droczyć.

Może to znak, że ich kłótnia dobiegła końca.

—

Sam nie wiem... — Cały czas miał przed oczami obraz agenta FBI, jak zdumiony osuwa się na podłogę i upada. Tak to wyglądało. Upadł, a potem był już martwy. Tak po prostu.

Nina naciskała. Musiała się z nim zobaczyć.

— Proszę cię, John.

Mężczyzna nadal tam leżał, gdy Pel am poszedł do kuchni i zaczął wyciągać spod zlewu worki na śmieci, żeby owinąć nimi ciało.

Usłyszał swój własny głos: — Mówisz, że to tylko dwadzieścia minut stąd?

Ponieważ jego brat był stolarzem i wielokrotnie zabierał go ze sobą na budowę, Stevie Flom umiał docenić dobrą robotę. Sprawiał mu przyjemność widok dopasowanych do siebie belek i wsporników oraz to, w jaki sposób profilowany gzyms idealnie przylegał do rogów sufitu. Tego wieczoru przechadzał się po ciemnej piwnicy zrujnowanego wiktoriańskiego

domu na nabrzeżu i oceniał stolarkę. Nieźle, całkiem nieźle.

Mimo że nie potrafił zrozumieć, dlaczego

428

ktokolwiek mógłby chcieć remontować dom w miejscu, gdzie jedynymi atrakcjami były widoki cementowni, bankrutującego kempingu i

Wyspy Pelikanów.

Stevie ponownie przyjrzał się sufitowi.

Podobały mu się drewniane wsporniki, użyte tutaj zamiast metalowych, stosowanych przez większość budowlańców. Znaczyło to, że ściana będzie nie tylko ładna, ale i solidna.

Zerknął na przewody. Elektryczność zawsze go ciekawiła. Całkiem dobrze radził sobie z hydrauliką i mechaniką, ale elektryczność była dla niego czymś egzotycznym. Dlatego zawsze chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Zauważył, że cementowa posadzka jest w dość kiepskim stanie. W wielu miejscach zapadła się i popękała. Zwrócił uwagę na ślady po stojącej wodzie. Brat zawsze mu powtarzał, że jest to pierwsza rzecz, na jaką trzeba zwracać uwagę, oglądając piwnicę. Na ślady po stojącej wodzie.

Stevie żałował, że nie wziął ze sobą czegoś do czytania. Pomyślał o swoim staruszku, który w piwnicy ich rodzinnego domu trzymał całe sterty gazet i roczników magazynu „Time” — całe góry makulatury — między którymi zmyślnie poutykane tkwiły wydania

429

„Playboya”; miejsca ukrycia czasopisma zaznaczone były patyczkami. Tutaj jednak nie było nic do czytania — nic poza instrukcją obsługi bojlera oprawioną w plastik. Jego brat przyniósł też kiedyś z pracy trzysta dolców, które znalazł w książce podczas remontu jakiegoś domu w Alton. Niestety, miejsce, w którym Stevie się znajdował, nie było niczym innym, jak tylko starą piwnicą.

Ze śladami zalania.

Miał straszną ochotę na papierosa, ale wiedział, że nie powinien palić. Popiół mógłby zostać wykorzystany jako dowód podczas dochodzenia. Widział kiedyś coś takiego w którymś z odcinków serialu „Magnum”. Wtedy taki dowód pozwolił wytropić zabójcę. A może to była powtórka „Matlocka”?

Podszedł do lufcika i wyrzał na zewnątrz,

przez ulicę, na świecące pustkami pole

kempingowe.

Zastanawiał się, kiedy ten facet od piwa

zamierza wreszcie wrócić.

Wtulił twarz we włosy Niny i odetchnął

głęboko.

Podobał mu się ten zapach. Piżmowy,

zwierzęcy, z domieszką potu i perfum.

Odetchnął raz jeszcze i obudził ją.

—

Hm? — zamruczała.

430

—

Spij — szepnął Pel am.

—

Właśnie spałam.

—

Postaraj się zasnąć.

—

Uhm.

Chociaż nastrój Pel ama sprzed paru godzin

wcale tego nie zapowiadał, do uwiedzenia

jednak doszło.

Cranston, położone kawałek od autostrady,

było znacznie mniejsze od Maddox, bardziej zamożne i bardziej kiczowate. Typowy małomiasteczkowy nadrzeczny kurort z całym mnóstwem sklepów sprzedających antyki, pamiątki i różnorakie cudeńka. Nina musiała być ich częstą bywalczynią; w jej mieszkaniu pełno było kraciastych poduszek, haftowanych makatek przedstawiających dzieci trzymające się za ręce, wizerunków gęsi przebranych w stroje kolonialne, drewnianych serduszek, pluszowych zwierzątek i sztucznych kwiatów. Pełno am nie cierpiał tego rodzaju bibelotów. Miał nadzieję, że sypialnia Niny okaże się nieco mniej przesłodzona, ale oczywiście wyglądała dokładnie tak samo, jak reszta pomieszczeń. A nawet gorzej, ponieważ hobby Niny była również fotografia. Chociaż „fotografia” to może za dużo powiedziane. Pstrykanie fotek. I właśnie w sypialni znajdowała się cała kolekcja jej zdjęć — pięćdziesiąt,

431

sześćdziesiąt, a może nawet okrągła setka, wszystkie oprawione w śliczne plastikowe, metalowe albo porcelanowe rameczki. Zajmowały całą półkę nad kaloryferem,

parapet i blat nocnej szafki. Peł am bał się
wykonać jakikolwiek gwałtowniejszy ruch.

Kochali się pod spojrzeniami licznych
członków rodziny Niny; w jednym szczególnie
namiętym momencie okrągła ramka spadła
na podłogę, odbiła się kilka razy, a potem
długo toczyła się, potwornie Peł ama
rozpraszać.

O, tak. Został uwiedziony.

Chociaż w dosyć dziwny sposób.

Powitała go na progu ubrana w biały T-shirt i
krótką, obcisłą, ciemnoszarą spódnicę. Nie
miała pończoch i na bosaka przypominała mu
Lynn Redgrave z filmu „Georgy Girl”. Zamówili
wołowinę po chińsku i makaron na zimno z
sosem sezamowym, po czym zjedli to
wszystko, oglądając kiepski film w telewizji.

Nina była nim jednak zachwycona. To był
kryminał. Peł am widział, jak jej wargi
poruszają się, gdy szeptem podsumowywała
poszlaki, usiłując odkryć, kto jest mordercą.

Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem.

Oparła się o niego i pocierając głową o jego
policzek oznajmiła, że winnym jest szwagier

ofiary.

Nie miała racji. W ułamku sekundy znudziła się telewizją. Gdy tylko zapowiedziano „Seans o północy”, wyłączyła odbiornik, podciągnęła wyżej spódnicę i usiadła mu na kolanach, bez skrępowania serwując mu widok swoich siermiężnych białych majtek. Potem zaczęła go całować. Zarzuciła mu ręce na szyję i gwałtownie przycisnęła usta do jego warg, wpychając mu język do środka i desperacko rzucając biodrami.

Peł am czuł jej smak na równi ze smakiem chińszczyzny. Jej niespodziewany atak kompletnie go zaskoczył i minęła dobra chwila, zanim zdołał dotrzymać jej kroku.

—
Zaczekaj — wyszeptała. — Muszę ci coś powiedzieć.

W odpowiedzi zdjął z niej T-shirt. Miała na sobie srebrzyście połyskujący, niemal przezroczysty stanik, bez przekonania podtrzymujący jej obfity biust, którym bez przerwy ocierała się o jego klatkę piersiową.

—
Co takiego? — wydyszał.

Znowu go pocałowała. — To bardzo ważne.

— Znowu zaatakowała go piersiami, więc nachylił się ku jednej z nich. — Posłuchaj mnie — szepnęła z naciskiem. W jej głosie słychać jednak było namiętny żar, więc

433

zignorował jej prośbę. Zamiast tego całował ją przez okrągłą minutę. — *Przestań. Mówię poważnie.* — Odrzuciła jego wszędobyłską dłoń.

Zaskoczony Pel am uniósł głowę. Znajdowali się w pozycji półleżącej, półnadzy i ciasno objęci. Dał znak, że słucha jej uważnie, lecz ona milczała. Przyszło mu do głowy, że nie ma nic bardziej absurdalnego niż widok dwojga ludzi w sytuacji, w której powinni uprawiać seks, a tego nie robią.

—
Nie chcę, żebyś został u mnie na noc — rzuciła wreszcie. Pel am zaczął szukać zapięcia przy jej staniku.

To właśnie chciałaś mi powiedzieć?

Wyjaśnisz mi więcej w miarę, jak będziemy

się dalej posuwać.

—

I mam owulację — wyznała takim tonem,
jakby zdradzała mu ściśle strzeżoną tajemnicę
handlową.

—

Będę uważał.

Zamrugła powiekami i wpiła się wargami w
jego usta. Kiedy po dłuższej chwili oderwali
się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza,

Nina podjęła temat: — Będziesz musiał

założyć kondom, to *oczywiste*. Ale chodzi mi o to, żebyś zbyt wiele sobie po tym nie
obiecywał. Nie panuję nad sobą. To tylko

434

przez hormony.

—

Wszystko mi jedno. — Był całkowicie
szczerzy. Jego dłoń muskała ażurowy,
połyskliwy materiał jej stanika.

Odchyliła się do tyłu i przycisnęła mu palec do
ust. — Musisz mi obiecać, że nie zostaniesz u
mnie na noc.

—

Jesteś piękna — wyszeptał.

—
Ci i. — Zmarszczyła brwi. — Obiecuj.

Jak brzmiała jej prośba? — Jasne, obiecuję.

Ale i tak jesteś piękna.

—
Nieprawda.

—
Ale mogę zostać chociaż na kilka minut?

Znowu go pocałowała. — Byle nie na całą noc. — Otarła się o niego i uśmiechnęła jak psotna dziewczynka, a on uwierzył, że to, co na moment w tak tajemniczy sposób przyćmiło ich uniesienie, minęło i już nie wróci.

Godzinę później, leżąc w ogromnym łóżku (ogromnym dla niego; mieszkając w przyczepie, przyzwyczał się do ciasnych łóżek) i wdychając zwierzęcy zapach jej skóry, Peł am poczuł się lepiej. W życiu zdarzały się takie chwile, kiedy nie liczyło się nic poza tym — byciem z drugim człowiekiem tak blisko, jak to możliwe; skóra przy skórze, zmieszany pot, cisza i zapach spowijający splątane ciała.

Poczuł ponowny przypływ podniecenia.

Przesunął dłoń w dół jej brzucha i dotknął
jasnych, kręconych włosków, równie cienkich i
delikatnych, jak te na jej skroniach.

Znowu odtrąciła jego rękę — tym raz
uderzając go mocniej, niż w jego odczuciu na
to zasługiwał.

—
Wszystko w porządku? — Pel am
wielokrotnie wypowiadał te słowa w
podobnych sytuacjach. Pytanie było czysto
retoryczne i spełniało funkcję wentyla
bezpieczeństwa, torując drogę innym słowom,
które musiały lub miały zostać wypowiedziane.

Nina szepnęła: — Muszę ci coś powiedzieć.

—
Tak, wiem, to tylko hormony —
zażartował Pel am. — Nie ma sprawy.

Wszystko rozumiem. — Zaczął całować jej
włosy. Ale odsunęła się. — Mam sobie pójść?

— zapytał, już na dobre obrażony.

—
Owszem. Chociaż jeszcze nie w tej
chwili.

—

Jesteś piękna — rzucił, starając się
ratować resztki romantycznej atmosfery.

—
Przestań to ciągle powtarzać. —

Szorstkość w jej głosie wynikała mniej z
poirytowania, a bardziej z roztargnienia, tak
jakby zastanawiała się, jak najlepiej wyrazić
jakąś skomplikowaną myśl i zawczasu
rozpatrywała wszystkie możliwe warianty.

436

Kiedy w końcu przemówiła, siadając i owijając się ciaśniej kołdrą, jej przekaz okazał się
znacznie mniej enigmatyczny, niż Peł am się
spodziewał. Nina powiedziała bowiem: —

Chodzi o twojego znajomego, Donniego. Tego
policjanta. Powinieneś wiedzieć, że wczoraj
się z nim przespałam...

Kiedy Stevie Flom usłyszał pisk opon wozu
kempingowego hamującego na mokrym
asfalcie, natychmiast wstał, zahaczając
wierzchem dłoni o wystający gwóźdź.

—
Cholera — zaklął pod nosem i dotknął
językiem niewielkiej ranki. Poczul krew i rdzę.

Przez chwilę rozważał, czy nie powinien

zgłosić się do lekarza na zastrzyk przeciwtężcowy. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że jeśli po odkryciu ciała policjanci przeszukają budynek i znajdą krew na gwoździu, zaczną wydzwaniać po szpitalach i pytać o ludzi, którym w ostatnim czasie zaaplikowano taki zastrzyk. Był dumny, że zawczasu na to wpadł.

Po raz trzeci tego wieczoru sprawdził swoją berettę. Wolno odciągnął rygiel zamka; komora była pełna, podobnie jak zapasowy magazynek. Wybrał naboje małego kalibru — zaledwie 0,22 cala, krótsze nawet od standardowej amunicji używanej w długiej

437

broni. Ale miały swoje zalety. Po pierwsze, niepotrzebny był tłumik. Po drugie, broń była na tyle krótka, a siła odrzutu tak mała, że można było oddać całą serię szybkich strzałów z bardzo niewielkiej odległości.

Grunt to znać swój fach.

Stevie patrzył, jak rozkołysana przyczepa zatrzymuje się na kempingu. Z samochodu wysiadł mężczyzna, podczepił giętki wąż do kanalizacji, a gruby przewód elektryczny

podłączył do skrzynki rozdzielczej. Potem

wszedł do przyczepy.

Stevie opuścił solidnie zbudowaną piwnicę ze

śladami stojącej wody na ścianach. Odciągnął

kurek i odbezpieczył broń, po czym szybkim

krokiem przeciął River Road.

Uważał teraz, że popełnił błąd.

Pał sześć, co powiedziała, a czego nie.

Pel am powinien był z nią zostać.

Była to jedna z zasad obowiązujących w

związkach, których uczymy się na własnej

skórze. Czasami trzeba wyjść, a czasami

trzeba zostać; żeby wiedzieć, które posunięcie

jest właściwe, należy błyskawicznie

analizować dane.

Zamykając drzwi przyczepy, Pel am rozważał

w myślach tę skomplikowaną kwestię.

Skomplikowaną, ponieważ szczerze wątpił,

438

aby on sam czy jakikolwiek inny mężczyzna zdobył się na to, na co zdobyła się ona. Takie

wyznanie? Owszem, w odpowiedniej chwili

(no, może). Ale w sytuacji, gdy leżysz w łóżku

ze śladami zadrapań jej różowych paznokci na

swoich ramionach?

Nigdy w życiu.

—

Przez jakiś czas graliśmy w karty —
wyjaśniła. — W ogóle nie powinno mnie tam
być. Godziny odwiedzin dawno już się
skończyły. Siedziałam na jego łóżku. Jest taki
wrażliwy. Nigdy nie pomyślałabym, że
policjant może taki być. Ale on jest wrażliwy.
Zdradziły go ręce. Są bardzo delikatne.

Błagam, oszczędź mi szczegółów.

—

Jego żona to wariatka, a on jest
strasznie przygnębiony. Powiedział mi, że
ludzie nie chcą go odwiedzać, bo nie może
chodzić. Tak jakby się go bali. Myślę, że to
bardzo dziwny człowiek.

—

Fakt — zgodził się Pel am.

—

I tak to poszło, od słowa do słowa. Nagle
zaczął płakać. Płaczący mężczyźni zawsze
mnie wzruszali. Powiedział, że boi się, że...
No wiesz, że już nie będzie mógł. Strasznie
się tym dręczył. Chyba nawet bardziej niż tym,

że już nigdy nie będzie chodził. Zapytałam,
czy mogę go przytulić. Usiadłam na łóżku i

439

tak... — Wzruszyła ramionami; jej piękne, pełne piersi, które na przestrzeni dwóch dni
pieściło dokładnie tyłu mężczyzn, wysunęły
się spod kołdry. Zaraz jednak je przykryła.

—
I okazało się, że jednak, hm, może? —

zapytał Pel am. Nie powinien był w ogóle
poruszać tego tematu. Zapomniał, że
rozmawia z Królową Szczegółu.

—
Jeszcze jak — odparła z entuzjazmem.

— Zrobiliśmy to dwa razy. Oboje byliśmy
naprawdę zaskoczeni.

Dwa razy?

Pel am pomyślał: — *A mnie* dałaś po łapach,
kiedy chciałem to zrobić drugi raz. Jako że
powiedzenie tego na głos nie wchodziło w grę
— nie chciał wydać jej się dziecinny — musiał
inaczej okazać jej swoje rozgoryczenie.

Gwałtownie wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

— Lepiej już sobie pójdę.

—

Nie gniewaj się na mnie, John. Bardzo

cię przepraszam. Zaczęła płakać.

—
Nie gniewam się.

—
Kiedy zobaczyłam, jak leży tam taki
smutny...

—
Dobrze zrobiłaś. Wiem, jak bardzo mu
było ciężko... — pocieszał ją łagodnie; mimo
to ubrał się w ciągu trzech minut, a po pięciu
był już za drzwiami.

440

E, tam — myślał teraz — jednak trzeba było wyjść. Dobrze, że to zrobiłem.

Wszedł do maleńkiej łazienki, ściągając po
drodze koszulę. Na materiale wyczuł woń jej
perfum. Odkręcił prysznic. Podłączenie do
kanalizacji pozostawiało wiele do życzenia —
ciśnienie było niskie, a woda pełna substancji
mineralnych, w związku z czym mydło nie
chciało się pienić i pozostawiało na ciele
nieprzyjemny osad.

Przeszedł do części sypialnej i opróżnił
kieszenie, rzucając na łóżko portfel, kluczyki

oraz kilka drobnych. Zostawiając je w nieładzie, pomyślał, że jednak bardzo ceni sobie swoją samotność. Potem ściągnął spodnie i wszedł pod prysznic.

Stevie Flom stwierdził, że nie może zastrzelić kogoś, kto jest nagi. Usiadł więc okrakiem na fotelu kierowcy i przyjrzał się odrapanej desce rozdzielczej. W tle słyszał warkot elektrycznego silniczka pompującego wodę i szum prysznic. Polizał zranioną dłoń. Nagle poczuł się strasznie zmęczony i doszedł do wniosku, że urlop dobrze by mu zrobił. Z dala od **Ralpa Balesa**. Z dala od **Lombro**. Z dala od tej zafajdanej nadrzecznej miejsciny.

Postanowił, że zarobione na tej robocie pieniądze przeznaczy na dwumiesięczne

441

wakacje w Las Vegas. A będąc tam, mógłby rozejrzeć się za jakąś pracą. Spodobała mu się wizja rozświetlonych kasyn czynnych dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do tego darmowe drinki i chętne ciała. I zona oddalona od niego o wiele godzin jazdy.

Uznał, że to nawet zabawne — zabić kogoś, czyjego nazwiska się nie zna. Rozejrzał się po kabinie i znalazł identyfikator uprawniający do

wejścia na plan. W ten sposób dowiedział się,

że facet od piwa naprawdę nazywa się John

Pel am.

Pel am, Pel am — powtarzał w myśli.

Woda przestała syczeć.

Odgłos kroków. Zatrzeszczała podłoga
przyczepy. Drzwi łazienki otworzyły się. Stevie
poczuł zapach szamponu do włosów. Uniósł w
górze broń.

Pel am, ubrany w gruby brązowy szlafrok i
skarpetki, wyszedł z łazienki na korytarz.

Zamrugnął powiekami. — Jak pan się tu
dostał? Kim pan jest?

Stevie Flom uśmiechnął się chłodno.

Jednocześnie poczuł nagłą falę mdłości i żar
wypalający mu wnętrzności. Zaczęły mu drżeć
ręce. Zęby, obnażone w przerażającym
uśmiechu szaleńca, szczękały mu jak w
febrze. Wycelował pistolet w Pel ama, który

442

coś do niego mówił, chociaż Stevie nie słyszał
ani jednego słowa. Nie wiedział, czy tamten
krzyczy na niego w gniewie, czy błaga, żeby
go nie zabijać. Zdenerwowanie całkowicie nim

zawładnęło; zaczął się gwałtownie pocić.

Przycisnął prawy łokieć do boku, żeby
opanować drżenie ręki. Nic z tego. Trzęsła mu
się głowa, drżał mu kark. Przechylił głowę raz
w jedną, raz w drugą stronę, jakby chciał
wytrząsnąć z siebie niepokój niczym pływak
wodę z uszu. Mimo to nadal cały dygotał.

Próbując opanować zdenerwowanie, kazał
Pel amowi usiąść. Lecz tamten nadal stał
wyprostowany, wpatrując się w niego z furją,
głuchy na jego polecenia.

— *Siadaj wreszcie* — warknął Stevie.

Jednocześnie głośno przełknął ślinę,
zagłuszając własne słowa.

Pel am nie usłuchał. Zaczął wodzić wzrokiem
po przyczepie. Do Stewiego dotarły urywki
zdań. — ...mojego przyjaciela? ...*Ty* to zrobi-
łeś? ...mój motocykl?

Stevie przełożył broń do lewej ręki, a prawą
wylał o spodnie. Potem znowu chwycił
pistolet. Pel am zrobił dwa kroki w bok, chwycił
pustą butelkę po winie i trzymał ją w ręce jak
kij bejsbolowy. — No dobra — rzucił.

No dobra? Co ma znaczyć to: „No dobra”? On

ma butelkę, ja mam pistolet. O co mu u diabła chodzi z tym „No dobra”?!

W myślach kazał sobie mocno chwycić
pistolet i wycelować, po czym zorientował się,
że robi to już od pewnego czasu. Zrobił krok w
stronę Pel ama. *Co on u diabła miał na myśli,*
mówiąc „No dobra”? Stevie cofnął się.

Pociągnij.

Nic się nie wydarzyło. Jego palec w ogóle nie
zareagował. Popatrzył na swoją dłoń. Kolejny
błąd.

Pociągnij za ten cholerny spust. Zdał sobie sprawę z tego, że porusza wargami. Może
nawet powiedział to głośno.

Pel am rozkazał mu: — Rzuć broń.

Nagle Stevie poczuł kompletną pustkę w
głowie. Jednym wściekłym ruchem podniósł
dłoń z pistoletem, wymierzył prosto w pierś
Pellama, zamknął oczy i zaczął pociągać za
spust.

Otoczyła go chmura szklanego pyłu.

Niebieskawy dym i tysiące odłamków tego, co
przed chwilą było jeszcze szybą w oknie
przyczepy, spowiły Stewiego Floma. Miał
wrażenie, że wybuch rozległ się ułamek

sekundy później, gdy pył i szkło opadły już na podłogę.

Stevie Flom odwrócił się w stronę okna;

444

mięśnie jego ciała nareszcie były rozluźnione, ani śladu nerwowych drgawek. Stanąwszy twarzą do pustego okna powiedział: —

Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Po tych słowach osunął się na podłogę.

Drzwi przyczepy otworzyły się z hukiem i do środka wpadł jakiś mężczyzna, wypełniając niemal całe pomieszczenie swoją potężną postacią. Miał na sobie sportową marynarkę i dżinsy. Poruszał się szybko na swoich drobnych stopach, ignorując Pel ama, który prędko zszedł mu z drogi.

Co tu się właściwie dzieje, do cholery?

Mężczyzna zgasił światło.

—

Kim pan właściwie...?

—

Cicho — warknął tamten.

—

Jasna sprawa — odparł Pel am. Z

kuchennej wnęki padał jasny blask, nadając
wszystkiemu nierealne kształty — zupełnie
jakby znajdowali się w gabinecie krzywych
luster w wesołym miasteczku. Mężczyzna i
tam wyłączył światło. Potem podszedł do okna
i wyjrzał na zewnątrz. W ciemności Pel am
odważył się zadać mu pytanie: — Jest pan
policjantem?

—
Ci i. — Mężczyzna przykucnął przy

445
Steviem Flomie, przyłożył palce do jego szyi, schował do kieszeni jego małą berettę, po
czym podszedł do okna wychodzącego na
drugą stronę przyczepy i długo przez nie
wyglądał. Następnie odwrócił się i spojrzał na
rękę Pel ama, w której ten nadal ścisnął szyjkę
butelki po jabłkowym winie. — Potrzebne ci to
do czegoś? — Mówił niewyraźnie, ale bez
śladu akcentu.

—
Nie, skąd. — Pel am odstawił na bok
butelkę.

—
Ty jesteś Pel am?

Przytaknął i zapytał: — A pan kim jest?

—

Tom Stettle. Pracuję dla niejakiego pana

Crimminsa. To on...

—

Crimminsa?

—

Petera Crimminsa.

Pel am zerknął na Steviego. — Przecież to *on*

pracuje dla Crimminsa...

—

O, co to, to nie, stary. Wykluczone —

odparł rzeczowo Stettle. — Pan Crimmins

zatrudnił mnie, żebym miał na ciebie oko.

—

Och. — Pel am znowu spojrzął na

nieruchome ciało. — W takim razie co to za

jeden?

Stettle nie odpowiedział; zamiast tego schylił

się i zaczął opróżniać kieszenie Steviego. —

Miał cię zabić.

446

—

O co tu właściwie chodzi?

Nie odrywając się od swojego zajęcia, Stettle odparł: — Pan Crimmins wie, że nie widziałeś go w tamtym samochodzie tego wieczoru, kiedy zginął Vince Gaudia. Nie miał nic wspólnego z tym zabójstwem. Chce, żebyś przeżył i mógł to potwierdzić. Dlatego posłał mnie, żebym cię ochraniał. Ale muszę powiedzieć, że niełatwo cię upilnować.

Na ciele Steviego Floma nie widać było żadnych śladów krwi. Czy aby na pewno był martwy?

Pel am zadał to pytanie Stettle'owi, który sprawiał wrażenie zaskoczonego. — Pewnie, że nie żyje. Pomógłbyś mi, co? Przeniesiemy ciało do mojego wozu. Zajechałem tu dzisiaj przypadkiem. Można powiedzieć, że miałem fart. Nie spodziewałem się, że ten już tutaj będzie. Myślałem, że załatwię cię na ulicy, tak jak załatwili Gaudię.

—
To on strzelił do tamtego policjanta?

—
Nie wiem. Pewnie tak — odparł Stettle.

— Masz jakieś worki na śmieci?

—
Słucham?

—
Worki na śmieci. Najlepiej te z grubej
foli .

—
Mam.

Pel am poszedł do kuchni i wypił duszkiem

447

całą szklankę wody. Odwrócił się i zobaczył

Stettle'a stojącego w drzwiach i

przyglądającego mu się uważnie. — Też się

pan napije?

—
Z przyjemnością.

Pel am nalał jeszcze jedną szklankę i podał

mu. Stettle wziął ją w swoją wielką dłoń.

Pel am zapytał: — Nie widział pan gdzieś

przypadkiem tego drugiego?

—
Jakiego drugiego?

—
Było ich dwóch. — Pel am wskazał

leżącego na podłodze Stevie-go Floma. — To

nie tego widziałem, jak wysiadał z lincolna.

—

Nie? — Stettle upił łyk wody. — Czyli jest jeszcze jeden?

—

Tak. Zwalisty facet. Łysawy.

Stettle skrzywił się. — Zrobię, co będę mógł, żeby cię nie dorwał. Ale nie mogę z tobą zamieszkać. Po dzisiejszym — ruchem głowy wskazał ciało Steviego — ten, kto siedział wtedy w tamtym samochodzie, nie odpuści, dopóki cię nie dostanie. Przydałby ci się urlop.

Weź sobie rok wolnego, albo coś w tym rodzaju.

—

Ostatnio ciągle to od kogoś słyszę.

Widać było, że Stettle chce jak najszybciej wyjść. Dopił wodę i dokładnie wytarł szklanekę papierowym ręcznikiem, którym później prze-

448

tarł wszystko, czego dotykał w przyczepie.

—

Będziesz musiał wstawić sobie nowe

okno — zauważył i łokciem wybił resztki

szyby.

Pel am domyślił się, że nie chciał zostawić śladu po kuli.

Obserwując wylatujące na zewnątrz odłamki, powiedział: — Chyba powinienem panu podziękować. To znaczy...

Jego wdzięczność nie zrobiła na Stettle'u wrażenia. Zmoczył pod kranem papierowy ręcznik, noszący odciski jego palców, zwinął go w kulę i wepchnął do kieszeni. — Te worki na śmieci? — powtórzył.

—
Już się robi. — Pel am podał mu kilka worków.

—
A gumowe rękawice?

—
Rękawice?

—
Najlepiej lateksowe.

Pel am znalazł dwie pary używanych rękawic.

Włożyli je, on i Stettle. — Chodzi o krew. Nie zaszkodzi być ostrożnym.

Po chwili John Pel am drugi raz w ciągu

dwóch dni zawijał martwe ciało w zielone
foliowe worki. W całe pięć metrów foli .

Zdejmuje brązową sukienkę.

Widok opadającego na krzesło materiału

przeraża go. Czuje zapach perfum o

449

owocowej nucie.

Ona wyjmując spinki ze swoich delikatnych

włosów, które swobodnie opadają jej na kark.

Wyglądają jak białe światło i kończą się tuż

nad jej pełnym biustem. Przeciąga po nich

dłońmi, od szyi, przez piersi, w dół, aż do

pasa. Potrząsa głową. Widok jej włosów

przeraża Don-niego Buffetta.

Bez słowa nachyla się nad nim i pozwala, aby

jej loki opadły mu na twarz i ramiona. On nie

odrywa spojrzenia od jej włosów. Jest przera-

żony, ale nie potrafi odwrócić wzroku. Dotyka

ich, pociera palcami, waży w dłoni ich ciężar.

Nie. Nie rób mi tego. Proszę. Nie...

Patrzy w dół na niego i widzi w jego twarzy

przerażenie.

Chcę już zasnąć. Chcę...

Ona jednak pochyla się niżej, z lekkim

uśmiechem na ustach. Spowija go

truskawkowo-korzenna woń jej perfum; ona

zaczyna go całować, przyciskając mocno

wargi do jego ust. Czuje jej język, sam czubek

języka dotyka jego warg, a potem rozchyła je i

wciska się do środka. Kobieta żarłocznie go

całuje.

Donnie Buffett drży.

Ona odsuwa się od niego.

Ma na sobie spory, połyskujący srebrną nitką

450

stanik, pas do pończoch, pończochy i białe majtki. Wszystko białe, wszystko koronkowe i

migoczące w przytłumionym świetle.

—

Posłuchaj — mówi Donnie Buffett, pocąc

się obficie. — Me rób tego...

—

Ci i. — Znowu nachyla się nad nim i

całuje go. Pod cienką jedwabną tkaniną czuje

napierające na niego piersi. Ona o tym wie i

całując go, pociera nimi o jego klatkę

piersiową. Jej język wsuwa się głębiej. On nie

wie, co robić. Odwzajemnia jej pocałunek.

Jest ciekaw, czy coś poczuje, czy poczuje to

podniecające ciepło i mrowienie, ale nie, nie czuje. Wtedy pragnie, żeby sobie poszła, pragnie tego bardziej, niż czegokolwiek w życiu...

Ona znów się odsuwa i nie przestaje się uśmiechać. Przerażony błaga ją, żeby sobie poszła. — Chodzi o to, że po tym wypadku...

Jak już mówiłem. Ty...

Odwraca się do niego tyłem, całkowicie ignorując jego protesty. Słyszy jej cichy szept:

— Pomóż mi.

Jego ramiona opadają bezsilnie. — Przykro mi...

—

Proszę — szepcze ona. — Zrób to dla mnie. Możesz to zrobić dla mnie?

Niezwykłe, jak te słowa wszystko zmieniają.

451

Podnosi ręce i rozpina jej stanik, a ona siada na nim, kładzie sobie jego dłonie na piersiach i zmusza go, aby je ścisnął. Jej kark jest kilka centymetrów od jego ust. Nachyla się ku niej i zanurza twarz w chmurze jej włosów.

Smakuje je. Czuje aromat truskawek. Kiedy ona ociera się o niego, ma wrażenie, jakby oboje znajdowali się pod wodą, a ich ciała

unosily się obok siebie niesione prądem.

Odwraca ją twarzą ku sobie i głęboko całuje.

*Ona zsuwa się z łóżka i stojąc przed nim,
zdejmuje majtki. Widzi kępkę jasnych włosów.*

*One też go fascynują; są tak delikatne, że
prawie niewidoczne; wygląda to jak nieostre
zamglenie w miejscu, w którym łączą się jej
nogi. Ona zaczyna się dotykać, przesuwając
dłońmi po całym ciele, chwytając w dłonie
pukle włosów i rozpościerając je na swojej
skórze.*

*Potem znowu wskakuje na łóżko, siada na
nim okrakiem, nachyla się, całuje jego klatkę
piersiową i brzuch, odsuwając na bok pościel.*

*On mruczy cicho: — Me, nie, nie, ale to nic nie daje, jego usta są tam, gdzie są, a ona go
nie słyszy. Milknie więc i myśli już tylko: „Do
diabła, zrobmy to, zrobmy, zrobmy...”*

To wspomnienie — nie fantazja — było wciąż
żywe w pamięci Don-niego Buffetta, kiedy

452

otworzył oczy i zobaczył Johna Pełlana stojącego w drzwiach jego szpitalnej sali.

Buffett zamrugał powiekami, a potem

odchrząknął. — Siemasz, szefie. Nie

spodziewałem się ciebie.

—
Witaj, Donnie. — Peł am wszedł do
środka. Jego buty wyjątkowo głośno
skrzypiały, kiedy stapał po podłodze.

O Chryste. On już wie.

—
Posłuchaj, John... — Buffett spojrział na
ciemny ekran telewizora, a potem na rządęk
wazonów z kwiatami. Poczuł, jak jego twarz
robi się napięta i gorąca, jakby od środka
wypełniała ją para. *O cholera. Oto facet, który
kupił mi piwo i traktował mnie jak normalnego
człowieka, który po wypadku jako pierwszy i
jak na razie jedyny posłał mnie do diabła,
żadnej taryfy ulgowej, żadnego owijania w
bawełnę, a ja co robię? Pieprzę jego kobietę.
O cholera, cholera jasna...*

—
John, posłuchaj mnie... Zamierzałem ci o
tym powiedzieć. Peł am uśmiechnął się, co
sprawiło, że Buffett poczuł się po stokroć
gorzej.

—
Nie planowałem tego. Wiem, że robiłem

sobie z siebie żarty i gadałem o kanapowych
castingach, ale przecież nie powiedziałem jej:
„Zobacz, jaki jestem biedny, bo w ogóle mi nie

453

staje". Nie zwabiłem jej tutaj podstępem.

*Chociaż prawdę mówiąc, to właśnie na nią
podziałało.*

—

Nie ma sprawy, Donnie.

—

Nie twierdzą, że to ona się na mnie
rzuciła. Nigdy bym czegoś takiego nie
powiedział, tylko po to, żeby uniknąć
odpowiedzialności, wiesz? Ale byłem taki
przygnębiony i tak dobrze mi się z nią rozma-
wiało... Objęła mnie wtedy i... Tak jakoś samo
wyszło. *Naprawdę* chciałem ci o tym
powiedzieć. Uwierz mi, stary. Ale kiedy
ostatnim razem przyszedłeś, byłeś, no wiesz,
tak bardzo wstrząśnięty śmiercią swojego
kumpla, że...

—

Ona nie jest dla mnie — odparł Pel am.

—

Nie, nie, ona bardzo cię lubi. Wiem, że
tak jest. — *Moment. Czy on przez to poczuje
się lepiej czy gorzej?* — To, co się stało...

—
Donnie, ja nie mam do niej żadnych
praw.

—
Ja po wszystkim powiedziałem jej, jaki z
ciebie świetny facet — odezwał się ostrożnie
Buffett.

Pel am usiadł na krześle. — Nie przyszedłbym
tu dzisiaj, gdybym był na ciebie zły.

Buffett nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać,
więc po prostu wyciągnął rękę. Z powagą

454

wymienili uścisk dłoni, chociaż Pel am sprawiał wrażenie rozbawionego jego oficjalnymi
przeprosinami. — Donnie, potrzebuję twojej
pomocy.

—
Mów. Dla ciebie wszystko. Moi kumple
nadal cię niepokoją? Każę im się od ciebie
odczepić, John. Nie przejmuj się już tym. Jeśli
będzie trzeba, zadzwonię do samego
burmistrza.

Pel am zerknął na tacę z nietkniętą kolacją.

Zapytał: — Przełamiesz się ze mną chlebem?

Na zgodę. Cały dzień nic nie jadłem.

—

Częstuj się.

Chleba nie było, była za to zupa, ryż i
czerwona galaretka. Pel am zjadł zupę, a
Buffett ryż. Podzielili między sobą słone
krakersy i przełożyli galaretkę do dwóch
miseczek.

—

Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę
z tego — rzucił Buffett — jak paskudna potrafi
być szpitalna galaretka?

—

Uhm. — Pel amowi zdawało się to nie
przeszkadzać. Był głodny; poza tym zalana
mlekiem galaretka dawała się zjeść, chociaż
samego mleka prawie nie spróbował, bo jadł
widelcem, a Buffett łyżką.

Kawałek galaretki wysliznął się Buffetowi;
policjant gonił ruchliwą grudkę po tacy, a

455

potem po kołdrze i prześcieradle. — Psiakrew.

— Strzelił palcami, posyłając galaretkę szerokim łukiem przez całą salę. Pacnęła o ścianę, zostawiając na niej różowy ślad, po czym spadła na podłogę. Mężczyźni roześmieli się.

Pel am opowiedział Buffettowi o starej płycie swojego wuja — nagraniu kabaretowego programu z lat pięćdziesiątych. Jak się nazywał tamten gość? Chyba Del Close.

Skecz był zatytułowany „Nowomowa”. Pel am wyjaśnił, że była to historia pewnego faceta, który uzależnia się od galaretki. Zamawia jej całe talerze, prosi o dokładkę — i tak od restauracji do restauracji. Wszyscy się na niego patrzą. Jaki był jego ulubiony smak?

Chyba truskawkowy. A może malinowy. —

Chodziło o to, żeby wyjaśnić znaczenie zwrotu

„być na haju”. Tak, jakby bitnicy wymyślili jakiś nowy język. — Pel am dodał, że w dzieciństwie setki razy słuchał tej płyty.

Szczególnie podobał mu się skecz o galaretkie.

Buffett uśmiechnął się uprzejmie w oczekiwaniu na puentę, ale najwyraźniej był to już koniec anegdoty.

—
Musiałbyś to usłyszeć w oryginale —

mruknął Pel am. — I być w odpowiednim

456

nastroju.

—
Nie, nie — to bardzo zabawne — odparł

prędko Buffett. Wiedział, że przynajmniej

dzisiaj musi podlizywać się Pel amowi.

Ten jednak wyglądał tak, jakby do reszty

stracił poczucie humoru

—
podobnie jak ochotę na galaretkę i na

dalszą rozmowę. Potarł twarz dłońmi i ruchem

głowy wskazał stojący na nocnym stoliku

aparat. — Chyba muszę to wreszcie załatwić.

Podasz mi telefon?

Prokurator stanowy był w sądzie, kiedy

rozległ się dźwięk dzwonka.

Sekretarka połączyła się z pokojem Nelsona i

oznajmiła: — Mam na trójce jakiegoś

człowieka. Mówi, że to ważne. Kiedy wróci

pan Pe-terson?

—

Skarbie, po prostu zapisz, o co chodzi —

rzucił krótko Nelson.

—
Miał za sobą długą serię przesłuchań.

—
Dzwoni niejaki pan Pel am i mówi, że...

Klik.

—
Panie Pel am, *panie Pel am*. Jak miło
pana słyszeć! Mówi asystent pana Petersona,
Nelson Stroud. W czym mogę panu pomóc?

—
Chcę rozmawiać z Petersonem.

—
Czy chodzi o sprawę Crimmins'a? Pel am

457

potwierdził.

—
Czy w takim razie *ja* mógłbym panu

jakoś pomóc?

—
Gdzie on jest?

—
Pan Peterson? W sądzie. Wróci dopiero

za kilka godzin.

—

Aha. — Długa chwila ciszy.

Nelson z całej siły ścisnął słuchawkę
przekonany, że wystarczy, iż trochę głębiej
odetchnie, a ruch powietrza przerwie
połączenie.

—

Pan jest prawnikiem?

—

Asystentem prokuratora stanowego do
spraw...

—

Okej. Chcę się spotkać. *Bingo!*

—

Oczywiście, kiedy tylko pan zechce.

Proszę wybrać termin i miejsce. Dopasujemy
się do pana.

—

W waszym biurze. Chciałbym, żeby
spotkanie odbyło się w waszym biurze.

—

Jasne, nie ma sprawy. Jutro? Jutro
rano?

—
Może być jutro rano. Tylko...

—
Co takiego?

—
Jest jeszcze jeden problem. Potrzebuję

458

gwarancji z waszej strony.

—
Gwarancji. Gwarancji, tak, oczywiście. —

Nelsonowi trzęsły się ręce. To była

przełomowa chwila w jego karierze —

negocjował z koronnym świadkiem i z

przejęcia odchodził od zmysłów. — Co

dokładnie ma pan na myśli?

—
Gwarancję, że nie zostanę o nic

oskarżony — odparł Pel am.

—
Dlaczego miałby pan być o cokolwiek

oskarżony?

Chwila milczenia. — Ponieważ skłamałem,

mówiąc, że nie widziałem Petera Crimminsa

wtedy w lincolnie.

Wieczorna konferencja prasowa nie trwała długo.

Dziennikarze liczyli na jakąś sensację — na przykład oświadczenie Petersona o rezygnacji ze sprawowanego stanowiska i zamiarze kandydowania do senatu, informację, że prokuratura prowadzi sprawę przeciwko jakiejś wielkiej korporacji albo że Departament Sprawiedliwości szykuje dla fotoreporterów

459

jakiś smakowity kąsek, spektakularną akcją, po której funkcjonariusze FBI i Agencji do Walki z Narkotykami wykładają na stołach przechwycony towar — w pierwszym rzędzie uzi i browningi, w głębi za nimi foliowe woreczki z heroiną czy kokainą — po czym recytują całe poematy na temat postępów w walce ze zorganizowaną przestępczością.

Tymczasem okazało się, że jedyne, na co

mogą liczyć, to przydługa-we ględzenie

Petersona stojącego na odrapanej mównicy z pieczęcią Departamentu Sprawiedliwości.

Prokurator stanowy przemawiał monotonnym głosem, charakterystycznym dla wszystkich jego wystąpień na konferencjach prasowych.

—
Mam przyjemność poinformować państwa, że zgłosił się do nas świadek zabójstwa Vincenta Gaudi , który zgodził się zeznawać przed sądem. Jest to człowiek, którego moje biuro odnalazło zaraz po zamachu i który ze zrozumiałych względów poważnie obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Początkowo był to powód, dla którego odmawiał zeznań. Teraz jednak, otrzymawszy ode mnie zapewnienie, iż nie zostaną mu postawione zarzuty utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości, zgodził się stanąć przed sądem.

460

Ostatnie zdanie stanowiło przykład prawdziwej ekwilibrystyki słownej i dziennikarze w myślach starali się je naprędce parafrazować.

Zapytany o wiarygodność świadka, Peterson

odparł: — Miał możliwość dokładnie przyrzeć się przedniemu siedzeniu samochodu prowadzonego przez mężczyznę, który naszym zdaniem odpowiada za to zabójstwo.

Znajdował się niecały metr od kierowcy i zapewnia mnie, że jest w stanie go zidentyfikować.

Jakiś reporter zawołał, przekrzykując innych:

— Czy kierowcą samochodu był Peter Crimmins?

Peterson wiedział, jak skutecznie unikać tego rodzaju dziennikarskich pułapek; nie zamierzał dawać obronie pretekstu do tego, aby mogła zarzucić mu przedwczesne orzekanie o winie.

Odpowiedział więc ogólnikowo: — W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że świadek w sposób formalny złoży swoje zeznanie jutro o wpół do dziesiątej rano. W ciągu dwudziestu czterech godzin od tego momentu spodziewamy się dokonać aresztowania.

Następnie Peterson zręcznie zbył liczne pytania o zabójstwo, szczegółowo opowiadając o kilku ostatnio przeprowadzonych akcjach anty-

narkotykowych oraz innych najnowszych sukcesach biura prokuratora stanowego.

— Dotarły do mnie pogłoski — rzuciła

uszczypliwie jakaś kobieta

—

że aresztował pan reżysera Tony'ego

Sloana, który aktualnie kręci w Maddox swój

najnowszy film.

Peterson rzucił gniewne spojrzenie do

kamery. — To *wierutne* kłamstwo. Wytwórnia

filmowa sprowadziła do naszego okręgu dużą

liczbę broni maszynowej. Zarówno FBI, jak i

Biuro do spraw Alkoholu,

Tytoniu i Broni Palnej oraz Departament

Skarbu podejrzewały, iż zaistniały pewne

nieprawidłowości w związku z wydanymi

pozwoleniami na broń. Chcieliśmy po prostu

trzymać rękę na pulsie i upewnić się, że broń

ta nie dostanie się w niepowołane ręce. W

żadnym wypadku nie braliśmy jednak pod

uwagę możliwości podjęcia jakichkolwiek

kroków prawnych przeciwko panu Sloanowi

czy jego wytwórni. Jak rozumiem, miejscowa

policja z Maddox z jakiegoś powodu

zdecydowała się zatrzymać pana Sloana.

Nasze dochodzenie dowiodło jednak, że wszystkie dokumenty są w jak najlepszym porządku, w związku z czym podjąłem już decyzję o zwróceniu broni ekipie filmowej.

462

—
Twierdzi pan zatem, że policja z Maddox niesłusznie aresztowała pana Sloana?

—
Nie chciałbym komentować decyzji lokalnego organu ścigania. Decyzja o aresztowaniu go została podjęta w sposób suwerenny przez wydział policji w Maddox. Proszę to pytanie skierować do nich.

Kolejne pytania zostały zbyt krótkim: „Bez komentarza”. W końcu wielce zaabsorbowany Ronald Peterson opuścił mównicę, a dziennikarze zaczęli wydzwaniać do swoich agencji lub nagrywać swoje wejścia na antenę.

Większość reporterów telewizyjnych bardziej interesowała sprawa Tony'ego Sloana niż zabójstwo Gaudi ; ci zdecydowali się w materiale o aresztowaniu reżysera pokazać

przebitki z fragmentami jego filmu „Człowiek robot”.

Jednak dziennikarska rzetelność to dziennikarska rzetelność, wszyscy więc zamieścili przynajmniej krótką informację na temat świadka, który miał zeznawać następnego dnia o wpół do dziesiątej rano.

Zabójstwo Vince'a Gaudi było przecież pierwszym zabójstwem z prawdziwego zdarzenia dokonany w Maddox od niepamiętnych czasów.

Tak się jednak złożyło, że Ralph Bales grał w 463 rzutki i wiadomość o pojawieniu się świadka do niego nie dotarła. Dotarła natomiast do Phili-pa Lombro, który o dziewiątej wieczorem tego samego dnia chwycił za słuchawkę telefonu.

—
Oszukał nas — oznajmił Lombro. —

Wziął pieniądze i nas oszukał! Będzie zeznawał! — Mówił podniesionym głosem, co

po części wynikało z odczuwanego
wzburzenia, a po części z gniewu. Ale najbar-
dziej był zły na samego siebie; odczuwał
spory niesmak na samą myśl o sytuacji, która
do tego stopnia wymknęła mu się spod
kontroli.

—
Na to wygląda — zgodził się Ralph

Bales. — Jutro ma spotkać się z Petersonem?

—
O wpół do dziesiątej.

Po dłuższej chwili milczenia, podczas której w
tle słyhać było męskie śmiechy, Lombro
odezwał się: — I co zamierzasz teraz zrobić?

—
Hm, chyba zgodzi się pan ze mną, że nie
mamy zbyt wielkiego wyboru.

Lombro ciężko westchnął. Nie zgadzał się z
niczym, co mówił i co myślał Ralph Bales. Ale
to wszystko zaszło już za daleko. Zdał też so-
bie sprawę, że tamten zadał mu właśnie jakieś
pytanie, zapytał więc: — O co ci chodzi?

—
Pytałem, czy nie zgłosił się przypadkiem

do pana niejaki Stevie Flom.

—

Co to za jeden?

—

Gość, którego wynająłem.

—

Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

Dlaczego miałby się do mnie zgłaszać?

—

Bez powodu. Po prostu dawno się ze
mną nie kontaktował.

—

Czemu to miałby kontaktować się ze
mną?

—

Wspomniałem mu kiedyś, że dla pana
pracuję. Ale to nic ważnego. A jeśli chodzi o
naszą sprawę...

—

Po prostu doprowadź to do końca —
rzucił z desperacją Lombro. — Zakończ to i
już.

—

Chce pan, żebym...

—

Zrób, co będzie trzeba — brzmiały ostatnie słowa Philipa Lombro. Wypowiedział je jednak tak cicho, że z trudem pokonały prawie sześćdziesiąt pięć kilometrów przewodów telefonicznych i kiedy dotarły do adresata, były już ledwo słyszalne.

Nie było jeszcze późno; nie nadeszła nawet pora, o której zwykle kładł się spać, lecz mimo to Philip Lombro zażył dwie tabletki nasenne, włożył jedwabną piżamę i wsunął się pod kołdrę, mając nadzieję, że jutrzejszy dzień zakończy się, zanim na dobre zdąży się

465

rozpocząć.

Długo nie mógł zasnąć, dręczony myślami o tym, czego się dopuścił, myślami o zdradzie świadka i o tym, że już wkrótce będzie miał na rękach krew kolejnego człowieka. Jednak z czasem valium zaczęło działać, a on uspokoił się i w końcu mężczyzna, który miał jutro umrzeć, przestał zaprzętać jego myśli. Nie zaprzęтали ich również Vin-cent Gaudia ani

Ralph Bales.

Philip Lombro znajdował się teraz w stanie
dziwnego zawieszenia, w mrocznym,
nierealnym świecie pomiędzy jawą a snem;
fragmenty marzeń sennych przepływały mu
przed oczami niczym gnane wiatrem gazety
wirujące przed budynkiem dworca
autobusowego w Maddox. Widział twarze,
często o groteskowo zniekształconych rysach,
które rozmywały się, przybierając zupełnie
nowe kształty. Dla niego były jednak
prawdziwe, realistyczne, trójwymiarowe.
Przypominały mu obrazki oglądane przez
plastikowe trójwymiarowe przeglądarki — te,
do których wsuwało się tekturowe dyski ze
slajdami przedstawiającymi bohaterów bajek
czy kreskówek — które przed trzydziestu laty
zwykł był kupować swoim chrześniakom.

Tylko jedna twarz nie była groteskowo

466

zniekształcona. Była to twarz dziewczyny, młodej dziewczyny. Ona jedna była piękna.

Jej rysy nie zatarły się. Patrzyła prosto na
niego, Lombro nie był jednak w stanie jej
dotknąć ani do niej przemówić. Mógł ją

wyłącznie obserwować; sny tego rodzaju

wykluczały aktywny udział śniącego.

Nagle na twarzy dziewczyny odmalował się

tak wielki smutek, że Lombro aż się obudził.

Usiadł wyprostowany w łóżku, czując

przemożną chęć, aby się rozpłakać.

Pomyślał, że to jest właśnie najgorsza wada

mieszkania samotnie. Nie ma przy tobie

nikogo, kto obudziłby cię z koszmarnego snu.

O wpół do ósmej Pel am był już na nogach.

Spał w przyczepie na planie — jednym z tych

wielkich wozów kempingowych pełniących

funkcję charakterystorni. Cicho wstał i

przeszedł do łazienki, gdzie wziął letni

prysznic. Następnie umył zęby, posługując się

palcem i łyżeczką sody kuchennej. Czuł się

niewyspany i miał nadzieję, że w apteczce

znajdzie coś na pobudzenie — pigułki

odchudzające albo kofeinę w tabletkach. Nie

znalazł tam jednak nic oprócz jakiegoś

lekarstwa na receptę, o którym nigdy nie

słyszał. Na etykiecie przeczytał ostrzeżenie,

że zażywając je, nie należy obsługiwać

maszyn ani prowadzić pojazdów

mechanicznych.

A zatem pozostawała mu kawa.

Ubrał się w łazience, wkładając koszulę i dżinsy na mokre ciało; materiał natychmiast pociemniał, chłonąc wodę jak gąbka.

Przeczesał wilgotne włosy, rezygnując z użycia głośnej suszarki. Przebywał tu jako szpieg, a w najlepszym razie uchodźca, i chciał utrzymać swoją obecność w tajemnicy.

Wyśliznął się z przyczepy i zbiegł po schodach, trzęsąc się z zimna w chłodnym, jesiennym powietrzu. Poczul intensywny, błotnisty zapach i domyślił się, że to woń rzeki, chociaż z miejsca, w którym się znajdował, nie było jej widać.

Przystanął przy krawężniku, żeby przepuścić szaroniebieski samochód, który zwolnił, mijając przyczepę. Z boku widniał napis: „Bezrobotny od 117 dni”, przy czym cyfra 17 została dopisana na kawałku tektury i doklejona w miejsce poprzedniej. — Najmę się do każdej pracy — zawołał kierowca.

Odjechał jednak, zanim Peł am zdążył cokol-

wiek odpowiedzieć.

Ralph Bales czuł, że serce trzepocze mu się
w piersi jak przerażony wróbel.

Spojrzał na swoje nadgarstki, wypatrując żył;

468

był zaskoczony, że nie pulsują krwią.

Ponownie oparł dłonie na kierownicy. Ralph

Bales czekał — w skradzionym chevrolecie —

w samym centrum Maddox, przed Budynkiem

Federalnym przy Mission; czekał na Johna

Pel ama. Zaś powodem, dla którego jego

serce waliło jak oszalałe, było to, że nie

potrafił wyobrazić sobie gorszego miejsca na

to, żeby kogoś sprzątnąć.

Po drodze mijał myjnię o wdzięcznej nazwie

„Świat pełen piany”. Teraz powtarzał w

myślach te trzy słowa i jedyne, z czym mu się

one kojarzyły, to „Świat pełen glin”. Wszędzie

kręcili się agenci FBI i Departamentu Skarbu,

policjanci z miejskiej drogówki i pewnie

jeszcze funkcjonariusze biura śledczego z

Missouri — a do tego ochroniarze, którzy

ostatni raz strzelali, starając się o licencję, i

latami czekali na to, żeby przelać krew na

służbie.

Świat pełen glin.

W drzwiach budynku stało dwóch strażników w białych koszulach — potężnie zbudowane chłopcy o wielkich, kwadratowych, wygolonych łbach. Sekretarki, urzędnicy i prawnicy, w sportowym obuwiu nałożonym na eleganckie skarpetki i pończochy, spieszyli różnym krokiem do swoich biur. Wszyscy sprawiali

469

wrażenie młodych i energicznych.

Do Budynku Federalnego prowadziło kilka wejść, lecz Ralph Bales zaparkował przed tym, które uznał za główne. Domyślał się, że gdzieś musi być jedno lub dwa boczne wejścia. Z jednej strony zauważył podjazd, który mógł być zarezerwowany dla śmieciarek.

Nieźle miejsce, żeby niepostrzeżenie wprowadzić świadka do budynku. Niestety, nie miał współnika — Stevie jak dotąd się nie pokazał — i jedyne, co mógł zrobić, to obserwować główne wejście.

Specjalnie przyjechał wcześniej, sądząc, że facet od piwa dla własnego bezpieczeństwa

będzie wolał stawić się na przesłuchanie ze
znacznym wyprzedzeniem. Przez godzinę
czekał w samochodzie z włączonym silnikiem.
Tylko raz ruszył się z miejsca, kiedy zauważył
kręcącą się w pobliżu strażniczkę miejską.

Kobieta uniosła w górę swój bloczek z
mandatami i wycelowała go groźnie w jego
stronę. Nie czekał, aż zbliży się na tyle, żeby
zobaczyć jego twarz. Odjechał wolno i zrobił
kółko wokół budynku, a kiedy wrócił — jakieś
trzy minuty później — już jej nie było. Znowu
zaparkował przed głównym wejściem.

Była za dziesięć dziesiąta.

Ralph Bales patrzył, jak w powietrzu unoszą

470

się opary mgły, a promienie słońca odbijają się od wysokiego łuku; czuł metaliczny zapach
zmieszany z wonią spalin. Na wschodnim
brzegu Missisipi fabryki od rana pracowały
pełną parą. Serce nadal trzepotało mu się w
piersi... Może to wina kofeiny w porannej
kawie. Popatrzył w dół, pod nogi. Zostawił w
samochodzie papierowy kubek, niebiesko-
biały z wizerunkami greckich bogów, a może
olimpijczyków. Kubek pokryty odciskami jego

palców. Bardzo nierozważnie z jego strony.

Nachylił się i sięgnął po niego, a następnie zmiął go w dłoni i wsunął do kieszeni.

Dokładnie w tym samym momencie kosz na śmieci — jeden z tych wielkich, pomarańczowych, brudnych paskudztw — wpadł przez tylną szybę do samochodu.

Jezus Maria...

No, może niedokładnie „wpadł”. Nawet tanie amerykańskie samochody mają całkiem mocne szyby. Dolna krawędź kosza wepchnęła szybę do środka na parę centymetrów, a szkło pociemniało, pokrywając się gęstą siatką drobnych pęknięć. Kosz natomiast stoczył się z bagażnika i spadł na ulicę.

—
Co do jasnej...

Kiedy się odwrócił, żeby pociągnąć za klamkę,

471

tuż przed oczami zobaczył lufę rewolweru; drugą ręką napastnik przekręcił kluczyk w stacji.

Wtedy to do niego dotarło. Ralph Bales dokładnie zrozumiał, co się właśnie stało.

—

Położ broń z tyłu — rozkazał facet od
piwa. — Na podłodze. Ralph Bales zaczął: —

Nie mam żadnej...

Spokój w głosie tamtego przeraził go. — Położ
broń z tyłu na podłodze samochodu.

—
Okej, jak sobie życzysz.

—
Położ...

—
Słyszałem — odparł Ralph Bales. —

Właśnie zamierzałem to zrobić.

—
Natychmiast.

—
No już.

Przypomniało mu się, jak w dniu śmierci
Gaudi zaskoczył go tamten policjant. Tyle że
tym razem w pobliżu nie było Steviego Floma
udającego wariata, który wyskoczyłby z
bocznej uliczki i go uratował. Poczł nagłe,
nieprzyjemne ssanie w żołądku i pomyślał, że
już chyba wie, co spotkało Steviego Floma.
Rzucił swojego colta na tył wozu. Mężczyzna

otworzył tylne drzwi i chwycił go. Potem usiadł

z tyłu i przyłożył mu lufę swojego starego

rewolweru do ucha. — Opróżnij kieszenie.

A jeśli teraz zjawi się tu tamta strażniczka?

472

Chryste, gość może spanikować i zastrzelić ich oboje.

—

Nie mam nic w kieszeniach, to znaczy

żadnej broni czy...

—

Opróżnij wszystkie kieszenie.

Ralph Bales usłuchał, wytrząsając zawartość

kieszeni na siedzenie pasażera. Facet od

piwa przejrzał wszystko uważnie — pieniądze,

portfel, zgnieciony papierowy kubek i

scyzoryk. — Okej, możesz to schować.

Wszystko poza scyzorykiem. Scyzoryk

zostaw.

Ralph Bales zaśmiał się. — Scyzoryk? Chyba

żartujesz.

Tamten jednak nie żartował. Ralph Bales

zrobił, co mu kazano.

Mężczyzna zapiął pas. — Jedziemy do

Maddox. Ruszaj.

—
Ale...

—
Jedź, mówię.

Bales chciał zapiąć pasy.

—
Pojedziesz bez pasów. — Mężczyzna
wcisnął lufę rewolweru w kark Ralpa Balesa.

— Ten rewolwer nie jest wyposażony w
mechanizm samonapinania Wiesz, co to
znaczy?

—
Że zanim pociągnie się za spust, trzeba
ręcznie napiąć kurek— wyrecytował Ralph

473

Bales, niczym uczeń odpowiadający
nauczycielowi.

—
Właśnie go napiąłem. Módl się, żeby nie
drgnął mi palec.

—
Okej, zrozumiałem. A co będzie, jeśli
wóz podskoczy na wybojach...?

Na twoim miejscu jechałbym bardzo

wolno.

Co za wspaniały sen.

Była w nim taka piękna.

Nina Sassower uważała, że mężczyźni

podrywają ją — a robili to dosyć często —

wyłącznie ze względu na rozmiar jej biustu i

szczupłe nogi. Uważała, że przymykają oko

na jej twarz, która jej zdaniem była zbyt

wąska, o ostrych i napiętych rysach.

Jednak w tym śnie stało się coś dziwnego.

Może przeszła operację plastyczną, a może

po prostu przez całe życie miała mylne

wyobrażenie o własnej urodzie. Nie wiedziała,

co się zmieniło w jej wyglądzie, ale osoba,

którą widziała w tym śnie, była wysoka i

smukła, o jasnych, inteligentnych, pięknych

oczach.

Wizja ta nie trwała długo. Szybko zastąpił ją

inny obraz, obraz ulicy, której nie

rozpoznawała. Potem pojawiły się tam inne

osoby i sen się urwał.

474

Obudziła się.

Przez jakieś dwie sekundy delectowała się
wspomnieniem sennego marzenia.

Nagle usiadła na łóżku, spojrzała na zegarek i
jęknęła: — O, nie! Niech to szlag!

Właśnie wybiła dziewiąta.

Ściągnęła koszulę nocną i jednym
szarpnięciem otworzyła szufladę komody.

Majtki, stanik — nie ma stanika. Nie mogła
żadnego znaleźć. Szukała na oślep. *Trudno,*

daj spokój! Prędko założyła sweter, myśląc, że pierwszy raz od czasu, gdy skończyła
trzydzieści lat, wychodzi z domu bez

biustonosza. Luźne spodnie, skarpetki... *Me
pasują do siebie, gdzie jest druga od pary,
gdzie? Do diabła z tym! Wyjdź już wreszcie!*

Beżowe pantofle.

Biegiem, biegiem, biegiem!

Nina narzuciła niebieską, dzinsową kurtkę. Nie
zdążyła umyć twarzy i teraz czuła na czole

lepki pot. Przystanęła przed lustrem, żeby
przyczesać włosy, i zrobiła to tylko po to, żeby
nie wyglądać podejrzanie.

Nie mogła wzbudzać podejrzeń, jeżeli chciała
doprowadzić do końca to, co sobie
zaplanowała.

Wypadła z domu i podbiegła do samochodu.

Uruchomiła silnik, po czym zajrzała do torebki,

475

chcąc upewnić się, że to, co do niej włożyła poprzedniego wieczoru, nadal się tam znajduje.

Ciężki wojskowy półautomat kaliber czterdzieści pięć, klasyczny colt 1911, leżał spokojnie pomiędzy puderniczką Estee Lauder a plastikowym różowym pojemnikiem na tampony.

Nina знаła tę broń niemal tak dobrze, jak znała swoją maszynę do szycia marki Singer.

I chociaż nie potrafiłaby go rozłożyć z zawiązanymi oczami, radziła sobie na tyle dobrze, żeby regularnie czyścić i oliwić przewód lufy oraz części pistoletu, i robiła to za każdym razem, gdy z niego strzelała. Tak się złożyło, że identycznym modelem posługiwali się gangsterzy z szajki Rossa w „Missouri River Blues”, jednak pistolet Niny miał w magazynku dziesięć sztuk ostrej amunicji i nie był zarejestrowany ani przez władze federalne, ani przez nikogo innego.

Nina ruszyła z miejsca i nie zwalniając na

czerwonym świetle ani przed żadnym znakiem stopu, przemknęła przez staroświeckie, ciche miasteczko Cranston w stanie Missouri, po czym z piskiem opon zjechała na autostradę i pognęła na południe, tam gdzie spodziewała się znaleźć Johna Pelama.

476

23

Jako prawnik zdążył przyzwyczać się do przepisywania i poprawiania dokumentów. Ronald Peterson nigdy nie postawił swojego podpisu pod listem, wezwaniem, skargą, wnioskiem czy aktami sprawy, jeżeli wcześniej nie poświęcił kilku godzin na odpowiednie ich zredagowanie. Lecz napisanie dwustronicowego oświadczenia dla prasy, ogłaszającego fakt postawienia Petera Crimminsa w stan oskarżenia w związku z zabójstwem Vince'a Gaudi, zajęło mu więcej czasu, licząc od słowa, niż jakiegokolwiek innego dokumentu na przestrzeni wielu lat. Przed chwilą jednak dotarło do niego, że to oświadczenie nigdy nie trafi do dziennikarzy.

Rozmyślił się?! — syknął Peterson, z

trudem hamując wściekłość.

—

Tak przekazał sekretarce — odparł

niepewnie Nelson, unikając gniewnego

spojrzenia swojego szefa. — Jego telefon nie

odpowiada, mam na myśli aparat w

przyczepie. Posłałem więc agenta do Maddox.

Ta przyczepa zniknęła z kempingu. Człowiek

z ekipy twierdzi, że Peł am stracił pracę i nikt

477

nie wie, gdzie teraz jest.

—

Myślisz, że Crimmings go dopadł?

—

No cóż, zdaniem sekretarki nie sprawiał

wrażenia zastraszonego.

—

Dlaczego go ze mną nie połączyła, do

cholery?! Już tu nie pracuje. Słyszysz?

Zwalniam ją!

Nelson wtrącił delikatnie: — Peł am *nie* życzył

sobie z panem rozmawiać. Chciał tylko

zostawić wiadomość.

—
Co dokładnie powiedział?

—
Tylko tyle, że się rozmyślił. To wszystko.

Peterson siedem razy strzelił palcami. — A co z podsłuchem u Crimminsina?

—
Nic, co by nas zainteresowało. Interesy i nic więcej. Można to tłumaczyć na dwa sposoby: albo korzysta z bezpiecznej linii, żeby rozmawiać ze swoim cynglem, albo wie o konferencji prasowej, ale z jakichś względów nie martwi go, że facet zdecydował się zeznawać.

Jak taka wiadomość mogłaby go nie zmartwić?! Jest tylko jedno wytłumaczenie: że to jednak nie on siedział wtedy w lincolnie.

—
Jednego nie rozumiem — myślał głośno Nelson — dlaczego Pel am miałby z nami w ten sposób pogrywać?

Peterson nie wspomniał nikomu o wolnym

478

strzelcu z FBI, którego nasłał na dziewczynę Pel ama, a potem także na samego Pel ama, i

który miał za zadanie „odświeżyć” mu pamięć w związku z Crimmin-sem, ale wkrótce potem zapadł się pod ziemię. Nelson nie wiedział również i o tym, że dokumenty federalne dotyczące broni Tony'ego Slo-ana były w jak najlepszym porządku. Nie mógł zatem wiedzieć, że Pellam miał bardzo dobre powody, aby z nimi pogrywać. — Pewnie się zląkł — podsunął prokurator.

—
A co z pierwszą opcją? Tą, według której Crimmins go uciszył? Peterson pokręcił głową.
— Nawet Crimmins nie byłby taki głupi.

Do diabła, prasa znowu nas obsmaruje!

—
Co pan zamierza z tym zrobić? —

Nelson zerknął na leżące na biurku oświadczenie.

—
Jakie twoim zdaniem mamy szanse na przyszpilenie Crimminsa bez zeznań Pel ama? Mówię o zabójstwie Gaudii.

Nelson namyślał się przez chwilę. Peterson założył sobie na palce gumkę recepturkę i

bacznie przyglądał się swojemu
protegowanemu, którego zmrużone oczy i
ściągnięte wargi tylko częściowo zdradzały
olbrzymie zdenerwowanie, jakie w tym
momencie odczuwał. — Myślę, że

479

moglibyśmy go aresztować na podstawie uzasadnionego podejrzenia popełnienia
przestępstwa. Ale nie udałooby się postawić go
w stan oskarżenia. — Nelson odchrząknął
nerwowo.

—

A nasz oryginalny akt oskarżenia
dotyczący korupcji i przynależności do
organizacji przestępczej? Oczywiście, bez
zeznań Gaudi ?

—

Uniewinnienie. Szanse jak sześćdziesiąt
do czterdziestu. — Nelson miał taką minę,
jakby za moment tuż obok niego miała wy-
buchnąć bomba, a on nie miał gdzie się
schować.

Ale Peterson jedynie zacisnął mocniej szczęki.

Przez jakiś czas słychać było tylko świszczący
między zębami oddech, gdy prokurator żuł

własny język, pogrążony w niewesołych
myślach. Z wolna docierało do niego, że
sprawa Crimminsa w równym stopniu stanowi
dla niego zagrożenie, co szansę na dokopanie
„tym złym”.

Najwyższa pora dać sobie spokój.

Powiedział to Nelsonowi i dodał: — Zadzwoń
do adwokata Crimminsa. Wybadaj, czy
przyzna się do zarzutów w zamian za niższy
wyrok.

Nelson skwapliwie przytaknął. — Już się robi

480

— po czym chłodno skonstatował, że
polecenie to równa się przekreśleniu dwóch
lat ich ciężkiej pracy. — A co z Pel amem?
Ktoś nadal może chcieć go dopaść. Mam
powiedzieć Brackenowi albo Monroe, żeby
zajęli się tą sprawą? Ten gość nadal może
mieć poważne kłopoty...

Peterson nakręcił miniaturkę Kaczora

Donalda; zabawka pokonała kilkanaście
centymetrów blatu, po czym natrafiła na akt
oskarżenia i jeszcze przez chwilę dreptała w
miejscu, dopóki mechanizm się nie zatrzymał.

— Teraz to już problem Pel ama. Niech sam sobie radzi. Nam nic do tego.

Pędziła przed siebie główną ulicą Maddox, mijając po drodze opustoszałe witryny sklepowe, ciemne biura pośrednictwa w handlu nieruchomościami, sklep z artykułami użytkowymi. Pęd powietrza za samochodem wzbijał w górę chmury suchych, poszarzałych liści.

Z Cranston pojechała prosto do St. Louis, pod Budynek Federalny. Nigdzie nie znalazła Pel ama, chociaż jego przyczepa stała zaparkowana w zatoczce po przeciwnej stronie ulicy. W środku nikogo nie było. Gdzie on się podziewa? W panice przemierzała

481
chodnik wszerz i wzdłuż. Nagle ją olśniło.

Wskoczyła do samochodu i pognała z powrotem do Maddox.

Teraz, jadąc wyludnioną Main Street, Nina nie była już taka pewna, że podjęła słuszną decyzję. Otaczająca ją zewsząd pustka zdawała się z niej kpić. Gdzie on u diabła jest?

Gdy z piskiem opon pokonywała zakręt w

pobliżu opuszczonych silosów, przez myśl
przelatywały jej różne obrazy. Pełną stojący
na środku pola, nad brzegiem toczącej
brązowe wody Missouri, celujący w nią
obiektywem swojego polaroida. Ona sama
nakładająca makijaż drobnej aktorce o blond
włosach, w letniej żółtej sukience podziurawio-
nej przez kule. Pełną leżący obok niej w
łóżku. Potężna siła odrzutu automatycznego
colta, która wprawiała w wibracje całą jej rękę,
od nadgarstka aż po ramię, za każdym razem,
kiedy pociągała za spust.

Powiedzieć ci coś zabawnego? — zapytał
Ralph Bales; pytanie rozbrzmiało głośnym
echem w pustym budynku fabryki. Szybko
zerknął za siebie, zaskoczony powracającym
dźwiękiem własnych słów.

Gość od piwa nie wydawał się
zainteresowany. Mimo to Ralph Bales
powiedział: — Nawet nie wiem, jak się

482

nazywasz.

Nie doszło jednak do wzajemnej prezentacji.

Mężczyzna ponaglił go tylko, niecierpliwym

ručem wciskając mu w plecy lufę swojego kowbojskiego gnata.

Ralph Bales nie czuł się jednak zagrożony, pomimo tej wciskającej mu się w plecy lufy.

Może chodziło o to, w jaki sposób tamten trzymał broń — bez większego napięcia, bardziej jak butelkę piwa niż rewolwer. A może wyczytał to w jego oczach, które nie były już tak przerażająco chłodne, jak na początku. Teraz malowała się w nich raczej determinacja, jakby mężczyzna chciał z nim tylko porozmawiać.

W głębi magazynu, pod ciągnącym się wyżej balkonem, znajdowało się niewielkie ślepe pomieszczenie. Było tam bardzo ciemno; słabe światło sączyło się jedynie przez wysokie, łukowate okna o brudnych, zakurzonych szybach. Na podłodze również leżała gruba warstwa kurzu, na którym wyraźnie widać było liczne ślady stóp.

Dokładnie pod wiszącym na ścianie plakatem zespołu Bee Gees stało składane, drewniano-płócienne krzesło z napisem „Reżyser”.

Ralph Bales zatrzymał się. Facet od piwa

wskazał mu krzesło. — Siadaj.

483

Ralph Bales posłusznie usiadł. — Fajne miejsce. Kręcicie tu ten wasz film?

—

Załóż je. — Mężczyzna podał mu dwie pary kajdanek. — Najpierw na prawą rękę.

Potem przykuj się do poręczy.

—

Masz pomysły, bracie. — Ralph Bales przyjrzał się z bliska kajdankom. Z boku miały napis „Własność posterunku policji w Maddox”. — Skąd je wytrzasnąłeś?

—

Zakładaj.

Ralph Bales jeszcze bardziej się rozluźnił.

Facet tego pokroju, na dodatek amator, *na pewno* nie zrobi krzywdy człowiekowi przykutemu do krzesła. Założył sobie jedną parę na prawy nadgarstek i przykuł rękę do poręczy krzesła. Następnie zakuł sobie lewą rękę. Gość od piwa wolno zrobił krok w jego stronę i przypiął kajdanki do drugiej poręczy.

Mechanizm zaskoczył z metalicznym szczękiem.

Potem odsunął się do tyłu i przyjrzał mu się wzrokiem stolarza oceniającego dobrze położoną podłogę. Wyciągnął colta zza paska spodni. — A teraz gadaj. Kto był wtedy w lincolnie?

A więc wcześniej ukrył tu gdzieś magnetofon i teraz chciał wymusić z niego zeznanie. — W jakim lincolnie?

484

—

Kto to był?

—

No nie — rzucił Ralph Bales z rozbawieniem, udając lekkie zniecierpliwienie.

— To jakiś absurd.

—

Mężczyzna w lincolnie. Kto to był?

—

Nie wiem, o czym...

—

Dlaczego czekałeś na mnie przed Budynkiem Federalnym? Ralph Bales uniósł w górę ręce, na tyle, na ile pozwalały mu na to kajdanki. Zabrzęczały metalowe łańcuszki. —

Chciałem z tobą pogadać, to wszystko.

—

I co zamierzałeś mi powiedzieć?

—

Okej. Miałem ci zapłacić, żebyś siedział cicho i nie mówił nikomu, co widziałeś.

—

Ale w kieszeni miałeś broń i jedyne... —

Mężczyzna zmrużył oczy, usiłując coś sobie przypomnieć — ...czterdzieści dolców gotówką.

—

Chciałem ci zapłacić kupę forsy —

więcej, niż można bezpiecznie nosić przy sobie...

—

Kto siedział w lincolnie? — powtórzył z uporem facet od piwa.

—

Naprawdę nie wiem. Bardzo mi przykro.

—

Szkoda, że nie chcesz ze mną współpracować — odparł z rozczarowaniem tamten i strzelił Ralphowi Balesowi prosto w

brzuch.

John Pel am nie czekał, aż rozwieje się

chmura siarkowego dymu. Podszedł do

Ralpa Balesa i przyjrzał się z bliska ranie. —

Nawet tak bardzo nie krwawi — oznajmił.

Ralph Bales z przerażeniem spojrział na swój

brzuch. Jego usta były szeroko otwarte. — Za

co...? — wyszeptał. — Strzeliłeś do mnie...

Boże, ale boli...

—

Kto był wtedy w samochodzie?

—

Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego to

zrobiles *RIGHT SQUARE BRACKET*

—

Kto — powtórzył spokojnie Pel am —

siedział wtedy w lincol-nie?

—

Chryste Panie —jęknął Ralph Bales,

wpatrując się w Pel ama z oszołomieniem. —

Ja umrę.

—

Owszem. Jeśli mi nie powiesz,

oberwiesz jeszcze raz.

—

Ja naprawdę... Pełnam ponownie

wystrzelił.

Rozległ się huk eksplozji. Kula trafiła w ciało

kilka centymetrów na lewo od pierwszej rany.

—

Nie, błagam, nie... Przestań! Powiem ci.

— Ralph Bales odrzucił do tyłu głowę, bo pot

zalewał mu oczy. — W porządku! To był Philip

Lombro! A teraz wezwij karetkę!

486

—

Co to za jeden?

Ralph Bales go nie słuchał. — Błagam! Zaraz

wykrwawię się na śmierć. Proszę...

—

Co za Philip?

—

Lombro! Lombro!

—

A co to za jeden?

—

Rany, zaraz zemdleję...

Pel am ponownie odciągnął kurek. — *Co to za*

jeden?

—
Nie, nie, człowieku, proszę cię, nie

strzelaj! Facet siedzi w nieruchomościach. Nie

strzelaj!

—
Przeliteruj.

—
Co mam przeliterować...? Człowieku,

zlituj się...

—
Jego nazwisko.

—
L-O-M-B-R-O.

—
Dlaczego zlecił zabójstwo Gaudi ?

—
Nie wiem. Nie pytałem. Zaraz zemdleję.

O cholera... To jakieś osobiste porachunki.

Przysięgam na Boga! Zapłacił mi, żebym go
sprzątnął. Człowieku, ja się tu wykrwawiam!

—
Gdzie on mieszka?

—
Nie mam pojęcia. Uwierz mi, człowieku!

Nie wiem. Gdzieś w Maddox. Ma biuro przy
Main Street, tylko tyle wiem. Znajdziesz go w
książce telefonicznej. Czego jeszcze ode mnie
chcesz? Na rany boskie, wezwij karetkę! — I

487

zaraz dodał płaczliwie, z rozbrajającą szczerością: — Jestem porządnym katolikiem.

Peł am nie ruszył się z miejsca. Uśmiechał się.

—
No nie, człowieku. Nie rób tego.

Zostawisz mnie tutaj, tak? Nie pozwól mi
umrzeć! Powiedziałem ci wszystko, co
chciałeś. Wezwij gliny. Niech mnie aresztują.

Ale na litość boską, sprowadź do mnie le-
karza!

—
I będziesz zeznawać przeciwko Lombro?

—
Oczywiście. Człowieku, zrobię wszystko,
co tylko chcesz. Peł am powtórzył cicho: —

Oczywiście. — Lewą ręką potarł lufę
colta. Ralph Bales płakał. Jego łzy
najwyraźniej zirytowały Peł ama. Rzucił: — To

były woskowe naboje. Ralph Bales nadal

szlochał.

Peł am powiedział jeszcze raz, rozdrażniony:

— Przystaniesz się wreszcie rozklejać? To nie

były prawdziwe naboje.

—

Co takiego?

—

Przestańże wreszcie — mruknął Peł am,

mając na myśli jego pochlipywanie.

Ralph Bales wziął głęboki oddech. Z wolna się

uspokajał. Marszcząc brwi, spojrzał w dół na

swój brzuch — na dwie spore, krwisto-

czzerwone plamy. Na tyle, na ile pozwoliły mu

kajdanki, rozsunął poły koszuli. W miejscach,

488

w których dosięgły go kule, widniały dwa duże, zaczerwienione ślady, ale skóra była

nienaruszona. Tam, gdzie ciemna krew

splamiła koszulę, widać było przyklejone do

tkaniny odpryski białego wosku.

Z oczu Ralpa Balesa znowu pociekły łzy,

lecz tym razem były to łzy histerycznego

śmiechu. — Ty skurwysynu, ty pieprzony...

W tym samym momencie na podłogę za ich

plecami padł cień.

Obaj mężczyźni natychmiast odwrócili głowy.

Zobaczyli praktyczne pantofle, damskie
spodnie, dżinsową kurtkę i pobladłą, śliczną
twarz Niny Sassower.

W ręce miała pistolet.

—

Nina! — zawołał Pel am. Ralph Bales
rozluźnił się. Pel am spytał: — Co ty tu robisz?
Jej głos dobiegł go z oddalenia, jakby mówiła
przez kilka warstw jedwabiu czy gazy. —
Wiedziałam, że cię tu znajdę.

—

Powinnaś stąd iść. Po co ci broń? To nie
ma nic wspólnego z tobą.

Podeszła bliżej; wyglądała mizernie i była
bardzo blada. Jej skóra straciła blask, a oczy
wyglądały jak dwie dziury wypalone w kocu.
Spojrzała na nich obu, po czym szybko
przeniosła wzrok na brzuch Ralpha Balesa.

—

Boże, Pel am...

489

Wyjaśnił jej, że strzelał ślepyimi nabojami, i zmrużył oczy, widząc, z jakim przejęciem

przygląda się przykutemu do krzesła

mężczyźnie. — Znasz go? — zapytał.

Odwróciła się do niego. — Przykro mi, Pel am.

—

O czym ty...? — Ruszył w jej stronę.

Szybko podniosła swojego wielkiego colta i wycelowała w jego klatkę piersiową. — Stój.

Zostań tam, gdzie jesteś.

—

Nina!

—

Położ go na podłodze. Twój rewolwer.

Rzuć go!

Pel am usłuchał. Potem zaśmiał się z goryczą.

— Więc to wszystko było ukartowane, tak?

—

Wszystko było ukartowane — powtórzyła szeptem.

—

Zaczepiłaś mnie w szpitalu,
doprowadziłaś do tego, że znalazłem ci pracę
na planie... Dla kogo ty pracujesz? Dla
Lombro? Czy dla Crimminsa? A może dla
Petersona? Co?

—
Przepraszam cię, Pel am. Bardzo mi
przykro.

Ralph Bales zawołał: — Phil cię przysłał? O
rany... — Z jego ust wydobyło się
westchnienie ulgi. — No dalej, kotku.

Wydostań mnie stąd.

Nina zmrużyła oczy, niemal przymknęła

490

powieki. Pel am wiedział, co to oznacza.

Rzucił się na podłogę dokładnie w chwili, gdy

trzy potężne wystrzały z automatu Niny

wstrząsnęły pomieszczeniem. Szyby w

oknach zadrżały, a kurz, który latami zbierał

się na cynowym suficie, spłynął na nich troje

niczym szary śnieg. Za oknami przemykały

cienie wystraszonych gołębi.

24

Pellam podniósł się powoli. Po upadku kręciło mu się w głowie, a w uszach dzwonił jeszcze

huk wystrzałów.

Niechętnie spojrział w drugi koniec pomieszczenia.

Wszystkie trzy kule trafiły Ralpa Balesa w klatkę piersiową. Impet uderzenia nie przewrócił krzesła, na którym siedział, a tylko obrócił je w bok o jakieś czterdzieści pięć stopni. Przykuty kajdankami do poręczy mężczyzna spoczywał na nim nieruchomo, ze spuszczoną głową, zwrócony twarzą do okna, jakby tylko drzemał w słabym, porannym słońcu.

Nina wyjęła z komory pozostałe naboje i wysunęła magazynek. Broń, z odciętym

491

rygłem zamka, powędrowała z powrotem do torebki. Kobieta pochyliła się i niecierpliwie, lecz niezwykle starannie zaczęła zbierać z podłogi wystrzelone łuski, zupełnie jakby przed odkurzaniem zbierała porozrzucone po dywanie sypialni skarpetki.

Peł am szybko zdjął Balesowi kajdanki, schował je do kieszeni i wytarł z krzesła wszystkie odciski palców. Następnie wyprowadził Ninę na zewnątrz i wsadził do

samochodu. Jego obawy, że zaskoczy ich policja, okazały się jednak nieuzasadnione; nikt nie słyszał odgłosu strzałów, a jeśli nawet, najprawdopodobniej przypisał je ekipie filmowej, kręcącej ostatnie sceny „Missouri River Blues”. Uruchomił silnik i pojechali do pobliskiego parku nad brzegiem rzeki.

—
Wiesz, skąd mam ten pistolet? —
szepnęła Nina. — Ojciec trzymał go w biurku na piętrze, u nas w domu. — Otarła z oczu łzy. — Szkoda, że nie widziałeś tego biurka —
podjęła po chwili. — Właściwie to był sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem.

Chyba dębowy. Ciemne drewno, z takimi cienkimi, żółtymi pasmami. Otwierało się go mosiężnym kluczem, który wiecznie trzeba było polerować. Kiedy przekręcało się go w zamku, rozlegał się taki miły trzask. Potem

492

podnosiło się żaluzję, a pod spodem były dziesiątki przegródek wyłożonych zielonym filcem. Niektóre z nich miały... Niektóre z nich...

Zaczęła płakać. Peł am nie zrobił niczego,

żeby ją pocieszyć.

—

Niektóre przegródki miały takie małe drzwiczki z gałką. Zawsze szukałyśmy między nimi tajnych skrytek. Wyjmowałyśmy szuflady i zagłądałyśmy od spodu, opukiwałyśmy biurko od tyłu, nasłuchując głuchego odgłosu. Kiedy znalazłyśmy pistolet, obie byłyśmy jeszcze małe i niewiele nas to obeszło. Całymi latami nie myślałam o tym biurku. Przypomniałam sobie o nim dopiero w ubiegłym tygodniu.

Przypomniałam też sobie o pistolecie i pojechałam do domu matki, żeby go odszukać. Od tamtej pory ćwiczyłam strzelanie.

To wszystko sprawiło, że wróciły wspomnienia. My dwie, myszkujące w biurku ojca. Dwie małe dziewczynki. Szukające czegoś do zabawy, choćby spinaczy do papieru... — Łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy. — Moja siostra i ja...

—

Twoja siostra — powtórzył Peł am i dopiero teraz wszystko zrozumiał. — To ona była wtedy z Vincentem Gaudią, to ona była tą

kobietą, która zginęła tamtego wieczoru.

493

Nina odparła: — Gazety rozpisywały się o Gaudi i policjancie, który został ranny Nikt

nawet nie wspomniał o Sal y Ann. Nikogo nie

obchodziła. Po jej śmierci całą noc

rozmyślałam, jak odnaleźć tego, kto ją zabił.

Postanowiłam, że zaczekam, aż policja go

złapie, i zastrzelę go podczas procesu. Ale to

mogło trwać wiele miesięcy. Bałam się, że nie

starczy mi już wtedy odwagi, żeby to zrobić.

Dlatego zdecydowałam się porozmawiać z

Donniem. W gazecie znalazłam jego zdjęcie.

Napisali, że leży w szpitalu Maddox General.

Postanowiłam go poznać i nakłonić, żeby

wyjawił mi nazwisko zabójcy.

—

Zamiast tego poznałaś mnie. A twoja

matka wcale nie leży w szpitalu?

—

Nie. Siostra była całą moją rodziną. To

ona była tą bliską mi osobą, którą niedawno

straciłam. Pamiętasz, wtedy w przyczepie?

Mówiłam ci o pogrzebie. Kiedy szukaliśmy

tego pola... Skłamałam, że chodziło o ciotkę.

Dlatego się wtedy rozpłakałam.

—

Słyszałaś, jak Donnie się ze mną kłócił.

Słyszałaś, jak mówił, że widziałem mordercę.

Przytaknęła. — Przepraszam cię, Pel am. —

W jej głosie słychać było smutek. Ale

skrucę? Nie, żadnej skruchy.

—

Po co ci była jednak ta praca na planie?

494

—

Wiedziałaś, że będą cię szukać.

Pomyślałam, że prędzej czy później cię

znajdą.

—

I przez cały ten czas miałaś przy sobie

broń?

—

Najczęściej tak.

Wyjaśniła, że to dlatego tak się zdenerwowała

po tamtym napadzie w fabryce. Nie miała przy

sobie pistoletu i żałowała, że straciła taką

świetną okazję.

Okazję, żeby zastrzelić agenta FBI. Pel am nie powiedział jej jednak tego. Rzekł tylko: — Ale

tamta dziewczyna miała inne nazwisko. Mam
na myśli twoją siostrę.

—
To prawda. Sal y Ann nazywała się
Moore. To było nazwisko jej męża. Rozwiedli
się kilka lat temu. Powiedz, Pel am — czy źle
zrobiłam? Pomyśl: policjant został ranny, bo
wykonywał swoją pracę. RIGHT SQUARE BRACKET Gaudia był
przestępcą i dlatego zginął. Ale jedyną winą
mojej siostry było to, że dała mu się zaprosić
na kolację. Nie zrobiła niczego złego.

Pel am miał wątpliwości, czy umawianie się z
Vincem Gaudią rzeczywiście nie było niczym
złym. Mimo to uważał, że Nina słusznie po-
itąpiła. W końcu on sam włączył się z bronią
po wyludnionych ulicach iladdox dokładnie w
tym samym celu — żeby pomścić śmierć

495

Stile'a.

—
Chciałam go zabić — wyznała. — Nie
mogłam spokojnie myśleć

tym, że po prostu trafi do więzienia.

Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce.

Pel am nic na to nie powiedział.

Nachylił się tylko i otoczył ramieniem jej szczupłe plecy. W jej włosach wyczuł kwaśną woń prochu strzelniczego. Potarł czołem o jej skroń. Zrobił to jednak bez większego przekonania, bo jego myśli były już gdzie indziej.

Ruszyli i przez kilka minut krążyli w poszukiwaniu budki telefonicznej. Pel am zatrzymał się i wysiadł z samochodu.

—
Powiesz o mnie policji?

Popatrzył na nią przeciągle, ale nic nie powiedział. W odpowiedzi opuściła osłonę przeciwsłoneczną na przednią szybę i przeglądając się w lusterku, zaczęła rozczesywać swoje delikatne, jasne włosy.

Pellam jeszcze raz spojrzął na wizytówkę,

którą trzymał w portfelu,

1

wykręcił numer.

Męski głos o lekko wyczuwalnym obcym

akcencie rzucił w słuchawkę: — Słucham?

—

Panie Crimmins, mówi przyjaciel — ten,

z którym rozmawiał pan wczoraj wieczorem...

496

Pel am zadzwonił do niego poprzedniego dnia, żeby go uprzedzić o konferencji prasowej

Petersona. Nie chciał, żeby facet wpadł w

panikę, słysząc, że ma wkrótce zostać

aresztowany.

—

A, tak, rzeczywiście. Jak się pan miewa?

—

Świetnie. A pan?

Crimmins zachichotał, rozbawiony tą wymianą

uprzejmości. — Wspaniale. Domyślam się, że

wszystko ułożyło się po naszej myśli.

—

Wystąpiły pewne komplikacje.

—

Poważne?

—
Nie, raczej nie.

—
To dobrze.

—
Chciałem tylko zapytać, czy mógłby mi pan przydzielić do pomocy pańskiego współpracownika, pana Stettle'a. Na mniej więcej godzinę.

—
Myślę, że dałoby się to załatwić.

—
W takim razie proszę mu przekazać, żeby za pół godziny spotkał się ze mną w centrum Maddox, na rogu Main i Piętnastej.

—
Czy w grę może wchodzić jakieś ryzyko?

—
Nie sędzę. Ale czy mógłby go pan poprosić, żeby wziął ze sobą kilka worków na śmieci?

—
Worków na śmieci?

—

On będzie wiedział, o co chodzi.

497

Spotkali się w **szpitalnej poczekalni** i fakt, że miało to miejsce tam, a nie jak zwykle w jego sali, sprawił, że Donnie Buffett uznał, że to najlepsza rzecz, jaka go w tym roku **spotkała** — lepsza nawet niż wieczór spędzony z Niną.

—
Nie powinnaś palić — skarcił Wendy Weiser, gdy ta zapaliła zwyczajowego papierosa.

—
Wiem. — Zaciągnęła się trzy razy i zgasiła. — Jak widzisz, nie palę wiele. I tylko dwa razy dziennie. No, może trzy razy.

Kiwnął głową, kwitując w ten sposób jej kłamstwo, i przyjrzał jej się uważnie. Tego dnia nie miała dyżuru i przyszła wyłącznie po to, żeby się z nim zobaczyć. Miała na sobie obcisłe, sprane dzinsy i skórzaną kurtkę narzuconą na T-shirt z jakimś nadrukiem.

Poprosił, żeby odsłoniła napis, i przeczytał: „Kiedyś myślałam, że się mylę. Nie miałam racji”. Podobały mu się jej kolczyki: z jednego

ucha zwieszał się mały złoty widelec, a z drugiego pasujący do niego nóż.

Ich spotkanie było dla niego o tyle wyjątkowe, że nareszcie nie czuł się jak więzień. A dokładnie mówiąc, stał się więźniem innej kategorii. Wcześniej przebywał w zakładzie o zaostrzonym rygorze, teraz przeniesiono go

498

do takiego, gdzie odsiadka upływała w całkiem znośnych warunkach. Nie był jeszcze na wolności, ale dało się wytrzymać. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni Buffett miał wrażenie, że się porusza — zmieniał pozycję względem innych nieruchomych przedmiotów, zamiast sam być jednym z nich. Szpitalne powietrze było z lekka zatęchłe, przepojone wonią środków dezynfekujących i zapachami dochodzącymi z kuchni, ale mimo to wyczuwało się w nim pewien *ruch* i to było wspaniałe.

Jego pierwsza podróż na wózku. Uparł się, że sam nim pokieruje, a Weiser nie sprzeciwiła się, chociaż zaznaczyła, że to wbrew regulaminowi. Miał wrażenie, że wyrobiła sobie już zdanie na temat tego, co władze szpitala

mogą zrobić ze swoim regulaminem, i zapewne często informowała o tym kolegów i przełożonych. Z całej siły odepchnął się od framugi drzwi. Okazało się jednak, że ma więcej siły w rękach, niż podejrzewał, i natychmiast stracił panowanie nad wózkiem. Odbił się od dystrybutora wody i pośladków praktykantki, zanim udało mu się wyczuć, jak działa jego nowy pojazd.

Gdy jechali — i szli — korytarzem, Buffett zastanawiał się, czy powiedzieć Weiser o

499

nocy spędzonej z Niną Sassower. Było to coś, o czym prawdopodobnie powinna wiedzieć; taka informacja mogła być przydatna w jego dalszej terapii. A jednak postanowił nie puszczać pary z ust. Nie chciał, żeby Nina miała z jego powodu jakieś kłopoty. A poza tym zawsze istniała szansa, że jeśli będzie dyskretny, ona jeszcze kiedyś go odwiedzi. Był ciekaw, czy mógłby to zrobić trzy razy z rzędu tej samej nocy.

W poczekalni znajdowało się kilkanaście jaskrawoniebieskich i odrapanych plastikowych stolików. Pod pomalowaną na

pomarańczowy kolor ścianą stały stare i mocno sfatygowane automaty z kawą i gorącą czekoladą, słodyczami oraz napojami gazowanymi. W tym ostatnim przepaliło się kilka żarówek i napis na froncie głosił: — „OCA OLA”.

Zapytała, czego się napije.

Buffett powiedział, że ma ochotę na „olę”.

Śmiejąc się, odparła: — W takim razie ja wezmę „ietetyczną olę”.

—
Dlaczego „ietetyczną”? Masz świetną „igurę”.

Roześmieli się oboje, po czym Weiser podeszła do automatu ze słodyczami. Kupiła paczkę krakersów z masłem orzechowym. —

500

Mój obiad — oznajmiła.

Niewiele brakowało, żeby poprosił ją wtedy, aby się z nim umówiła — zapytałby mimochodem, ot tak, niezobowiązująco, jak gdyby po prostu głośno myślał, czy nie chciałaby kiedyś wybrać się z nim do jakiejś knajpki. Jednak nagły atak paniki zdusił mu

słowa w gardle i okazja do zadania pytania minęła. Ona tymczasem rozsiadła się przy stole, zapaliła, zaciągnęła się dymem i zgasiła papierosa.

Poczuł nagłe rozczarowanie, gdy wyjęła z aktówki tekturową teczkę. To sprawiło, że ich spotkanie nabrało charakteru bardziej oficjalnego, a mniej towarzyskiego. Położyła ją przed sobą na stole, ale na razie jej nie otwierała.

—
Donnie, wyszedłeś już ze stanu szoku rdzeniowego. W przypadku wielu czynności życiowych nastąpiło przywrócenie czucia i polepszenie kontroli mięśni. Myślę, że niemal w pełni odzyskasz kontrolę nad zwieraczami pęcherza i odbytu. Jak też wspominałam, nie widzę powodu, dla którego twoja sprawność seksualna nie miałaby ostatecznie powrócić do normy...

Buffett musiał przygryźć policzek, żeby powstrzymać uśmiech. — Ostatecznie —

501

powtórzył.

—
Wiadomo już, że najpoważniejsze i
trwałe uszkodzenia dotyczą sprawności twoich
nóg. Możesz odczuć pewną poprawę, ale
najprawdopodobniej ograniczy się ona do
występowania słabych reakcji na bodźce
zewnątrzne. Jeśli chodzi o to, czy kiedyś
będziesz jeszcze chodził

0

własnych siłach, to... W tej kwestii nic się
nie zmieniło, Donnie.
Poczęstowała go krakersem. Pokręcił głową.
Schrupała go sama

1
popiła colą.

—
W tej dziedzinie cały czas prowadzi się
badania — głównie są to próby wyizolowania
pewnych substancji, hormonów i protein

strukturalnych...

Uśmiechnął się pod nosem, czując, że tonie w trzęsawisku naukowych faktów. Jej umysł go fascynował.

—
...które wpływają na to, jak neurony docierają do receptorów w komórkach nerwowych i przekazują im impulsy...

Donnie przytakiwał, sprawiając wrażenie — taką przynajmniej miał nadzieję — bardzo zainteresowanego.

—
...coś, co nazywa się ENM...

—
Enigmatyczna... — Chciał zażartować,

502

ale zabrakło mu koncepcji.

—
Elektrostymulacja nerwowo-mięśniowa.

— Jej oczy błyszczały, jak zwykle, gdy rozprawiała na tematy naukowe. Wyjaśniła mu, na czym to polega: do nogi podłącza się urządzenie emitujące małe dawki prądu, który w odpowiedniej kolejności pobudza różne

mięśnie. Dzięki temu urządzeniu można nawet, wykonując nieskoordynowane ruchy nogami, poruszać się o kulach lub przy pomocy chodzika.

Lekarka mówiła dalej, lecz Donnie Buffett już jej nie słuchał. Obiecał sobie w duchu, że bez względu na to, czym jest ta cała elektrostimulacja, on nigdy nie zgodzi się, aby podłączono go do jakiejś maszyny. Wiedział, że jest w stanie spędzić resztę życia na wózku; wiedział też, że czasami będzie płakał, czasami krzyczał, a czasem, jeśli obejrzy o jeden odcinek teleturnieju za dużo, może nawet rzuci lampą w telewizor. Potrafił sobie wyobrazić, jak wyjeżdża z domu na wózku w poszukiwaniu pracy. Albo uczy się samodzielnie pokonywać krawężniki i jeździć w przeszłość na jednym kole, a wreszcie wyrabia sobie szeroką klatę i potężne jak u kulturysty bicepsy. Ale nie widział w tym swoim nowym życiu miejsca na żadne dziwne

503

urządzenia. Podobnie, straciwszy wzrok, posługiwałby się laską, ale nigdy nie zaufałby psu przewodnikowi. Właściwie sam nie

wiedział, na czym polegała różnica, dla niego
była jednak tak oczywista, jak różnica
pomiędzy żywym, bijącym sercem a sercem
zimnym i martwym.

Dotarło do niego, że Weiser przestała mówić, i
domyślił się, że zadała mu pytanie. Ale nie
miał ochoty prosić, aby je powtórzyła. Zamiast
tego zapytał: — A umówisz się ze mną? — I
zaraz dodał: — No wiesz, na kolację?

Odmówiła, czego się w gruncie rzeczy
spodziewał. Na szczęście nie towarzyszyły
temu szok ani skrępowanie albo — co byłoby
jeszcze gorsze — protekcyjnalny, matczyzny
uśmiech. Posłała mu tylko zaintrygowane
spojrzenie mężatki podrywanej na przyjęciu
przez atrakcyjnego mężczyznę.

Lekki żal zamiast nieprzyjemnego
zaskoczenia.

Na koniec dodała: — Lepiej będzie, jak
pozostaniemy przyjaciółmi.

Kiedy to powiedziała, panika ścisnęła
Donniemu Buffettowi wnętrzości tak mocno,
że aż pot wystąpił mu na czoło. Potem jednak
zwinęła się jak kot w najdalszym zakamarku

jego umysłu i — przynajmniej na jakiś czas —

504

zapadła w głęboki, kamienny sen.

25

Jakiś człowiek do pana. Mówi, że nazywa się

Peł am.

—

Peł am? Czy ja go znam? — Philip

Lombro w zamyśleniu przecierał kawałkiem

gienzy swoje eleganckie mokasyny.

—

On twierdzi, że zna *pana*.

—

Jestem zajęty. Niech zostawi swoją

wizytówkę.

Lombro oparł się wygodnie o zagłówek

swojego skórzanego fotela i wbił wzrok w

podłogę. Przepływające za oknem gęste

chmury rzucały rozmyte cienie na zieloną

wykładzinę; co kilka chwil do gabinetu

wpadały promienie ostrego słońca.

Ponownie rozległ się dzwonek interkomu i

wybił go z zamyślenia. Metaliczny głos

odezwał się: — Ten pan mówi, że przychodzi

w sprawie zmarłego pana Balesa.

Lombro odchrząknął. — Wpuść go.

Do gabinetu wszedł Pel am. Rozejrzał się,

przesuwając spojrzeniem po bordowych i

granatowych grzbietach książek — poważnie

wyglądających woluminach poświęconych

505

biznesowi i prawu. Biurko.

Splątane cienie chmur tworzące intrygujący

wzór na soczyscie zielonej wykładzinie. Widok

za oknem, miękkie linie budynku z czerwonej

cegły w stylu art deco po przeciwnej stronie

ulicy.

Nie czekając na zaproszenie, Pel am zajął

miejsce w fotelu naprzeciwko Lombro. —

Pański płatny zabójca nie żyje.

Lombro przełknął ślinę i starannie złożył

kawałek giemzy. Tak. To był ten człowiek.

Mężczyzna z kartonem piwa, ten sam, który

go wtedy widział. — To pan jest tym

świadkiem.

—
Świadkiem. — Pełnam wolno powtórzył

ostatnie słowo, jakby je smakował,

przeciągając miękkie ś.

—
I nazywa się pan James?

—
Nie, Pełnam.

Lombro pokręcił głową, zdezorientowany.

Potem odezwał się ostrożnie: — Oszukał mnie

pan.

Pełnam zmarszczył brwi. — Słucham?

—
Wziął pan ode mnie pieniądze i mimo to

poszedł do prokuratora stanowego.

Słyszałem, co mówili na konferencji prasowej.

—
Jakie pieniądze?

—
Pięćdziesiąt tysięcy. Pieniądze, które

506

przekazał panu Ralph...

Urwał i Pel am doszedł do tego samego wniosku, który najwyraźniej formował się właśnie w umyśle Lombro. Mężczyźni wymienili niewesołe uśmiechy.

Lombro mruknął: — Teraz rozumiem.

—
Jakość usług świadczonych przez pańskich wspólników pozostawia wiele do życzenia.

—
Na to wygląda. Przyszedł pan tutaj, żeby mnie zabić? — Pytanie zostało zadane rzeczowym tonem.

—
Nie — odparł Pel am.

—
Przysięgam, że zabroniłem Ralphowi pana krzywdzić. Miał tylko panu zapłacić, żeby...

—
Rozumiem. Ale mimo to wczoraj czekał na mnie z bronią przed Budynkiem Federalnym. A pan o tym wiedział.

Lombro zacisnął usta i przyglądał kilka

srebrzystych kosmyków na swojej skroni.

—
Chcę wiedzieć, dlaczego zlecił pan
zabójstwo Gaudi .

—
Jest pan z policji?

—
Nie.

—
Ale ma pan na sobie podsłuch.
Pel am zdjął kurtkę i wywrócił kieszenie
koszuli i dżinsów. Lom-bro, nie odrywając

507

wzroku od wystającej Pel amowi zza paska rękojeści colta, wziął jego kurtkę lotniczą i
pomacał jej kieszenie.

—
Po prostu chcę to wiedzieć — powtórzył
szczerze Pel am. Lombro skrzyżował nogi i
chwyciwszy się prawą ręką za kostkę,
zaczął pocierać ją palcami. Nie zdążył
uporządkować myśli, chociaż już od jakiegoś
czasu nosił się z zamiarem opowiedzenia
komuś tej historii. Na przykład swojemu
oskarżycielowi. — Kocham moje siostrzenice i

bratanice jak własne córki. Nigdy nie byłem

żonaty. Nie mam własnych dzieci. A pan?

Pełną nie odpowiedział.

—
Jedną z nich właśnie skończyła

osiemnaście lat. Była słodką, dobrą

dziewczyną. Była też nieco przy kości i w

związku z tym brakowało jej pewności siebie.

Uczyła się i pracowała dorywczo jako kelnerka

w restauracji, w której czasami jadał Vincent

Gaudia. Gaudia nie liczył się z pieniędzmi.

Dawał jej dwudziestodolarowe napiwki. Potem

pięćdziesięciodolarowe. A potem obiecał jej

sto dolarów. Może się pan chyba domyślić, co

nastąpiło później.

Spędzili razem kilka nocy, po czym Gaudia

najzwyczajniej w świecie zapomniał o jej

istnieniu. A tymczasem to biedactwo

508

ubzdurzało sobie, że jest zakochane.

Próbowałem przekonać ją, że to nie miłość,

ale była niepokieszona. On nie odbierał jej

telefonów i nie odpowiadał na listy. W końcu

poszła do niego do domu. Późnym

wieczorem, zaraz jak tylko skończyła swoją zmianę w restauracji. Wyszła o drugiej nad ranem i w drodze do domu przejechała na czerwonym świetle. Jej samochód zderzył się z ciężarówką, a ona zginęła na miejscu.

Godzinę wcześniej piła alkohol i odbyła stosunek. Sekcja zwłok wykazała, że był to rodzaj seksu, którego wolałbym tutaj nie opisywać.

—
Jedna z dwóch tysięcy — odezwał się w zamyśleniu Pel am.

—
Słucham?

—
Podobno Gaudia miał mnóstwo kobiet.

Była jego kolejną zdobyczą.

—
Dokładnie tak.

—
Policja stwierdziła, że do wypadku doszło z jej winy, ale rzecz jasna tak nie było.

Winę ponosił Vincent Gaudia. To on uwiódł moją bratanicę. Równie dobrze mógłby ją

własnoręcznie zamordować. Gaudia
skrzywdził moją rodzinę i kiedy mój brat nie
chciał niczego zrobić, żeby pomścić śmierć
córkę, postanowiłem sam się tym zająć.

509

—
Staromodna wendeta.

)

—
Jak zwał, tak zwał.

—
Pan wiedział, że Bales — albo jego
wspólnik — zabił kobietę, która była wtedy z
Gaudią. Postrzelił też tamtego policjanta. I
zamordował mojego przyjaciela...

Lombro pokręcił głową. Na jego twarzy
odmalowało się zdenerwowanie i żal. —

Wszystko poszło nie tak. Całkiem nie tak!

Powinienem był postąpić jak mężczyzna.

Powinienem był sam go zabić i ponieść tego

konsekwencje. Nie jestem tchórzem. Po

prostu nie zdawałem sobie sprawy, jak to

wszystko funkcjonuje. Zawiadomił pan policję?

—

Jeszcze nie — odparł Pel am. Rozejrzał

się po gabinecie, taksując wzrokiem boazerię i

obrazy na ścianach. — Ile jest pan wart?

—

Co proszę?

—

Mówię o pieniądzach. Ile ma pan

pieniędzy?

—

Właściwie to sam nie wiem.

—

Milion? — podsunął Pel am.

Lombro uśmiechnął się. — Znacznie więcej.

Dlaczego pan pyta?

—

Co to znaczy — „znacznie więcej”?

—

Nie wiem *dokładnie* — odparł ostro

Lombro.

510

—

Zajmuje się pan nieruchomościami?

Lombro strzepnął pyłek ze spodni. — Pracuję

w tej branży wystarczająco długo, żeby

wiedzieć, kiedy ktoś próbuje złożyć mi ofertę.

—

Wie pan — podjął Pel am — że w niektórych stanach mają taki fundusz. Nazywa się to chyba Fundusz Pomocy Ofiarom

Przestępstw, czy coś w tym rodzaju. Słyszał pan o czymś takim?

—

Nie.

—

Kiedy kogoś okradną albo zgwałcą, taka osoba dostaje rekompensatę. A jeśli kogoś zabiją, pieniądze otrzymuje rodzina.

—

Sugeruje pan, że powinienem panu zapłacić.

Pel am zawahał się, po czym prychnął śmiechem. — Tak. Dokładnie to sugeruję.

—

Ile? — Lombro wysunął szufladę.

Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że wypisanie czeku nie jest w tej sytuacji najlepszym posunięciem, i szybko ją zamknął.

—

Myślę przede wszystkim o tym

policjancie, który został postrzelony.

—

Wszystko jedno. O jakiej kwocie pan

myślał?

—

Jest sparaliżowany. Ten gliniarz. Nigdy

już nie będzie mógł chodzić. Jego życie stanie

się bardzo kosztowne. Opiekunki, specjalne

511

samochody. A tak nawiasem mówiąc, przez pana wylali mnie z roboty.

Lombro oderwał spojrzenie od swoich butów i

postawił obie stopy na podłodze. — Byłem z

panem szczery, kiedy powiedziałem, że nie

chciałem, aby stała się panu krzywda, tak jak

nie chciałem, żeby zginął ktokolwiek poza

Gaudią. Mam nadzieję, że zgodzi się pan, iż

miałem... no cóż, zrozumiały motyw, żeby

zrobić to, co zrobiłem. I nie sądzę, aby

zechciał mnie pan skrzywdzić.

—

Rzeczywiście — przytaknął Pel am —

nie mam zamiaru pana krzywdzić.

—

Oczywiście może pan pójść na policję i opowiedzieć im, co zaszło. Będzie to jednak pańskie słowo przeciwko mojemu.

Uczestniczyłem w swoim życiu w wielu sprawach sądowych. Prawnicy nazywają coś takiego pojedyńkiem kłamców. Kto komu uwierzy? Myślę, że mam takie same szanse, aby przekonać ławę przysięgłych, jak pan.

Jestem w tym mieście wpływową osobą. Jako jeden z niewielu biznesmenów nadal jestem w stanie płacić podatki, co zresztą robię, przeznaczając na to znaczne kwoty. Znają mnie świetnie w urzędzie podatkowym i w miejskim ratuszu. Więc chociaż współczuję panu i pańskiemu znajomemu, nie ma pan

512

nade mną żadnej przewagi. Powiedzmy, że każdy z panów otrzyma ode mnie po dziesięć tysięcy...

—

Nie, to za mało. — Peł am wyjął z kieszeni złożony kawałek materiału i rzucił go na biurko. — Niech pan na to spojrzy.

Lombro otworzył zawiniątko i w środku ujrzał wizytownik. Otworzył go, wzruszył ramionami i

odłożył z powrotem na chustkę, w którą był
zawinięty. Peł am starannie owinął wizytownik
i schował go do kieszeni.

—
Kto to jest — zapytał Lombro — ten
agent specjalny Gilbert?

—
To człowiek, którego ciało zostało
pogrzebane w fundamentach jednego ze
stawianych przez pana domów. Na budowie
pod St. Louis. Nazywa się chyba Foxwood.
Strasznie kręcą mnie nazwy tych wszystkich
nowych osiedli. Stonehenge. Windcrest. Czy
ludzie faktycznie...

—
O czym pan mówi? Nikt nie jest
pochowany w...

—
Z przykrością muszę dodać, że
zastrzelono go z broni, która została następnie
zakopana w pańskim ogrodzie.

—
To niemożliwe. Ja nie mam broni.

—

Nie mówię, że ma pan broń.

Powiedziałem tylko, że broń została ukryta na

513

terenie pańskiej posiadłości.

—

To jakiś nonsens.

Srebrzystą twarz Lombro pokrył krwisty

rumieniec, oczami strzelał nerwowo na boki.

Szanowany biznesmen zrównany z

przestępcami.

Potężny biznesmen pozbawiony swej władzy.

— Ten pański znajomy policjant. Czy to on

panu pomógł... — Lombro popatrzył na

kieszeń kurtki Pel ama. Wyszeptał: —A teraz

jeszcze ma pan moje odciski palców na jego

wizytówce, prawda?

—

Nie twierdzę, że pana skazą. Ale agent

Gilbert *był* zamieszany w zabójstwo Gaudi .

Groził mnie i mojej znajomej. — Po chwili

dodał: — Poza tym, jako dobry znajomy

prokuratora stanowego, czułbym się

zmuszony współpracować z wymiarem

sprawiedliwości. Uznałbym to za swój

obowiązek.

Philip Lombro spojrział przez okno na ceglany

mur budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Potem opuścił wzrok, zwilżył śliną palec i zdjął

drobinę papieru czy pyłek kurzu z obcasa

swojego buta — ciem-nowiśniowego,

eleganckiego mokasy na frędzelkami,

wypolerowanego tak, że dało się w nim

przejrzeć. Peł am chciał coś powiedzieć, ale

514

zamilkł. Urwał i marszcząc brwi, wpatrywał się w buty Lombro, jak gdyby już je kiedyś widział,

ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie.

Oficjalnie Tony Sloan nadal nie odzywał się do

Peł ama, zrobił jednak wyjątek, aby

poinformować go, że ponieważ pistolety

maszynowe zostały wytwórni zwrócone i udało

się w końcu nakręcić finałową scenę filmu,

Peł am otrzyma jednak połowę należnego mu

wynagrodzenia. Pozostałą część honorarium

Sloan postanowił zatrzymać tytułem pokrycia

kosztów opóźnienia w realizacji zdjęć.

—

Jak uważasz, Tony. W takim razie

spotkamy się w sądzie. Sloan wzruszył

ramionami i wybierając znowu opcję

milczenia,

wrócił do montażowni, gdzie na jego

reżyserską wizję czekało blisko sto

pięćdziesiąt kilometrów taśmy filmowej i

bardzo zniechęcony montażysta.

Peł am zaś zszedł na dół i udał się prosto do

sali bankietowej imienia Hucka Finna w hotelu

Marriott, gdzie wprosił się na przyjęcie wydane

z okazji zakończenia produkcji.

Pił szampana Sloana i jadł kawałki suma z

kukurydzianymi grzankami, gawędząc przy

tym z ekipą i obsadą filmu. Wszyscy byli tak

wykończeni ostatnimi nerwowymi dniami na

515

planie, że nie zdawali sobie sprawy — albo po prostu nie obchodziło ich to — że wciąż ciąży

na nim piętno człowieka wyklętego.

Rozejrzał się po sali i dostrzegł w rogu grupę

charakteryzatorów; Niny Sassower jednak

między nimi nie było.

Podszedł do Stace'a Staceya, który — choć

równie zmęczony, jak pozostali — stale

zachowywał niczym nie zmącony dobry

nastrój. Pełłam zwrócił mu niewykorzystane

woskowe naboje i ślepą amunicję kaliber 0,44,

którą od niego pożyczył. Rzucił przy tym: —

Lepiej, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Stace schował naboje do kieszeni i przyłożył

palec do ust.

Pel am powiedział mu, że Sloan zamierza

potrącić mu połowę wynagrodzenia. Po

trzecim czy czwartym cuba librę Stace był

wyraźnie rozluźniony. — Próbuje cię

wyrołować, co? Ten gość to stuprocentowy

sukinsyn — odparł; Pel am nigdy wcześniej

nie słyszał, aby zbroj-mistrz używał równie

mocnych określeń.

—

Mimo to będziesz z nim pracował, jeśli

cię poprosi.

—

Jasna sprawa. A ty ustawisz się w

kolejce zaraz za mną.

—

Najprawdopodobniej tak będzie —

516

mruknął Pel am.

W drzwiach sali bankietowej stanęła kobieta.

Pel am rozpoznał

jedną z sekretarek Sloana. Zamachała

kawałkiem papieru, dając mu

znak, że to coś ważnego. Pomyślał, że Sloan

mógł zmienić zdanie i —

jakkolwiek niechętnie — wypłacić mu jednak

resztę honorarium. Nie,

żeby miało to jakieś znaczenie. Firma

inwestycyjna Philipa Lombro

przełała właśnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów

na jego konto w banku

w Sherman Oaks.

,

—

John, przyszedł do ciebie faks. Z

Budapesztu, od Marty'ego Wel era.

Pel am zamierzał dokonać wkrótce kolejnego

przelewu, żeby sfinansować produkcję

swojego filmu „Czas środkowoamerykański”.

Sekretarka podała mu papier, odwróciła się i

ruszyła w kierunku grupki aktorów. Nie dotarła

tam jednak; w połowie drogi zatrzymał ją

Stace Stacey, objął w pasie i stanął na

palcach, żeby szepnąć jej coś do ucha.

Kobieta zachichotała.

Pel am rozłożył faks. Marty Wel er

potrzebował całej strony producenckiego

bełkotu, żeby oznajmić mu, co następuje:

517

wytwórnia Tri--Star przejęła projekt Paramountu i wyłożyła pieniądze na film o terrorystach, który Wel er miał teraz

wyprodukować zamiast „Czasu

środkowoamerykańskiego". Węgrzy

postanowili przejść razem z nim do Tri-Stara.

Prosili Wel era, żeby go pozdrowił. Mają

wrażenie, jakby znali Pel ama od dawna, i

nazywają go swoim amerykańskim mistrzem.

Wyrazili też nadzieję, że kiedyś uda im się

jeszcze coś zrobić w sprawie jego

„błyskotliwie napisanego, zabójczego,

kultowego filmu kina *noir*".

Pel am złożył faks i wsunął go do tylnej

kieszoni spodni. Od przechodzącego z tacą

kelnera wziął jeszcze jeden kieliszek

szampana. Zamknął oczy i przycisnął

schłodzone szkło do rozpalonego czoła.

Chwilę później dołączył do niego Stace.

Sekretarka zniknęła, lecz mina zbrojmistra

świadczyła o tym, że nie dostał kosza.

Uśmiechając się promiennie, zagadnął

Pel ama: — Co ty na to, żebyśmy jutro rano

narobili razem trochę huku? Weźmiemy

rewolwery i postrzelamy do puszek. A może

nawet znajdziemy gdzieś grzechotniki...

Pel am otworzył usta, by odmówić, ale zamiast

szukać wymówki, odparł: — O ile tylko nie

518

każesz mi się zrywać bladym świtem, Stace.

— O, nie. Co to, to nie. Film skończony. Teraz

jesteśmy na wakacjach.

Boisko do koszykówki przy Leonard Street w

Maddox jest zwykle zamknięte. Chociaż

stanowi część terenu szkoły, Departament

Edukacji uznał, że jeśli ma ciąć koszty, nie

stać go na utrzymywanie boiska poza

godzinami zajęć szkolnych i w związku z tym

brama zamykana jest równo o piątej po

południu. Nie, żeby to cokolwiek zmieniało;

miejscowe dzieciaki wycięły w siatce dziurę na

tyle dużą, że można swobodnie wśliznąć się

do środka i o dowolnej porze ćwiczyć rzuty

czy podania.

Nawierzchnia boiska jest asfaltowa, a

otaczające je ceglane ściany pokrywa gęsta
plątanina graffiti: imiona, nazwy gangów, a
także wielkie szpanerskie trójwymiarowe litery
i rysunki, w których specjalizują się
utalentowani punkowcy. Sam asfalt jest
jednak czysty jak czarny marmur posadzki
kościół. Nikt nie śmie zamazywać
wytyczonych linii .

Tego ciepłego, dusznego, grudniowego
wieczoru przy ogrodzeniu boiska staje dwóch
mężczyzn. Dziura w siatce jest wystarczająco
duża, żeby obaj mogli się przez nią

519

przecisnąć, ale jeden z nich jest na wózku inwalidzkim. Wózek jest nieduży i zgrabny,
wykonany z ciemnoniebieskiego stopu, co
nadaje mu sportowy wygląd. Koła są nieco
przechylone — na dole ich rozstaw jest
szerszy niż na górze. Stojący obok wózka
mężczyzna rozgląda się bacznie, po czym
wyjmuje z dużego, płóciennego worka nożyce
z hartowanej stali przeznaczone do cięcia
metal. Opiera jedną długą rękojeść o biodro i
naciskając drugą obiema rękami, przecina
siatkę najpierw z jednej, potem z drugiej

strony.

Wchodzą na boisko. Mężczyzna na wózku pędzi naprzód, odpychając się silnymi, ciemno owłosionymi ramionami.

Pel am mówi: — Miej litość dla staruszka, dobra?

Mija pewien czas, zanim Donnie Buffett opanuje sztukę kozłowania. Całymi latami grał nieźle w ataku i potrafi trzymać piłkę z dala od ciała, jednocześnie ją kontrolując. Ma jednak pewien kłopot, bo teraz musi używać obu rąk, żeby podjechać do kosza i oddać rzut. Kiedy próbuje odpychać wózek jedną ręką, kręci się w kółko. Kładzie więc sobie piłkę na kolanach, przyspiesza i odbijając piłkę o tablicę, pakuje ją do kosza.

520

Pel am głośno wtedy gwizdze i woła: — Faul!

—

Dlaczego wróciłeś do Maddox? — pyta potem Buffett, zaliczając kolejny rzut. —

Chodzi o ten wasz film, „Missouri River Blues”?

—

Nie. Ten jest już w postprodukcji. W lipcu premiera. Właśnie procesuję się z reżyserem o swoje honorarium i o to, żeby moje nazwisko znalazło się w czołówce filmu.

Przykra sprawa.

Ryzyko zawodowe. Wróciłem, żeby zrobić dokumentację do nowego filmu.

Jaki będzie miał tytuł?

„Czas środkowoamerykański”.

To chyba jakaś nuda. Kto w nim gra?

Powinieneś obsadzić Gee-nę Davis. Fajna babka. Albo kogoś w tym stylu.

Na razie nikt w nim nie gra. Nikt go nawet jeszcze nie zaczął *kręcić*. Kiedy byłem tu ostatnio, wpadło mi w oko kilka naprawdę niezłych plenerów. Chciałem sprawdzić, jak wyglądają o tej porze roku. Wtedy, kiedy toczy się akcja filmu. W zimie.

Dwa filmy w ciągu roku. Po prostu

rewelacja! Może Maddox stanie się drugim

Hol ywood?

—

W Hol ywood na początku była tylko

pustynia — zauważył Pełlam.

521

—

Długo zostaniesz?

—

Tydzień albo dwa. Potem na święta

wybieram się do matki. Mieszka na północ od

Nowego Jorku.

Większość rzutów Buffetta trafia do celu, co

niezwykle frustruje Pel ama. Przez cały sezon

chodził na mecze Lakersów. Teraz usiłuje z

wysokoku wrzucić piłkę do kosza, ale pudłuje.

Fatalny z niego zawodnik. A kowbojki tylko

utrudniają mu zadanie.

Buffett odbiera Pel amowi piłkę i zalicza

kolejny rzut.

—

Do diabła z tym — sapie Pel am. —

Poćwiczmy lepiej wsady. Grają jeszcze przez

pół godziny, po czym robią przerwę na piwo.

Odpowiadając na pytanie Pel ama, Buffett mówi, że nie spotyka się z Niną. — To już skończone. Przelotny romans. Nie mogłem jej rozgryźć. Często dopadał ją kiepski nastrój.

Zupełnie, jakby ukrywała jakąś wielką tajemnicę, albo coś w tym rodzaju.

—

Tak, też to zauważyłem. — Pel am ociera usta rękawem, myśląc, że chyba im odbiło, żeby pić piwo w grudniu.

I grać w kosza o tej porze roku.

—

A mówiłem ci już? — odzywa się nagle

Buffett.

—

O czym?

522

—

Penny się wyprowadziła. Bierzemy rozwód.

—

Co bierzecie?

—

Rozwód. Zamierzamy wziąć rozwód.

—

Boże — wzdycha Pel am.

—

Wiesz, jak to jest...

—

Myślę, że to okropne.

Buffett odwraca wzrok, niezmiernie

zażenowany, i pociąga spory łyk piwa. — Tak

bywa.

—

Dowiedziała się o Ninie?

—

Nie. Do tej pory nic nie wie.

Pel am kręci głową i wykonuje taki gest, jakby

chciał wskazać ręką nogi Buffetta, ale zmienia

zdanie i zamiast tego ogarnia ramieniem

boisko. — Postanowiła cię zostawić, po tym

wszystkim?

—

Nie, Pel am. To nie tak. To *ja* wystąpiłem

o rozwód. Pomysł wyszedł ode mnie. Penny

przenosi się do rodziców.

—

Och. — Peł am dochodzi do wniosku, że
to też nie ma sensu. Przez dłuższą chwilę
przygląda się Buffettowi. — Zostawiasz ją, *po*
tym wszystkim?

—

Właśnie.

—

Dlaczego?

—

Byłeś u nas w domu. Naprawdę musisz

523

pytać?

—

I będziesz mieszkał zupełnie sam? W
twojej sytuacji? Buffett wzrusza ramionami. —

Na to wygląda.

Peł am robi taką minę, jakby chciał powiedzieć

„Tym lepiej dla ciebie" i ćwiczy kozłowanie.

Piłka mu się wymyka. Dogania ją jednym su-
sem i zatrzymuje w miejscu. Potem pyta: — A
widziałeś się ostatnio z doktor Wendy?

—

Uhm.

—

Ico?

—

Nic nowego. Ta sama diagnoza.

—

Chcesz o tym pogadać?

—

Nie.

Przez kilka minut popijają piwo, wymieniając

uwagi na temat Knicksów i Lakersów. Potem

Buffett mówi: — Wypróbowywali na mnie nowy

lek. Bez efektu.

—

Nadal zamierzasz się zabić?

—

Raczej nie. Może kiedyś. — Buffett nie

żartuje, ale też nie mówi poważnie.

—

Wiesz, właśnie przyszło mi coś do głowy.

Grasz w pokera? Buffetta bawi naiwność tego

pytania. Śmieje się. — Jasne, że

gram.

—

A lubisz chili?

—

Nie. Nie cierpię.

524

Zrywa się lekki wiatr i nagle robi się zbyt chłodno, żeby dalej siedzieć i popijać piwo, wracają więc pod kosz i znowu zaczynają grać. Pel am wykonuje szybki manewr i odbiera piłkę Buffettowi. Kozłuje jak w transie, po czym wyrzuca piłkę szerokim łukiem. To rzut za trzy punkty, ale Pel am wie, że nie ma szans trafić. Piłka uderza o krawędź kosza, chwieje się przez chwilę w tę i z powrotem, by w końcu spaść jednak przez zardzewiałą obręcz prosto w wyciągnięte ręce Buffetta.

m

Jeff ery Deaver PŁYTKIE GROBY

AUWS „KOieSClOlllRA tOiCl

JEFFERY DEAVER

PŁYTKIE

CRDBV

John Pel am, były kaskader, jest dokumentalistą i przemierza kraj w poszukiwaniu plenerów do filmów. Kiedy jedzie

525

główną ulicą miasta, mieszkańcy zwykle tłoczą się, głośno domagając się szansy na swoje pięć minut sławy. Ale nie w cichym i spokojnym Cleary. Tutaj Pel am doświadcza całkiem innego przyjęcia.

Najpierw ktoś wypisuje „Żegnamy” na jego samochodzie. Potem tajemniczo ginie jego współpracownik — podobno w wypadku. I niby pod wpływem narkotyków. Wyraźnie podrzuconych.

Wszystkich dokoła interesuje jedno: kiedy Pel am wyjedzie. No, może poza Meg Torrens, która wyraźnie czegoś oczekuje od przybysza...

Br

Jeffery Deaver LEKCJA JEJ ŚMIERCI

526

New Lebanon to miasto uniwersyteckie. Tylko jak długo jeszcze? Skoro już druga studentka została bestialsko zamordowana.

Miejscowi żyją w strachu, bo podobno chodzi o zbrodnie rytualne, a Księżycowy Zabójca jest ciągle na wolności.

By go osaczyć, Bil Corde musi mieć czas,

fundusze i ludzi. Tyle że szeryfowi Ribbonowi potrzebny jest teraz szybki sukces, a nie drobiazgowe, długotrwałe śledztwo, bo nowe wybory wkrótce.

A przy takim postępowaniu kolejne tragedie są nieuchronne. I ofiary. Bo morderca lubi dawać lekcje — policjantom nawet bardzo. Zwłaszcza gdy mają córki sprawiające problemy...

527

SĐ"

Peter Abrahams GRANICE ICH MARZEŃ

GRANICE ICH MARZEŃ

Mackie wydaje się, że po rozwodzie z mężem w życiu jej i córki Lianne zapanuje spokój. Bo specjalnością Kevina były tylko matactwa, wizje i zdrady. Jednak gdy okaże się, że długi eks-męża są na jej głowie, koszmar powróci.

Ze zdwojoną siłą. Bo teraz zostanie też bez mieszkania, jeśli nie znajdzie dobrze płatnej pracy...

Czy w takiej sytuacji rola striptizerki w lokalu na meksykańskiej granicy może jej uwłaczać?

Zarobione pieniądze pokazują, że chyba

jednak nie. Do czasu... Bo Lianne też nie

528

próżnuje, pozbawiona rodzicielskiej kontroli.

Piękna nastolatka od razu wpada w oko

miejscowemu przystojniakowi. Z wzajemno-

ścią. A Jimmy Marz ma jeszcze plan, który

może przynieść obojgu zakochanym fortunę i

szczęście. Choć najlepiej, i bezpieczniej, po

drugiej stronie meksykańskiej granicy...

Br

James Ellroy REQUIEM DLA BROWNA

Kiedyś był policjantem w Los Angeles. I

alkoholikiem. Ale to zamierzchła przeszłość dla

Fritza Browna. Teraz zarabia na życie jako

prywatny łaps, przejmując niespłacone

samochody. A do tego słucha dużo... muzyki

poważnej.

529

I tak by pewnie zostało, gdyby nie wizyta Freddyego „Spaślaka” Bakera w zatechłym biurze Browna. Ten dziwaczny caddy od noszenia kijków za graczami w golfa zleca Fritzowi pierwszą w jego życiu poważną sprawę, jak się wydaje.

Chodzi o śledzenie siostry Bakera, Jane. Bo od czasu przeprowadzki do dużo starszego, bogatego Sola Kupfermana, Jane wyraźnie odsunęła się od brata. A ten dobrze pamięta, jak kiedyś w świątku przestępczym Sol y miał sporo do powiedzenia. Co nie może wróżyć nic dobrego, zdaniem Bakera.

Brown szybko jednak odkryje, że to właśnie za sprawą wiolonczelistki Jane może zmienić własne życie na lepsze...